

I/1168

ARCHIWUM WSCHODNIE
Oddział w Poznaniu

W POSZUKIWANIU URWANEGO GUZIKA

/ pamiętnik /

1. W junaki, a potem do wojska.	1
2. Polesie dziegciem pachnące.	5 4
3. Piasek na szańce.	9 7
4. Wzorem Marszałka.	14 10
5. Viva! Poznańczenie!	18 13
6. A jednak zrzędzie ci mina w ząbek czesany!.....		24 17
7. Odwrót.	35 24
8. Pod skrzydła cudzej rodziny.	39 22

Człci piersza

Mój wresien

W junaki - a potem do

1. ~~Przedobnie...~~ do wojska!!

/ Ple... ple... ple... o czystym, ale jałowym mieście, własnej mamie i własnym tacie, chudziutkiej Kaliszance i łysym wodzu.

Razem z Kopernikiem urodziłem się w Toruniu. Byłoby to, wcale nie głupie, gdyby ~~po~~ po roku rodzice nie przewiezli mnie do Poznania. Mieszkam tu z gorą trzydzieści lat, a polubic jak nie mogę tak nie mogę. Doceniam i podziwiam ład i porządek, mnogość zieleni, niebrzydką architekturę, na każdym stole ku musztardy powielaną sylwetkę renesansowego ratusza i wiele, wiele innych ^{powabów} ~~miast~~, jednak lepiej się czuję w Szczecinie, Kutnie, Groju, Łławiu, Łęczycy. Dość mi w stolicy Wielkopolski. Pomimo, że bozia wykierowała na poznańską nie jestem dumny z poznańskich porządków, poznańskich targów, poznańskich "expresów", poznańskich słowików, poznańskich koziołków, chociaż trzymające się capy to najsympatyczniejsze postacie w mieście. I dowcipne - jak mistrz Strugałek, utalentowane ~~jak...~~ - jak poznanscy literaci, więcej! - jak Nestor sceny Lizio Zembrzuską, inteligentne jak miejscowi dziennikarze, prawie jak broda drąomollinskiego, swoje jak prof. Dorozala, urocze jak audycje lokalne poznańskiego radia. ^{Al} Nawet dla koziołków nie pokochałem "Grodu Przemysława". Najam się. ^{Był się w piersi:} "mea culpa, mea culpa..."

Może nie dorosłem do statecznej powagi jego obywateli? Może.. a może ~~nie~~ dlatego, że nie spełniło się tu żadne moje marzenie? Też może... Dość, że nie pałamy do siebie miłością, ani ja do miasta, ani miasto do mnie. Tak było i jest. Wszystkie bramy zioną dla mnie pustką. Na żadne schody nie wchodzi z przyspieszonym biciem serca. A jeżeli już wejdę do schłodzonego, obrydliwie umeblowanego mieszkania to na "wódkę", dla kawy, na telewizyjny program, nigdy dla przyjacielskiej rozmowy.

Naz tylko widok szarych, secesyjnych kamienic wywołai we mnie wzruszenie. Było to po wyzwoleniu. Wracalem do bliskich. Wtedy tęsknota za rodziną emanowała odrobina ciepła również na miasto. To za tem całe bezmała życie stojemy do siebie plecami.

W sierpniu trzydziestego ~~dziesiątego~~ opuszczam Poznań bez żalu.

Do pociągu wsiaadał wymuskały młodzieniec. Jechał na miesiąc, wrócił

po sześciu latach. W ciągu tych lat - mówiąc słowami Brandysa - "oni pękły od doświadczeń, z których każde z osobna wypełnić by mogły życie niejednego człowieka."

Dyżurny dał znak odjazdu. Ucałowałem smutną twarz. Roczyliłem się do spracowanej dłoni. Druga dłoń zakreśliła na moim czole znak krzyża.

Z niewielką walizką wskoczyłem na stopnie.

- Tylko na miesiąc, mamo. - pocieszałem.

Przytakiwała głową. Rękawem wycierała oczy. Usmiechem prosiła o wyrozumiałość dla babskiego mazgajstwa.

Lociąg ruszył. Na peronie malała kobieca sylwetka.

Do tego momentu życie było tylko lunkcją czasu - dziecko, sztubak, wreszcie maturzysta. W jednej klasce repetent, - lecz i ten wstrząs zamortyzowała miłość do Jedyńka.

Wychowałem się w rodzinie średnio zamożnych ludzi. Żona była wierna mężowi, podtatusiały komiwojazer kochał żonę i dzieci. Smutek albo cniwliwe rozdrażnienia sprowadzała choroba, termin płacenia rat lub poczynnie żyrowany weksel.

Spółeczeństwo zainteresowało się moją osobą po maturze. Stanąłem przed komisją rezerwową. Pomimo chudeńskich budowy zostałem uznany za godnego zaszczytnej służby wojskowej. Przed ^{tem} jednak kazano umocnić granice na wszelkich rubieżach, zeczyespółającej.

W junackich murkach pracy rozkazano się zameldować siedemnastego sierpnia. Pomownikom z dumą wskazywałem daleko na wschód położony punkt na mapie. Matka wzdychnęła:

- Boże mój! taki szmat drogi.

Niemowicze dziełko ~~maxx~~ od ~~maxx~~ podłej gorczyńskiej ulicy paręset kilometrów. Dotąd droga była jedynym miejscem, do którego dotarłem na prawo od Wisły. Teraz miałem dojechać do wsi czy osiedla położonego w pobliżu wielkiego, tajemniczego sąsiada. Mało kto znał ten kraj, mało kto wiedział co kryje się za wschodnią granicą polską. Incecka i kier, kaina ~~pro-~~
^{pegnie}pleniąca się niepodzielnie na poznańskim gruncie zasmarowała cypraw-

da całe szpalty dzienników, jednak artykuły, reportaż, doniesienia nazbyt smierdziały ~~XXXXXXXXXX~~ nienawiścią, za bardzo cuchnęły wydzieliną sytego mieszczaucha, aby nie wywietrzył strachu i przerażenia. Zwłaszcza jeżeli się miało zielone bo zielone, ale zdecydowane ciągoty do zreformowania świata.

W Kaliszu zaordynowałem sobie przerwę w podróży.

Przy ulicy babinej mieszkała ~~XXXXXX~~ pewna nazaretanka. Chude, cienkonogie stworzenie manifestujące koblęcość pilnowaną spudniczką i zaczesanymi w warkocz włosami. ~~XXXXXX~~ Unosząc ^{wysoko} ~~XXXXXX~~ ~~XXXXXX~~ kolana spacerowała ze mną ~~XXXXXX~~ parku. Chciało się, ale nie umiało mówić o miłości. Było po deszczu. Przystawaliśmy pod koronami z parującymi liści i pokonując zazenowanie ~~XXXXXX~~ chwytaliśmy się za rękę. Mliczelismy. Za nas szeptała Prosa.

Z okna wagonu długo wymachiwałem ręką. Przyczepiłem wzrok do plątej bluzki. Plama po kims, kto ucieleśniał nalwną sztubacką miłość zanikała.

Nocowałem u kuzyna w Socnaczewie.

Nazajutrz przypadała rocznica "cudu" nad Wisłą. Chodziłem ulicami Warszawy, - wygalowane, utęzinione, ku chwale polskiego oręza. Z okien zwisały narodowe flagi, w witrynach sklepowych stały portrety dostojników. I tłum śpieszył w Aleje, gdzie przed wodzem i narodem miała deflować armia. W której nakazano strzedz najmarniejszego guzika przyłastrygowanego do narodowej sukmany. Upał był dokuczliwy. Ale wódz dzielnie wystawiał łysą czaszkę pod promienie słońca. Wspinalem się na palce, aby pod rogatką dojrzec jego twarz. Nad głowami mignęło mi skamieniałe oblicze. Na wysokości oczu śmigły dzierżył marszałkowską buławę. Jego spokój krzepił. "Nie dadzą nam rady" - pomyślałem sobie.

A na środku jezani w rozprazony asfalt trąkły nowiutkie, zarte buty. Gdy unosiły się na regulaminową wysokość w poduszwaniczym wiazdy- swięciły przepisowa konstelacja cwiekow. między szpalierem włuczow prześlądała kompania za kompanią. każdy krok był dokładnie wymierzony, żaden wyrzut cioni

nie przekraczał sakramentalnej linii pasa. Oglądając precyzyjny automatyzm ruchów trudno było się pogodzić z myślą, że to idą ludzie. Zdawało się, że maszerują sprawną ręką pociągane marionetki. Tylko z pod głęboko na czoło nasuniętych hełmów wyglądały różnorakie oczy - niebieskie, czarne, posępne, wesołe, dziecięce i surowe. W szeregi padały wiązanki kwiatów.

x/

Jeszcze trochę ni w pięć, ni w dziewięć:

roczątek zrobiony, i co dalej?, smarować czy nie smarować? czy na długo starczy cierpliwości? chyba nie na długo... i z tego pewnie wyjdzie klops jak z tyłu innych zamierzeń? A ~~portret~~ ^{czy nie} lepiej, od razu rzucić wszystko cholera, kilka zapisanych kartek powiesić w wychoiku i zabrać się do czegoś uczciwego? Naprzykład za uprawę ogrodu. Riancowanie kawiareny bardzo cwałowane zajęcie! Coż kiedyś łapa świeży. I wspominki z tych lat ciężkie tłuką się po głowie. Ze wspomnieniami żyje człowiek-smieć, człowiek bez jutra!.. rai go diabli, jak musi. czy to nie przyjemnie dać nura w czasie kiedy się miało jakie takie poczucie wazności? równie, że przyjemnie!.. A jaki okres człowiekowi sprezentował więcej, poczucia własnej wartości, jak nie wojna? każdy musiał się plinować, każdy strzedz. każda łacmnyka mogła być przepuszczona przez komin w towarzystwie męża stanu, uczonego, głośnego artysty, przebułona na mydło lub damską torebkę, być ostrzelana jak zając i sama pukac do innego ~~zająca~~ ^{zająca}. ~~Stąd wojna~~ jest niewyczerpaną skarbnicą wspomien. kto ją przeżył, ten aż siłni się beikocząc o wzzesniu, okupacji, obozach, powstaniu, einsatzu, wielkiej bitwie o Olmber i rąpankę.

A co bardziej boli: siniak na własnym tyłku czy bomba rzucona na niroszłmę? Jasne, że siniak.. rzeto i własne wspomnienia są najciekawsze, najbardziej niezwykle i godne pamięci. Azadko kto cierpliwie wysłuchna do konca gładzenia innego weterana wojny. Wiecn jeno dla ziąpania oddechu przerwie wątek, zaraz usłyszcy: " co tam panstanie, co tam panie łapanka, oboz, żebyś pan żył w Doplewie!"

mnie też nikt nie chce słuchac, nawet rodzina. Jedynym niezawodnym, cierpliwym i chętnym słuchaczem jestem ja sam. Dlatego gdy znajdę wolny czas opowiadam sobie, jak to tam było. A było tak....

- 2 -

2. Polesie dziegiem pachące.

/rie... ple... pie... o dwóch kresowiankach, jednej wcale miłej, wilku rzecznej, żeglugi i innych urokach podróży./

Na dworcu wschodnim trudno się było wpełznąć do pociągu na przese. Korytarze zastawiono przerozonym bagażem, od klatek z drobiem do awskubowego piugu włącznie. Było duszno. Pasażerowie oczekali potem. W nosie wleciła przyzacy dym machorki. Później, zrobiło się lżej. Do Brześcia dojechałem pod wieczor. Czekały ~~na~~ jeszcze dwie przesiadki - jedna w Rinsku, druga w Lunincu.

Od brześcia podróżowałem czwartą klasą. Piątą podróżowało już chyba ~~tylko~~ było. Wagon przecinały twarde ławy. Ubranie można było równie dobrze opackać o lepiącą się z orudu deskę co i plecy sąsiada. Rozłożyłem cnustkę i przysiadłem na krawędzi ławki. Cały przedział nasiąkł smrodem juctu, dziegiu i zaplesniałej samosiejki. Doświadczałem czaru polesia.

Podroźni przyglądali mi się uważnie. Musiałem im się wydawać równie egzotyczny jak oni mnie. Szczególne zainteresowanie wzbudziłem w dwóch młodych niewiastach śledzących naprzeciwko. Wyraźnie oawliły się moim zakłopotaniem. Zwiastu gdy wyjęłem z walizki kolonską wodę i zwiżywszy cnustkę pocierałem sobie spoconą twarz.

- Nie zwyczajny ^{Kolega} ~~pan~~ naszych warunków podróży? - powiedziała jedna szczerząc zęby.

- Strasznie duszno. - odparłem - Warto by otworzyć okno.

- Niech cię ręka boska broni, młody człowieku! - zawołała druga - Zlin-czują tu pana. Nasz muzyk na, bardziej, nie znosi przeciągów.

- A od smrodu jeszcze nikt nie ^{ow} ~~umia~~. - dopowiedziała pierwsza.

Nie przypuszczałem, że ta cena maksyma jeszcze nie raz obije się o moje uszy.

Przysunąłem się do okna. Przez zakurzone szyby wpatrywałem się w monotonny, szarzejący w mroku krajobraz. wszędzie leżały podmokłe łąki. Czasem tylko wyskoczył rachityczny lassek, guzienie, gdzie mizerna zagroda. Zawszą zionęło pustką i biedą. Ale to jeszcze nie było wszystko z polesia.

- 0 -

Niebawem pociemniało. Konduktor zapalił gazową lampę. Przez obłoki brunatnego dymu sączyła niemrawe światło. Opuściła mnie troska o nowy, pomaturalny garnitur. Nożsiadłem się wygodnie. Zachciało mi się jesc. Na kolanach położyłem sobie serwetkę, z pergaminu odwinęłem bułkę z wędliną.

- Smaczności! - powiedziało jedno vis à vis.

- Dziękuję. - mruknęłem

- Na kresach się mówi: prosimy. - pouczyło dobrodusznie.

Stropiłem się. Sięgnąłem po torebkę kruchych ciastek i zapraszając niepewnym głosem:

- Proszę.. specjalność mojej matki..

- Co co ma się pan szkodować? Raczej my pana poczęstujemy. Jest pan naszym gościem.

- Ja, gościem?..

- Oczywiście. Przecież pan nie jest kresowiakiem. To się czuje przez skórę.

- Jestem z roznania.

- No spody pomyślu, !.. co też pana zagnało na Świętą Białorus?

- Białorus? - zapytałem zdumiony

Gdzież wie
- ~~nie rozumiesz~~ Chiny? Białorus! Ale słyszy pan jakim językiem roz-
wiają ci ludzie. Ale i tak pan niczego nie zrozumie. Żeby zrozumieć trzeba
tu się urodzić i tu żyć. Wroci pan z wakacji i tylko od czasu do czasu, od
wielkiego dzwonu przeczyta w gazetach o wschodnich rubieżach Rzeczypospoli-
tej. Najslawniejsze u nas miejsce to Bereza, ale tej nie radzę koleżdze zwie-
dzać..

- Nie jadę na wakacje. - przerwałem - Jestem powołany na oboz pracy.

- Powitać, powitać! budowniczego jasnej przyszłości rolesia. Swoją drogą ciekawe co pan właściwie wie o Kresach.

W usta wpakowałem sobie poł bułki. Nic nie wiedziałem. Całkowicie wiadomości z lekcji geografii uzupełniony-rodzone w atelier-obrazy do filmu "Znacho-
Wyobraźnię wzbogacała nado rzewna piosenka o moczarach, bagnach i cichym
włchrow jęku.

Moje towarzyski podróży okazały się być nauczycielkami. Cawędziło się wcale przyjemnie. Naczyliśmy się moimi ciastkami i ich jajkami. Ale po pewnym czasie ogarnięty znużeniem wtuliłem się w róg. One także tłumiry ziewanie. Jedna przesiadła się na moją stronę.

- Uczy się kieją, a nie potrafię spać siedząc tyłem do biegu pociągu-
XXXXXXIĄKA wyjaśniła.

- Proszę zajęć miejsce pod oknem. - zaproponowałem

- Siedz pan! Dużo wygodnie, będzie na pańskim ramieniu.

Rozłątkowo włosy łecntały mnie po policzku. Różnie, się przyzwyczaiłem. Ruchniały dość przyjemnie. Sen jednak gązies odleciał. Ona chyba spała, co bez sprzeciwu pozwoliła objąć się ramieniem. Nie sprzeciwiała się nawet gdy palcami niesmiało dotykałem twardego blustu.

Jej koleżanka spała napewno. Obudziła się dopiero przed rinskim. Są-
siadka trochę wcześniej, wcorała dłoń z mojego uda, ~~która po chwili została~~.

- Zapnij spodnie! - szepnęła.

Z wazięczności pocałowałem ją w szyję.

Rozegnaliśmy się, gdy przedział oświetliły lampy stacyjne. Nie po, mowa-
łem dlaczego tak sztywno i oziębło. Ta, która korzystała z mojej piersi
nawet bardziej oschle od koleżanki. Może było jej niewygodnie. Dużo ciała
nie miałem i nie mam. Same gnaty.

Nie pozwoliła wynieść walizek na peron.

- Niech pan się nie ratyguje - mruknęła - mężowie po nas wyją.

Zmieszali się w tłumie wychodzących.

moja droga ciągle prowadziła na wschod.

W Rinsku spotkałem się z kolegą, z którym jeszcze w roznanlu umawiali-
my się wspólną podróż. Ale jakoś nie wyszło. Mnie udało się uniknąć nudow
wielogodzinnej jazdy, nienio gross twierdził, że jeszcze ciekawie, spędził
noc. Nie dowierzałem. Uczy miał zapucanięte od snu.

ro godzinne, przerwie ruszyliśmy dalej. Przemarem do następnej przesiad-
ki. Była głęboka noc, gdy nienio szarpnął moim ramieniem.

Rozekalnica dworcowa w Lunincu była naulta. W tłumie kręciło się kilku-

nastu młodzieńców podobnie jak my powołanych do obozu pracy. Przeważali marynarze floty na rzecznej na krypcy. Jeden taki niemorski wnik wdał się z nami w rozmowę, a nawet pozwolił się zaprosić do bufetu.

roztrącił obiegających ladę wieśniaków i zazaądał trzy setki. Dotąd nigdy nie pochłonałem takiej ilości wódki za jeonym ~~xxmchem~~ zamacnem. nieniek się zakrztusił. z drugą kolejką poszło lepiej. marynarz z pod urodziska rdem, uradowany, ze wluzi ziomkcow jeszcze cnciał pic, jednak zapomniał, że cnotą ^{na Sankopolen} jest oszczędność. Dał się naklonić do spaceru.

mieścina tonęła w mroku. odzienie gdzie jasniały tylko oświetlone wapnem sciany. sprawiedliwego snu mieszkańców nie męciły pijackie wrzaski dobywające się z ochrypłych marynarskich garzdeł. Jakies dziewczyny uczone muskularnych ramion łagodziły nadmiernie rozkoj, sany krok majtkow. niezwykle wrażenie robiła ta zapluta, kresowa dziura podniesiona do rzędu portowego miasta.

ziomek-marynarz nastawał na oblanie pożegnania. rozostaliśmy nie ugięci. prozno argumentował twardym poznanskim akcentem, ze "bon trojcu lubit".

od łęnińca zdoczyliśmy na południe.

Na stacji w niemowiczach roilo się już od przyszłych junakow. rodolicerowie zgarniali bractwo pod budynek dworca. po uformowaniu czworek ruszyliśmy szerokim, piaszczystym traktem. Pierwszy raz w zyciu, w blasku słońca oglądałem kresy wschodnie.

3. Piąsek na szance

/ple.. ple.. ple... o junackim trudzie, o junackiej bojowosci i junackim zrywie.. ~~o zrywie~~. Nad to: bezmała traktat o ukraińsko-polskim antagonizmie./

Piąsek był wszędzie. bypał się do butów, osiadał na włosach, wiaził do gardła. Po półgodzinnym marszu koszula lepiała się do grzbietu. Na niebie nie płynęła ani jedna chmura. I tak miało być przez kilka tygodni.

- Ładne zadupie. - mruknął Heniek

- Sahara.. - odparłem - Nic tylko pluch. ~~W~~ ^{nawet} w zębach ^zerzyta.

Naprzekór temu ~~stworzenia~~ z za gorki wyskoczyła włoska. Nareszcie dotykaliśmy stopami twardej nawierzchni. Kolumna weszła między zabudowania. Chałupy stały szczytem do ulicy. Były kraszone na niebiesko, różowo lub zielono. Przydymach rosły brzozy, czasem strzelała w niebo topola. Tylko one wydawały się swojskie, nadwiślańskie. Za ^opatkami z chrustu sterczeli mężczyźni i kobiety. Spoglądali nieufnie na oddział frantów wymacnąjących skorzany walizkami. Nosili przeważnie wyrzucone na spocnie proclenne koszule ozdobione na koinierz i gorsie barwnym haftem. Podwiązane pod brodą chustki kryły włosy kociet. Ich rozchlestante koszule rzadko zdobił jakiś szlaczek. Szare wypłowiałe spocnice do połowy łydek nakrywały bosc nogi.

Na środku wsi puszyła się baniasta cerkiew. W cmentarnej furcie tkwił brodaty pop. Dowódca konwoju uderzył w dach. Pop z wyraźną niechęcią uchylił kapelusza.

- Ten nas nie kocha. - powiedział sąsiad w szeregu.

- Inni też nie. - dodałem

- Cholerne kacapy! Takich trzeba krótko przy mordzie. Jeszcze mocniej jak żydów..

Ktoz lepiej od szatyńskiego, syna pułkownika, mógł znać i rozumieć zasady mniejszościowej polityki.

W barakach, za wioską mieścił się sztab junackich milicow ~~francy~~. Tu nas podzielono na bataliony, amundurowane, cywilną część przejmując na magazyny. Z poznaniaków Heniek Gros, Dawid, Bondi, szatyński i ja dostaliśmy

się pod komendę porucznika Baginskiego. Jeszcze jeden oficer był szefem sztabu. Na czele kompanii i plutonów stali podoficerowie.

uzbrojono nas w łopaty i poprowadzono na miejsce zakwaterowania.

Przez piaszczysty wygon maszerowaliśmy jeszcze z trzy kilometry. wokół kilku baraków rozciągała się pusta, szeroka płaszczyna przecięta rzeką. Na prawym brzegu słoczy wznosiła się wysoka skarpa. Usypana z płasku wymagała umocnienia. Mielismy tego dokonać my - junacy.

^{Przez} na pierwszy tydzień cenzurowy ^Wozdyscyplinowaliśmy się, wikt i wypoczynek stała kadrą junacką. nie pamiętam na jakich warunkach pracowali i jak się odbywała rekrutacja do tego rodzaju ^d jednostek. ^W zimę koszarowali w nieszawie. Urwipółcie przeróżnego gatunku i masci pochodzili przeważnie z okolic Włocławka. lubiłem słuchać ich rozmów. Mówili zupełnie tak samo jak kumple z Lipna, rodzinnego miasta matki, miejsca najbardziej urocz. ci. szczeniackich wakacji.

uznano, że tydzień to dość na demokryzację i przyszłych podchorążaków przeniesiono do burzonego baraku. uzyskaliśmy także prawo do oficerskiej kantyny i własnej świetlicy.

na wstępie odczytano nam obozowy regulamin. z posród wielu zakazów i nakazów najsurowsze sankcje groziły za bratanie się z osiadłą ludnością. kontakt z tubylcami dopuszczono wyłącznie przy ognisku. rozpalane w sobotnie wieczory oświetlało zielone mundury i kilka opalonych buziaków małych dzieci. dorośli nie przychodzili. nasz turnus urządził tylko dwie takie imprezy. Śpiewaliśmy te same piosenki, które do znużenia towarzyszyły przy wymarszu i powrocie z roboty, a więc: "dzie pieknota ziemia cudni", "O marianno", i oczywiście "nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie ^{rum}zrobi nic, bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz.

potrzebę izolacji od cywilnej ludności uzasadniano charakterem prowadzonych robot. budowaliśmy obiekty wojskowe, strategiczne, największej wagi państwowej, o których przeznaczeniu wiedziała cała polska - i uodaj nie tylko polska. chodziło prosto o umocnienia graniczne. Spiętrzone przez kilka zapory wody słoczy miały w razie potrzeby ~~zostać~~ przedłużyc

naturalny kordon obronny połeskiego błota.

Zastawy na rzece były gotowe. My ~~zmian~~ wykańczaliśmy groble, aby
ochronić ~~prawy~~ przed zatopieniem prawy brzeg. Ten sam brzeg ^{broniły} ~~obroniły~~
przed najazdem potężne blińcaże i zasieki z kolczastego drutu. Lokad
sięgała owa rozżima linia maginota trudno ustalić. W każdym ^{mie} ~~mie~~ wiele
więcej przyniosła pozytku niż umocnienia ^{za} ~~za~~ linii Renu. W dniu, w którym
opuszczaliśmy oboz służyć płynęła leniwie swoim korytem, a na każdy zel-
betonowy bunkier przypadał jeden obrońca. W cywilnym marynarce, z biało-
czerwoną opaską na ~~ramieniu~~ rękawie, oplety obciążonym ładownicą pasem,
z karabinem w dłoni niespokojnie przepatrywał niebo. Było to 14 września.
Za trzy dni czerwona armia przekroczyła granicę.

Robiliśmy to samo co strażnik od chwili, w której z zawieszono
na słupie głośnika padło słowo: „wojna”. Warkot samolotów po parę razy dzie-
innie zapędzał nas do dołów wykopanych w nalwnej niewiedzy tuż obok baraków.

po wybuchu wojny przerwaliśmy pracę.

zachodnie, granicy

Dla obrony ~~przez~~ ~~wielki~~ ~~ogromny~~ ~~graniczny~~ wyduniały się miasta, miaste-
czka, wioski i sięła wschodniego pogranicza. Mały ukraiński posesiołek Czud-
del położony najbliżej obozu wysyłał na front zdrowych młodych. Traktem
pędziły chłopskie turmanki. z turkotem mieszał się odźwięk harmonii. Uciąż-
liwi, nie budzący ulności obywatela w radosnym podnieceniu spieszyli bro-
nić odległej ziemi, biec się za wolność narodu, który im odmawiał wolności.

Wojna wywrociła porządek zajęć. A właściwie pozostawiła junaków bez
zajęcia. z batalionu powołano do wojska szereg, sztabu i kilku podoficerów.
Wyciągnięty dwuszereg ze ~~szeregi~~ odjeżdżając, ch. wiwatował na cześć obrońców
Ojczyzny. Porucznik Bałowski rąbnął patryjotyczną mowę. Parę razy pod-
kreślał, jak to miota nim dwojakie uczucie: żalu i zazdrości. Żalu bo nas
opuszczają, zazdrości bo pierwsi idą gromić wroga. Zapowiedział przy tym,
że odkładamy łopaty, a będziemy - jak tego wymaga chwila - prowadzić wysz-
kolenie bojowe.

W istocie, skończyło się wojowanie pał w dno rzeki, wypłatanie je,

brzegu wikliną, moszczenie nadbrzeżnego wału faszyną, kamieniami i ziemią. Ale łopat nie odłożyliśmy. W obozie było wszystkiego pięć karabinów, przeto ćwicząc chwyt zamiast w kołbę trzaskaliśmy w stylisko. O wyszkoleniu strzeleckim nie było mowy. Nadrabialiśmy musztrą. Co kilka godzinnych człganii się, padaniu w piach na komendę "lotnik-kryj się!" z braku innej osłony ławą rwalismy do baraków. Do obiadu nikomu już - ani musztrującym ani musztrowanym - nie chciało się wychodzić na słońce. Co obiedzie trochę pomaszzerowaliśmy pod miłą dla ucna komendanta "maria-
nną" i do wieczora każdy robił co chciał.

Nikt już nie przestrzegał regulaminu. Kto chciał chodził do wsi.

W cnałupach przyjmowano junaków bez szczególnej serdeczności, ale grzecznie. Powściągliwość gospodarzy ustępowała kiedy dzieliłiśmy się wiadomościami z frontu. Jakże mogły być - wiadomo. Kobiecy i mężczyźni, których nie powołano do wojska nie kryli niepokoju o los państwa i armii walczącej, nad Pilicą, na Pomorzu czy na polach Kutna. Mieli tam wszak... swoich bliskich.

Usiłowałem przeniknąć tych ludzi, ale moja znikoma znajomość kresowych problemów wykluczała taką możliwość. Oglądałem prymityw ich życia, biedę, spracowane ręce zdolne do pracy za łada popędem i do samorodnego, graniczącego z artystem kunsztu. Niedys na progu chaty ujrzałem siedmio, może ośmioletnią dziewczynkę. Nie posługując się żadnym wzorem haftowała serwetę. Na białym płótnie z pod cienkich palców zakwitły różnobarwne, cudne kwiaty. Obok pewnego łęku budzili we mnie podziw i szacunek. Z tego co podpatrzyłem, ~~nie~~ zrozumiałem, że stykam się z ludem twardym, pięknym w swojej prostocie, inteligentnym i zdolnym, uzdym. Ale ciągle jeszcze nie potrafiłem wytłumaczyć sobie dlaczego również nieprzyjaznym wszystkiemu co nasze, co polskie.

Dopiero później pojąłem, że rozdział na my i oni dokonali się niezale-
nie ^{od} prostego człowieka. Że jeśli w ręku ukraińca dyjska noz, a ~~z~~ ułonez
rolaka zaciskała pałkę to cios ~~nie~~ mierzał ktoś inny.

Nie prostych ludzi to wina, że ~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~ w pamięci jednego utkwił krwawy Szela, urągany obraz kolorowego ułana szarującego na bezbronny tłum.

ro hitlerowskie, inwazji ~~xxxx~~ i zagrożeniu całej, słowiańszczyźnie nastąpiło opamiętanie. Niestety tylko na kilka dni wrzesnia. Wierzę, że wówczas ksiądz ułan nawoływał w cerkwi do modłów za "Kiczupospolitu". ro kłęsce odżyła wzajemna wrogość.

rrasa do obozu nie docierała. Skąpe i mało pocieszające informacje nadawało radio. Siadaliśmy na trawniku przed barakiem. Lepsze papierosy się skończyły, smiliśmy groszowe "Junaki". nikomu nie chciało się gadać. Do i o czym? Umiastowski krzepił naród płaczącym głosem, a komunikaty mówiły o podaniu Tczewa, opuszczeniu Częstochowy, ~~xxxx~~ wtargnięciu Niemców do Kalisza.

rotem i radio zamilkło. Ale ciągle do późnych godzin wysiadaliśmy na wypalonym przez słońce trawniku. Każdy miał skórę pocentkowaną od ukąszeń. Woleliśmy przenikliwy chłód jaki następował zaraz po zmroku niż roje pcheł na pryczy. Bardziej doświadczeni napychali płotun do szlenników, lecz i to nie wiele pomagało. Czyży jak wściekle.

Zasypialiśmy po północy. Przed tem regularnie ostrzegałem Cioromskiego, że skuję mordę jak zleje się do łozka. Leżał nade mną, na górnej pryczy. Chłopaczek był chudeławy, stracniłwy i dużo starszy - mogłem sobie na to pozwolić. Wymoczek, smałk kiedys cholewki do łoi, do której ^{1/2} bezowocnie puszczałem perskie na poznanskim deptaku.

Chociaż żyłem z roznianiem na bakier, teraz bardzo chciałem znaleźć się nad wartą. Niepokoiłem się o bliskaich.

Nadzieja zaswitała czternastego wrzesnia. Komendant batalionu zarządził wymarsz. Na ~~xxxx~~ krotkie przeszkocenie, a potem na front - mówił rozkaz.

4. Wzorem marszałka.

/ple... ple... ple... jak chcieliśmy iść śladem wozu, ale co wolno wojewodzie to nie.. berkowi, który nie lubił jak się biją, i że nie tylko Samsona moc spoczywała w czuprynie./

Nadzieja rozwiła się nader szybko. Jechaliśmy na południe. Ktos wtajemniczy zdradził, że do Rumunii.

- Czemu nie na zachod, czemu nie na front? - pytałem z niepokojem rozłożył ręce.

- Finita la commedia! - mruknął

Dojechaliśmy do Kostopola. Tu opinię mego informatora potwierdził Berek Natynski, ongiś starszy kolega gimnazjalny, bokser i zagorzały narcerz. W mundurze podchorążaka, bez broni, ba nawet bez furazerki, w poszukiwaniu gnieźnieńskiego pułku piechoty ~~xxpxxxk~~ zapędził się trochę za daleko na wschód. Ręk walczył nad bzurą. Udy byłem zuchem, jako hułcowy robił bardziej dziarskie wrażenie. Teraz kręcił się między nami przepłoszony i bezradny. Ucieszył się bardzo, gdy ujawniłem cel naszej podróży. Roweselał. Udzyskał dawny wigor i skautowską zaradność. Wykłocił się o miejsce w wagonie, mnie potraktował czekoladą.

Napewno załował. Dowiem parowozik manewrował kilka godzin po stacji, a potem pociągnął wagony z powrotem na północ. Pociągnął do jakiegoś lasu, gdzie kazano wyłazić.

Kompania za kompanią, batalion za batalionem ruszyli junac, w nieznanym kierunku. W powietrzu krążyły obce samoloty. Pola, łąki i międzylesnie gołódrzewia przebiegano tyralierą. Zarosła, każdy zagajnik dawał w technienie zgonionym ludziom.

Berek gdzieś się zapodział.

Obecnie żyje w Poznaniu. Jest sędzią bokserkim. Sam wdziałem jak tancząc zgrabnie na ringu utrudniał jakimś młodzikom rozkwazanie nosów. Nie lubiał i nie lubi widac bijatyki. Na ulicy mnie nie poznaje.

W pewnym lesie diabeł posadził mnie na pienku i pokusił ostrzyżaz głowę do skóry. Nie przypuszczałem ile kłopotów sciążam na wstrzyżony łeb. Cuda zawsze ilekroć pozbywałem się włosów wpadałem w tarapaty. Jak daki-

son. Tak było w partyzantce przed blokadą puszczy, poprzecznie w wieświezu przed aresztowaniem, później, przed deportacją do Rosji.

Za moim przykładem poszedł szatynski omaz bodni. Henio gros jak przystało na artystę zachował bujną czuprynę. To samo dawid.

Tego samego dnia po komendzie "w tył, rozejście się" przestała istnieć jednostka Junackich rufców pracy. Obyło się bez pożegnalnych mów. Naprał powiedział, że każdy może wracać do "maminego cycka".

roszliśmy.

Marazie do najbliższego domu na miękko. Trafiliśmy na doórę kobietę. mieszkała z bratem na przedmieściu barn. nadszedł gó, smarowała dla nas chleb. kiwnęła nam głową. potem ~~xxxyyzzzzzzzz~~ ruchem ~~xxxyyzzzzzz~~ pernyk rezygnacji ściągnęła z rękawa biało-czerwoną opaskę.

- koniec.. - powiedział przez zęby

wymienili z siostrą smutne spojrzenia.

- zaczynają grabić. - ciągnął po chwili - w mieście rozbrajają żołnierzy. Nad granicą czerwoni koncentrują wojska. ranom radzę się spieszyć. Na zachód odchodzą ostatnie pociągi. zaraz się ściemni. przeprowadzę was bocznymi drogami.

na dworzec zdążyliśmy nieoswietloną, tonącą w mroku ulicą. z miasta dobiegały pojedyncze strzały.

- Tu będzie jeszcze gorąco. - powiedział nasz przewoźnik. - coraz więcej broni dostają w ręce. byle szybciej przyszli czerwoni...

- Jan sam, tylko z siostrą.. ^{nie.} ~~nie~~ lepiej byłoby na zachód. ² - radził bodni.

- Do Niemców?.. Już lepiej tu zostaniemy.

- Warszawa jeszcze się broni!..

- nie długo..

Przy użyciu ramion i kolan wcisnęliśmy się w rog węgłarki. zamknięcie dało się we znaki. nawet obgry o czystosc lawic usiadł na zapylone, ~~mu-~~ ~~le~~ podłozce. Około północy lokomotywa targnęła. było wyjątkowo zimno. wytarte wojskowe płaszcze kiepsko ogrzewały. rociąg więcej, stał jak je-

chał. minęliśmy Rarałowkę, później Kosciuchnowkę - historyczne pobojowiska legionowych walk. Tej nocy nadęty pełnią księżyc wyraźnie szydził ze zbrojnego czynów ojców naszych.

U świcie pociąg jeszcze raz przystanął.

I dalej już nie ruszył.

Przed nim na wysokim usypisku ciągnął się tasemiec wagonów. Zestaw był różnorodny - towarowy, osobowy, mieszany. Parowozy nie dymiły. Dobrnęliśmy do Kowia.

U podnoża nasypu snuły się poranne mgły. Z dala majaczyły wieże kościołów. Bruźni, zziębnięci, senni i głodni wyperziliśmy w węgiarki.

Za nami i przed nami postępowali ludzie - cywile i wojskowi, kole-rze i lesnicy, młodzi i starzy, kobiety i dzieci. Niektórzy jeszcze tkwili w wagonach ~~xxxxxx~~ ufając w dobrą tradycję polskiego kolejnictwa. W jednym oknie zobaczyłem znajomą twarz. Tomek Głabiszewski, syn rzeźnika z Brodnicy - gdzie burmistrzował mój wuj i gdzie jeździłem czasem na wakacje - machał przyjaźnie ręką.

- Na co czekasz? - krzyknąłem

- Na LuXtorpedę!

- hulaj z nami. walimy na warszawę.

- Jeszcze zdążę. Nareszcie luzno i mogę wyklinać się jak człowiek.

Pierwsza klasa, ~~słowo-uzę~~ miękkie kanapki, luksus! Czort wie kiedy zdarzy się taka okazja. Radzę skorzystać.

- Wyśpię się w domu..

- Ciepłej pierzyny i nocnika! rowodzenia! - zawołał i znikł w oknie

- Klawy ~~xxxx~~ szczun. - zauważył Szatynski

- ubleci.. i siostrę posiada jak się patrzy.

- ładna?

- mało ładna! cud, miód, małpi smalec. blondynka, rumiana, i z przodu i z tyłu wszystko jak należy. ma.. rze.. nie..

- Przeżen bo donciemu się robi namiot ze spocni - rzekł Szatynski

- Boże, kiedy człowiek zobaczy jaką ^{ładną} ~~ładną~~ twarz? - westchnął Dawid.

- w stodołę na sianku. Przymkniesz śpij i Kasienka od zamojskiej przyfrunie.

może jedna z ładniejszych licealistek rozznania ~~XXXXXX~~ ^{ukazała} się kci-
dze. Ja nie miałem żadnych wizji. Skoro tylko, nie zdejmując płaszcza i
butów rzuciłem się na słomę, usnąłem.

5. Vivat Poznanczanie!

/Pie.. pie.. pie.. jak z początku było pełno radości i krzyku, potem strachu, jak nie chcieliśmy być grabarzami i jak mama grosz ratowała honor czerniny./

Obudzeni przeciągłym cmokaniem, radosnymi okrzykami zobaczyliśmy nenia w ramionach szpakowatego mężczyzny. Tata grosz pociągał ze wzruszenia nosem.

- To się mama ucieszy, to się mama ucieszy.. - powtarzał.

Mama cieszyła się niesamowicie.

Ze stodoły wszyscy przekwaterowaliśmy się na wagon wchodząc, w skład pociągu ewakuacyjnego poznańskiej dykcji koleji. Urzędnicy z aktami, kasą, i skromnym własnym dobytkiem uchodząc przed wojskami Hitlera zatrzymali się aż w Nowiu. Tu tata grosz każdego napotkanego junaka rozpytywał o syna. I znalazł się taki, który nie tylko znał nenia, ale wiedział do jakiej zagrody zaszliśmy na spoczynek.

Wszyscy zaliczaliśmy spotkanie do nader szczęśliwych. Według zapewnienia komendanta par transportu pociąg wracał do Poznania. Bez zwłoki przystąpiliśmy do gromadzenia zapasów na daleką drogę. Z porozbijanych na bocznicy wagonów przytaszczyliśmy dwie skrzynie wołowych konserw, worek sucharów, szatyński przyniósł na plecach worek migdałów, a donut niepalone, kawę. Lwia część ~~z~~ zwiezionego z całego kraju dobra padła rupem tubylicow. Czego tam nie było! Serce bojało patrzeć na olbrzymią hałdę książek, którą deptano, kopano, rozgniatało kołami chłopskich wozów. wałaiły się najcenniejsze edycje krajowe i zagraniczne: antologie literatury, leksykony, słowniki encyklopedie, zbiorowe pisma klasyków, dzieła naukowe. Na furmanki ładowa-
milianowskie^o no wyłącznie żywność i odzież, bele sukna, jedwabiu, atlasu i taniego perkalu. Z jednego wagonu chłopci wiadłami wyrzucali buty.

Swoją zapobiegliwością pozyskaliśmy sympatię. Ziomkowie okazali nam zyczliwość i troskę. Pomogli poprzesuwać skrzynie z aktami, oddarowali ciepłym kocem - słowem szczerze, z otwartym sercem - przyjęli do wagonowej społeczności.

Wagon, w połowie kryty prezentem, obok rodziców nienka zamawiał młode małżeństwo. On zwał się ryjko, ona jak nie trudno się domysleć ryjkowa.

Był jeszcze podwładny taty urosa niejaki Michalowski, ale wobec niskiego stopnia służbowego i cichego, potulnego charakteru można uważać, że wogóle go nie było. Z nami razem dziesięć osób.

Odrazu dokonał się samorzutny podział pracy. My nosiliśmy wodę, staraliśmy się o opał, panie naprzemian gotowały strawę, pan ^{dogła dał} ~~ryjko~~ ~~przez~~ zony, Michalowski otwierał bagnietem konserwy, a tata uros spacerując wzdłuż transportu zbierał noroskopy na najbliższy dni i godziny. Co jakiś czas dopadał naszego wagonu i wciągnięty do środka gromadnym wysiłkiem zapowiadał zadyszany:

- Ruszamy. Maszynista dodaje pary.

Ostatnia informacja, że już napewna odjedziemy w nocy została przyjęta z powściągliwością.

O świcie poderwał nas ~~ryk~~ gwizd parowozów. Nie był to jednak znak odjazdu. Głuszył przybliżający się pomruk samolotowych silników. Z wagonów zeskakiwali ludzie. Uciekali przed siebie. Mężczyźni, kobiety, ~~szeregi~~ dzieci. Dorośli, nowopółtorani, rozkuci. Rącz dzieci mieszają się z rozpaczliwym nawoływaniem matek. Po obu stronach torów padano w bruzdy, za przemy kamieni; kryto się za kopkami siana, za każde licne wyrzuczenie ziemi.

Na wagonie pozostał siwy starszek. Wozny Dyrekcji P.K.P. rozlokował się na skrzyniach, które powierzono jego pleczy i z niezmaconym spokojem spoglądał w niebo. A niebo, jak to we wrześniu trzydziestego dziewiątego było czyste, bezchmurne.

Nalot trwał krótko. Ręce czy sześć "Stukas'ów" zatoczyło nad miastem szerokie koło, z którego z zadziwiającą regularnością odrywały się pojedyncze maszyny do nurkującego ześlijgu. Bomby padały na budynek stacyjny. Z każdym wybuchem wibrowało powietrze, a rozszuszczeni po polach ludzie jeszcze silniej przywierali do ziemi, ~~jakby~~ ~~nie~~ ~~chcieli~~ ~~zostawić~~ ~~po~~ ~~je~~ ~~powie~~ ~~ć~~. Ostatnia bomba uderzyła najbliżej. Potem było już cicho. Bardzo cicho. Zwolna podnosiły się głowy.

Przeniosłem wzrok na tor. Staruszek ciągle tkwił na swoim miejscu. W zębach gryzł wiśniowy cybuch.

Całą piątką poszliśmy na stację obejrzeć skutki bombardowania. Lewe skrzydło budynku leżało w gruzach. W promieniu kilkudziesięciu metrów ziemię drążyły głębokie leje. Wyglądał, jak dziury po wyciągnięciu ropniach. Na peronie ~~zprększnakakkkkkkkkkkkkkkk~~ były trupy - jakiś żołnierz, paru cywili, kobieta zaciskająca w garści pociemny węzełek, mała dziewczynka. Nikt nie wiedział ilu ludzi mogło zginąć pod cegłami. I wydało się, że nikogo to nie obchodzi. Obojętnie przechodzono obok ruin, tak samo zresztą jak obok martwych. Jedną tylko niewiasta bezskutecznie napominała dwóch wisusów, aby uganając się po peronie nie przeskakiwali zeszywniałych zwłok.

Gdy zamierzaliśmy odchodzić poszedł do nas kolejarz. Zarosnięty, kościsty, zabrudzony smarem uczynił nie określony ruch ręką.

- Trzeba by tamtych jakoś po ludzku pochować.- rzeki

- Oczywiście, że tak. - zgodził się Bonni.

- No to chociażcie dam ~~was~~ łopaty..

Zmieszaliśmy się. Pierwszy jak zwykle opanował się Szatynski.

- Coś pan na głowę upadł!? Grabarzami nie byliśmy i nie będziemy,

- Tak pozostawie ~~ten~~ nie można. Zawsze to ludzie..

- No to łapaj się za rydel, łapaj! Nam już to narzędzie gorz, dło.

idziemycnłopaki!

Trzech poszło. Dwóch pozostało.

- Gdzie te łopaty? - zapytał Dawid.

- Zaraz przyniosę. Miętem wykopamy. Tu ziemia nie twarda. Dziękuje.

Zgodzili
- mówił kolejarz jakbyśmy to jemu ~~zaniłkkkxaxi~~ się wyswładczyc ostatnią przysługę.

Kopaliśmy doł ze trzy godziny. Worew temu cł mówił ziemia oja twarda zeschnięta. Znalazł jeszcze kilku chętnych. Dawali zmiany. Kiedy orzekł, że starczy, że można znosić trupy mnie przypiliło. Poszedłem za wagony i

nie wrocilem. rozniej, to samo zrobil dawid. ^{Widzial} jak przenosili do dołu zwłoki dziewczynki. Podobno wyglądała jak żywa. Z rumieńcami na twarzy. Nie mógł jeść śniadania, chociaż mama gros w nagrodę za chrześcijański uczynek specjalnie dla nas przyrzekała kawę.

Na wagonach ~~krupnikach~~ narot zaliczono do przykrych wspomien, ale tylko wspomien. Powrócono do zwyczajowych zajęć. Dymiły ogniska. niewiasty robiły przepierkę. mężczyźni spacerowali, ćmili papierosy, i wymyślali na legionowych zapakow, żydo-komunę, na łobuzow z kresow i "galunow z kongresowy". większość wyrażała przekonanie, że gdyby dopuszczili, że gdyby dali rządzić, że gdyby nie ci a tamci, zamiast po kowalskiej, stacji, można by jak się należy iść na przecznadzkę do parku wiozuna. Jednomyslnosc rwała się przy wyborze sternika państwowej nawy. Jedni optowali za rade-rewskim, inni za nallelem, jeszcze inni za smowskim. Co za tą trojkę w zasadzie nie sięgano, ^{ale} ~~lecz~~ prymat jednego z trzech był przedmiotem namięt-nych sporow.

W zaciętrzewieniu były dyskutantow jednak nasze panie pocn, lone nad rondlem krupniku. mama gros mieszając kaszę utrzymwara, że nie ma nic lepszego nad czerninę z kluskami, na co ~~przekonując~~ pani rykko przychając, mowila z obrzydzeniem, iż "takiego swinstwa to by nawet do ust nie wzięła".

- No coś takiego! - zawołała mama gros, której zabrakło słow ^z oburzenia.

- Wogole poznanska kuchnia nie dla ludzi. - dowodzila mioda mężatka. - Zupa na słodka, sosy sama mąka - haćość!..

Nie miała racji. mama gros wykazala krupnikiem, że poznanskim kobiletom nie jest obca sztuka kulinarna. "gotowac to ^{każda} juz potrafi ou dziecka. nie tak jak te nie wiadomo skąd". rykowa nie była poznanianką.

prawda słow starszej niewiasty objawila się juz prz, kociac, i. Juliaz pani rykowej był nie jadalny.

Seja jeść we spisie,

- ~~Przebiez~~ to sama sol.. - narzekal kocnając, sąca iną mąz.

Dęsar się. bardzo miłował swoją Basię. w potrzebie zjadłby dla niej beczkę soli, ale nie bezmyślnie spartolony, Juliaz. Dęsar by nie wiaźiał tego

co ja przypadkowo widziałem gdy małżonka na moment odeszła od ognia. A mianowicie drobnej, suchej, ręki wpuszczającej do garnka oborzynłą grudę soli. Nie widziałam ^{też} także miła pani Basia i rozpacz jej nie miała granic.

- Przecież nie soliłam, przecież wiem, że konserw nie potrzebują soli. Najewno w fabryce coś sknocił.. - uładowiła ze łzami w oczach.

- może i w fabryce. - bez wiar, w głosie ^{powleczała} ~~szepkała~~ małżonek

- Jakaś rzeźnicka moczymorda nawalił jak głupi płwa. - pocieszał szatyński.

- A może zakochany? - dodał Bondi

- Chyba w pani Rytko. - podkreśliła z naciskiem mama Gros. - I to na gorąco, bo na zimno konserwy jakby trochę nie dobotone. Zauważ zawsze jeszcze soli: prawda panie Ładuszu.

Milczałem jak słup soli. Żał było patrzeć na smutną twarz młodej kobiety, ale także podłością byłoby zaradzić honor krajanki, acz sam w poznańskiej kuchni nie gustuję.

Incydent zresztą okazał się nieważki, wobec faktu, że pod ~~kwadrans~~ wieczór lokomotywa targnęła wagony.

Kuszyliśmy.

Na zachód.

Do swoich.

Nazem z naszym toczyły inne transporty. Sz, oko, szybciej, coraz szybciej. Maszyniści nie oszczędzali pary. Ich też ^{pewnie} ~~popędzają~~ tęsknota? A może lęk przed niewiadomym? tego dnia nad ranem wojska raźniecko przekroczyły granicę. Człowiek dotarły ponoc do przedmieść Kowia. O szyni audniły koła.

Tworzec mijaliśmy jeszcze dość wolno. Przed rozwalonym budynkiem stało kilku uzbrojonych mężczyzn. Na rękawach mieli czerwone opaski. Jeden wygrażał pięścią. Inni spoglądali posępnie zaciskając dłoń na karabinach. Wśród nich kolejarz w wysmarowanej bluzie. Pod protem z okorowanymi

zerazi costrzeżem nieforemną mogiłę. Na wilgotnej ziemi leżają astry.
Takie jak rosły na stacyjnym gazonie. Ni w pięc ni w jedenascie kiwną-
łem kolejarzowi dłonią. Nie odpowiedział.

6. A jednak zrzecenie ci mina w ząbek czesany!

/Pie... pie... pie... jak mama nie chciała dać syna, mąż odejść żony, a pięciu śmiałych ruszyło na boj./

rociągi stukotały po szynach, a my spaliśmy do rana, spokojnie. Musiał jednak sposób wytracić z początkowej szybkości, bo do rana dotarliśmy zaledwie do Mała Rytej. Tu wypadł postój. Jedni twierdzili, że Niemcy zajęli przese i stacja nie przyjmuje transportów, inni, że wysadzono most na Muchawcu.

- Kiedyś go naprawią. Nie Polacy to Niemcy. I w końcu ruszymy. I rzeka czeka. - pocieszał optymistycznie nastrojony tata Gros.

Czekaliśmy trzy dni. I wcale nie wpływało to dodatnio na nasze humory. Wodę donosiliśmy z oddalonej o bezmała kilometr wsi, a o opał też nie było łatwo, ponieważ po obu stronach nas, ciągnęło się gołourzewie, podmokłe, bagniste łąki.

A wieczorem komary cięły bezlitosnie.

Najwięcej dokuczały pani Basii. Co rano wygrzebywała się z kocy z opuchniętą buzią. Ale i tak podobała się całej naszej piątce - szczególnie zaś szatynskiemu. Nie zważając na pochmurną minę pana Ryłko zawsze gotów był na usługi. Od wagonu do wagonu łaził w poszukiwaniu owadobójczego płynu i choć nie znalazł dobrej rzeczy zostały ocenione należycie. ~~Wtedy przez niewiadomą~~. Cuda często wychodziła z nim na spacer, podczas gdy pan Ryłko znęcał się nad ogniem. Umuchał na mokre, ledwie tlejące się polana aż oczy wychodziły mu z orbit. I kiał.

Bardzo szpetnie kiał, ten zrownowazony skąd inąd mężczyzny. A jak nie kiał, to przygryzał czarniawego wąsika, sam gryziony polisłówkami mamy Gros.

W nocy źle sypiał. Gdy inni chrapali on na podkurczonych nogach zaledwie arzeł u wezgiłowia małzonki. Sudził się często i albo okadzał ją dymem wypuszczanym z krotkiej fajeczki, albo smagał powietrze brzoową młotką. Jak mógł tak walczyć o dobry wygląd połowicy.

Na trzeci dzień, około południa pojawili się przy transporcie wojskowym przy krotkiej bronii, w polowych mundurach, bez dystynkcji. Jedynie pas, koalicyjne wyróżniały oficerów. Kłopotowali od czoła pociągu. Zagięci do wagonów,

coś wykrzykiwali, z kimś się o coś wykiłocali. Zachowywali się hałaśliwie i nerwowo.

- Zerknę co się tam dzieje. - oświadczył tata Gros i pomimo protestów rodziny poszedł na rekonesans.

rowrocił wielce zairasowany. Drapał się po kłuszącej głowie, mruzczał, marszczył nos, zanim wymamrotał:

- Werbują młodych do wojska.

- Gdzie?.. gdzie?.. - zawołało kilka głosów

- Do wojska..

- Do jakiego wojska? - irytowała się mama Gros.

- No przecież nie do austryjackiego, do polskiego..

- Teraz kiedy już po wszystkim? - wtrącił pan Ryko

- Iwierdzą, że jeszcze nie koniec, że walczymy. Wzjmamy się jeszcze podobno. Jest rozkaz koncentracji rezerw.

- Bie się trzeba do końca, do ostatniej kropki. - odczwał się małowmowny Michałowski.

- To się pan bij! Kto pana trzyma! - natarła mama Gros. - niedawno gadali, że Niemcy są wszędzie..

- Tu ich nie ma. Napewno w wielu miejscach kraju też nie.. Jest jeszcze ^{część} bronie - zaciągał splewnie Michałowski.

- Rozumie się, że jest! - zgodził się Bondi.

- Oczywiście.. - dodał bez przekonania Szatynski.

- Proszę pluton gotowy. - rzekł sarkastycznie stary Gros.

po czym zwrócił się do syna.

- No a ty Heniu?

- Też pojedę.

- Dokąd? Oszalałeś!.. nigdzie mi się nie ruszysz! - wrzasnęła nisterycznie mama.

- pojedę. - odparł z tępym uporem

- Nie pojedziesz! Nigdzie nie pojedziesz, nigdzie!.. nie pozwolę, nie

puszczę, nie dam!.. Chcecz doprowadzić do obłądu. Mało przeszedł!..

- Pojdę..

- Nie!.. - krzyknęła zozozierająco i z taką mocą tupnęła cniromą nogą, że kurz poaniósł się z podłogi.

Tata Gros zatrzepotał powiekami.

- Ściągaj szynel. - rzekł sucho.

- Dlaczego? - uronił się Henio.

- Ściągaj, mowię ci! szyoko słyszysz!.. - nalegał stary pan zae, mując równocześnie z ramion marynarkę. - No już!..

Szynel spadł z pleców młodego urosa. Ojciec rozpostawił własną kapotę, a mama pospiesznie pakowała w rękawiczkę rękawy ręce syna.

- Dziękuję ci kochany synku, dobry jesteś.. - mówiła wzruszona.

czy sziękały po pomarszczonych pończokach.

Jakie na kim wrażenie wywarła rodzinna scena trudno powiedzieć. Mnie zenowała. pro prostu się wstydzilem. zawsze giupio się wstydzę, gdy ktoś nie tak wypada jak trzeba. ~~Wszystko, co się dzieje, jest tylko i wyłącznie~~

Gdy wojskowi podchodzili pod nasz wagon Henius był już kilkaset metrów od wagonu. kroczył na przełaj przez łąkę. Wiośi dwa puste wiadra. nierował się na wioskę.

- No zuchy! powojowac się przyjdzie. - oświadczył jeden z dwóch oficerów, ~~który~~ ~~powładował~~ się na wagon.

- Chętnie. * odparł Michałowski.

- Kto jeszcze taki dzieiny?..

- Wszyscy. - mruknął za nas Bonci.

- Byczol zabierac manatki i z wagonu.

Drugi oficer zwrocił się do pana Nyiko.

- A obywatel nie łaskaw za ojczyznę?

- Ja?.. ja?.. - jąkał się zapytany. - Ja mam zonę..

- Rieknie panią popiosimy i puści męża bonatera, prawda?..

- Jak trzeba. - odparła słodko pani Basia.

- Skąd!.. nie mogę.. - oponował Ryko - żona tego nie mówi.. ona się krępuje, ale żona jest w ciąży..

- Pewnie od wczoraj! - parsknął jeden z wojskowych.

Pani Basia stanęła w pasach.

- Hysiu jak mogłeś? - szepnęła z wyrzutem.

- Lwie serce to pani Hysiu nie jest. Ale czort z tobą czcigodny ojciec! Sierzcie chłopaki bambetle! rzecki macie?.. Nie macie!.. ^{żona} Teraz skarony apel do patryjotycznych uczuc łaskawego państwa. - mówił oficer kłaniając ~~zobaczcie sobie ten obrazek~~ grosom. - Trzeba wyposażyć żołdaków na drogę. Nie skąpią krwi, państwo napewno nie poskąpią jakichś zapasów. Wsie ogłocane, zrec a ~~xxx~~ w marszu wypada. Zwłaszcza, że na oko widac jakich to dostaliśmy grodomorow. krotko: co państwo dają!?..

Zapadło kłopotliwe milczenie.

^{Jaci ?..}

- A coż my możemy ~~zrobić~~. - zaczął tata gros. - Porzuciliśmy dom..

+ .. mieszkanie, meble, ubrania, posciel, bieliznę, wsz, ~~wsz~~ ~~xxx~~ nowe..

- podjęła mama, ale nieuprzejmy oficer nie pozwolił ~~xxx~~ ~~xxx~~ ukończyć.

- nam chodzi o żywność.

- Też nie mamy. - mówił tato G. - trochę ci panowie zdobyli w Kowim..

- Zdobyli?.. - znów przerwał niegrzecznie oficer - Takim prawem wszystko rekwirujemy. Oni zdobyli, oni zjedzą.

- Chce nas pan pozbawić żywności, panie kapitanie, to jest tego,, chcialem powiedzieć majorze, pułkowniku - molestował pan Ryko. + Alboż to nie jesteśmy na tułaczce? Jak by nie było jest nas pięcioro..

- Pięcioro?.. Już pan liczy na przychówek? - przerwał oficer - Za wczesnie, za dziesięć miesięcy będziecie w domu. Ale czort bierz, podzielimy się naszą drogą też daleka i trochę bardziej, od waszej, ^{ryzykownie.} ~~niebezpieczną~~.

- Rozumiem, na front! - domyślił się pan Ryko

- Front nie front!.. narazie na Włodawę, na południe.

- Już raz kroczyliśmy śladami naczelnego wodza. - wyrwał się jak Filip z konopi.

- Zamknij twarz filozofie! - ryknął na mnie oficer. - Jazda złazić!..

Schodziliśmy z wagonu objuczeni. Bonai dźwigał rodzynki, Szatynskiego uciskała w kark skrzynia z konserwami, ja giałem się pod workiem sucharów, a Dawid kawy. Poprowadził nas podoficer. Oficerowie ze świtą kontynuowali zaciąg.

- Daleko jeszcze panie, panie...? - zapytał szatynski przekładając skrzynię na drugie ramię.

- Nie twój zasrany interes!.. - oświadczył dowódca

- Zasrany nie zasrany. Raskudztwo w szyję płie jak cholera. Może by pan wziął panie... nie wiem jaka ranga.. może by pan trochę pomógł.

Podoficer zamarkł z wrazenia.

- Stac!!.. - wrzasnął

Obrocił się twarzą do ochnieznego zaciągu.

- Jeszcze wam w dupie nikt nie zagotował co?.. To zagotuje! Teraz jesteście wojsko, nie zacne junaki-sraki. Rekruty, zrozumiano! Przykazano iść to iść, dźwigać to dźwigać! Kazał gówno poknąć to gówno!.. zrozumiano!...

- Tak jest, panie...

- .. kapralu. - odpowiedział

- Tak jest panie kapralu. - zgodził się szatynski. - Będziem ślucnac jak rodzzonego ojca. Ale gdyby pan sobie wziął kilka konserw nic by nie szkodziło

- Może by nie szkodziło. - przystał po wahaniu kapral - Dawaj!..

Otworzył chlebak do którego szatynski ładował puszkę za puszką.

- Będzie dość..

- Mało. Jeszcze się zmieści.

Kapral ledwie mógł dopiąć paski chlebaka.

- Maszerować! - rozkazał

- Dokąd panie kapralu? - zaczął znow szatynski

- Nie twój zafajdany interes. Na empe rozumiesz.

- Nie bardzo.

- Miejsce postoju, znaczy się, jasne!?..

- Jasne. A daleko to empe?

- Nie daleko, we wiosce.

- Tu w mało rytej?.. bo kwiknę ze szczęścia.

- Nie mało rytej, żadnej mało rytej. Dla was teraz nie ma żadnej mało rytej. Jest empe i kropka - zrozumiano!?!..

- Tak jest! - huknęliśmy chórem.

Na empe spędzono kilkudziesięciu ochotników. Rozlokowano ich po stodołach. Nad każdą grupą wyznaczono starszego. Kapral wskazał palcem szatynskiego.

- Ten tu będzie wodzem. - powiedział - narazie cicho siedzieć, czekać rozkazu. Ostrożnie z paleniem, żeby który skurczybyk nie zaproszył mi ognia..

roukładaliśmy się w słomie. Leżeliśmy do wieczora głodni, ~~le~~ ^{le} ~~per-~~ ni zapachu do walki. Broni obiecano dać we wiodawie. Uzbrojenie posiadała narazie jedynie kadra. Przed budynkiem dowództwa wystawiono dwa emkaemy, które obsługiwali wyszkoleni żołnierze. Nie zważając na broni maszynowej nie mieliśmy o to pretensji. Inaczej niż o żywność, która kazano złożyć na kwaterze oficerów. Gdy zbyt długo nikt nie pomyślał o naszym żołdakach wysłaliśmy do sztabu szatynskiego. Albo był przełożonym, albo nie. Przełożony ^{musi} ~~z~~ obać ludzi. Poszedł i wrócił. Bez żywności, ale z podoficerem.

- Zreć enceta głodomory, co? - rzucił kapral dając jeszcze jeden dowód swojej inteligencji.

- Choleranie! kieszki marsza grają. - odparł Dawid.

- Ładnie synku, pomaszerujesz pod muzyką! Wjazać wszyscy: dziełem ..

rozapinaliśmy pasa, naciągnęliśmy polówki i wyskoczyliśmy na dziedzi-
niec. Kapral stanął przed frontem. Chrzęknięt.

- Mała pierwsze zadanie bojowe. Pojazieta na patrol.

- Bez broni?

- Cicho!... Jak wół pierazi cielecia siuchając. Objazdzieta wioski. "

chnąpach dobrze się nafutrować, żeby starczyło na tydzień!

- Jak gdzie dadzą..

- Co znaczy dadzą? Zoinierz nie prosi, zoinierz bierze. Przed świtem nie wracać. Nano zameldujecie się na empe. Prowadzi ten rycerz.- wskazał na szatynskiego.

wyrozniony wykrzywił głowę.

- Ta.. a.. jest panie kapralu!

- Za pięć minut wymarsz!

Kapral obrócił się na pięcie, ale na moment zatrzymał go niesmiały głos bondiego.

- Ranie kapralu...

- czego?

- może by po jednej konserwie i sucharze na drogę..

- zamknij dziób! mądrała się znalazł.. Żelaznej porcji mięsę zachciewa! Żelazna porcja rzecz święta. Do Rumunii daleko..

- Do Rumunii?.. - zawołałem zdumiony - a więc jednak za naszym wozem. Rewno z tęsknoty?..

- Idźcie, idźcie już roszarki. Nie ma tu o czym gadać. My nie od polityki, my od tego żeby się duc, żeby nas wszy zarkły. Za nas myśli inni - mądrzejsi. Cześć!.. z bogiem!..

Udszedł na kwaterę dowództwa.

szatynski usztynił kark.

- Maczność!.. Dwojki w prawo zwrot. Marsz!.. - ryknął

- rocałuj mnie w dupę. - mruknął Dawid i ruszył samopas przed siebie.

wyszliśmy za wioskę niewiedząc w którą stronę się udać. Tyle było wiadome, że mamy się włóczyć do switu i najesc do suta. Karazie siedliśmy w rowie. kark zapadł zupełny mrok.

- to jakaś głupia impreza. - mruknęciem przerywając milczenie.

- głupia czy mądra ja nigdzie włóczyć się nie myślę. - Oświad-

czył bondi

- całą noc ziębie tyłek na trawie też średnia przyjemność. Ruszamy! - powiedział Dawid.

- ralcem w bucie. Ja wracam do transportu. Przynajmniej, kimnę sobie pod ciepłym kocem.

- to jest myśli chłopaki! - ucieszył się Szatyński.

rewne opory miał tylko Michałowski, wszyscy inni zgodzili się maszerować do pociągu, wyspać do rana, a o brzasku zameldować się na "empe". W skrytości ducha liczyliśmy na dobre serce mamy uros-to znaczy na suchnar rozmoczony w kubku gorącej kawy.

rowitanie nas bez entuzjazmu, a pan Ryjko wręcz zimno. Ognisko wygasło i musieliśmy się zadowolić twardym suchnarem i garścią migdałów.

rani Basia spoczywała nakryta po szyję trzema płedami. Szatyńskiemu przyszło się spać pod pustym siennikiem. Nie narzekał. Za to ignorując ponurą minę pana Ryjko wyciągnął się obok uroczej kobiety. Pan Ryjko do północy emił fajeczkę. O północy obudzili nas przerażonym głosem:

- ranowie, panowie!.. strzelają!..

xrxrx zerwalismy się z podłogi.

- kto, gdzie?.. - pytał jeden przez drugiego.

- We wsi strzelają..

- Biją się. a my tu jak tchorze.. - westchnął Michałowski.

- Jacy tchorze, co za tchorze. - obruszył się Szatyński. + rzecielez jesteśmy na patrolu. Nad ranem ruszymy z pomocą.

Ułożył się z powrotem na stare miejsce.

Jeszcze panował półmrok gdy pan Ryjko xrxrx obudzili nas poraz drugi.

Nad łąką snuła się zawlesista mgła.

wieś opustoszała. nigdzie nie było żywej duszy. na kwaterze dowodztwa drzwi i okna stały otworem. rozprzewiacany ubogi wieszniaczy sprzęt swladczył o popioconu z jakim opuszczono izby. o ścianę opierały się dwa karabiny. z podłogi bondi podjął naciągwaną taśmę do ckm. przeszperailsmy wszystkie zakamarki. żywność ewakuowano całkowicie.

Dawid strzelił z paicy.

- rsiakrew! żeby choć ziarnko grochu zostawili.

- Ale jesteśmy uzbrojeni.. - zauważyłem

- Właśnie. Zabierzemy karabiny i pojedziemy na wiosną. - zaproponował Michałowski.

- Z byka panek pan spadł! - zawołał Bonai. - szuram co mamy gros.

- i ja..

- .. i ja!

- Ja też...

na drodze spotkaliśmy inny patrol. Ciągnęli nogi zziębnięci, wymęczeni, smutni. Jeden trzymał pod pachą pochonek chleba. Usiedliśmy na przyłbie wypalanej chaty. Wykroili i nam po pajdzie. Kwaliliśmy zębami nie odrywając od spodu klonowego liścia.

- Cała nasza zdobycz. - mówił jeden - wycyganiliśmy w jakimś cnotrze. Do wioski nie było pociągnięcia. Wszędzie wystawili warty. Nawet puknęli do nas. Mają karabiny, pistolety, granaty. Na chałupach pozatykali czerwone sztandary, a między drzewami dyndają transparenty..

- Czekają na bolszewików. - wtrącił domyslnie Szatyński.

Wzruszałem ramionami.

- rewnie, że nie na pułk krecnowieckich ułanów.

- Ale tu nie wytrzymał nerwowo i dostał w kark. Spuścili kacapanie..

- Kto?

- Nasi.

- i sami dali drapakę.

- albo wycofali się planowo.

- Bez nas.. - odezwał się z goryczą Michałowski - konieczne trzeba gnieć. Trzeba dołączyć..

- żeby nas chamy wstrzelały jak wroci.

- są karabiny, amunicja też jest. - upierał się wianianin

- gdzie, gdzie? gdzie macie bron? - wołał jeden przez drugiego

przygodni towarzysze.

- Na kwaterze dowództwa. Wszystkiego dwa karabiny
cała grupa składająca się prawie wyłącznie z kilkunastoletków ledwie nie
połamana nog obegnąć przez wieś. My przeciwnie - spokojnie, z opanowaniem
odwrotnym
dojrzałych ludzi - ruszyliśmy w innym kierunku. Na końcu wioły się Micha-
łowski. głęboka rozterka łamała mu głos.

- Chyba powinniśmy się dołączyć. - mówił - Dobrze idący może byli-
by doszedłszy oddziału. Wiodawa nie całego. Tamci poją..

- poważny człowiek a gada jak szczeniak. Zaciórą im sukawki
w najbliższej wsi. Jeszcze kijem dołożą - przerwał Szatyński.

Z za węgla skrajnej chaty wyszedł niespodzianie jakiś mężczyzna.
Arzycał coś za pazuchą. Na nasz widok przystanął. Nawet zdawało się, że
najchętniej wycofał by się między zabudowania. My również przystanęliśmy.
mierzyliśmy się nieufnie wzrokiem. Pierwszy odezwał się Dawid.

- Nie znajdzie się tu czego do zarcia? Chleba, mleka, albo trochę
kartofli..

Nieznajomy zaprzeczył ruchem głowy.

- Na wymianę. - dodał Szatyński.

Obcy człowiek zaśmiał się. A potem powiedział dość poprawną polszczyz-
ną.

- Tacy z was bogacze? Ale za worek złota też tu ~~nie~~ ^{nie} dostacie. Wieś pusta, większość gospodarstw spalona. Do wczoraj jeszcze by się
pożywił, ~~wsz~~ ale w nocy..

słyszeliśmy strzały.
- Wiemy. w nocy dostaliście w kosc. - przerwał Szatyński.

Obcy znow parsknął śmiechem.

- A strzelały, strzelały wasze oficerki. rochłali się i strzelali.

Michałowski zakłamał złożył rękę jak do modlitwy,

- Doże słodki, taka podłość! - zawołał zafobnie. - To wcale nie wojo-
wali. ropili się. i wypłszy uciekli. bez nas odjeżdżający. a zulkł, a robuz,
..

Nieznajomy wyszczerzył zęby

- Znow nawiał ~~wymużony~~ oficerzy? Kora do tego przywyknęła

David zacisnął pięści. Zrobił krok w stronę tyła.

- I bez oficerów możemy ci dać w mordę! - warknął - pokaz co chowasz za kapotą!..

Obcy błyskawicznym ruchem wyszarpał z pod marynarki pistolet.

- Poniuchaj sysun! - zwał groźnie. - I idź k czortu! Idźcie swoją drogą .. swoją drogą - rozumiecie!..

7. Odwrot.

/rie... ple... ple... żalosne - jak każdy odwrot/

Narazie nasza droga prowadziła do wagonu, między swoich. Znow połączeni z mamą Gros, tatą Gros, i jedynakiem, z panią i panem Ryko zdaliśmy się na wspólny los, nie widząc co ~~nam~~ gotuje najbliższa przyszłość.

Mama Gros po dawnemu gotowała krupnik. Ale jakiesz cienki, jakiesz jałowy w porównaniu z tym, który jedaliśmy w Kowiu.

Do obiedzie grucznęła wieść, że ruszamy, że jedziemy na zachód, do przescia. Żegnaliśmy mało Ryką bez żalu. Nic a nic nas nie obchodziła czerwona flaga trzepocząca nam w oddali, nad kamiem cerkiewną kopułą.

Pociąg sunął zółwim tempem. Im dalej, tym wolniej, i wolniej. Dwa czy trzy razy świsnęły nam nad głowami kule. Cóż i kiedy wypatryliśmy w okolicy zabudowania układaliśmy się płackiem na podłodze wagonu. Ranka dąsał wydawała z siebie mysi pisk i szukała schronienia w męskich ramionach. Iżewaznie małżonka.

I znow przystanęliśmy, i znow wyprzedzający nas transport zatarasował drogę. Nikt nie wiedział na jak długo. Nikt nie opuszczał wagonów. Daleko, w stronie ku której chyliło się słońce majaczyło miasto.

- przesc!.. - oznajmił tata Gros.

- Ciekaw jestem czy most na Muchawcu cały? - bardziej, siebie niż innych zapytał pan Ryko.

- Można by pieszo, stąd nie daleko..

- Ładnie nie daleko, conajmniej, dziesięć kilometrów.

- Boże święty, taki kawał! - wykrzyknęła mama Gros. - Nie dojadę z moją chorą nogą.

A jednak doszła, bowiem niedawem pociąg został opróżniony przez ludzi w długich, szarych szynelach i na czoło zapadających hełmach. Część z nich rozstawiona wzdłuż transportu kłuiła nieco cienkim ostrzem bagnietów, podczas gdy inni spokojnie, ale stanowczo nakładali tłum do pleśzej węgrowki.

Objęciem mijaliśmy transport za transportem. Dźwigaliśmy koce, garnki, ^{wieszne} po kilka walizek - nie ~~razzych~~ co prawda, ale - walcie zacnych ludzi. Szatyn-

ski bezmała szorował po ziemi dnem skorzanego sakwojazu. Ale równocześnie zbierał wyrazy ubolewania.

- Nie ciężko panie Janku? Niech pan odsapnie. - ~~coś tam powiedział~~
~~ona~~ mówiła ~~znowu~~ pani Basia.

Maszerał wytrwale. Chyba noga mamy urosła też nie opóźniała pochodu. W ogóle maszerowaliśmy sprawnie. Przechodziliśmy mimo starców, dzieci, wyprzedziliśmy jakiegoś kuternogę na kulach i setki, a może i tysiące kobiet i mężczyzn do granic wytrzymałości obciążonych bagażem. Iłum pęczniał w miarę jak mijaliśmy poszczególne pociągi. Uwagę moją zwrócił pewien młody człowiek dźwigający na plecach siwą staruszkę. Zbyt mocno musiała zamiskać ~~ona~~ szyję, bo ^{mu} twarz nabiegła krewi i z trudem oddychała. Na dodatek przez łokieć miał przewieszony spory tłumok.

Na ziemię postawiłem jedną z walizek.

- Proszę to wziąć! - zwróciłem się do pani Basi tonem wykluczającym

~~jakąś~~ dyskusję.

~~Ważnym~~ ~~przebiegiem~~ do tej pory ureptała ~~znowu~~ z waznikiem wychodząc jedwabną chusteczką.

Za jednym zamachem pozostem się przypadającej na ^{unie} połowę bagażu mamy uros, sympatii młodej mężatki, a na pewien czas całego towarzystwa. Do brzegów muchawca taszczyłem tłumok faceta uwzględniającego ^{staruszkę} początkowo się wybraniał, ale tobolek wypuscił z dłoni skoro tylko uchwyliłem za węzeł. Kroczyliśmy w milczeniu. Staruszka sapiała tak samo ciężko jak syn. Czasem pojękiwała. Zwłaszcza ~~nie~~ gdy podzuchiwał sobie wygodnie, na piecy jej drobne ciało. Zapadał mrok kiedy doczłapaliśmy nad rzekę.

Żelazny most zatapiał przęsła w wodzie. Na skarpie ukosnie opadającej ku brzegowi kłębiło się mrowie ludzkie. Największe skupisko utworzyło się w pobliżu pomostu, z którego odbijała i do którego dobijała niecała łódź. Przewoźnik odpędzał długą zerczłą naplerającą. A gdy wypływał na rzekę czoiło i tak prawie po burtę zanurzało się w wodzie. Każdy kurs przrzucał na drugi brzeg najwyżej piętnaście osób. Na przeprawę czekały tysiące. Młodzi, silni i baruział przylączani do swego dojektu brali rzekę w brod. W najgłębszym miejscu średnio wysokiemu mężczyźni sięgali do pas

Przy pomocy niezdiscyplinowany, bezmała rozhisteryzowany tłum roz-
stąpił się przed człowiekiem ze staruszką na plecach. Rzuciłem do łodzi tłu-
mok. Stara kobieta wymachiwała do mnie suchą, żółtą ręką.

Odszukaniem swoich. żeby wyjednać przebaczenie podkasalem spocnie i
przez leniwy nurt rzeki przenosiłem dość pokaznych rozmiarów pakunki. Ma-
mę Gros przeniósł małżonek. Był wyższy od syna, a ponad to miał już kiedyś
rupturę, a neniósł jeszcze nie. Pani Basia głucha na prośby nie chciała do-
siąść małżonka. Ugodziła się za to chętnie na stołeczek spleciony z ręk
męża i szatyńskiego. Ręce zarzuciła na szyję dwóch krzepkich mężczyzn i jak
w lektyce popłynęła ponad falami Muchawca.

Na wschodniej stronie ciągle jeszcze roko się od ludzi. Byli to ci,
którym nie starczało sił aby się dopchać do łodzi, albo dość odwagi aby
przejsć w brod.

Okazało się, że odwagę trzeba umieć z narodu wykrzesać. Dokonały tego
dwa samochody wojska, erkaemy ustawionę na szczycie skarpy i donosny głos
oficera:

- Dajom dziesiąt minut na piereprawu, patom przyjmom drugije miery.

Stojący obok tłumacz krzyczał równie donosnie:

- Dajemy dziesięć minut na przeprawę, potem zastosuje się inne środki.

Trudził się niepotrzebnie, bo zaraz po słowach enkawudzisty zabulgotały
wody Muchawca. W jednej chwili opustoszało miejsce przy pomocy. Nikt nie
ładował się do łodzi, jakby nie dowierzano, że przewoźnik zdoła w dziesięć
minut przepchać krypę na drugi brzeg. Silnie si, zdołni do odwołania cię-
żarów chwytały w ramiona kobiety, starców, dzieci. Wiele nie zabierało z
sobą bagaży. Plusk wody mieszał się z płaczem, nawoływaniem matek, płaskiem
dzieci, okrzykami strachu i przerażenia. Przeprawa trwała nie dłużej niż
siedem, osiem minut. Oficer mógł mieć powody do zadowolenia. Tak sprawnie
nie forsowała rzeki żadna armia świata. Co tam Bonaparte, co tam Berezyna!

Na drugim brzegu rzeki inny oddział żołnierzy formował kolumnę marszc-
wą.

po zapadnięciu zmroku tysiące ogień przeskakiwało po kocich łbach przescia. kolumna posuwała się środkiem jezdnii. w ogonie wlekli się ci, którym udało się ocalić trochę dobytku. rozłączeni przez konwoj od czasu do czasu przechodzili w trucht. na chodnikach potworzyły się grupy gapiów. manlietowii bardziej lub mniej przyżny stosunek do maszerujących. nie dochodzących oświetlonych ulic pochód przystanął. na kraj chodnika przysunął się jakiś mężczyzna. powiedział szeptem, ale bardzo wyraźnie:

- mundurowi wiać!.. wybierają żołnierzy, policjantów i leśników. cywilnych puszcza.

Zawrócił i znikł w stojącej obok kamienicy. Za sobą pozostawił otwartą bramę, w mroczną sien najpierw dał nura Dawid, potem ja, potem Szatynski, za nim Bondi, a końcu starszy uros. Ciągłe paradował w wojskowym szyneli syna.

Nieznamy czekał na podwórzu.

- kroszę za mną! - powiedział

Przemierzyliśmy dziedziniec, później jakiś sad, kawałek łąki, by zatrzymać się przed niedużą szopą.

- Wchodźcie!

uderzył nas zapach stęchłego siana.

- Przeście tu do rano. jutro możecie śmiało wyjść na miasto. w dzień nikogo nie ruszają. Dobranoc!..

To było wszystko co usłyszeliśmy od nieznanego człowieka.

Zamknął za sobą drzwi. Zalała nas zupełna ciemność.

8. Pod skrzydła cudzej rodziny.

/ple... ple... ple... jak to tam w brześciu było, a raczej szczególnej konfidencji ze starszym panem, jak szatyuski piekł dla nas cnieo, a potem w nieswoich portkach przekroczył Bug./

Jak dotąd przyglądałem się wojnie z za węgla. I to oglądałem mały wykrawek zaplecza. kilka niemieckich samolotów nad Słuczą, jedno bombardowanie w nowiu, tysięczna rzesza przepłoszonych rodaków - to wszystko. Do brześcia trafiłem także po ozłałaniach, lecz zobaczyłem przynajmniej, skutki wojny. Ujrzałem miasto po klęsce.

w okolicy dworca stały ruiny. na strzępach zbrojenia wiszały stropy. rozłupane ściany już nie ukrywały dobytku mieszkańców. między rumowiskiem sprzętu wzięta się łóżka z pościelą, stoły, - niektóre przykryte obrusem i zastawione do posiłku - potwierane szafy z odzieżą, półki z książkami i wiele, wiele innych akcesoriów mieszczańskiego żywota. Żądza posiadania ^{związo} ludzkiej energii i ^{dobrobytu} ~~siły~~ - jeszcze nie powodziła śmiałkow do kup wspinaczki na grożące zawaleniem, wyższe kondygnacje budynków.

w stronę dworca zapuszczaliśmy się jednak nie często, a do budynków stacyjnych wcale. Zaraz na drugi dzień po przybyciu do miasta, zwabienie możliwością zakupu w dworcowym bufecie konskiej kiełbasy dotarliśmy co prawda do wiaduktu, lecz tuż przed schodami zatrzymał nas stłumiony szept:

- Wyrywajcie!.. z dworca was nie puszczą. wywożą..

- Dokąd?..

Nie było odpowiedzi.

rozostałe dzielnice miasta nie stanowiły strefy zagrożenia. Można było włożyć się dowoli i przyglądać różnym ciekawostkom. było ich sporo. Czasu też wbród.

Spacerowałem zazwyczaj z tatą Grosem. od wspólnego noclegu w szopie poczuł do mnie słabość. Zapewne za koc, który ostatecznie trzęsącemu się z zimna. Sam zażebrałem w siano, chociaż bardzo prosił ^{pod} przykrycie, - bardzo..

siwiejący pan wyrażał się bardzo niepoehiecznie o kobietach.

- Powiadam ci chłopie, wszystko sclerwy..

Nie przeczyłem, bo posiadałem wtedy jeszcze bardzo znikome doświadczenie w tych sprawach.

Chadzaliśmy sobie tedy ulicami Brześcia, ja sylabizowałem napisy, komunikaty i obwieszczenia w trudnym do odczytania alfabetcie, on tłumaczył ich znaczenie na język ojczysty. Był moim pierwszym nauczycielem ~~języka~~ ^{obcych} rosyjskiego. Na brzegu gazety wypisał rząd liter i polskie odpowiedniki, a ja siedząc na workach z cementem szukałem z "arawy" słowo po słowie. Kolokwia prowadziliśmy właśnie na spacerach.

Przy okazji z murów, słupów i parkanów dowiedziałem się, że po upadku burżuazyjno-obszarniczej polskiej ziemie zachodniej, Ukrainy i Białorusi po wsze czasy zrastają się z macierzą, oraz, że uchodzący, zdemobilizowani i wogóle cały napływowy element ma się rejestrować w szkole przy ulicy Unii Lubelskiej.

- Niech całują psa w nos! - mruknął papa Gros.

Uciążle używano dawnych nazw ulic, choćby tak jak wymieniona Kojarzyty ze zdarzeniem, który odegrał niepoślednią rolę w oderwaniu tego kraju od ruskiego pnia.

Sklepy także nadal reklamowały towary po polsku. Ale większość sklepów była pozabijana deskami. Te, które uruchomiona ofiarowały klientowi prawie wyłącznie nartę, zapakki i soli. Mnogość owych artykułów słusznie podsycala dumę nowych obywateli Brześcia.

- U nas wsio jeść - śpiczki, karasin, soli. - z zadziwlającą jeonomysłnością powtarzali każdemu kto był ciekaw logactw i ch rozległego państwa.

Najwyżej kolejność się zmieniała i wtedy wyliczali: "karasin, soli, śpiczki".

Udmienny asortyment rzuciła na rynek prywatna inicjatywa. Przewidując zagładę wolnej konkurencji i nieuchronne zmonopolizowanie handlu przez państwo wystawiła na stragany wszystkie swoje zapasy, głównie zaś śledzie i kiszonki. Zbyt miała ogromny. Szczególnie na śledzie, które za łada pocisnięciem wykazywały tendencję do samounicestwienia. Rewna starozakonną przekupka rozbrajająca uczciwie przykładała do beczki etykietę: "Śledzie na zupełę." Inne ustnie zalecały kwaśną kapustę, ogorki, kiszony pomidor, xxx

a z oleistych prażony bob, pestki dyni i nasiona słonecznika. kwas chlebowy szedł jak woda.

Artykuły przemysłowe rozprowadzano na drugim krańcu miasta. handlowano na zasadzie towar za towar: produkty rojne za kosy, sierpy, noże stere gwoździe, śruby, podkowy, nacele, łańcuchy, sznury, sznurki i postronki. Nabywcy rekrutowali się z wiesniaków. Sprzedawcy ze starozakonnych i tych, którym nemezis dziełowa pozostawiła więcej niż jedną kapotę, zbędny płaszcz, spodnie, więcej niż jedną parę butów. Tacy jak my nie mieli tu czego szukać, Tacy byli całkowicie zdani na sektor uspołeczniony. zaś sektor uspołeczniony oprócz wspomianej soli, nalty i zapalek wprowadził do obrotu narazie tylko czarny, razowy chleb.

Dla zdobycia ciężkiego jak gлина bochenka trzeba ^{było} podpierac sciany domow od północy do świtu. Czasem dłużej, jeżeli nadjechał furgon po pierwszy wypiek, a nieraz i drugi dla różnych instytucji i urzędow. bywało ~~Ważnym~~, że obcemu, przybędzie wogóle odmawiano prawa zakupu. Zdemobilizowanych żołnierzy pokonanej armii z reguły wyrzucano z kolejki. Jak nie głodni tubylcy to porządkowy z opaską na rękawie wymownym ruchem kolby oczyszczał ogonek z zielonych mundurów.

Nauczeni doświadczeniem idąc po chleb przedieralismy się w zapasowe ubrania taty Urosa i pana Rytko. mnie dostawał się wcale porządnny tuzurek i spodnie w paski. Obszerne bo obszerne, przykrotkie, ale po poznansku nieskźiteknie czyste. W kolejce budziłem podziw i zazdrość. Rumiany piekarz dawał dziesięć bochenków i swoje robocze ubranie

ntoregós dnia z kartki naleplonej na witrynie wyczytaliśmy, że piekarnia poszukuje czeladnika. zgłosił się szatyński, rozumując, że nikt trzeźwo myślący nie będzie się w tych czasach domagał świadectw. przewidywał słusznie. Coprawda majster - jak się później okazało rzeźnik z zawodu - dość szybko zorientował się, że kandydat ma tyle wspólnego z piekarnictwem ile on sam ~~z piekarnictwem~~, ale kartkę z szyby zajęto. wyprosił ~~by~~ sobie tylko stanowczo krytyki jakiej kandydat nie szczędził na wstępie dla podbudowania zaufania w swoje umiejętności.

Oczywiście chleb był nadal w standardowym gatunku - ciężki, wilgotny, niedopieczony i z zakalcem - lecz było go pod dostatkiem dla wszystkich których od nowia łączyła wspólna dola tułacza.

Mając jako tako zabezpieczony byt materialny, można było pomyśleć o strawie duchowej. Zamiast na spacer zabrał mnie pewnego razu tata urodo do kina. Aby nie budzić niegodnego uczucia zazdrości zastrzegł tajemnicę przed żoną i synem, do garści wcisnął ~~mi~~ landrynki. Owinęte w zwilgotniałą gazetę lepiły się i zabarwiły mi dłoni mieszanką kolorów. Nie zjadaliśmy z apetytem. Papier, który nie cnił odejść od słodkiej masy wypluwaliśmy na plecy widzów. W kinie pluli wszyscy. Coprawda nie papierem, a łuskami słonecznika.

Obraz był ciekawy, a dla mnie ponad to bardzo egzotyczny. Iraktował o październikowej rewolucji. Na przemian, to Lenin otoczony sztabem doradców pochylał się nad mapą, to ulicami Petersburga przemykali obojętni ludzie i strzelali. Czasem na dziedzińcu fabrycznym jakiś robotnik groził pięścią i krzyczał. Ludzie na ekranie do złudzenia przypominali tych, jacy obecnie, po dwudziestu latach, kręcili się po Brzesciu. Też z karabinami i czerwonymi opaskami na rękawach. Tylko tamci na ekranie nie wymachiwali kolbami na spragnionych chleba rezerwistów, a strzelali do wroga, byli ostrzeliwani, zabijali i sami ginęli.

Gdy rozbysły światła byliśmy spoceni od emocji i zaduciu. Wychodząc brodziliśmy w niedozutych nasionach słonecznika.

Na kwaterze, tata Gros, pod wrażeniem filmu, dokonał rewolucji. Synowi kazał przesunąć się do ściany, żonie do syna, swój jasiek poroził ~~na~~ przy jaśku żony, a uzyskaną tą drogą miejsce na wiorach oddał w moje władanie.

Tak zostałem adoptowany do rodziny.

Z rusztowania murarskiego przeniosłem się z ochotą, bo zawsze lepiej spać na miękkiej podściółce, aniżeli na pokrytych zeskorupiałą zaprawą deskach.

wał, roczony syn też nie, dokooptowany także.

za Bug pojechnali nieodawem pan Wyjko, jego cierpiąca małżonka, pomimo braku włosów szatyński oraz Dawid i Bondi. Z inicjatywą szatyńskiego ^{o statui} ~~transportu~~ w innym transporcie niż małżeńskie studio. Za cenę sportowego garnitury pana Wyjko wyrzekł się chłopak wiozku czarującej mężatki.

rozostali stanęli wobec alternatywy: albo przekroczyć nielegalnie granicę, albo szukać źródeł egzystencji na obszarach państwa radzieckiego. Wybrano drugą, a ziośliwy los sprawił, że na powien skres przeorażila się w trzecią. Wybor powiem padł na wino, które na jeden rok zostało wypozyczone rezimowi Smetan, na stolicę neutralnej Litwy.

Dlaczego akurat Wilno?

Dlatego, że z Wilna pochodził pan Michałowski, ów cieni, matematyczny urzędnik, a zarazem powiatowy papy grosa w poznańskiej Dyrekcji Koleji. Zwierzchnik wydał polecenie i skromny posiadacz skromnego wąsika ruszył na rekonesans. Liczyliśmy dni i godziny do jego powrotu. Zjawił się po czterech dniach. Zwiad przeprowadził dokładny. Donosił, że uruchomiono regularne połączenie z Wilnem, gazie cało i zarowo żyją jego bliscy. To miało zacydujące znaczenie. Siostra wywiadowcy dysponowała powiem wolnym mieszkaniem, a jej tesc - wpływowa osobistość w wileńskim kolejnictwie - zapewniał posadę poznańskiemu koleźce. Nad to w mieście organizował się komitet pomocy uchodźcom, zaś społeczeństwo Wilna - inaczej jak Brześć - bardzo życzliwie odnosiło się do rodaków-tużaczy.

Do zapchanego wagonu ładowaliśmy się siódmego października.

Wieczorem przygięty ciężarem dwóch waliz ledwie dowlokłem się na peron. Menio dzwigał neseser. Mama wietrząc niebezpieczeństwo kuszykała na przodzie czujnie rozglądając się na boki.

Udprowadzał nas Michałowski. Sam nie jechnął. Zaniepokożony losem żony postanowił jednak wracać do Poznania. Na drogę dostał jeszcze jedno polecenie, Tym razem od szefowej. Przypominając o szacunku należnym mężowi, o własnej

czesc druga.

Miasto z sercem r.D. d.Torri.

1. Jest takie miasto na północy.	45	34
2. Już nie Wilno, a Vilnius.	56	42
3. Karo pabegelis.	64	42
4. Hej kolęda, kolęda!	71	53
5. Byle do wiosny..	77	52
6. Udręki i nędze tułactwa.	82	60
7. Pochodnią - czyny ojców naszych.	88	65
8. Wiosna, której nie było.	96	70

1. Jest takie miasto na północy.

/ Koszałki opałki... o ~~miłości~~ miłości do nieswojego miasta, jego niezwykłym obliczu, któremu nie mogła się nadziwić porządna poznanianka/

Są kraje, miasta, a nawet miasteczka, które człowiek darzy sentymentem na wyrost. Tak było i ze mną. Nie wiedziałem przed tem włina, a poachiałem zanim przyszło się kosiawic buty o jego nierówny bruk. Miłość zadziwaczała, trzymająca się natur czułościowych, zniewiesciałych. Kiedyś marzyłem o zobaczeniu Wileszczyzny, tak jak dziś sni mi się raryz. I wtedy i dziś pragnienie było równie mgliste. Gdyby nie wojna-"dobrodziejka" nie oglądałbym pewnie nigdy wili, i zakresiającej zakole od drewnianych domów Zwierzynca na po wzgórze Antokola.

W tym dziwnym sentymencie kryła się przyczyna, dla której przystałem na propozycję taty Grosa i zamiast na zachod wybrałem się na północ. Przynajmniej to tym łatwiej, że wojna miała trwać tylko do wiosny.

Czy zawiódł mnie realny kształt, czy pokrywał się z wizją marzyciela?

Chyba nie zawiódł...

Napewno nie!.. Zobaczyłem co/przepowiadała wyobraźnia:

miasto na wzgórzach. Otoczone lasem. Ciepłe, nieuporządkowane, ale tak piękne w zalotnym nieładzie.

Niezdarzały mi się utyskiwania współziomków na bruk, bruk prymitywnych urządzeń komunalnych, niedostatek urbanistycznego piękna i porządku. I ja widziałem szpetotę żydowskich zaułków, i dziury na zawalce, i ruderę Zarzecza, i biedniacką wegetację mieszkańców Śnipliszek, Piłomontu czy Wiczej Łapy, ale widziałem i to, czego oni przyglęci troskami zobaczyć nie mogli lub nie chcieli. Nie chcieli, aby nie sprzeniewierzyć się tęsknocie do własnego gniazda.

Ja nie tęskniłem za uporządkowaną nudą. Jeśli wracałem do roznania, to nie poto, żeby przewieszony przez okienny parapet cieszyć się widokiem zaprasowanych spodni, wiecznych ondułacji i wozków w koronkach. Mnie nie radowały neony, glazurowane wychodki i jędrna polszczyzna szylców chejplących się umiejętnością "prężenia iiran" ^{czy} "sztynwienia męskien przodków"

Nie wybiegałem w marzeniach do rozziwanego życia twarogłowego mieszczucha. Roznan to był dla mnie okresiony punkt na mapie wyznaczający jeden jedyny dom na peryferiach miasta, a w nim małe grono ludzi.

Nie czuły na powaby własnego, przywarłem sercem do cudzego miasta.

W poczekalni Gros-senior zafundował gorzką herbatę i po kromce chleba z kopską kiełbasą. Heniek domagał się dodatkowej porcji, ale mama zasymulizowała przekroczenie limitu dewiz.

- Zaoszczędzimy na autobusie, pojedziemy pieszo, - zaproponował.

Pomyślałem o bagażach i od razu zaręczyła mi ręka. Rozgorzała rodzinna dyskusja. Rozbawiony głosu poszedłem obejrzeć plakaty. Jeden zwracał szczególną uwagę. Przedstawiał bagnet i naszpikowane na niego czapki: carski kaszkiet, kozacką papacnę, angielskie czako, niemiecki pikelnaub, francuską kepi. Była i polska rogatywka z generałskim wężykiem. Pomyśliłem się że została nakłuta przed lub po "cudzie nad Wisłą". Zadumałem się nad względnością historycznej iaktografii.

Przy stoliku, kosztem mojej ślepną doszło do porozumienia. Papa kiwnął na kelnera. Podeszedł, zebrał szklanki i oświadczył splewnie, że na każdego gościa przynoczi się tylko jeden buterbrodt. I jak tu nie miałem mieć słabości do takiego miasta.

rojecnalizmy "Arbonem". Jakas-tak nazwana-szwajcarska firma węcnięła municypalnym władzom stare graty i odtąd dobrych parę lat przycnary spalinowym gazem zdobywając wzgorza naiwaryjskie, czy inne, rohułanki. Wyglądem przypominały buldoga. Łolite, ze spiaszczonym nosem. Warczaly tez jakos po psiemu. I były wierne miastu jak pies. Nie szcędzily resorow pouskakując na kocich łowach. Zawsze skłonne zabrac kilkunastu pasazerow ponad pojemność. Nawet tych głuchych na wezwanie konduktora:

- Za bileta.. za bileta płacic. Rosuwac się!

lub poznlej:

- Praftau pirmin. Was nie turli bilety?

Z Dworcowej Wjecnalizmy w zawainą. Odox targowej hall ialował tram.

- Niedaleko stąd Ostra Brama! - powiedział tata gros, a mama przeze-
ła się nabożnie.

Znał miasta. rzecą wojną przyjeżdżał tu z pielgrzymką.

Na Jagiellońskiej autobus dostał orgawek.

- Boże Święty! - zawołała mama. - w środku miasta taka ulica.

- Parę lat temu były tu jeszcze drewniane chodniki. Stawiaś na jedne-
desce, a druga obłuzowana była cię w łeb. - objasnił tata.

- Chryste Panie! co za dziwny kraj! land!

Na Mickiewicza orgawki ustąpiły. nie na długo, bo asfalt ciągnął się
tylko do Zielonego mostu.

- Wilja.. - informował papa, jakby sądził, że maturzysci mogą myśleć,
iż Wilno leży nad szpewą.

Spojrzałem nad rzekę. w tym miejscu daleka jeszcze była od piękna, któ-
re opisywał mickiewicz. obsypana wałem odbijała niebo. tuż obok gmachu z
statuą kobiety na dachu gnieła za zakretem.

- Opera? - zapytał amuzykainiony Henius.

- Raczej nie.. zdaje się, Wilno nie ma opery. - odparł tata.

- Ale jest operetka! - ujął się jakiś podrażniony w amocji wliniak. -
.. a to elektrownia.

- No cwałcie boża prąd mają. - westchnęła z ulgą mama. - rzyńska, może
coś..

Prąd był, a i tak przez szereg dni obywatelsmy się święcą. brakowało za-
rowa. poza tem lampa w pokoju nie posiadała gniazda.

- Zolwszy się, a dostac nie dostanie. - komunikowała pani Trocka wpro-
wadzając nas do mieszkania w domu swego tescia. po przesciu pokoje na kar-
waryjskiej wydały mi się apartamentem. nawet przy gołych ścianach i star-
do surowych desek podłogi. zajęliśmy największą izbę z dużym staroswieckim
piecem.

Siostra pana Michalowskiego przeproszała za brak poscieli i rozek. iu-
czyła, że ma u siebie jeszcze kilku uchodzców. za to kazala nauc sioną si

nniki. ~~XXXXXXXXXXXX~~

- Powinno być miękko - zapewniała.

• - U nas tam nikt na słomie nie spi. W chlewie owszem, ale nie ludzie
u nas każdy jeden najbiedniejszy posiada materac..

Tata Gros przerwał małżonce:

- brat wspominał o posadzie dla mnie..

- Proszę pomówić z ojcem, z moim tesciem. Niech pan zajrzy do nas.

mieszkamy w podworzu.

Gospodarz

- W podworzu, ~~XXXXXXXXXX~~ w podworzu?.. - dziwiła się Grosowa - ~~XXXX~~
gdzie tu gaz moja pani?

- Nie ma gazu. W kuchni przygotowałam dla państwa trochę suchego
orzewa.

- A ubikacja?

- W podworzu..

- .. a kurek?

- Jaki kurek?

- No kurek do wody!

neniek

- Aran. - uzupełnił ~~XXXXXXXXXX~~

- W domu nie ma wodociągu. W podworzu stoi studnia.

się

- W podworzu, w podworzu.. - uderwowała urobna kobieta -wszystko
w podworzu! Właściciel w podworzu, kiozet w podworzu, woda w podworzu.

Co za porząki!.. do u nas proszę pani..

- Juz pójde, zostawiłam dzieci. przepraszam. - powiedziała synowa
gospod^zarza i wycorala się do sieni.

ledwie zamknęły się drzwi mama Gros pologowała sobie na dobre. Zay-
skredytowała doszczętnie kulturę i cywilizację klesów stawiając między
jego społeczeństwem a plemieniem buszmenow znak równania. A klesy na ku-
chenne, płytkie nie znalazła fajerek nataria na męża.

- gdzieś ty mnie zawicki steian!? Doga w sercu nie masz! mogłam wro-
cic do swego mieszkania, do jadaiki, do syplarki, do raziarki, do mojej

porcelany, do..

Długo trwała litania do czego z winy męża nie wróciła wczorowa poznańska gospodyni. Obrusy, narzuty, firany, stoły, stoiki i szeszone, każdy garnek, każda ściłka, zwykła „szwanika” wyciskarki iży z niesymetrycznie osadzonym oczu. Kiedy zaś syn przypomniał rozwieszone w kuchni makatki popłynęły strumieniem. trudno się dziwić. było nad czym boleć. Odwleczając kolegę i choć dywanów i porcelany sobie nie przypominam makatki wdziałem. wisiały nie tylko w kuchni, ale również w łazience i w przedpokoju. było się od karzełków, żabek, ptaszek, grzybków, motylków, kwiatków i kwiatuszków. Każde płótno było ponadto zaopatrzone w mądrą maksymę, jak: „Gdzie kucharek sześć tam nie ma co jeść”, „dobra gospodyni w domu ład czyni”, „modlitwa i praca ludzi wzbogaca” itd.. itd..

- Przeszanie!.. - zniecierpliwiał się tata gros. - sama enciarias tu przyjeżdżać!

roczerwieniła. W jejnej, cniwii obeszny jej, oczy.

- Ja!?!..

- Tak ty. Ty bałas się ^oHenka, nie ja.

- No pewno, ty byś dziecko uladziu oddał w paszczę!..

wzruszył ramionami. rochwycił kapelus. niwnął na mnie palcem.

- rojadzemy na spacer.

szedł rozdarzonym. mliczał i przychał. Ja przyglądałem się miastu. przydkie, szare kamienice zbiegały ku Wilji. jezanią toczyły się cniopskie turmanki, podskakiwały na gumach dorozkarskie aryndy. czasem przeleciał arbon albo gruzowik. od mostu maszerowała kolumna wojska. Chybotaiy się z oku na bok postrzępione na kraju poly szare szynere, drugie uagnety na jeszcze dłuższych karabinach, parciene turazbeki. Prowadził oficer w omalennowce i obszernej rubaszce. od pasa do kieszeni w builastych spoukach zwisał taslemcowy rzemien. oficerski zadek objaja prezentowa torba.

kołysały się zwarte szeregi. każdy zornierz pousuwał owijacz nieomal w krocze poprzednika. Śpiewali. napełniali ulicę donosną i przeciągłą melo-

nią. Wielkie chłopisko z pierwszego szeregu zaciągał raz po raz partię solową. Nazdą zwrotką kończył przeraźliwym gwizdem.

- Dzicz!.. - mruknął stary gros.

Nie zgadzałem się z taką opinią. Prosto oglądał wojsko wyszkolone na odmiennym od naszego regulaminie. Arkana żołdackiej musztry nie stanowiły o kulturze narodu. Żołnierz, który wyskoczył na czołnik, aby powitać kamrata miał nadwisiańską, jasną czuprynę i zawaślacki uśmiech warszawskiego andrusa. Dyscyplinę połamaj ze słowiańską beztroską.

Kiedy po dwóch latach o ten sam bruk uderzały podkute buty naprosto szukałem pod nasuniętym na czoło hełmem jednej pary łagodnych oczu. Wszędzie były ponure. Stanowiły dodatek do munduru ierograu. I nikt wówczas nie przypuszczał, że ten monolit wyhartowany w pruskich koszarach rozsyple się od uderzenia ludzi, którzy teraz demonstrowali prostotę przekraczającą wyobrazenie władz.

- Zapciuchy! - rzuciła jakaś zazywna jejmose wskazując głową drugą kompanię wojska.

Tata Gros zdecydował, że pojedziemy do katedry.

- Pomodlic się za szczęśliwą podróż? - zapytałem nie bez złośliwości

- Pomodlic się też. Ale i zwiedzić zanim nie zamkną albo przerobią na stajnię.

- Ate?

- No kto?.. bolszewicy!

Do końca wojny nie zamienili. A na Ostrobramskiej ulicy zdejbowali czapki. Trochę z szacunku dla cudzego kultu, trochę pod presją mieszkańców. Ponoc jakiś zatwardziały atelsta dostał parasolem od jeszcze bardziej zatwardziałej fidelstki i szafirowa czapka potoczyła się do stop Świątej Raniieniki.

U wylotu Mickiewicza na plac Katedralny natknęliśmy się na ^{duże} ~~mnogie~~ skupisko ludzi. Słuchali koncertu na białej, ce i mandolinie. Grało dwóch inwalidów w wydartych wojskowych tarczach. Jeden ospowaty, bez nogi,

drugi ślepy z ~~wygnij~~ wygnitym nosem. Arzepili naród legionowymi piosenkami. Dopoki rozlegała się tylko muzyka nikt nie interweniował. Żołnierze, a nawet niektórzy oficerowie przystawali zaintrygowani. Dopiero gdy tłum zaintonował balladę o Jasku co pod Lwowem padł milicjanci przebili muzykantów. ^{Ci} Jednak krzepiącej misji nie zaniechali. W innych punktach miasta przez kilka dni szarpali struny.

Katedra tonęła w półmroku. Kilka bab siedziało w ławkach. Nad ołtarzem płonęła lampka oliwna. Tata Gros długo i mocno olił się w pierś. Potem zwiedzaliśmy świątynię. Oglądałem jagiellońskie orły wprawione w płyty grobowców, spoglądałem na godła pogańskie, litwy i święte, Białorusi. Przykląknęłam przy kaplicy świętobliwego gruzlika, który doczekał się grobu prawie jak oraciszek-król na Wawelu. Mało tego! Wziął w posmiertne władanie stolicę aziaów. Kaziuk - ^{tu} oyi wszęździe. Prawie w każdym domu, w kościele, w szkole, nawet na dorocznym jarmarku na Lukszkach. Leżał pod srebrną trumną i cnotczasz święty napewna nie snił, że gazies w Koronie, jego imię stało się wyrazem pogardy dla dzieci narodzonych w polskich rodzinach.

Jemu się ^{nie} sniło, ja nie wiedziałem. Nie wiedziałem co się dzieje nad Wartą. Dlatego nagabywałem go - ^{jezek} ~~ja~~ taki święty - o kilka wierszy, o marną pocztówkę.

Papa Gros wyszedł modlitwą ukojony, ja zaś rozdrażniony. Postanowił pojeździć się z małżonką. Na zgodę umyślił przynieść ze spaceru trochę prowiantu.

Na Wileńskiej stanęliśmy przed spożywczym sklepem, a ścięliśmy przez piecami ludzi, którzy uformowali długi ogon.

- Chaj idzie, wojskowe wchodzą bez kolejki. - oświadczył mój poprzecznik.

Zawahałem się. Tata Gros wsunął do ręki zwitek banknotów i pchnął w łopatkę.

- Chieba i co bęździe.. - szepnął

Podszedłem pod drzwi. Tu ogonek napęczniał. Krzyczano, wymyslano sobie, ziorzeczono.

- Co się ilancuji. bez ilancy paniczka, bez ilancy - wołał jakiś niecierpliwy głos.

Uczyniłem nieśmiały ruch.

- Wpuście no tu żołnierza!

- To wpuszczaj na swoje miejsce jak taki dobrodziej!

- Zamknij się pokraka! nie wiazi, ze mizeraka głodny; bledniaki taki.

- Kto nie głodny?

- Nie bołtaj! Jeszcze wrąblesz w bebecchy co rodzinaka nachapala od rana. Patrzenie go! Piąty raz już stoi, a żołnierza krzywduje.

- Sam piąty, albo i szosty. Skąd wie, ze piąty?..

- Rozsuwaj się, oratok, rozsuwaj!..

- Kto go tam wie czy on żołnierza? - rzucił ktoś w gromadzie.

- Ślepy?.. We Iraku nie przyszedł.

- Szyneiku kazden jeden nadziac moży.

- Każdy nie każdy, dla kilo krupy iba nie ogolił.

Ten ostatni argument przekonał oponentów. Wpuszcili bez kolejki. Tym razem brak czupryny okazał się kluczem do serc ludzkich.

Gdy znalazłem się przed ladą paulo pytanie:

- Czego dla żołnierza?..

Wybor był raczej ograniczony. Wziąłem bochen czerstwego chleba, gryczaną kaszę, kawę zbożową i trocnę sacharyny. Tata Gros zręczył, że mało, ale sam po więcej stac nie chciał. Przed innym sklepem czekał na drugiej stronie ulicy. Znow wyniosłem chleb, kawę i kaszę. Od tego dnia stałem się aprowizatorem przybranej rodziny. Głównie dzięki ostrzyżone, głowie i patryjotycznym curuchom wileńskiego truma.

Heniusz cieszył się z zakupów, mama wcale. Obrazona na świat i ludzi leżała obocona twarzą do ściany. Tata Gros zabrał się do przyrządzenia posiłku.

Bez wodociągu w mieszkaniu było jednak kłopotliwie. Szczególnie w braku wiadra.

- Skocz no do sąsiadów, może pożyczą? - przykazał tata Gros.

Uciągając się poszedłem. Utworzyła blondynka. Chuda, biała, na krzywych nogach. Wydukałem o co chodzi.

- Ran przyjdzie jak mama wróci. - odparła i nie wiadomo dlaczego wyszczerzyła zęby.

Rozszliśmy na podwórze. Opuszczona do głębokiej studni aluminiowa mienazka nie chciała ratować. Bezskutecznie manewrowaliśmy rączkami. Zanurzyła się dopiero, gdy Heniek obciążył ją kamieniem. Zwrztając krowie tem wyciągnęliśmy poł naczyń.

Rozstanowieniem skorzystał z okazji. Dostęp do wyczołaka utrudniał wylewający się z dołu smrodliwy zaciek. Kabiny pozamykano na kłocki. Tylko jedna pozostawiona drzwi służyła na powszechny użytek. Usiąść było ^{nie} ~~możliwe~~ ^{jak.} ~~możliwe~~. Z przyjętej pozycji Wilno wydało mi się mniej, ponętne. Ze zgrozą pomyślałem co będzie jak mama Gros tu zajrzy.

Tymczasem tata rozniecił ogień. Heniek mordował się z puszką wołowej konserwy. Nagle rozległ się łomot we drzwi i w jednej chwili pokój wypełniła gruba niewiasta w asyscie dzieci. Uinęły za jej potężną postacią. Była i blondynka z wiadrem w ręku. Ładna, dwunastoletnia dziewczynka trzymała garnki, a z pod pękatej, czerwonej poduszki wystawiały cienkie nogi w chłopięcych portkach.

- Złozcie tu wszystko i fora ze dwora! - rozkazała jej, młosc wskazując na siennik.

- Garnki na postanie.. - obruszyła się mama Gros odwracając głowę od ściany.- Zakopcone garnki!..

- moje nie są ^{zakopcone} ~~zakopcone~~!..

Tak zostały nawiązane dobrosąsiedzkie stosunki z rodziną Rawiowiczów. Drobną kotrowersją dwóch pan rozpięła się w rwącym potoku słów. Mowiły, mowiły i mowiły.. Jedną splewnie, z ruska, drugą twardo, cnrapłą

gardłowo literę "r". Obie bardzo głośno. Zakoczyła sąsiadka.

- Na miłe poznanie prosim na kolację..

Przed wizytą pociechy ~~bez~~ bez przerwy donosiły to arzesio, to stórek, to watowaną kołarę dla pani naczelnikowej, - tak się zarekomendowała mama Gros - jakieś naczynia, noże, widełce. Do wieczora byliśmy zaopiekowani. Mamie Gros trochę poprawił się humor, choć wszystko zdyskwalifikowała przez porównanie z wyposażeniem własnego, poznańskiego mieszkania.

Chuda blondynka wsunęła głowę między drzwi.

- mama prosii.. -

Tata wymienił bonzurkę na surdut i poszliśmy.

Po paru minutach pobytu w domu sąsiadów zrozumiałem, że żona prowizora ^{Panowicza} uprawia ~~to~~ samodzielną. Prowizor sięgał połowicy zaledwie pod obrity biust. szczupły, drobny nosił podwyższone obcasy, ale i to nie wiele pomagało. Ginał w spodniach uczeplonych na słowo honoru do spadzistych ramion. Górny ich koniec podchodził mu ^{między} pod brodę. Podobnie jak małżonka zaciągał śpiewnie, lecz nie tak głośno i zadzierzyscie. Z oczu wyglądała mu do brody. I jak się później okazało był to "dusza-człowiek" nie wadził nikomu, unikał konfliktów, swój sprzeciw objawiał cmożaniem dzieciom wymierzał chłostę zwiniętą gazetą. Oczywiście tym młodszym. Najstarszy syn, internowany, przebywał na Litwie, zaś najstarsza córka, owa blondynka żyła z ojcem w idealnej harmonii. Zatała i miewała raczej z matką i tylko wówczas gdy znajdowała się poza zasięgiem sclera lub pantofla.

Przy stole wypadło mi miejsce obok panny Loná - po chrześcijańsku Heleny. Helenek siedzi z drugiej strony. Pan witał i jego żony małżonka świadczyła uprzejmości państwu Gros. Najmłodsi - Teresa i Iuzio kopali się pod stołem w pobliżu samowaru. Zakęsał podano baronne, wojenne. Za to alkonolu nie zdywano. Pan witał często uzupełniał karcieczkę i zyczliwie pousuwał gościom panieczką z grodzienką machorką.

Zapanował miły nastrój, ciepły, rzecz można rodzinny. Mamie Gros

błyszczały zrenice. skóra na czaszce taty grosa poczerwieniała i razem z kępką siwych włosów dekorowała głowę w narodowe barwy. meniusz rzał poklepując chude łopatki panny Loni. Ja prowadziłem z gospodarzem polityczny dyskurs.

W pewnej chwili gospodarz zerknął na zegarek i powiedział:

- zaraz będzie.

Panna Lonia włączyła radio. Odbior miejscowej stacji był nienaganny. mama gros nie ~~nie była~~^{marzyła} ~~nie była~~, że takie dobre odbiorniki produkowało ~~było~~ tu w Wilnie. Na krótkich falach czysto i głośno brzmiał głos angielskiego speakera. Rótem usłyszeliśmy: .. dum, .. dum .. dum, i "tu mowi Londyn". Cos ścisnęło za gardło.

rótem nastąpił gwizd, swist, cnarkot, bulgot, ryk dyła przed urojem sabat czarownic.. pan Witalis przekręcił gałkę.

- zuliiki!.. - mruknął.

Wszyscy ziorzeczyli piratom eteru.

- może panowie znają jakiś obcy język? - rzuciła panna Lonia.

bezmyślnie wyskoczyłem z francuzkim. rosadził przy radiu. do ręki wcisnęli kartkę i ołówek.

- risz kochanienki wszystko dokumentnie. - prosił pan Witalis.

Szybko przekonałem się, że ocena moich postępów przez francuzicę nie wynikała z uprzedzenia. Pierwszy nasłuch wypadł fatalnie. Mie wiele zrozumiałem. Przed kompromitacją ratowałem się wyobraźnią. Zombardowałem Berlin, przerwałem linię z Fryda, wzięłem do niewoli całe pułki szkopow. Nazajutrz, brak potwierdzenia w gazetach zioz^uziło się na zioziliwość radzieckich agencji. A potem, w wirze codziennych trosk i własnych klęsk, zapomiano.

Odaliśmy się na spoczynek pełni najlepszych myśli.

Pierwszy dzień na wygnaniu nie wypadł na gorzej.

2. Już nie Wilno, a Vilnius!

/noszątkę opaki.. o krótkiej karierze brekowego i jak Litwini zajęli własną stolicę i po wstępnym boju w katearze rozwinęli ofensywę na guziki./

Tesc siostry pana Michalowskiego posiadał nie tylko kamienicę przy ulicy kalwaryjskiej, ale i duży wpływ w kolejnielwie. Gros-senior dostał posadę, a ja książki i broszury do egzamina na brekowego. Uczyłem się zjadacie, jak i kiedy kręcić korbą, kiedy gwizdac przeciąganie, a kiedy krótko, jak rozróżniać światła sygnałów i semaforów. Egzamin poprzedziło badanie lekarskie. Stwierdzono, że nie jestem daltonistą i pomimo zastrzeżeń do licnej budowy dopuszczono przed komisję. Byłbym przepadł z powodu jękania, gdyby nie zabiegł protektora. Do dziś nie rozumiem na co namiatowemu kunszt Cicerona.

Jedyna rzecz, a jak się okazało i ~~szkafem~~ podróz wypadła do Lidy. Wyładowałem długi kozuch, drewnianą skrzynkę, gwizdek, miotek i latarkę.

Wlazłem na orek węglarki. Na krytych wagonach usadowili się inni, z dłuższym stażem pracy. Jechaliśmy nocą. Wiało, dmuchało, ale dzięki kozuchowi nie odczuwałem zimna. Gwizdała lokomotywa, gwizdałem i ja. Na każdym zakręcie, na każdym przejeździe, przed borką i za borką. Przed postojami przykręcałem korbę. Było ich wiele i nie zawsze na stacji. Na przystankach regulaminowo ostukiwałem miotkiem osie i sygnalizowałem latarką brak awarii. Bez większych szans, aby kierownik pociągu coś zobaczył. Brakowało karbidu.

Do Lidy jechaliśmy dobrze po północy. Skład przewekslowano na bocznice. W dyzursce dla drużyn konduktorskich nie znalazłem dla siebie miejsca. Z drewnianą skrzynką, karbidówką i miotkiem poszedłem na stację.

Poczekalnia była pełna ludzi. Zajmowali ławki i prawie każdy metr podłogi. Popierani o walizy, tłumochi i kosze sennie klwiali głowami. Wcisnąłem się w jakiś kąt. Zasnąłem. Ale nie na długo. Ktoś gwałtownie szarpnął mnie za ramię.

- gdzieś spać nie izia!.. - usłyszałem nad uchem

Naprawdę wskazując na kolejarskie przybory tłumaczyłem, że jestem na

Miasto przybrało oświetlną szatę. Ale bynajmniej, nie z racji moich imiennin. Na mocy układu pomiędzy zainteresowanymi rządami wino wracało do macierzy. W tym dniu noszanie wyciszyli się z miasta i okolicy. Na rządowych gmachach powlewały zielono-żółto-czerwone flagi. Cnocnikami spacerowali policjanci. Cnoc w cncio^a na miarę podolpłaty. Tyko bez jego anielskiej twarzy. Dwumetrowe, szerokoplece, rumiane. Mogłoby być respekt gdyby nie mundury. Czerwono-szafirowe, usztywnione, wysokie czapki ze złoconą blachą, szafirowe płaszcze z czerwonym podbrzuszem w złote guzy, szafirowe spodnie z czerwonym lampasem i jadowicie żółte buty radowały soczystością barw. Tyko rękawiczki i pałki były białe. Reszta złoto, czerwień i szafir. Zrazu dostali nazwę bazantów lub gili, potem, po spopularyzowaniu się litewszczyzny "galakutasow". Do upadku smetonowskiego reżimu dawili wileńską ulicę.

Dopchaliśmy się z tatą crossem przed gmach P.K.O. na trybunie kilku starszych panów w cylindrach i melonikach, generałicja i kilkunastu wyższych wojskowych oczekiwało na paradę armii. Uniformy ~~nie~~ też były barwne, choć nie tak bogate jak policji. Białe lub czerwone podbrzusza zdobiły sukienne zielone szyniele.

Gotowe do defilady oddziały stały na przecięciu Mickiewicza i Wileńskiej. Oficerowie w okrągłych czapkach, żołnierze w ozdobnych polowkach. Czoło stanowili rowerzyści. Orkiestra zagrała marsza gladiatorów. Smetana przygładził szpicbrodkę, a naczelny wódz gen. Naškūtis zapewne wspiął się na palce, bo nagle podrosł o parę cali.

hychło opadł na poprzednią wysokość. Nawet niżej. Bezmała na wysokość balustrady.

Na zielonym moście zadunali czołgi. Wjechały w wileńską, potem w Mickiewicza w stronę Katedry. Szczękając zerazem sunęły przed trybuną. Prezydent, rząd, naczelny wódz, sztab - nikt nie odpowiadał na pozdrowienia wycnionych z wlezy czołgistów. Wszyscy mieli zamurzone oblicza. Niektórzy dygnitarze nawet wystarszone, choć potężne działa osłaniały pokrowce. Na pancernych płytach czerwieniły się gwiazdy. Rum

szalał z uciechy. ⁴ - 59 -
Niasał tym mocniej, im bardziej posępniały twarze na trybunie.

Po godzinie przemarsz ustępujących wojsk znuczył się nawet władcom.
USSR szturchnął mnie w bok.

- Człowieku! oni w kółko te same maszyny przepuszczają. Ten numer już
wiedziałem..

- Toś pan ostry! - rzucił sąsiad - my już dawno to wiedzieli. Na tym
polega cały gips.

Tata uros cnieł się obrazić. Ale sąsiad przyjaznie rypnął na niego
okiem.

- To wszystko guzik. Zobaczysz pan co nam Litwiny pokażą. Czoię na
dwadzieścia sześć osób załogi..

- Na ile? - zawołał nieufny wielkopoleśianin.

- Dwadzieścia sześć. Jeden kieruje a dwadzieścia pięć pcha.

racjonalistę nagrodzono ^{smiechem}. Zaraz wyskoczył drugi:

- Musisz pan wiedzieć, że ^{przed} przekroczeniem granicy Litwiny zajądły od
Łotwy pożyczki.

- Czego?

- Czoię ow. A Łotysze pytali się ile - dwa czy wszystkie trzy.

Znow śmiech i znow jeden dowcipny:

- Mają oni swoje, mają. Nawet własny krążownik cniełli holować wliję z
rolągii. Tylko dykty zbrakło na łatanie dziur. Wszystkie poszła na te iczne
tanki.

- Popatrzcie jak szpicbrodka pomarkotniał!

- Jeszcze mu winno bokiem wylezie.

powrotnie zabrzmiał marsz gładatorów. Ruszyły wojska pancerne. Tym
razem rodzime, litewskie, na rowerach. Dalej, oddając radosne podniecenie
widzów pokulały się tankietki.

- Jeden, dwa, trzy - liczył tata uros.

- Butow pan mozesz nie zdejmowac. - wtraci ktoś z doku.

- Więcej buzikow w konnie nie było. nie było z czego przerobic!

[Maszyny faktycznie obracały się jak na zegarowym mechanizmie. Jakies żurowe, zębate koła przesuwaly gąsienicę. Piechota prezentowała się bardziej bojowo. W niemieckich niezmach, w niemieckich butach i z niemieckimi mauserami. Paradę zamykała kawaleria. Konie były równie spalone co ich jeźdźcy. Całe widowisko trwało dwadzieścia minut. Widowisko, na które miały, ale męzny naród czekał dwadzieścia lat.

Miasto wieszczą, - rzecz jasna, historyczne wydarzenie uczcilo poematem. Narodził się w kilka dni po wstąpieniu Litwinow. Pamiętam niestety tylko początek, zaczynał się od słów:

"Swoj wjazd triumfalny wciąż odkładali,
do w dzień się wstydzili, a w nocy się bali..."

powrociliśmy do domu rozpowieni, nie przewidując, że dalsze obcowanie z nową władzą nie będzie takie wesole jak pierwsze zetknięcie.

po południu tata gros jeszcze raz wyciągał mnie na spacer.

- nie zwiedziliśmy jeszcze sw. Anny, Piotra i Pawła na Antokolu, nie byliśmy na Rossie.. - mówił

- Jeszcze zdążymy. Teraz napewno nikt kościołow nie pozamyka. Litwini katolicki narod. - odparłem

Więcej nie nalegał.

A ja nie miałem pełnej racji. Świątyni co prawda nie zamknięto, ale w najbliższą niedzielę ^{wyjechał} ~~wjechał~~ w katedrze ^{bitwy} ~~bitwy~~ za Żeligowskiego, za "marsz" na konno, za "wozów prowadz". Dotąd nikt nie bronil nabożnym Wiolinom konczy modlitwy odspiewaniem "Boże coś Polska". Węc i tej niedzielą zaintonowali a bracia Litwini wzięli się do bicia. Kto komu więcej dołożył trudno ustalić. Jak zwykle kronikarze obu walczących stron rozny co do tego wydali sąd. W kazdy raz pierwsze ofiary polsko-litewskiego antagonizmu były. Mlikunastu Polakow powędrowało za kratki.

nie długo potem na Łukiszki trafili sztucacy. Za buziki. Karczunek

wszystkiego co poiskie zaciął się na uczniowskich piaszczach. Przykazano ooszyć olaszane guziki. Dlaczego? - perkunas raczył wiedzieć. Jednak mocoawcy dopatrzyli się w nich manifestacji patryjotycznych uczuc i sztubacy tak to przyjęli. Rozgorzała walka i w rezultacie kilkadziesiątciu opornych młokosow zamknięto do więzienia.

Tymczasem prawdziwa manifestacja polskiej ludności miasta nastąpiła 11-go listopada. Nto żyw spieszył na noszę. Omeniarne wzgorze zaroiło się od ludzi. Piętę z napisem "matka i serce syna" pokryły jesienne kwiaty. Składano wieniec z biało-czerwonymi szariami. Narcerze opuścivszy paski pod brody zaciągnęli wartę. Śpiewano patryjotyczne piosni. Ratrole litewskie oocnożliły tylko przylegie ulice, ^{odkąd} ~~postrach~~ jeden śmieiszy został zmuszony do odwrotu lawiną kamieni.

represje posypały się nazajutrz. Nowi więźniowie przekroczyli bramę Łuklszek.

Wojna pomiędzy litewską administracją, a polskim społeczeństwem wina objęła całe miasto. Była to wojna totalna. Walczyli mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy - słowem wszyscy. Każdy dostępnił sobie środkami. Gospodynie domowe zapowiedziały objedzenie Litwy. Rzuciły się na sklepy z zachłannością wyłobniając wliczyć. Walczyły pod hasłem: "Zjemy śmietana, zjemy masło i kasza. Była, jest i będzie Polska nasza". Włestety poniosły, porażkę, bowiem wrog dysponował zapasami znacznie przekraczającymi ich zdolność nabywczą. "Maistasy" "kutty" i inne "rienocentrasy" wymieniały produkty wyłącznie za walutę smetonowskiego reżimu.

Nie wzięły także pod uwagę wysoką kulturę litewskiego rolnictwa. Włies litewska nie znała kartowatych gospodarstw. Konsekwentną reformą rolną ~~dała~~ dała rolnikom areal pozwalający na wypracowanie poważnych nadwyzek, których zoyt zapewniała prężnie prowadzona spółdzielczość. Litewskie pekony i przetwory młeczarskie wyplerały skutecznie polskiego konkurenta z zagranicznych rynków. Konkurowały nawet z Danją. Wojna paraliżu-

jąc eksport umożliwia przerzucenie nadwyżek na wygłodniałe wino. Wygłodniałe, ale bledne, bez litow, bez centow.

Dopływ srodkow piatniczych do rąk osiadłej ludności miasta hamowały skutecznie polityczne dyskryminacje.

Polakow podzielono na trzy kategorie. Obywatelstwem unonorowano wyłącznie zamieszkujących odzyskane tereny nieprzerwanie od roku 1929, oczywiście przed puczem zelligowskiego. Ci, jeśli ongiś nie przyczynili się do oderwania Litwa od macierzy, mogli wnioskować o "pasas" i liczyć na część praw. Był to bardzo znikomy odsetek ludności. Większość poza tem samorzutnie rezygnowała z obywatelskiego poprawia. Ciownie zamozniejsi i bezzietni i optymści, ktorzy szauilsom prorokowali panowanie najwyzej do wlosny.

ran Vitalis Rawłowicz po wewnętrznej rozterce i pierwszej w życiu burzliwej rozmowie z małżonką złożył wniosek w policji. miał na utrzymaniu trojkę dzieci i nauzleję na zwolnienie pierworoadne z obozu internowanych. ^zWzleję jak najbardziej, ^{plomna}~~zawazni~~, poniewaz rząd antanaszometany nie zamierzał wypuscic obywateli, ktorzy pokatili się służbą we wrogiej armii. wiadek powrocil do domu dopiero po przyłączeniu państw bałtyckich do kraju nad.

Corzko przgzywał malenki prowizor swoją decyzję. przez kilka dni nie wyjmował z ust wisniowego cybuchu. dzień, w ktorym przyniesi paszport z wochnym znakiem rogoni był czarnym dniem dla rodziny. nawet mama nie krzyczała. dzieci plakały. wieczarem urznął się. ze mną. aptekarskim spirytusem. Wskazując palcem rubrykę tozsamosci zalosnie pociągął nosem.

- Widzisz pan co ze mnie zrobili, kim zostalem?... kark rawłowicjus jestem. Vitalis rawłowicjus. Świnia jestem - pan rozumiesz..

rocieszalem jak umiałem. Najbardziej trailł mu do przekonania argument, że gdyby nie ten dokument "narodowej zarady" nie pilibyśmy teraz

wodki. Nie pracowałyby w aptece, nie byłoby zrodzia. A apteka ubezpieczala ni społeczną, na Mickiewicza posiadała pokazy zapas.

Czego jak czego, ale przyrostkow "as" i "is" nie skąplono nikomu. Udarzano hojnie i nowych obywateli i cudzoziemców, ba nawet uchodźców. mnie też się dostało "is" na doczepkę do nazwiska wypisanego na atescie "karo pabegelis" /uchodźcy wojennego/. Nie uolałem nad tym tak jak pan Witalis. skoro mógł być Stalinas, Czerczilis, Nitieris czemu nie miał być Maśewskis.

"karo pabegelis" oznaczał pariasa. Rozdawiony wszemkacim praw żył z litosci lub cnarytat, wnej opieki komitetu Uchodźców. w nieduzo lepszej sytuacji znalazła się przytlaczająca większość ludności miasta, z ktorych zrobiono cudzoziemców. ~~nikt~~ "švetim šalis" nie mógł pracować w urzędzie, ani w żadnej instytucji państwowej. ^{Wobec} ~~Wobec~~ braku znajomości języka gdzieinazie, praktycznie też nie. mógł być pracownikiem fizycznym - to wszystko. Onyba że jako przekupien posiadał na rynku stragan lub niewielki handelek, jakąś piekarnię czy warsztat.

Cios litewski wylądował z precyzją - na żołąku. Zamroczeni przeciwnicy bronili się zaciekle. Handlowali walutą, spekulowali, prowadzili ozywioną wymianę wieś-miasto, dezorganizowali potencjał gospodarczy Litwy - jak umieli. A umieli nie najgorzej. Korumpowali urzędniczy aparat przekupstwem, wciskaniem łasym na antyki sprytnie podrobione dzieła sztuki, stare meble, wyroby ze złota i tombaku. Żył. Wlektorzy nawet dostatnio.

Jednak najcięższą i najbardziej odczuwaną przez wroga bronią była pogarda. "sałakutasow" nikt nie oszczędzał. nawet dzieci. Opływali szafirowe szyniele policjantów, tłukły uliczne latarnie, smarowały drzwi litewskich mieszkań i sklepów smołą, dziegciem lub czymś zgora gorzym.

Kiedys wdziałem jak pewnen orzduć w jednej rączce trzymał patyk, a w drugiej kilkadziesiąt monetę i tłukąc zapamiętałe po państwowym góle le pokrzykiwał:

- do rowna, do rowna... wylwa, do rowna!...

3. Karo pabegelis

/nosząki opaki.. o tym jak mama Gros zarekwirowała gacie angielskiego policjanta, a potem przyszedł głód i mroz i jak nie pojechałem do Szwecji,

Z kolei zostałem oczywiście wylany. Tata Gros również. Za dwudniową służbę wyliczono dwa czy trzy lity. Pierwszy zarobek w życiu nie był oszałamiający. Zasilił wspólną kasę tułaczę, rodziny. Bardzo, bardzo nie zasobną. Mychło mama Gros nie miała co włożyć do garnka. Starczyło zaledwie na chleb.

Do chleba wyczołaliśmy wje trojkę. - Heniek, Lonka i ja. Do Lonka trzeba się było ustawić już o piątę rano. Ani wąskowsz szynel, ani ostrzyżona głowa nie budziły już patryjotycznych odruchów. Wiwianie protestowali gdy ktoś pchał się na chłama do przodu. Chlebo sprzedawała na lwowskiej ognista brunetka, córka plekarza. Upodobała sobie blondyna. Heniusz nie rzadko przynosił codzienny bocznerek. W tajemnicy przed matką raz po raz odpalał sąsiadka^m, ale nie kupił sobie tym łask ani starszej, ani młodszej. I jedna i druga wyróżniały zdecydowanie moją skromną osobę. "mama Pawłowiczowa bo byłem taki "oiedniemki, chudziak i sam", a Lonka - ilno ją wie dlaczego?..

Wyrzuceni z pracy zarejestrowaliśmy się w Komitecie Uczniowców. Wydano bony na obiad i obiecano zimową odzież. Miała nadejść z międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Odtąd tata Gros tak układał spacer, aby zanaczyć o plac Łukiski. Komitet urzędował w gmachu Sądu. Codziennie nagabywaliśmy o przesyłkę. Nadeszła w początkach grudnia. Ku rozgorączczeniu mamy Gros zawierała wyłącznie męską garderobę. Na mnie przypadł granatowy fińcz angielskiego policjanta i dwie pary nowiutkiej wełnianej uleilznej. Różkoszulek i gacie stanowiły jedną całość. Wkładano się jak komulnezon. Dostęp tam gdzie trzeba prowadził przez rozporcki. Powiększając rozgorączczenie mamy Gros nie posiadaliśmy się z radości.

- O kobiecie to nikt nie pomyśli. Do rodzenia dzieci i czego innego to dobre.. - skarżyła się.

- Zwłaszcza do tego innego. - próbował zartować tata.

- Ty chyba najmniej o tym wiesz! - odparła.

rotem nie wdając się w zbędną dyskusję zarekwizowała mężowi jedną parę. moja na szczęście okazała się za ciasna, a lenka za luzna.

Jeszcze przed świętami złapał mroz. okuł wody Wilji. Na zielonym moście wiatr zrywał nakrycia głow. nie było czym palić. Parę razy udało się podwędzić parę kantówek z pobliskiego sklepu, ale odką zyu spuszczał z łańcucha wieńkiego wilczura nie probowaliśmy już obuzowywać de-
sek w parkanie. mama gros szczękała sztuczną szczęką pomimo blizny angielskiego policjanta. nos poczerwieniał, posiniał humor.

starsi państwo do stołowki nie chodzili. w koszyczku, pożyczonym oczywiście u sąsiadów naprzemian z Heniem nosiliśmy zupę i kaszę, nieodmiennie kraszoną zjełczoną słoniną. Z Bazyliańskiej przez całe miasto grałował raz on, raz ja. Ale człowiekowi o duszy artysty szybko zoryła taka robota. znalazł amatora, z którym wymienił swoje bony na garkuchnię przy Zygmunto^{wskiej}. zawsze bliżej konserwatorium. Odtąd tra^{gałem}em o-
biady sam. dla cudzego papy i cudzej mamy.

Zaciskając zgrabiałą dłoń na pałaku koszyka myślałem sobie, że dobrze byłoby ją rozgrzać na tłustej gębie kolegi. Tymczasem przyszłość wykazała, że postąpiłbym niesprawiedliwie. stołowka na Zygmunto^{wskiej} karmiła wybrane jednostki - głównie ze świata nauki i sztuki. Absolwent klasy fortepianu poznańskiego konserwatorium znajdzi jakiegoś protektora, który wcisnął go do "Lutni". Heniusz został chorzystą operetki. w moim pojęciu posiadał głos nie szczególny, ale musiałem się nie znać na wokalistyce.

rod naszym dachem znaczenie jedynym urosło do wymiarów dyktatora. Robił co cnciał, a że cnciał nie wiele, chodzili na proby i nie więcej.
kach
Teraz już ja sam stawałem w kolejce po chleb - w awon, rano i wieczorem -
wyłącznie ja nosiłem wodę, zamiatałem pokój, myłem naczynia, starałem się o opał, znosiłem złe i dobre humory mamuski. wszystko dla sztuki! Camowi-
łem jedynie spacerow.

Niebawem znalazłem sobie może mniej doświadczonego od taty grosa, ale za to o ileż bardziej uroczego przewodnika po zauytkach Wilna.

Dostał mi się w ogonku przed "rienocentrasem"

Heniusz zazaądał za pierwszą część masła i masło musiało być. W tym czasie gospodynie wileńskiego jeszcze nie zrezygnowały z wygrodzenia litwy i ogonek ciągnął się przez całą roznanską i na dobre kilkadziesiąt metrów zawiąjał w zawałną.

trochę poclepiąło. Jednak wielogodzinne człapanie bezmała w miejscu nie rozgrzewało ciała. Około południa wcale przyjemna dziewczyna zaproponowała szklankę herbaty. Zapowiedzieliśmy z przodu i z tyłu nasz rychny powrot i poszliśmy do niej na czaj.

była niewysoka, raczej wątła, żadna piękność, ale poważna urokiem kszalswoich siedemnastu lat. I herbatę parzyła pyszną.

mieszkała z ojcem, profesorem jakiegoś warszawskiej uczelni. Wyglądał na żyda. Spoglądając na ojca w córce również wykryłem wiele cech swoich, dla ~~sewulckie~~ ^{tej} rasy. Zajmowali słoneczny pokój w srodmieściu. Rzeźnicowa-ny meblami, walizami i kufkami świadczyli, że lokatorzy nie zamierzają przebywać w jego ścianach nazbyt długo.

Wdałem się w rozmowę ze szpakowatym mężczyzną. Ujczym by jak nie o wojnie? On pierwszy rozwiął moją naiwną wiarę w jej szybkie zakończenie.

- Wojna się dopiero zaczyna, proszę pana. - powiedział:-nie objęła nawet jeszcze obszarów, na których według mnie doczeka się zakończenia. Ja liczę na jakies pięć lat.

- Pięć lat! - zawołałem ze zgrozą.

- Jeśli nie więcej. Nie jestem kassandra, lecz moim zdaniem ogarnie cały kontynent. Może i inne kontynenty..

- Litwę też?

- A coż to Litwa! W tym zakątku Europy nie ma miejsca na neutralność. Kto chce na uboczu przeżyć wojnę musi szukać gule inaziej, schronienia. Dziewczyna miała dość "uczenych" wywodów. Dopiliśmy herbatę, zaora-

liśmy z talerza resztę kruchych ciastek i pomaszzerowaliśmy front wal-
ki o masło. Był już wieczorem gdy zobaczyłem kostkę. Tym razem nie zło-
rzyłem nienkowi. umówiłem się z nią na jutro.

Oczekiwała w domu. znow częstowała herbata i kruchymi ciastkami.
rottem poszliśmy na noszę.

biękałiśmy się między grobami. śnieg chrząścił pod stopami. krzy me-
gile wyrokami objąłem ją w poł. wysunęła się z ramion.

urobowiec riksudskiego poarywały zeschnięte i zwiędłe kwiaty. z XIX
wiency ktoś skrupulatnie poro,wał biało-czerwone szary. odgarnąłem
śnieg i białe. Przechytałem dwudziest szwackiego: o burzy i orie na
skale.

- Czy on faktycznie był taki wielki? - spytała

- Czy ja wiem.. chyba nie?.. inaczej byśmy obecnie wyglądali.

- Ale cnciał dobrze.

- A tam! dobrze.. ja też cnciałbym pamięć pocałować, a nie mogę.

- Dlaczego pan nie może?

profesor wcale nie zrobił zdumionej, miny gdy po powrocie mówiliśmy
sobie na ty. Wojna wywrocila nie takie obyczaje, jak skromność dobrze
wychowanej młodzieży. Wyrzeki się jednak codziennej kawy u strala. śle-
dział z nami do wieczera. Oczył się szwedzkiego. później zauberai nas
z sobą.

kawą poił stral winian w trzech lokalach. w zlekonym na mickie-
cza, w czerwonym rowniez na mickiewicza, ale bliżej, katedry i w małym
stralu na Wielkiej. rolacę raczyli się turą w czerwonym i małym. w tym
ostatnim przeważnie aktorzy, iltaraci i muzycy. nie przed porudniem moż-
na było zobaczyć kurnakowicza, semporinskiego, szpinańskiego czy ferza-
nowską rowniez przez witrynę na rogu placu katedralnego.

"Zielonego" okupowali Litwini - przeważnie oficerowie. czasem wpa-
dł jakiś wojskowy z jednostek radzieckich, które stacjonowały na Litwie
na mocy porozumienia z rządem emetany. Ci zamawiali wyłącznie herbatę.

Parząc sobie wargi szybko opróżniali szklanki i znikali. Czuli się nie swojo w obcym towarzystwie. ~~Wszakże~~ Jeden zamówił ~~my~~ ^{wszakże} oawagą i spokojem. zamówił do herocyty ciastko. "Jakie same" jakie zobaczył u sąsiada. przyniesiono napoleonik. Cukier w kostkach schował do kieszeni. Dupał połowę gorzkiego płynu. do reszty wpakował ciastko i rozbeitał nic sobie nie robiąc z ogólnej wesołości. zjadł z apetytem.

rozodawiony do łez wtrąciłem swoje à propos. opowiedziałem o innym, który w drogerii kupował przy mnie smoczki. Widać jak jakas kobiecina pada przed kupnem mia zębami elastyczność gumy zazębał od ekspedientki:

- Dla mnie to samo. Dziesięć sztuk.

- Dlaczego tak dużo?

Nic

- Kierzę się sobie, niech będzie..

Na ulicy wyjmował z torebki sztukę po sztuce i zując zapamiętane ~~gum~~ zdrowymi zębami wykrzywił twarz z dezaprobatą. rozryzioną gumę wypluwał w rynsztok.

- Wot obman! - mruknął po ostatniej sztuce. - madość takie koniety. ^{krocie} o zachowaniu się i perypetiach radzieckich obywateli krążyło ~~szkła~~ anegdot i dykteryjak. Jeune oparte o autentyczne wydarzenia, inne zrobzone w wyobraźni, wyobraźni kresowiaków. Wilno śmiało się z komisarzkich zon, które zaprezentowały w teatrze nabyte u Jabikowskich nocne koszule, z fabryk słoniny, pomarańczy, kawioru, z wszystkiego czym się chęci-wspomieniami pili zaopingowani ~~przezankikami~~ mieszczuchów o "dourych" przedwojennych czasach.

- A nęzę macie? - indagował ktoś bardziej dowcipny.

- Nu kakze! mnogo!.. Daze eksportujem. Iri eszerony k wam jedut..

- usłyszał ponoc w odpowiedzi.

profesora wcale nie ubawiła moja anegdotka. zamyslił się na moment, a potem powiedział poważnym głosem:

- No coż, naiwni są niewątpliwie. Jak dzieci. Ale wszysko, co mio-de co dojrzewa i się rozwija jest pocieszne. Orzeł nim poszyouje w prze-stworza) jest nieporadnym, nieopierzonym pisklakiem. motył wyrasta z poci-

warki. Nieporadność młodości jest być może pocieszna, ale niedołąstwo starości jest zawsze tragiczne. Kto chce się śmiać, niech się śmieje. Krzysłowie mówi, że ten się dobrze śmieje, kto się śmieje ostatni.

Pewnego razu zaprosił nas na buzę i chałwę, napój miał smak musującego celuloidu. Ale w "Jugosławii" poraz pierwszy zobaczyłem tamarę. Na długo miałem pozostać pod jej urokiem. Oczywiście byłem bez żadnego szans. Zabiedzony cudeusz, w Irenczu po atletycznym "sooy", z wystrzyżonym łbem i co najistotniejsze bez grosza przy duszy nie mógł zwrócić na siebie uwagi jednej z najpiękniejszych dziewczyn wina. Takich katusów jak ja kręciło się po winie tysiące budząc początkowo litosć, a potem zniecierpliwienie. Właśnie zniecierpliwienie błysnęło w dużych ciemnych oczach, gdy dostrzegła mój cielejący zachwyty. Przy naszym stoliku cudeca, bladawa dziewczyna także nie okazała zadowolenia z mego oszołomienia.

- Piękna kobieta - prawda? - powiedziała cierpko.

profesor wzrokiem krotkowiedza przeciągnął po sąli

- kto? - zapytał

- Ta pani otoczona wieniec litewskich oficerów - poinformowała.

Zwrócił okulary na Tamarę. Patrzał przenikliwie i uważnie.

- Wyzywająca. - orzekł.

- Ale skąd? - zaprotestowałem - każda piękna kobieta robi takie wrażenie..

- Ujciec ma rację. Dość spojrzec jak mizarzy się do tych swiniopasów. - przerwała krotko Haneczka.

była niesprawiedliwa. To wojskowi umizgali się do sileznej, dziewczyny. Rozmawiali po rosyjsku. Ona uśmiechała się, przyzwalającą do ich słów. Tropkiem później ten uśmiech po placach, ulicach i zaułkach. Ale do mnie nie uśmiechała się nigdy.

Najdalej, za tydzień wracaliśmy z Rossy. Moja wążka panienka postępowwała smutna i milcząca. Nazajutrz wyjeżdżała do Szwecji. Profesor nie ufał w neutralną Litwę. W bżamie powiedziała cicho.

- Nie zajdziesz pożegnać się z ojcem.

Tym razem profesor przeirymarczył cnotę córki za dużą czarną. Ostatnią na wileńskim bruku.

rozegnania najlepiej wypadają bez intruzów.

Tak jak nasze. wzruszające, czułe, odwołujące się do trwałej pamięci.

- Nie zapomnę cię nigdy, przenigdy! - mówiła - z tątą zaraz napiszę. Ojciec ma ogromne znajomości. Napewno za parę tygodni spotkamy się w Göteborgu..

ⁿ
Zapomniała.

Nie napisała.

Do Szwecji nie pojechałem.

4. Hej kołoda, kołoda!..

/ Koszałki opałki.. o domowych porządkach, radościach wigilijnego stołu i niejakim baranie, który był "pies" na sprzedawczyków./

Pierwszą wiadomość z Poznania otrzymałem pod koniec listopada. Rodzice narazie mieszkali na Starych Smieciach. Byli zdrowi. Kartkę przyniósł jakiś nieznajomy osobnik i za fatygę zaządał dwa litry - majątek! Chciałem dać swój koc, ale tata gros nie pozwolił. Sam kupił odemnie.

Między innymi dowiedzieliśmy się, że ~~ta~~ pan Michalowski odwiedził rodzinę i podał moj wileński adres.

Do kilku dniach nadeszła kartka pocztowa.

Mama gros natychmiast zadysponowała z mężowskiej skrzynki 20 centów na odpowiedź. Pocztowcy podyktowali po niemiecku, że jestem zdrow i cały, wiedzie że ~~przekazali~~ mi się bardzo dobrze pod opieką dobrych ludzi, którym winien dożygonną wdzięczność. Dalej, na trzech czwartych pocztówki apelowałem, aby za wyświadczone dobrodziejstwa rodzice jak oka w głowie plinowali mieszkania przy ulicy Kolejowej.

Przez kilka dni czułem się jak mezus. Ojciec bowiem donosił nieobawem że na koniulance czeka mnie ogromna fortuna. Jakis speudtor ze Śremu miał ^{do} tam krewniaka, którego przed wojną wyekspeulował medlowe wozy. Za swiadczenie udzielone mu przez ojca wileński pociot, po splenięzeniu taboru powinien wypłacić większą sumę pieniędzy. Po otrzymaniu transferu papa gros owśiadczył, że koc mogę znów uważać za swoją własność.

Postąpił pocnópnie i naraził się na gorzkie wyrzuty żony i syna. Okazało się, że wozy do wina nie dojechały i z koniulanki przyniosłem parę wełnianych skarpet i jedną koszulę ze sztywnym kołnierzykiem. Kołnierzyk podarowałem Henkowi, bo sam nie posiadam ani krawata, ani spinek. Artystycznie przydał się pounosząc splendor wśród chorzystek operatki.

Jednego rana mama gros nie odzwiągnęła się z siennika. Zęby moczyły się w szklance, a ona szczykała klikoma ocalałymi plenkami. Henko zoadawszy puis orzekł bardzo wysoką temperaturę. Diagnoza syna zapoczątkowała serię jęków. Rozpaczliwych i tak donosnych, że wdarły się do sąsiadów. Przybleg

ła Pawłowiczowa, jej wąż, mąż, dwie córki i synek. Zgodnie stwierdzili grypę. Prowizor zaaplikował proszki i na poty.

- Jak tu się wypocie w takiej psalarni. - odprawi rzeczowo tata uros.

Celna uwaga wywołała konsternację. Pan witał się jak zawsze w barażach, truanych sytuacjach odwołał się do małżonki:

- Co myślisz Maryniu. może by odstąpić państwu pokój po wiaduku. Chłopaka nie ma..

- Nie ma, ale będzie! - urwała tęga niewiasta.

ro cniłi dodała:

- A zresztą pal diabli!.. Prosimy! Pomieścić się pomieszczą. riec wspólny ze stołowym, to i z opatem biedy nie będzie..

Przenieśliśmy się wieczorem. ro dwóch dniach Grosowa wydobrzała i rozpoczęła wstępne manewry dla okupacji kuchni. Początkowo gospodyni odgałelizowała agresję. Sprawy kulinarne prowadziła starsza córka. Matka wydawała tylko ogólne dyspozycje i raz na dzień, wieczorem, przeprowadzała inspekcję. Sama aprowizowała rodzinę, od świtu do zmierzchu wystając w kolejkach. Obok prowiantu przynosiła najświeższe i najbardziej wiarygodne wiadomości.

ro kolacji ona podawała serwis lokalny, a ja zagraniczny z radiowego nasłuchu dochodząc do jakiej takiej wprawy w tłumaczeniu z francuskiego. Tym łatwiej, że komunikaty ciągle mówiły o przygranicznych utarczach patroli.

Z własnej i nie przymuszonej woli zaczęłam odtąd przynosić wodę również i dla drugiej rodziny. Za dobre serce panny Loni. Okazywała je na kanapie pod ściennym zegarem. Przeważnie przed południem, kiedy dom opustoszał, kiedy młodzie dzieci uczyły się dzieł wleklej litwy, na mg konspirowała przed rzeźnikiem przeciw tej wielkości, a ojciec kręcił pigułki przeczyszczające dla obu antagonyzujących stron.

Córka udzielała poczętny rodakowi-tułaaczowi i lekroć zegar wybił godzinę podrywała się z kanapy:

- Jezusie taki bałagan! - wołała

Chwytała za miotłę. Zaczynała porządkować od okna. W pobliżu otomany wypuszczała szczotkę, aby oderwać z bicder nie swoje ręce. Czasem to się udawało, ale rzadko. Za następnym uderzeniem zegara historia się powtarzała.

Wzdychając około południa wybuchła panika.

- Jezusie, ziemniaki nie obrań!..

Volens volens brałem się do sprzątanía, a ona biegła do kuchni. Wywijając szczotką nie najgorzej. Najbardziej pracochłonne było porządkowanie sypialni. Dochodziło ślanie łozek, zwiżanie brudnej bielizny i skarpet i inne raczej kłopotliwe obowiązki.

Wtedyś przydygotała mnie Grosowa. Zapisała jak szczur.

- Ostrożnie! .. do rozlejesz. - parsknęła

faktycznie. Potknęłem się o próg i rozlałem. Waskała w głowie.

Z kuchni wyjrzała Łonka.

- Pani tu czego!? - natarła na sublokatorkę.

- Niczego.. chciałam powieźć "szczęść doze". "szczęść doze w pracy". Muszę powieźć mamusi jakąś to ma pomoc w gospodarstwie.

Od podmuchu kuchennych drzwi zachwiał się samowar.

Grosowa dotrzymała słowa. Ale gospodyni w zamoczeniu podłogi nie dopatrzyła się niczego złego. Pouczyła donosicielkę, że dobrze się dzieje, gdy człowiek plinuje swojego nosa. Zostają skruszone pierwsze kopy.

Od tego dnia asystowałem pani domu przy drugim śniadaniu. Obłożne salcesonem pajdy chleba zapijałismy herbata z suszonymi malin. Do kubków mama Rawłowiczowa wrzucała pokaźne ilości sacharyny, wyjaśniając tym samym źródło obfitości naczyń z jechnym uchem.

Rawłowiczowa do śniadania nie słała wiochnatej pliotki ani granatowego obszernego ciasta. Po przekazaniu córce prowiantu na obiad i fachowych kulinarnych porad niezwłocznie wracała w kolejkę, ktorycn-

jak Bóg na niebie - nie już od dawna nie bywało w mieście. w sklepach nie widziało się nadmiaru kupujących. Mięso i wędliny dostarczała służąca i kochanka w jednej osobie rzeźnika Cukrzy, który kasarnię prowadził w naszym domu. Jednak aprowizacja rodziny pochaniała pani aptekarskiej iwią częśc dnia. bezustannie krążyła na odcinku między Zielonym mostem a kalwaryjskim ~~maxim~~ Rynkiem.

Drugie śniadania uzupełniały mój organizm w te ilości kacerii, które rodzina Grosów przyswajała sobie z wyłączeniem przybranego syna. Po drugim narodzeniu, poza obiadami, przeszedłem na pełen wiek mamy Rawiowiczowej.

Święta wypadły okazale. Pomimo zarysowującego się konfliktu wszyscy domownicy i goście zasiedli do wspólnego wigilijnego stołu. Pod obrus wsunięto siano. Dzieleno się opłatkiem. Wjechała zupa grzybowa, ryba, kluski z makiem, gotowana pszenica, śmietniki i kompot na suszonych śliwkach. Zestaw potraw o mała nie przyprawił o kolkę mamę Gros. Unichotała i tak aby słyszano szeptała w ucho pani Nowotnej, o struciach, lukrowanych babkach, plernikach, piacku z kruszonką na palec, orzechach, młocach, owocach połączonych i innych delicjach, od których w takim dniu ugina się każdy poznański stół. "Tu jakas bułka - ani to siocnie, ani pulchne.." może by doszło do poważniejszej kontrowersji poznańsko-wilenskiej gdyby nie koleży i dostatek aptekarskiego splitysu.

Alkohol perlił się kroplami potu na łysinie taty Grosa, który przewyższał innych zaradnością religijnego planu. Melodję prowadził oczywiście nenio. Pan Nowotny przytupywał do taktu.

Nowotnych wyrzekał tata Gros w Komitecie pomocy uchodźcom. wielkopoleanie, rodem z pod pniew, od paru lat zesłani na kresy wędruje kłakły wykoncypowali, ze korzystniejszą uchodził za "karo pabejellsa" niż za jakiegoś tam "śvietim śalls". Energetyczny, a do tego oddarzony handlowym sprytem plutonowy wojsk polskich potrafił zawsze coś zarobić, ale z charakterystycznego wsparcia też nie należało bez powodu garzić. zamiast gnić

- jak inni - w jakimś stalagu pomagał zonom kolegów upłynnić meble, garderobę, pościel. Nie jeden Jeniec zawdzięczał paczkę oborotności D. pułtowego 1-szego popelegu. Teraz ~~xxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxxx~~ wznosił toast "kochajmy się!" i nie zważając na poszturchiwanie połowicy spraszał wszystkich do siebie na pierwszy dzień świąt.

Do każdego kieliszka nastroszył się barażel, oraterski i można powiedzieć - podniosły. ~~xxxxxxxxxxxx~~ przestawały dzieleć odęte zwyczajem, nikogo nie drażnił twardej lub miękkiej akcent w wymowie.

Około północy wszyscy, jak jeden mąż, rzucili się do gaszenia czoinki. Przewoźnik się przewrócił, lecz wbrew tradycji i ranka nie spłonęła. Nie doszły podpalać scnował się pod łozko i nie cniłać wyjsce chociaż obolecano mu amnestię. Płaczliwym głosem domagał się cukierkow.

- Nie tylko słodycze. Skaranie boskie z tym chipaklem! - skarzyła się na beniaminka rawiowiczowa. - Suche to jak patyk, a jesć nie chcę...

- Baćka też nie Herkules a żyje - wtrącił pan witalis.

- żyje i pije! Kochajmy się! - zawołał pan Nowotny unosząc kieliszek.

- Święte słowa! Na zdrowie miłych gości..

Udoby zdrowie mierzyć ilością wypitej wódki obecni doczekali by sądziwych lat matuzalema. Tymczasem już ~~prze~~ po północy zaniemogła Lonia. Szkodziła lanarynka. Zanim dobiegła do ziewu karmelek łącznie z innymi frykasami wigilijnego ~~stanie~~ wieczerzy wypadł na samowar. Córkę wyprowadził do kuchni dobry ojciec.

~~xxxx~~ wrócił z mokrą szelką. Zaledwie jednak przeciągnął po posadzce potknął się o niego lenius. Chcąc nie chcąc ~~za~~ musiał zaniechać podłogi, aby zająć się własną głową. Najtrudniej było wyczesać siezyki.

Niedyspozycję syna wytłumaczyła mama gros:

- On nie może patrzeć jak innym roci się nie doborze. Zaraz mu się uodziła. Już od małego był taki czuły.

Inni na szczęście byli barażel, odporni, lecz i oni z nadmiaru emocji odczuli znuzenie.

- Prosim na jutro do nas! - przypominał na pożegnanie pan Nowotny przy milczącej aprobacie małżonki.

Pan Witalis dyżurował w aptece, Łolka cierpiała na ból głowy, a rawłowiczowa poprostu odmówiła pojęcia. Chciała uniknąć upokorzenia jakie musiałaby przeżyć porównując swoje przyjęcie z wystawą, która ponoc leżała w zwyczaju wielkopolan.

Nie było się czego bac. Sam piasek, a nie kruszonka był na palec. I wszystkiego ledwie na ząb. Do picia cienka kawa i jeszcze cieńsze wino owocowe. Za to był pan baran z synami.

(Także wielkopoleńszczyzna, z pod Jarocina, podobnie jak Nowotny rzucony na wileński bruk "ukazem" żydo-masonskich rządów. Jak dotąd ciągle jeszcze wozny bankowy. Łysy jak ostatni marszałek polski, którego z carem duszy nienawdził, wogóle nienawdził wszystkiego, co kłóciło się z polityczną myślą Dmowskiego. Trochę zyczliwości darował jeszcze tylko Dowbor-Muśnickiemu. Wszystkich pozostałych przwodców, wodzów, mężów stanu ładował do jednego żydo-komunistycznego worka.

Cały wieczór gromił kłobuzów i zdrajców nie dając nikomu dojść do słowa. Były podoficer pierwszego pułku legionów nieśmiało próbował doprosić się o łaskę dla "dziadka", ale ^{został} zagłuszony uderzeniem pięści w stół.

- Już raz Polskę sprzedaliście! Drugi raz wam się nie uda!! - huknął pan baran całą mocą szerokiej piersi.

- Ja niczego nikomu nie sprzedawałem.. - tłumaczył się D. Plutonowy zapominając o bieliznie poniektorych jenieckich rodzin.

Roznie, okazało się, że pan baran też sprzedawał. routine informacje o redakcach, za które kupował łaskę smetonowskich pracodawców.

Pierwszy dzień świąt upłynął na polityczne dyskusji.

W domu zdałem gospodyni wyczerpującą relację z przyjęcia.

Nie posiadała się z radości.

5. Było do wiosny..

/ nosząki opaiki o sylwestrowej nocy i takich, którzy wierszem, muzyką i piosenką krzepili serca rodaków./

Nastroj świąteczny przeciągnął się do nowego roku. Wyparowały gązies wza-
jemne dąsy. Heniek obiecał nawet wprowadzić na rewelę sylwestrową. Byłem
~~tytu~~
~~szczęśliwy~~ wzruszony.

Litwini pozostawili "Lutnię" we władaniu polskich artystów. Swoje sztuki
wystawiali w teatrze na "Rohulance".

Zawsze kochałem teatr. W Poznaniu nie było tygodnia, abym z galerii nie
wyciągał szyji ku scenicznej rampie. A tu takie tuzy: Sempolinski, Kurnako-
wicz, Chmielewski, z miejscowych naimirska, wyrwicz, szczawinski, przykows-
ki, Dembowski. Zapowiedziano występ nanki urdoknowny. Pierwszy po ucieczce
z Warszawy występ pieśniarki zounwersował miasta. bilety rozsprzedano na
kilkę dni przed przedstawieniem.

Czy można się dziwić, że w noc sylwestrową kroczyłem ulicami wiina z
klekoczącym sercem. Na mickiewicza - wówczas już uedimino-ve - znaleźliśmy
się conajmniej ^{na} godzinę przed rozpoczęciem spektaklu. w ogrodku neniło po-
wiedział:

- Jak będzie portier Kasinski wszystko gra!..

był. mrucał, ale wpuścił. na widownię dostałem się przez kulisy. ro-
nęła w ciemności.

- Właż do ostatniego rzędu. nie pchaj się do przodu. rewnie i tak bę-
dziesz musiał stać!.. jeśli wogóle cię nie wyrzucą. - szeptał neniak.

Co za krzywda stać!? Byłem nie wyrzucili wisiałbym na zyrandolu. ro za-
paleniu światel postanowiłem uac nura pod krzesła. czekałem w nerwowym na-
pięciu, a kiedy błysnęły lampy zozaraniałem. weszli bileterzy. i onę zozara-
nieli na moj widok. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Oni surowym - ja
przepłoszonym. potem ktorys coś powiedział. inni parsknęli smiechem. ~~byłem~~
^{Nienastępliwie}
~~moja~~ moja osoba sprawiła im tyle wesołości. Nic dziwnego. W obszernej kapo-
cie, z wystrzyzoną pałą, przygarbiony, podmalowany strachem.

rodszedł jakiś wąsacz.

- Stan sobie tu pod ścianą. - powiedział - będziesz widział lepi jak te w rzędach. Ale wiency się nie szwarcuj, a to wyrzucim..

Za życzliwość chciałem wypłacić życzliwością.

- Dosiego roku! - powiedziałem jakbym miał przed sobą poznanikaa.

- Że co?..

- szczęśliwego nowego roku!

- wzajemnie.. wzajemnie.. byle do wiosny!

Zaczęło się.

Orkiestra zagrała parafrazę marszow. Co kilkadziesiąt taktow wybijala się wpleciona misternie melodia "warszawianki". nurytyna poszła w górę. Na scenę pozbawioną dekoracji wszedł wyrwicz-wichrowski.

- Witam państwa serdecznie ~~szczęśliwie~~ i życzę wesołej zabawy.. witam z nadzieją, że w następną noc sylwestrową będziemy śmiać się nie tylko w teatrze..

Wytrzymał znacząco skrzem powisną.

- .. byle do wiosny!

Odpowiedział huragan braw. stojący obok bileter grzmocił mnie po łopatce.

Ucichło.

Światła przygasły. Reflektor rzucał snop światła w jeden punkt sceny. kto deklamował, dziś nie pamiętam. natomiast słyszę jeszcze z początku pierwszej strofy: ~~xxxiabxamxaxarmxaxamixia~~ "uwaga! uwaga! przeszedł! no-ma trzy!".

rowiało grozą. widzowie skuliili się w krzesiach, jakby lada moment miał się zawalić strop. A przecież złowieszcze wezwanie to nie było nawet echo, to była już historia. Coz z tego!?!.. w uszach wciąż dzwonił ryk syren, świst bomb. przez przyknięte powieki oślepiła łuna. cisza jaka zapadła po słowach "niech trwa!" głuzyła bardziej, niż huk eksplozji. dopiero po chwili słuchacz zrozumiał sens tych słow.

i jeszcze jeden wiersz. splecione dłonie miały chyba symbolizować

mięczy ludzkie braterstwo. Może tak, a może nie?.. - nie pamiętam. Nie pamiętam także autora i treści utworu. Napewno była krzepiąca, podniosła, a jeśli dodać że recytowali Kurnakowicz i Chmielewski - to właściwie nic już dodać nie trzeba.

Potem pojawiła się ona. Pojawiła się w całym tego słowa znaczeniu. Wysoka, biała, jakby przezroczysta. Cała na czarno. W kapeluszu z szerokim rondem, długiej, obcisłej sukni, w rękawiczkach po łokcie. Zauważała się nie słysząc oklasków. Nie szukała żadnej więzi z widownią. Ni to mówiąc, ni to śpiewając snuła balladę o kobiecie opuszczającej umiłowane miasto. Każdy rozumiał, że śpiewa o sobie, że śpiewa o Warszawie. Śpiewała bez akompaniamentu. Że się wyraziłem!.. Śpiewała przy akompaniamencie rąk. Odnosiło się wrażenie, że gdyby przestara poruszać ustami, ręce same zoolają opowieść o napoju tragicznym, na pojty rzewną dzieje kobiety. Mówne, ale nie czułościowe, bez patosu, ale i bez taniego sentymentalizmu. Pierwszy raz od dzieciństwa nie wstydzikiem się też.

Jeszcze kilku artystów poruszyło strunę ludzkich uczuć, to jednak najgłębszy i najczystszy rezonans wydoobyła Hanka.

Wprawdzie na przerwę nie wychodziłem do hotelu. Nie oglądało się ~~szkielec~~ super-elegantów, lecz nikt nie wyglądał tak załosnie jak ja.

Druga część, znacznie dłuższa, miała charakter wybitnie rozrywkowy. Wyciskała łyż innego rodzaju, choć program trącił jeszcze czasem sentymentem, zadumą i liryzmem. Znowu śpiewała Ordonówna: "Meine liebste Mame", "Miłość ci wszystko wybaczy", a ~~między~~ na bis zaprawione dobotliwą kpina wezwanie do świętego Antoniego. Wszystkie to było mało. Artystka nie wypuszczano ze sceny. Nie pomagały wybraniające się gesty. Usłyszeliśmy do słów mówiona: "Ja śpiewam piosenki".

A potem wzięła nas w obroty podkasana muza. Orkiestra grała Straussa, Lehara, Kalmana, śpiewał chór i soliści. A w chorze Lenius. Nie będąc dumy patrzyłem na pyzată gębę kolegi drepzącego po tych samych deskach co Ordonówna, Kurnakowicz czy Sempoliński.

Z solistów występowali teraz: Lemkowski i Irzykowski, szczawiński wykrzywiając usta zawodził "Lzis musisz mi dać", spiewała i gwizdała Halmirska.

Ta ostatnia objęła stolec primaconny po Kuczyńskiej, którą po zamknięciu uprowadził do koszi jakiś radziecki oficer. O Halmirskiej krążyła pogłoska, że jest łysa. Własne włosy straciła ponoć w jednym z miejscowych fryzjerskich zakładów. Tak w każdym razie utrzymywały zaocznie przeciwniczki wiecznej ondulacji. Dodawały ponad to, że aby się zemścić na partackim cyrniku przez jakiś pewien czas publicznie, na scenie ściągała perukę i wieszczyła winniakom groźne memento: "tak cię urządzi zakład obywatela A". Ile w tym prawdy - bo, raczy wiedzieć! w noc sylwestrową roku raskiego 1940 nie mściła się na żadnym rzemieślniku, zaś odległość w jakiej się znajdowałem od rampy wykluczała rozstrzygnięcie trapiącego dylematu: peruka czy naturalne włosy.

A zresztą artystka demonstrowała taki humor, temperament i werwę, że trudno było skupić się na poważniejszym zagadnieniu.

Co Halmirskiej spiewał młody koszeja. Ten był bez wątpienia w peruce i z doklejonymi wąsami. Udawał dziadka rozkocnanego we wnuczce.

Różniej monologował wyrwicz-wichrowski. Kłębki brzuchy trzęsły się od śmiechu.

Nie zamikły brawa i wyskoczył wozirej. Wąsik, paczki, szpicbrodka, frak, żabot, szapoklak, monoki, laseczka z gaiką - mistrz Sempolin-ski. Fin de siècle! I zaraz potem: "Tomasz, ach Tomasz".

Wreszcie huragan, tajfun, orkan braw za niepowtarzalną piosenkę. Tej nocy mistrz piosenki przeszedł sam siebie. Co wo, nie słyszałem i widziałem go wielokrotnie, ale "ten wąsik, ach ten wąsik" ^{wpadł} wtedy w sposób dla którego każda superlatywa będzie czoza i siada. "kt nie chciał widzieć cnaplinowskiego ludzika, każdy renotar z wąsika przyklejonego do wargi kabotyńa budzącego dotąd tylko nienawisc, bunt i chęć odwetu. Ca wybuchu wojny nie było takich sytuacji, żeby asocjacje mys-

lowe z postacią Hitlera wyzwała śmiech. Sempolinski przypomniał, że
procz nienawisci zbrodniarzowi z bawarskich piwiarni należy się rów-
nież orwina.

Na ulicę wyszedłem oszołomiony.

To była piękna noc.

Teraz jej piękno dopeśniała gwiazdziste niebo i księżyc zawieszony
nad dachami miasta. Kłęk śnieg skrzyptał pod przami sań. Brzęczały
dzwoneczki.

Na rogach sprzedawcy "maistasu" nawoływali do gorących kiebas.
Ja nie odczuwałem ani głodu, ani chłodu. Rewnie dlatego dość obojęt-
nie przyjąłem gest menka, który dając upust słowiańskiej, wylewności
zafundował po porcji parówek.

6. Udręki i nęcze tułactwa.

/koszałki opałki.. o sprawiedliwym gniewie bogobójnej niewiaśty, napiętnowaniu występnych i grzeszek i drobny szantazu urobnego człowieczka./

Dzien wytracił urok nocy.

Zacząło się od starcia z mamą Gros. Nabożna niewiasta wykryła w swoim otoczeniu niecowiarkę. Z żarliwością wzięła się do nawracania. Od słowa do słowa doszło do awantury.

- nie będę mieszkać z antychrystem! - krzyczała przytupując krótszą nogą.

Onyba znalazłbym się na bruku gdyby nie tata Gros. Zakałogodził jakos sprawiedliwy gniew prawej katoliczki i zostałem. Ale wspólny stoł mi wytrajalem mowiła. Przez kilka dni chleb z marmeladą iasowaną w Komitecie Zagryzankom bez kawy. Zawzięłem się. I wcale nie uskarżałem się na los. Rozumiłem, że kościół wojujący pierze odwet za pogańskie prześladowania.

Niestety sytuacja uległa pogorszeniu, gdy z roznania przyszła wiadomość o zarekwirowaniu mieszkania na kolejowej, przez jakas niemiecką rodzinę. Nastal sąany dzien. Kilka godzin rozlegały się spazmy, lament, krzyk rozpaczny i wrzask wściekłości. Ten ostatni skierowany we mnie, jako syna ludzi którzy czarną niewdzięcznością dopłacili za serce okazane ich dziecku.

Co to za ludzie!?!.. - biadała Grosowa.-- żeby pozwolić zagrabić nasz cały majątek!.. żeby niczego nie upiłowac, nie zabezpieczyc! Boga w piersi nie noszą! To widac po ich nasieniu. Wydali na swiat gagatka, wyechowali ziołko!.. nosciła bozego nie.. uznaje, bezboznik z piekła roemni! Pan bog nie rychliwy, ale sprawiedliwy. Cuptaci za swoje.. i za ludzką krzywdę też..

I żeby pomoc stworce w wymiarze sprawiedliwosci zakonczyła rozdzierającym głosem:

- wypierdalaj mi stąd!.. Niech cię nie widzę szczunie jeden!.. ty luju!.. ty paskudzie!..

rozpuscili
Dalsze słowa potępienia rozpłynęły się w ślinie wybiegłej, na zbleiałe wargi.

Do wieczora szwędiałem się po mieście. Byłem na Zarzeczu, na wlicze, łapie, na Belmontie, na Antokolu, pochodziłem pod Kolonię. Wroczyliło gdy z Niemieckiej, zapuszcilem się w zaułki. Bieda i brud wyzierały tu z każdego kąta. Na Gęsiej pewna zydowka siedząc w auczki nad garnkiem z zarzającymi węglami zachwalała mrozone jabłko. Podobnie na Gaona, z tą różnicą, że nie jabłko, a prazony bob był artykułem zbytu. w tej zwarto zabudowanej dzielnicy gniezdziła się iwiła część zydowska, ludności miasta. Żyli tu przekupnie, kłamkarze, rzemieślnicy - szewcy, krawcy, zegarmistrze - domokrażcy, baraniej lub mnie, uczciwi kupcy, uczeni, uleli w talmudzie i pomylenicy, robotnicy, nęzarze i bogacze na miarę bory kłok, która rzekomo goiła broda. Biedota wszakże przeważała. Dzielnicą robiła obrażające wrażenie. Ale w tym uniu zazurościłem najmatnie, szemu z marnych mieszkańców owych szpetnych zaułków. Każdy miał swój dom.

Znalazłem się także pod Ostrą bramą. Nie poto aby się pokajać i prsie o przywrocenie na łona nosciałax, nie miałem szans ~~na~~ przejednanie tych, którzy wykluczyli mnie z grona wiernych. Nie modziłem się. Ale klęczałem na bruku cichej ulicy.

Przed zasłoniętym obrazem paliła się oliwna lampka. Bezżębne paubny przesuwwały w paicach rozanlec. Przywarci do scian wyciągali orzące ręce proszalne dziady. Raz po raz wrzucał ktos monetę do wystawionych czapek.

Myślałem sobie, że dobrze byłoby usiąść obok i odwołać się do ludzkiego miłosierdzia. Niestety moja młodość wykluczała podobną możliwość. Ponadto to¹ w dziadowskiej społeczności, żeby zdobyć uznanie, trzeba się wykazać czymś niezwykłym: orakiem konczyn, wyzartym przez syliis nossem, głuchotą, ślepotą, gangreną lub paralizem. A nadmiar tego posiadać zdolność zawożenia kantyczek.

pozostało westchnąć o szybki powrót na Ojczyzny łono.

Do Tej, która świeciła o kilka zaledwie metrow przed moją nlegooną

osobą.

~~nie mogła~~
mnie także nie wysłuchała.

Nie mogło być inaczej.

On bluźnił, arogancko potrząsał prawicą Chrystusowego namiestnika, moi bliscy nie dość skutecznie bronili krawicy bliźnich swoich.

Równą dotarłem na dworzec. W bulecie silna pocierała po brodzie na widok wyłożonych za witryną kanapek. W kieszeni nie znalazłem podiego centa. Ralic też się chciało. Romysiałem z zalem o blaszance pana witalisa.

Zdeterminowany ruszyłem na naiwaryjską po swój koc, swoją pierzina, po bochenek przydziałowego chleba. Ruszyłem z postanowieniem, że wrócę na stację, gdzie już nikt nie bronii arzemki, a nazajutrz, od samego rana będę dobijac się o miejsce w uchodzącym schronisku. Było takich podówczas kilka. Oczywiście zapełnionych ponad miarę.

Otworzyła mi Lonka.

- gdzie to pan się badał tyle czasu? od kilku godzin czekamy z kolacją. -

Pochwyciła mnie za łokiec i pchnęła do jadalni.

Istotnie czekali. Dzieciaki - Teresa i Jacek - z płaskiem rzucili mi się na szyję, a Rawłowiczowa postawiła talerz zupy i kluski od obodu. Byłem głodny, a mimo to nie mogłem jeść. Dopiero gdy pan witalis wyjął karafkę, po dwóch kieliszkach przyszedłem do siebie. Rawłowiczowa cały czas wyrzekała na ludzką podłość.

- ^{szelmu}boh czortu miecic! - powtarzała czyniąc aluzję do zęza i krotkie nogi suolokatorki.

Oświadczyła, że będę spał na kanapie.

- Tylko dziś będę przeszkadzał. - zapewniałem - jutro postaram się o miejsce w schronisku.

- Dobrze, dobrze.. - mowiła - będziesz z nami tak długo jak zechcesz.

Na otomanie pod zegarem spałem przez kilka miesięcy.

Z mojej przyczyny naprężone już stosunki między dwoma rodzinami przekształciły się w regularną wojnę. Rawłowiczowa odebrała posciel i swoje naczynia oraz zabroniła Grosom wstępu do kuchni.

Na "dziendobry" mama Gros mi nie odpowiała. Heniek unikał spotkania. Jeden tata Gros próbował restaurować dawną komitwę. Usmiechał się do mnie kwaśno, często zahaczał o jakieś białe sprawy. Kiedyś pod nieobecność Zony wciągnął mnie do ich pokoju.

- Chyba się na mnie nie gniewasz? Jak tak muszę całe życie, człowieku, z histeryczką. Zmija!.. Jak zresztą każda baba. - tłumaczył - wez koc. Należy ci się. Wyniosieś sam z wagonu.

Ściągnął z łózka jeden pled z szerokim niebieskim pasem i nadrukiem R.A.R. Gdy wychodziłem rozłożył ramiona.

- Daj pyska chłopie!..

Wyczałowaliśmy się.

nie pozwolili jeszcze wyjść. Pociągnął mnie za rękaw.

- Siadaj jak u ojca, na kolanach..

Wykręciłem się od nadmiaru czułości.

- No to idź. Stara wiedzma zaraz przykustyka. Zagięta, czasem jak ja znów gazie poniesie. Bo musisz wiedzieć, że cię bardzo lubię, bardzo.. A o! rozerwałś spodnie!

- Gdzie? - zawołałem przerażony.

- z tyłu..

Wykręciłem biodro, a on pieszczotliwie poklepał mnie po zadku.

- Zartowałem.. - zarechotał. - czasem lubię pozartować..

I ja lubiałem poswawolic. Ale raczej, z osobnikami płci odmiennej. Tym czasem tata Gros liberalny dla siebie okazał zupełny brak zrozumienia dla innych.

Kewnego dnia wszedł do jadalni. Został sam, więc zapewne zapragnął sobie ze mną pogwarzyć. Niestety ojciec zajęty. Powodowany żoną nie ojcowskimi

mi uczuciami trzymałem na kolanach Lonkę.

Papa Gros nasrozył brwi i zawołał nie panując nad oburzeniem
- ładne rzeczy!..

- To świnstwo wchodzić bez pukania! - zareplikowała dziewczyna.
Strąpił się. Ale tylko na moment.

- Przeszedłem po nasz koc. pojutrze wyjeżdżamy.

- Dokąd? - wyrwało mi się.

- Do roznania serduszko.. do własnego domu. Iwoj też odwiedzimy.
powiemy mamusce jak synus prowadzi się na wygnaniu.

- Do roznania!.. - zawąchałem z żalem. - macie państwo zezwolenie?

- Widzacie na zezwolenie. Idziemy przez zieloną granicę. Jak chcecie
możesz iść z nami. Chodź!.. omówimy ~~szkwa~~ sobie..

Nie poszedłem. Jeszcze wierzyłem w włosną. A ponad to uprzytomniłem ^{Sobie}
jakim bagażem dysponują moi ex-dobroczyńcy, przypomniałem drogę ^{do} na ~~muca-~~
~~wiec~~ i ^{nie} brzeski gworzec i pominąłem milczeniem zaproszenie do negocjacji.

- Dawaj pleć! - rzucił szpakowaty mężczyzna spoglądając z dezapro-
batą na wygnieciną spódnicę panny Loni.

- Darował mi pan przecież..

- Niezego nie darowałem! - przerwał - Nie robię prezentów z cudzej
własności. To dobro państwowe. może nie długo będę musiał się z niego wy-
liczyć?

Arzepiąca ufnosć w rękach wyzwolenie Ojczyzny kazała mi wrócić na
rodowy majątek.

- zaś mamusce napewno doniesiemy jak się synaczek prowadził..

po szczęśliwym przejściu - nie tyle zielonej co białej - granicy
rodzina Grosów dotarła do roznania. mieszkania ani mebli nie wydarli z
rąk okupanta. po krótkim pobycie wyjechali do G.G.

Przed tem - dotrzymując obietnicy - mama Gros odwiedziła moją dom.
Opowiedziała z detalami naszą wspólną historię, skromnie wspominała o opie-
ce i trosce oraz kłopotach jakie przysparza przygarnięcie cudzego dziec-

ka. skutecznie podsyciła i tak już dostateczną niepokoj matki o syna. Nie ukrywała, że płochliwy charakter wpędził go w sidła złych ludzi - podłych, podstępnych, przewrotnych i rękotuchow - "jak oni tam wszyscy na wschodzie". Dla ilustracji napomknęła o wyuzdaniu, którego córka tych strasznych ludzi uczyła mnie na kanapie pod zegarem.

- Rozczuła mnie pani troską o cnotę syna, o którą ~~Włocław~~ jestem dziwnie spokojny. - miał powiedzieć ojciec.

Ale matka nie zbagatelizowała ponurnych wiesci. Rakała do poduszki przez całą noc. Przy powtornej wizycie ojciec pokazał gościowi drzwi.

Dobrze przeczuwało ojczyisko. Cnoty nie straciłem. W każdym razie nie na pluszowej kanapie. Mama Rawiowiczowa może snuć jakieś sekretne plany zamążpojęcia starszej córki, lecz głośno o tym nie mówiła i wielkodusznie tolerowała wzajemną sympatię młodych ludzi. Jeśli burczała to o niesprzątnięte pokoje lub wygasły ogień pod płytą.

Ważną tolerancją odznaczała się młodzieńcze pokolenie rodu Rawiowiczow. Zwłaszcza trzynastoletnia Tereska. Gdy zdarzyło się nie pojechać do szkoły nie odstępowała starszej siostry. Natomiast jej braciszek Iadzio - przeciwnie - w takich wypadkach podglądał przez dziurkę od klucza z sąsiedniego pokoju. W odpowiednim momencie wpadał do jadalni i obskakując stoł na jednej nodze klaskał z uciechy w dłonie.

- Wiedziałem, wiedziałem, wszystko wiedziałem! Całowaliśmy się, całowaliśmy..

Protem za dyskrecję domagał się cukry, marmolady, albo poświęcenia wobec matki, ze spalał znoważ zacierką.

7. Pochońią - czyny ojców naszych.

/nosząki opaki.. o kulawym orie i orzeiku bez gaci, który urzącał po-
grzeby./

gxxx

ro za obiadamii przeszedłem na pełne utrzymanie rawiowiczow.

zycie toczyło się jednostajnie, bez szczególnych wydarzeń. Jak
na zachodnim froncie.

Dołtro wojna ruziecko-finska rozgrywała się. Podzielili się
na dwa obozy. Jedni uznawali rację Rosjan, innym imponował opór małego
narodu. Nie wielu zdawało sobie sprawę, że walki na dalekiej północy
Rosjanie traktują jako poligon ćwiczebny przed decydującą rozgrywką z
faszyzmem. Opowiadano niestworzone bajeczki o finskim systemie obronnym.
Rozpuszczano fantastyczne opowiesci. Linia Mannerheima miała być wyłożo-
na gumą, od której bomby i pociski odbijały się jak piłki. Finowie ni-
czym zjawy umykali z pod nieprzyjacielskiego ognia. Na nartach, w białych
kombinezonach dwolili się i trolli przerzucając swoje siły z miejsca na
miejsce. niewidoczni, przyklepieni do śniegu wciągałi nieprzyjaciela w
zdradzieckie zasadzki. Razili ogniem z drzew, pojawiali się przed i po
za linią frontu. Przekonanie o nieporadności Czerwonej Armii i waleczno-
ści Finów skutecznie podsycalo zachodnie radio ignorując prawdę, że
Związek Radziecki wprowadził do walki tylko leningradzki okręgo wojskowy.

Młokoby i zapalency mysleli o ocnotniczym zaciągu. Szukali drog do
kraju tysiąca jezior. Ale Litwa skrupulatnie przestrzegala ~~moje~~ neutral-
ności. Pomagały w tym wydatnie radzieckie bazy gęsto rozelane na tery-
torium Nadbałtyki. Ten i ow rpxxxx wszakże wyprawiał się do Nowna, ro-
niewieża czy birż szukać zrodzi sfinansowania polskich legii. Tym razem
Polonia Litewska nie dała się namoc. Zbyt żywo miała w pamięci wiaru-
sów, którzy już we wrześniu odwoływali się do patryjotyzmu emigracji.
Kowienskie kabarety były wtedy pełne ułamskiej werwy i fantazji. Spory
odsetek uczciwie wykorzystał czterystu litowy zasiłek na opłacenie - via
nyga - podróży na zachod. Ale opinię urobili ci, którzy uznali, że do
stolicy Łotwy równie dobrze można dojechać w klozecie kowienskiej knajpy.

Bardzo żywe zainteresowanie dla nowego teatru wojny wykazywał pan Franciszek Grodecki. Co wieczor schodził na radio z poddasza, gdzie w bezdzietnym staśle mieszkał z fertyczną i farbowaną brunetką. Z czego zył sam nie bardzo wiedział. Przed wojną pobierał emeryturę, teraz ~~xx~~ ^{państwo} smetony nie myślało płacić zobowiązań ~~państwa~~ ^{państwo} rządu. Zwłaszcza Legionistom. Bo pan Franciszek przebył bojowy szlak pierwszej kadłowej. Zachował z tamtych czasów krzepę i jędrny, rudoaszny dowcip. Kulał na jedną nogę. Odżywała się rana, dokuczliwa pamiątka chwalebnych bitew wielkiego marszałka. Chyba, że przygrzało słońeczko. Wtedy maszerował dziarsko po Mickiewicza robiąc wiatrak z bambusowej laseczki. Napetusz z piórkiem zsuwał z czoła i łypał okiem do każdej ładniejszej dziewczyny. Z wyjątkiem własnej małżonki zdradzał siłabość do kobiet.

Ślubna małżonka na szczęście nie brała do serca oziębłości starego Legiona. Nie miała poprostu czasu. Od switu do zmroku poszukiwała kogoś skionnego ~~na~~ ^o udzielenia pożyczki, którą niekiedy nawet oddawała. W swojej kamienicy długów nie robiła. Stąd Rawłowiczowa nie powleczła na sąsiadkę złego słowa, a raz po raz z dobrej i nie przymuszonej woli poratowała mąką, jajkiem czy kawałkiem chleba.

Do południa pan Franciszek narzekał na nogę. Rwała regularnie do poobiedniego spaceru. Męczył się na ~~przeznaczonym~~ ^{trudnie} rozgrzebanym łozku i medytował jakby pomocz aliancom w odzyskaniu jego renty. Około godziny drugiej nie znajdując sposobu wychodził na miasto po konsultację do dawnych towarzyszy broni. ~~xx~~ ^{xx} tych było nie mało na wileńskim bruku. Zauważyło się, że znajdował kamrata, który oprócz dobrej rady miał także trochę dobrej waluty. Po kółkach i jeabej lub dwóch setkach niskoprocentowej "skadrojki" pisał się na poddasze z otuchą w sercu i uląnskim animuszem. Chrapliwym basem kazał się strzedz "tego co na przedzie, co na karym koniu jedzie.." "... jedzie .. jedzie .. jedzie". - powtarzał w kółko nie kończąc zwrotki, bo oficerów nie lubiał, jako że sam dostrzyżył się stopnia wachmistrza. O to miał ukryty żal do dziadka.

Okolo północy przerywała ~~XXXXXX~~ skoleji Rawłowiczowa.

- No sąsiedzie! tego azika to ustrzelimy jutro.

Jeszcze raz nabijał rajkę i powłócząc nogą wychodził. w kuchni ~~XXXXXX~~ barziej sobie niz innym zadawał pytania:

- Chyba ta lafirynda ~~XXXXXX~~ wroci przed ranem?..

rodziną Rawłowiczow nie utrzymywała zbyt rozległych stosunkow towarzyskich. Ale Lonkę dość często odwiedzały przyjaciółki. Obie wandy. Jedna niczego sobie, druga wykluczająca wiarę w stworzenie człowieka na obraz i podobienstwo boga. Przychodziły policytować się swoim powodzeniem. Związczą szpetna szokowała ilością wielościcieli. Druga, Wanda, sztole była ^{tylko} nieco skromniejsza. z suboczu na naiwaryjską wiodła ją nie ~~XXXXXX~~ cność do kuczenia kolezankom ile nadzieja spotkania stacha. Raz po raz miała to szczęście. wtedy kiedy przywoził z Jaszun oruaną odelizną do prania.

staszek kohn przedwojną mieszkał w Rawłowiczow na stancji. Skonczył szkołę techniczną na antokolu. w warszawie gdzie przybywał jego owdowiały ojciec zabrakło szkół dla odarzonego nadmiarem iantazji młodzieńca. Tymczasem w okresie międzywojennym wiono należało do ~~XXXXXX~~ miast o naj- z wiktem i opierunkiem tanszych kosztach utrzymania i stancję ^{można} było wynając za psi grosz. zamożny inżynier wysyłając pociechę po kaganek oswiaty na rubleze rzeczy- pospolitej powodował się jednak raczej sentymentem do rodzinnych stron. Rod Wilnem posiadał domek i trochę ziemi. Po wybuchu wojny właśnie w Jaszunych, na ojcowiznie osiadł młody, zabójczo przystojny oranet. mieszkał tam jak pustelnik. Kiepał biedę.

Trudno o młodym człowieku powiedzieć dziwak, powiedzmy więc, że był oryginałem. Wysoki, urodny, o smagłej twarzy i zwychn ~~XXXXXX~~ ^{czarnych} oczach prowokował do westchnien niejedną dziewczycą piers. Coz z tego kiedy sam kobietami pogarzał. Banialukami nie zaprzętał sobie ~~XXXXXX~~ ^{żony}. Chętnik się tym, że nosił kusą, przyciasnąwą kurtkę, wielkie teje na wytartych portkach i zawsze pusty żółtek. w najsiłniejsze mrozy chodził bez ~~XXXXXX~~ ^{gaci}. celebrował swoje ubostwo, rozkoszował się nim. Na wizycie u Rawłowiczow mu-

siał być w wyjątkowym humorze, żeby zasiąść do stołu. Gdy kiedyś namacał w węzku z białą krążek kiełbasy wsunięty tam przez współczującą jego niedoli Rawłowiczową urządził niezłomną awanturę. Kochał swoją ascezę i niecierpiał jak ktoś próbował mu w niej przeszkodzić. Starczyło kilka promieni słońca, żeby pomimo trzaskającego mrozu przyjechał do Wilna bez koszuli, a tuż przez Zielony Most wrzucił do wiły szmaciane rękawice.

Śmiał się rzadko, jeżeli to z cudzego niepowodzenia lub nieporadności.

Jako się rzekło kobiecy lekceważył. Pewnego razu przewracając w obecności trzech przyjaciółek album pokazał paluchem jedno zdjęcie i zapytał z głupia frant:

- Zdaje mi się, że tą szantę skądś znam? Nie jest to ta książka sztolcowa?..

Dorodna Wandzia sztolc spionęła po same białka. Bez pożegnania opuściła mieszkanie. Jej miłość ~~na~~ oczywiście wygasła na wieki.

Jednego przedpołudnia przytaszczył dużą parclaną torbę. Byliśmy z Lonką sami. Jak zwykle okupowaliśmy kanapę. Nie przywitał się. Nie witał się z zasady. Powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- W kuchni widać słoje. Potrzeba mi kilka. Chyba tylko żeby były czyste, z gumkami i sprężynkami.

- Na co ci słoje? Teraz w zimę zabierasz się do marynowania? - pytała Lonia.

- Tak, będę marynował. Owoce. Owoc w owoc - prima sort. Chcesz skosztować?

Otworzył torbę i pokazał nam pociski rozmaitego kalibru i kilka granatów. Lonka pisnęła przerażona.

- Zwariowałeś?!.. Po co to przyniosłeś, po co się z tym włóczysz?..

- Dla zabawy! Robawimy się?.. Zap!.. -

Wyciągnął granat i porzucając jak piłkę złapał w garść.

~~szkxzkskxzksk~~ Lonka wskoczyła za moje plecy. Wnie też zrobiłem się nie

- Głupie żarty! - bąknąłem. - Złęcinie nie na miejscu. A w ogóle co pan zamierza z tym zrobić?

- Co?... zamarynować!... zakopać do ziemi na lepsze czasy. Do tego potrzebne są słoje. Pro to tu przyjechałem.

- Bierz i nie urządźaj brewerii! - mowiała przez moje ramię Lonka. - Boże jak mi serce tłucze..

- Przestanie! Majtki też wyschną. - Odparł i poszedł do kuchni. Mył, wycierał, w szufladzie dość długo szukał gumek i sprężynek. Wyszedł z koszykiem w ręku.

- I koszyk chcesz zabrać?

- Koszyk i coś do przykrycia. W torbę nie zmieszczą.

- A co ja matce powiem?

- Gówno mnie to obchodzi! ~~Co powiesz~~. Jak nie zapomnę to oddam. Zwrocił po miesiącu. Przyniósł koszyk pełen suszonych grzybow. Nik nie był w stanie się dowiedzieć skąd je wziął.

Niedługo spotkałem go na mieście. Utykał. Droga wypadła nam w jednym kierunku.

- Co się panu przydarzyło? - spytałem - Zwicznął pan nogę?

- Diabli tam zwicznął! - mruknął - z taką protezą pan by inaczej nie łaził.

Rochwycił mnie za przegubie i przyłożył dłoń do piersi. Pod kurtką wyczułem kształt karabinowej kolby.

- Dokąd to pan holuje? - burknąłem tracąc ocnotę do wspólnego spaceru.

- Na melinę.

rozegnaliśmy się na najbliższym narożniku. Ścisnąjąc mi rękę mruknął kocznersko.

- Na przyszły tydzień poproszę pana i Lonkę na pogrzeb.

- Na pogrzeb, na czyj pogrzeb?..

waliśmy niewiastę w podeszłym wieku. Trochę dziwny brak wnucząt. Może były chore, a może jeszcze niemowlaki z powodu zimna nie zęnały babuni?

W domu zapytałem Lonki.

- Czyj to był pogrzeb?

- A do ja wiem?

- Nie wiesz? Płakałaś jak doer, jakbys cęhajnie, straciła na zę-
czonego i nie wiesz?..

- I ty bys płakał jakoy kto cię szczypał pod zęora. Cała jestem
w sinakach.

Stach nie pokazywał się przez miesiąc. I nas odleciała ciekawosc.

Ćoprawda na drugi dzień po pogrzebie zawiokiem się na rossę. Bez
trudu odnalezłem grob, nie tak icremny jak inne, ale nie zwracający sz-
czegoinej uwagi. Włencow cos nęc cos przybyło. Nie pierwszej swiezosci
z przywiedłą jedliną i zoutwiałyml od wilgoci szaxianii wstęami. Niektó-
re napisy były jeszcze czytelne. Czytałem i zupełnie zamęclł mi się sąd
o nieboszczyku. Jedne oplakiwały żonę, inne męża, a byli i taki, który
głosił, że zmarły powiększył grono aniołkow.

Ro roku, gdy już pracowałem w Jaszunach i kiedyś popijaliśmy so-
bie w gospodzie stach odkrył, że brałem udział w pogrzebie broni. Broni
przez małe "b".

Urzebaliśmy C.A.M.

zapewniał, że rycnio dokonamy eksnumacji.

8. Wiosna, której nie było.

/noszaki opaki.. jak wacmistrz legionow szczypał tam gdzie szczy-
pac nie należy, jak głupich nawet w cerkwi nie całują i.. i wyjazd
z Wilna!

na wiosnę rawłowiczowa doszła do wniosku, że pokój po wojnie
warto by wynajęca Litwini ani myśleli zwalniać polskich żołnierzy z
obozow internowanych i starszy syn miał na koszt państwa wikt i ople-
runek. Tymczasem z Kowna i innych miast Litwy napływały do Ouzyskane,
stolicy liczne zastępy urzędników. Animozja do "klumplaków" topniała
proporcjonalnie do ilości Litów jakie przechodziły przez polskie ręk-
ce.

sząc сметаны wydłubiał dawne obszary byle tylko zagęścić wileńsz-
czyzną krystalicznie czystym elementem. Do Wilna przeniesione niektóre
ministerstwa. Na luksus dwóch stołic może sobie pozwolić naprawdę nie-
tuzinkowe państwo. Litwa mogła. Przynajmniej, przez rok.

Przybysze poszukiwali dachu nad głową.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że w kwietniu wprowadziła się
do mieszkania przy kalwaryjskiej ponadé Stepanovičutié. Rosła, grubo-
kościasta, rumiana - okaz zarowia i starolitewskie, krzepy. Pracowała
w "Maistasio" - spółdzielni masarsko-wędliniarskiej, co nie pozostawa-
ło bez wpływu na jej błyszczącą cerę i obręcz tłuszczu na biodrach,
w pasie, w biuście - wogóle wszędzie. Przez dwa dni nie umiała po pol-
sku. Na trzeci rozumiała, ale nie mówiła. Na czwarty mówiła niegorzej
od domowników. Na piąty przyniosła wałówkę. Czatę znosiła regularnie
mięso i wędliny, co jednak zapobiegliwości mamy rawłowiczowej, wcale
nie zmniejszyło. Wleźmiennie, od śniadania do obiadu zacierala podszewę
w poszukiwaniu żywności.

ranna Stepanovičutié była bardzo ciekawa wiadomości ze świata.

I to nie tylko tych, które udostępniały czytelnikom "Lietuvos Linios"
czy "Dvidešimtas Amžius". Rinnie słuchała radia. Razem z nami gener-
wowała się na wizy i trzaski, skupiona łowiła każde barażiej zrozu-
miałe słowo. Jak wszyscy czekała wiosny chociaż wiosna już od kilku

tygodni rozkwitała w dolinie Wilji i Niemna.

Do kontrowersji między słuchaczami dochodziło tylko wówczas gdy stawiano horoskopy ~~o~~ przyszłości Wilna i okolicy. O ile Litwinka bez oporu oddawała miejsce Warmię, Mazury, Śląsk, Pomorze, była zgodna co do Łwowa, Rinska, ba nawet Algowa, to krew wybarwiała na fioletowo czerwone z natury policzki, jeżeli kto odważył się kwestionować obecny status quo wileńszczyzny. W takich wypadkach zazwyczaj pan Witale brał na siebie rolę metiadora.

- rustiaki!.. Ugodzim się paniczka, ugodzim. Nie udam się spó-
rie o taką miłość. Dla wszystkich starczy miejsca, dla wszystkich..

- Zdecydują historyczne racje i prawo silniejszego - wtrąca-
łem.

- historyczna racja!.. - podchwytowała Litwinka.

- Prawo silniejszego! - kontrował stary leśnik.

Pan Franciszek nie opuszczał teraz ani jednego wieczoru. Scono-
dził z piętra zaraz po zamknięciu sklepów. Wyczekiwał z równym zniecier-
pliwieniem audycji co i dorosłej dziewczyny.

- Migdał. - mówił miaskając wargami - zarowa jak rzepa. W moim
guscie. szkoda, że Litwinka. Do ja to paniczka lubię jak jest za co
chwycić. - zwierzał się Rawłowiczowej.

- tylko niech pan nie chwytaj w moim domu! - ostrzegała gospody-
ni.

- Panie boże uchronaj! - bił się w pierś. - Okładaj się smiał.
Tak sobie mówię. Obiektownie. Co mi tam do niej. w dodatku Litwinka.

Niedys po obfitej kolacji wybiegła na podwórze - bo musiała.
Ta sama rzekomo potrzeba pchnęła pana Franciszka jej śladem. W paru
minutach wszyscy znaleźliśmy się na sieni zważeni ramotem i krzykiem
panny Stepanovicucie. Pan Franciszek ^{nieugiętnie} ~~zwrócił się~~ zmlerzał na parter.
do siebie, piętro wyżej, ^{prawy podobnie} ~~zwrócił się~~ zamiast zjeżdżać na plecach posłużędzy
się nogami.

- Co się tu dzieje? - indagowała rawłowiczowa.

- Ten świntuch!.. ten zafajdany kozioł uszczypał mnie! O tu mnie uszczypał..

Wskazała na miejsce, ^uktóre na schodach raczej szczypta nie należy. Ale coż miał zrobić człowiek honoru, jeśli przyrzekł uszanować gościnne progi sąsiadów?

Przez długi czas nie przychodził na radio. Kurował się. Bardzo długo się kurował. Potem nawet na spacerze kmykał cniromał. Na drugą nogę. Nie tą przestrzeżoną. Ta cncąc nie chcąc musiała wrocic do sprawności z przed legionowych bojów.

Tej samej wiosny wprowadziłem w dom gospodarzy kolegę-tuiacza.

Wicka poznałem w stołowce na bazylińskiej. Biadywał przy mnie i nie raz godzinę, a nie raz i dwie wyczekiwalismy poki dogotują się żyły na gularz lub przypali się należycie kasza. Skracalismy sobie czas nauką obcych języków. Ja wkuwałem angielski, on niemiecki. Starszy ode mnie o cztery lata, studiował przed wojną elektrotechnikę na politechnice warszawskiej. I właśnie z tej racji, gdy nawaliło radio sprowadziłem go na kalwaryjską. Rodubiwał, pogmerał i zreperował. ~~Wtedy~~ Nie wziął zapłaty, ^{ale} zarobił sympatię całej rodziny i prawo do pana witalisowej machorki.

mieszkała na Zwierzyncu u brata, ongiś urzędnika skarbowego, obecnie szewca z konieczności, a skrzypka z zamiłowania.

Przypadliśmy sobie do gustu. Wcale mi nie przeszkadzało, że mizerny rzył się do Lonki. W moim sercu panowała niepodzielnie Tamara. Dla niej, głównie odwiedzałem Zwierzyniec.

I ona mieszkała w dzielnicy drewnianych, parterowych domków. Na Sosnowej, niemal w sąsiedztwie Wicka. Wiedział o niej tyle, że w Wilnie jest sama, że pochodzi z pod Uszmiany, gdzie ojciec-pop pieręganuje dusze białoruskich muzyków.

Na Wicka siadałem przy oknie i udając, że słucham rzępotenia byłego

skarbowca wyglądałem na ulicę. Czasem miałem szczęście i przechodziła mimo. Najczęściej wieczorem. Smukła, jak zawsze piękna, pożądana i nieosiągalna. Nosiła się z elegancką prostotą. Kiedyś wicek ulubiał coś nad zwojem transformatora mruknął pod nosem:

- Już cma wyfrunęła, już ciągnie na rewir.

Wociemniało mi w oczach.

- Kto? - zapytałem tłumiąc podniecenie.

- Ktoś tam, a gady mało cię nie wyleżą.

- Jakle masz podstawy mówić, że to cma?

- Zajrzyj wieczorem do straża. Zobaczysz komu i za co ofiarowuje swoje wazięki.

- Wioziałem ją tam.

- No więc o co chodzi?

- To zadecyduje dowca. Kto wie po co i dlaczego zadaje się z wojskowymi.

- Mata-nari co?.. Przeszani! Za kawę i ciastko z kremem. - Dąknął.

Ale po chwili namysłu dorzucił.

- Zresztą pies ją ogryzł. Może jeszcze prawiczka?..

- Dobrze byłoby poznać co to za jedna. - wtrąciłem udając obojętność.

- Sprobuj.

Sam kochliwy dla innych nie miał zrozumienia.

Barzej od Lonki interesowała go jaka dziewczyna mieszkająca w tym samym co i on domu. Też Tamara, też prawosłowna, tylko nie córka popa, a gruzińskiej księżny i białoruskiego nacjonalisty. Słuch po ojcu zaginął a matka borykała się z losem, żeby wychować plełowatego i rudego jak irlandczyk syna i niezwykle ładną córkę. Oprócz urody córka wzięła po matce lingwistyczne zdolności, ponieważ jednocześnie na bakier żyła z matematyką za zgodą mamasy zawarła umowę, mocą której student politechniki rozjaśniał jej algebraiczne zawiłości za pomocą w nauce języków obcych. miał do zafiarowania jeszcze wiele, wiele innych usług. Nie miał tylko śmiałości. Przy Lonce także pisał panlenskim ramieniem, prze-

to chcąc nie chcąc nadal pospołu ze mną wynętała pluszową kanapkę.

Niedys w stołowce po obrzydliwym barszczu i pęczaku kraszonym olejem, powiedział tajemniczo:

- jutro ruskie święta.

- Coż z tego? zaprosiła się księżna pani?

- Nie zaprosiła, ale można iść do cerkwi.

- Do cerkwi? Arzeczodzisz na prawosławie?..

- Ojej! przeszedłbym na buczajm gubj, to miało znaczenie. w każdym razie iść warto. jutro będą się całować.

- Kto?

- wszyscy. jak pop zaintonuje "Chrystos waskres" wszyscy skaczą sobie w objęcia.

- w twoje naturalnie tamarka? nie głupio pomyslane.

roszliśmy ozjwieni tą samą nadzieją. tylko zyczenie każdy zamierzał składać innej osobie. rozszczęściło się. obie tamary przyszyły rowniez na nabożenstwo. od krucnty ja ciągnętem pod carskie wrota, wicek przepychał się w boczną nawę.

modłom i pieniom nie było końca. zawodził chor, głośno kłepali pancerze diacy, pop ciągle chował się, to znów wychodził przez złote drzwi - zawsze w innym ornacie, coraz to bogaciej zdobionym, coraz cięższym. tłukłem się kufakiem w piers, aby usmierzyć rozorykane serce. waliło jak dzwony na wieży. dymy kaudzidne do tego miejsca nie dochodziły, a mimo to czarne włosy i różową bluzkę wiaziąłem jak przez mgłę.

Dla urzeczywistnienia zbożnej intencji należało przysunąć się jeszcze parę kroków. Ale nogi wrosły w posadzka. obiecałem sercu, że rmx choćby nie wiem co ruszę kulasy po pierwszym słowie zwiastującym smatt-wychwstanie raińskie.

i zawiodłem, paskudnie zawiodłem.

rop wyciągnął basem. potem jeszcze powtórzył, i jeszcze raz. ja stałem jak słup.

Tymczasem dookoła brano się w objęcia, sciskano, całowano w rados-

nym podnieceniu, z uśmiechem. Ścisnęła się i ona. Z każdym kto otworzył ramiona. Nawet z większymi łatusami ode mnie. Ja sterczałem jak ~~szkielet~~ kołek w płocie. Cerkiew opustoszała ja jeszcze stałem. Przechodząc się do drzwi otarła się o mój rękaw. raczniła włosną - jak bazię, jak tatarską sprzedawaną na cmentarnym dziedzińcu.

Na wielkiej ofierze wmieszała się w tłum. Rótem wykrzykiując załośnię głębię wlokła się niemiłą. Na rogu Trockiej omal nie wpadła na wickę. Trzymał swoją Tamarę pod ramię. Ślepa mu błyszczały. Cudał coś z ozywieniem. Dziewczyna się zmięła.

Najchętniej podłożyłbym im nogę. Gdyby naturalnie starczyło odwagi, ponieważ nie starczyło ślubowałem sobie, że co by się nie stało i ja będę wkrótce rozmawiać z moją Tamarą.

Coż to była za rozmowa - może ty moj!

Jan Witalis przez rozszargnięcie zapomniał odcygnąć codzienną porcję machorki. Jan Franciszek wciąż kurował nogę a żona-latawica ani doznała nałogi małżonka. Wolens volens poszedłem na zakurkę do wicki.

Dla skrócenia drogi krakowską, i dalej kawałek przez wilkomfiską doszedłem do lewego brzegu Wilji. Na wozie unosiły się tratwy. Za rzeką dymił białany komin tartaku. Niebo zaciągnęło się chmurami. Przyspieszyłem kroku. Gdyś w połowie drogi natknęłem się na Tamarę. Stała na jednej nodze i z pantofla wysypywała piasek. Wydukałem: -

- będzie padać..

- Ej, nie!.. chyba się rozejdzie. - odpowiedziała i zaciągnąwszy zapinkę poszła w kierunku Śnipliszek.

i to wszystko. Za tropienie, za przyspieszone bicie serca, za stojką przed kawiarnią kiedy na lurę orakowało pieniądze. Za marzenie, za nocny bełkot.

Pierwszego maja wyjeżdżaliśmy z wiina. Wódek, ja i jeszcze jeden wojenny uchodźca - ~~xyiak~~ kysiek.

Część trzecia

Na ręce światła.

1. Zygzakiem przez Litwę.	102	75
2. W magnackim gnieździe.	105	77
3. Za pan brat z kuzynami premiera.	111	82
4. Aukšta Dvaris.	115	84
5. Na targowisku.	120	88
6. Dziewczę z buzią jak malina.	125	91
7. Jak pękał pępek świata.	129	94
8. Powrót.	134	98

1. Żygzakiem przez Litwę

/ Tere fere.. jechali to jechali, gdzieś tam popasali, oglądali kraj nie jak lada jaki i wynieśli z podróży morał.. o taki: nie wybrzydaj na własną przypaloną zupę, a nie kaze obcy całować się w ~~...~~/

W głębi Litwy znaleźliśmy się dzięki Hyskowi. Prostu w Komitecie pomocy uchodźcom wyjął adresy rodaków gotowych przygarnąć braci-tułaczy i napisał do pewnej dziewczynki. Na odpowiedź nie czekał długo. W imieniu własnym i sąsiadów proponowała trzy miejsca w makiskim powiecie. I nas było trzech.

Hyska sienkowskiego poznaliśmy podczas dyżuru w karkucni. Co pewien czas uchodźcy byli zobowiązani pomagać stołówkom w przygotowywaniu posiłków. Na bazylińskiej najchętniej korzystano z usług młodych, bowiem personel kuchni też był młody. Składał się z uczennic Liceum Gospodarczego, które uczyły się zawodu na żółtych stołownikach.

Dyżurni zmywali naczynia, nosili wodę, obierali ziemniaki, zamrażali sałę i rąbali grzewo. Pomoc wynagradzała zwiększona porcja zupy, tłustsza i niepoprzpalona kasza, a na deser miły uśmiech młodych, niebrzyklich kucharek. Gdyby nie był takim ponurakiem i nie zaprzętał sobie głowy rojeniami o pięknej popadźiance człowiek mógłby wynieść z dyżurów i inne korzyści. Hysiek zdaje się ich nie przeszkadzał. W każdym razie na bazylińskiej był żelaznym dyżurnym. Do nas - to znaczy do Wicka i mnie - też poczuł miętę i kiedy pomimo wysiłków odlecującego personelu stołowy wklat stał się bezmała niejadalny zaproponował wyjazd.

Gdy wsiadaliśmy do pociągów na Kowno, nad Wilnem stał piękny dzień. Komitet uszczęśliwiony ucytkiem trzech ~~...~~^{podwóz} dał zapomocę.

Jeszcze przed wyjazdem Hysiek oświadczył, że lokuje się u dziewczynki Ungienik. Wicki wybrał gorzełanego w Roniemuniu, licząc, że ^{na}przysług będzie mógł wypłacić swoim politechnicznym doświadczeniem. Mnie pozostało polepie.

Do Kowna przyjechaliśmy w południe. Pociąg na Klejmany i Roniewiez odchodził za kilka godzin. Wyszliśmy na miasto. Czystość miasta, bufitność zieleni, szerokie ulice, bogato zaopatrzone sklepy robiły dobre wrażenie.

O tymczasowej stolicy Litwy wiedzieliśmy dotąd tyle, że ongiś była ponurą twierdzą i że tu napisał urażynę wieszcz Adam Mickiewicz z doktorkową Nowalską.

po ulicach Wilna: po Skopowce, Dakszcie, po zaułku Łabona, po kociankach Zawalnej i po zarosniętych trawą rynsztokach kalwaryjskiej na Łaisvės Aleje czuliśmy się jak na Champs Elysees. Restauracje i kawiarnie wabiły gustownym wnętrzem. Ale nas zwabie nie zaciąły. Jedyną szalenstwo na jakie mogliśmy sobie pozwolić to szklanka wody z sokiem.

Z nieba bił żar.

Zmęczeni i wygłodniali powrociliśmy nastację. w najciemniejszym kącie poczekalni rozwiązałyśmy węzła. Moja była najzasobniejsza. Chleb z masłem, kawałek białego sera, pół kuli sałcesonu. Rocziwa mama Rawłowiczowa, 4, czilwa panna Stepanowiciūtė, błogosławiony trud litewskiego ^{rolnika} ~~rolnika~~.

W skapiszkach wypadła ponowna przesiadka. Na połączenie z napiszkami czekałyśmy całą noc. Roczekainia, a zarazem restauracja niczym już nie przypominała wielkoświatowego rozmachu. Śmierdziła skwasniałym piwem i wódką. Bufet oblegali wieśniacy. Inni przy stołach tłustą łowizną neutralizowali alkoholem. Sen uniemożliwiały chorałne i solowe pienia. Litewska plesz gminna: -rozwiekła, zawodząca, nieustępliwa - wcale nie przyspadała mi do gustu. Raz po raz podchodzono do nas ze szklanką. Kręciliśmy bezradnie głowami. Pomimo wysiłku i szczerej chęci nic nie rozumieliśmy, z tego co ~~powiedziano~~ mówiono. Po za jednym końcowym zdaniem, któremu towarzyszyło spianięcie:

- perkunas lenkas! robućok šikenė!..

Co było robic?.. Zagryzaliśmy wargi.

rodzedeł i jeden rodak. Jemu nie kazano się całować. Złopał z chropami łeb w łeb. Ledwie trzymał się na nogach. Kiedy przypomniał sobie o nas braciach już niczego nie zaciąaliśmy zrozumieć z odczystego bełkotu. Dospowaty, z siodełkowatym nosem i kępką włosów na szerej jak matka ziemia głowie cuchnął brudem i stęchlizną. Nie chciało się potwornie, mimo to odczuwało od napoczętego kuli, którym nas traktował. z okrzyków pozostał, ca

pijaków dowiedzieliśmy się, że nazywa się Koscialkowski. Po odcięciu sakramentalnego "s" encjales, czy nie encjales wynoził Koscialkowski. Jota w Jotę tak samo jak na kartce z adresem Nyska i moim.

- Nie jednemu psu rysek. - pocieszał się Nysiek. - Myśmy też mieli ministra Koscialkowskiego.

- Ale to chyba nie ten? - wtrącił wicek.

Ten był stryjecznym przedwojennego dygnitarza. I mieszkał w rolepiu. W tym rolepiu, które leżało u kresu mojej podróży. Aby tam dotrzeć trzeba było się jeszcze raz przesiąść na wąskotorówkę i dojechać do Roniemunia.

Z pomostu małego wagoniku oglądaliśmy pola, łąki i niewielkie laski. Ziemia nie należała do urodzajnych, jednak wysokie łąny i ciężarne kłosa świadczyły o bardzo wysokiej kulturze rolnej. Mówiły o tym również melioracyjne rowy, maszyny stojące na polach i w zagrodach, gospodarcze budynki, murowane, kryte dachówką domy. Stacja w Ronadelys, przez którą przejeżdżaliśmy, mieściła się przy targowisku. To co oglądaliśmy na straganach i na wozach, okazałe sztuki bydła i opasane konie nie pozwalało wątpić w dostatek wsi litewskiej.

A jednak Nysiek wykrzywił gębę.

- To guzik w porównaniu z Wielkopolską czy Pomorzem. - powiedział rozdrażniony moim podziwem.

Nie przeczyłem. I tak by się nie dał przekonać. W owych czasach Polacy spoglądali na wszystko swoje przez pryzmat sentymentu i tęsknoty.

W Roniemuniu podejmował nas gorzelany. Płumaczył, że zona cnora i nie może wyjść do stołu. Uraczył nasianką i razowym chlebem. Różnie, zaprowadził na kwaterę Wicka. Przyszłemu inżynierowi dostała się ubogo amebelowana izba w małym drewnianym domku.

Dla mnie i takiego nie stało.

2. W magnackim gniezozie.

/ Tere fere.. przez dziury w dachu nie tylko deszcz pada, słońce też świeci; ponad to nie wojuj za cudzą wolność, nie będziesz wyglądał jak pan na rolepiu./

rolepie dożywało swojej świetności w nader opłakanym stanie. magnackie gniazdo leżało w gruzach. pałac - do taka nazwa trzymała się uporczywie starej tradycji krył wstydliwie swój szkielet za korony drzew. Na prawym skrzydle oprócz fundamentów, jakimś dziwnym wybrzykiem statyki sterczała szczytowa ściana, ~~ona~~^a fronton dumnie podpierany cztery smukłe kolumny. Dach równię pochyłą opadał na rozsypujący się mur. Przez wszystkie otwory ogładano się zwalony gruz, pognięte żelastwo, na których rosła trawa, pokrzywy, topolny i lepioda. z jednego wszakże okna zabitego dyktą wychnoziła blaszana rura, a z niej dym. tu była kuchnia.

na pokoje - jedyne ocalałe ~~XXXXXX~~ - prowadziły dwa wejścia: albo po wyłamanych schodach, obok wygrodki, albo z podmurówki pozostałej po zawałonej przecnej części lewego skrzydła.

Spoglądając na ruinę magnackiej fortuny byłem daleki od zachwyty. nie zachwycali nawet pawie spacerujące po okoliczności.

Na osiemdziesiąciu nektarowejaresztowce gospodarzyło dwóch braci: Gerard i Melchior Zynaram-kościelakowscy. ~~XXXXX~~ Trzeci władysław też rezydował w rolepiu, ale nie gospodarzył. bawował i pił po jarmarkach. on właśnie częstował nad piwem w skapiszkach.

Przyjechałem pod dach Gerarda. przyjeźli rozbitka wylewnie, po staropolsku. sercem starali się załatać dziury w suficie, wydartą posciel i wygniecioną, nęszoną przrywanymi sprężynami kozetkę.

Gerard miał na utrzymaniu małżonkę, przybranego syna i tłumoka-kucharkę z dzieckiem.

Przyjechałem pod wieczór. witała dzielniczka tłumacząc, że mąż tylko co wyjechał do kołpaciszek. na wstępie oświadczyła, że pęzą bledą, że niczego właściwie nie posiadają, ale szczerze podzielą się swoją biedą. Wyplac miałem w jadalni, gdzie ścianę podpierają staroswiecka komoda, gdzie stał porznięty scyzorykiem stół, kilka krzeseł różnej maszy oraz coś w rodzaju

otomany. umeblowanie dopełniały dwie duże miski na deszczową wodę ściekającą przez azurowe poszycie dachu.

Drugi pokój zajmował uoga, adoptowany syn gospodarzy. Dysponował żelaznym łóżkiem, siennikiem, szarym zgrzebnym przescieradłem i poduszką bez poszewki. Przymykał się ojcowską burką, a jak ojciec "zabadał" się w podroczy, matki karakurami.

Obok była małżeńska sypialnia. Nie pamiętam, czy dwa szerokie łóżka były kiedykolwiek zastlane. Łoscieł - szara, ziemista - tworzyła zwalę płotna i pierza. Rozyteczne - jakby nie było - naczynie trwale utrzymywało w sypialni jednolity zapach.

To wszystko, jeśli nie liczyć wyćbiki. Liczyć zresztą nie warto, ponieważ nieczystości wykluczały użytkowanie i nikt nigdy nie zakochał monotonnego brzęczenia much.

Na kolację kucharka-maszkara wniosła gliczane oliwy i smietaną. Swoim wyglądem odolerwała apetyt. Nie sposób określić z czego składała się skorupa usztywniająca tartuch i co wyglądało z pod szmaty na głowie - włosy, wiechec słomy czy nasycone łojem lniane wyczeski. Nęce tylko od wewnętrznej strony przypominały ludzką skórę.

Czystością tak wogóle nikt w tym domu nie przeszył. Uoga czasem mył, ale tylko do przeżubia. Nawet wyiakalerowane paznogie pani wandy kończyła czarna obwoluta.

Przy wieczerzy pani wanda dawała mi rozmowę. Roznałem dość wy-czerpująco sagę rodu Zynaram-nosciałkowskich, obecne cienie i blaski ziemianskie, doli. W skrócie, oto ona:

Na początku bieżącego stulecia piew. rodu wypuścił cztery pędy: jedną córkę i trzech synów. Do pierwszej wojny rozkwitał majątek, rozkwitała panienska i panieze. Jednego, uerarda, przeznaczono na generała. rozszedł w kamer-junkry. Drugi, melus, miał gospodarzyć na ojcowiznie. Najmłodsza latorosi władziu miał się uogato wzenie, a córka wyjść zamąż. Początkowo układało się wszystko po m, sil - poko, jego duszy - nieboszczyka ojca.

ktoremu łatwo przyszło się pogodzić z pauperyzacją.

Co innego tacy hościakowscy. stryjeczny brat premierował w Warszawie, a jego kuzynom kazano włodarzyć na ocniąpie. Nie mogli się z tym pogodzić. Ogarnięci żądzą samounicestwienia dokumentnie rujnowali spuściznę. Zaczęli od pieniactwa.

Melius
roswarzył się Melius z Gerasiem. ~~Wierzył~~ wolał rodzica naznaczon do rządu dusz, nie myślał dopuścić pierworodnego na ojcowiznę. Nie Geras też broce z pod ogona nie wypadł. Zajechnął dwór i osiadł w opustoszałym pałacu.

rotom na złość bliższej i dalszej rodzinie ożenił się z prostytutką. Melius nie pozostał dłużny. wziął sobie dojarkę i spłodził troje dzieci.

Geras niestety tylko jedno, i to nie z żoną, a z kucharką-szkarałą. Kowienska krawcowa była nieurodzajna. nieurodzajna, ale ambitna. rok roku paradowała z poduszką na brzuchu, a na "rozwiązanie" wyjechała do matki. z kowienskiego przytułku przywiozła ~~z~~ potomka pięciomiesięcznym i wobec ogłosiła, że nadaje mu ojcowe zwanie - Gerard - i kto by śmiał kwestionować związek krwi noworodka z rodem zyndramow temu wydrapie ślepią. tylko godnych zaufania wtajemniczyła w swój dramat. mnie w pierwszym dniu pobytu w rolepiu.

rotomka wybrała nie najgorzej. Goga był chłopcem silnym, sympatycznym, darzył przywiązaniem i miłością przybranych rodziców. twardą przytępawę, lecz ta skaza nie marwtliła matki, a tymbarzcie, ojca. w każdym razie małżonka dała mu dziedzicę. miał Melius, miał i on.

rił Geras, pił oczywiście i Melius. Ten ostatni aczkolwiek był orata samczą wydolnością, to ustępował zdecydowanie fantazję i animaszem. Dał się żony, która systematycznie po wytrzeźwieniu tłukła mu na głowie ciężkie gliniane naczynia. Geras nie dał się nikogo. rzeźbił skrupulatnie ~~moją~~ ^{ojcowizną} ~~ciężką wenecką~~ i bieżące przychody. niedys w suwajniezkaon, w mojej obecności targował zboże na pniu.

- Komorowski, panie dziu, to był moczymorda. - mówił z odzieniem zazdrości w głosie gdy wracaliśmy z nad lotewskiej granicy. - w trzy lata puścił całe Suwajniszki, cnałupę po cnałupie. Ostatnią do kieszki karczmarza za kolację dla półsetki gości. Właśnie tą, w której sobie panie dziejski dzisiaj popasaliśmy.

pan Gerard nie przenułał miasteczka, bo nie posiadał. Upił, nniął za to rolepie. zaczął od pałacu. Powyrywał drzwi i okna, sprzedcał dom ryunny, gonty, nawet poszczególne belki dachowe, wleżdy. Największy, popyt miały inkrustowane posadzki. wzorzyste kwadraty, z kawałkow różnogatunkowego drzewa. płyty kupowano na stoliki. Za niewyogrowaną cenę wędrowały na rynek progi polepskiego pałacu ornamentowane drewnienkami grubości szpilki. różnej poszedł las, po nim sad i co okazałsze drzewa parku, potem budynki. Ale nie wszystkie. oficyny bronił do upadłego meluś. musiał. Inaczej rodzina pozostała by bez dachu nad głową. Wozownię, stajnię i suszarnię owocow^{jednak} poddał, gdyż brat na trzezwie tyko siebie uznawał panem na rolepiu i groził wiekową guidnką. Zresztą w rzadkich chwilach przytomności braciem trudno się było porozumieć ponieważ starszy posługiwał się bulgotem, a młodszy nie dosłyszał.

Na letnie miesiące zjeżdżała do rolepia matka pani wandy. Bezzębna staruszka trwała ~~xxxiixxxxiix~~ w permanentnej wojnie z otoczeniem. w zgodzie żyła jedynie z pawiem, z którym wiodła wielogodzinne rozmowy. wstawiano dla niej łozko do pokoju cogi. Chłopiec choć nie grzeszył oystrością dobrze wiedział czym backę skutecznie zrytować. bez przerwy pokpiwał z litwinow i z wszystkięgo co litewskie. Ona t, mczasem szczyciła się przynależnością do małego, ale dzielnego narodu. Zogorzała demokratka, w młodości powiązana z jakimś lewicowym odłamem nienawidziła pańskiej polski. Inaczej niż córka.

pani wanda czasem - z racji małżeństwa - zaliczała się do polskiego ziemianstwa, czasem - z racji urodzenia - do litewskiego proletariatu. w zależności od nastroju raz optowała za polską, innym razem za lit-

wą. w karakulach odziedziczonych po nieboszce-tesciowej zawsze za ro-
ską. bez względu na porę roku występowała w futrze na wizytach u sąsła-
ców, nigdy w instytucjach i urzędach, zawsze do wieczornego urogu.

3. Za pan brat z kuzynami premiera.

/Tere fere...czyli małej sagi rodu Zynaram-Bosciałkowski ciąg dalszy,
a naoto o szerzeniu oświaty i miasteczku pana hrabiego./

Wydac się mogło, że z całej trójki trafiłem najfatalniej. W pierwszym dniu zostałem oszołomiony abnegacją i niechęcią ludzi, wśród których miałem żyć. Jednak każdy następny dzień przynosił przyjemne niespodzianki. Darzono mnie serdecznością, traktowano jak swego.

Pragnąc wyplacić sercem za serce wyraziłem gotowość edukowania młodego dziecica. Codziennie na parę godzin zapędzałem chłopaka do książki. Po trzech tygodniach zaprzestałem. Jeśli odznaczam się sadyzmem to raczej umiarkowanym, a chłopak jakby nie było należał do rodzaju ludzkiego. Bez współczucia nie sposób było patrzeć na mokre od potu czoło, rozszerzone z przerażenia zrenice, a często gęsto i kły kapiące na zeszyt.

Oswiadczyłem matce, że mogę ludzki najwydajniej pracuje prz, należ, tj. utnienieniu i outąd odbywalismy lekcję nau rzeką. Woga nauczył mnie zastawiac sidła na ptaki, łowic ryby i raki, przywac po kozacku, na oklep galopowac po pastwisku, strzelac z procy do wroci i wiele, wiele innych pozytecznych rzeczy. Za wyrozumiałość dla jego książkowstrętu odpracał mi ślepym zaufaniem i cielecym zachwytem. Ciotow był oddac ostatnią koszu lę. Rodzicom sygnalizował każdy moją niedostatek. Znosił mi jabłka, gruski, jajka, pilnował ojca aby i dla mnie nie zapomniał przywiesc z miasteczka tytoniu.

Matka nie martwiła się, a ojciec wcale się nie przejmował interesował postępiami syna. miał dziecica meus, miał i on - to było najważniejsze.

wiedziugo po przyjezuzie wsadzili mnie do karamaszki i wywlozili do ro-nadela. Tu nowemu domownikowi kupil za ~~litow~~^{pięć} litow nową czapkę, na zakro-pienie ~~koszt~~^{pięć} dziesiąt litow też się znalazilo. wracalismy w rozow, ch nuno-rach. Jak zawsze ilekroć zdarzala się pospoku z dziecicem opuszczac ma-jątek.

ran na rolepiu był w ciągłych rozgązadach. Bracia Bosciałkowscy mie-li w sobie cos z Nomadow. Lubili się włoczyc. Zwiaszcza najmłodszy i naj

starszy, z tym, że cieraś powozką, władzio pieszko. Odpasiona, trzyletnia klacz, ~~układająca~~ jedyne stworzenie ~~pasione~~ ^{pasione} pasaino okiem obnosiła dziedzica po okolicznych miasteczkach i siołach przystając samodzielnie przed każdym żydowskim zajazdem.

Pan Gerard miał słabosc do starozakonnych, natomiast władzio obra-
cał ^{się} najchętniej wśród cniogow. Kiedy nie dziobał łaską drogą świętej Litwy spał od posiłku do posiłku. Stołował się u bratowej.

Na rekreację w zoleplu wybrał sobie jedyną ociałą izbę w środkowej części pałacu. Na piętro wchodziła się po gradlinie przystawionej do stropowej belki. Dalej po desce docierało się do drzwi. Ale tylko docierało. Nikt ze śmiertelnych nie przekraczał progu. Rod nieobecność gospodarza na skoblu wisiała kuta kłocaka. On, był u siebie zapierał się od środka dębowym kołem.

Kiedyś sprowokowany przez cagę obietnicą urzenia czegoś niezwykłego wieszając się zrymsu podszedłem pod okno. Przez szybę - jedyną, inne zastępowała dykta-zobaczyłem izbę jaką nie często oglądają oczy ludzkie. Wszystko tam było jednobarwne, szaro-ziemiste, wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Na podłodze leżał siennik, a nim kozuch i wypchnany worek. Caga zapewniał, że sieczką. Najprawdopodobniej, owiem we włanuszku rzadkich kosmyków opasających głowę pana władzia trwale niezaznaczyły się plewy i kawałki słomy. Na środku izby stał zydeł i niski stolik zastawiony po brzegi słojami, puszkami, blaszanymi miskami i butelkami. Węzły naczyńkami wałały się cnuce, rozsypana machorka i niedogryzki pożywienia.

Trudno się dziwić, że pan władzio nie zagrzewał miejsca w zoleplu.

Chadzał sobie po świecie głośny wiadomości, rozmów, tłustych cniogowskich posiłków i piwa na chmielu. Wyplął gazie się dało. Czasem w cnałupie, czasem w stodole, czasem w stogu siana. Znużony lekturą nie raz kłmnał sobie w rowie. Czytał bardzo dużo. Czytał nawet w marszu. Zatożonego w książce spotkanie było można na przyzbie kamieni, pod drzewem. Wromadził wiadomości które następnie wymieniał za jadło i napoje po wblacni i cnuco-

rach. Znała go cała Litwa. Ziemianie pokpiwali z chłopotmana, wiesniacy podśmiewali się z degenerata. Ale jedni i drudzy szukali u niego rad i wyjaśnień w wielu zawiłych sprawach tego świata.

Do paru dniach posterunek policji w Roniemuniu donosił, że mój pobyt w Rolepiu wymaga zezwolenia powiatowej komendantury. Pojechałem z panią Wandą i uogą do Rakiszek. Sprawę załatwiła szybko i pomysłnie. Rozostało trochę czasu na zwłoczenie miasteczka.

Było nieduże, spokojne, schłodzone i murowane. Iaka sobie murowana osłona czy rnicwy. Grunty i wszystko co na nich trwale siedziało, a więc: kościół, domy, budynki gospodarcze, drzewa, wszystko należało do hrabiego Przechyckiego. Reforma rolna zlikwidowała ogromne latyfundiary rolne nie dotykając jednak miasteczka. Hrabia należał do najbogatszych ludzi na Litwie. I nie tylko na Litwie. W Polsce także posiadał nie licho fortunę. Między innymi hotel Europejski w Warszawie.

Przed wyniosłą bazyliką nic godnego uwagi nie znalazłem. Bazylika z czerwonej cegły przypominała gotyckie świątynie nadwisiańskiego pomorza. Kościół i większość budynków w miasteczku wznosił i zbudował. On założył tartak, cegielnię, on pobudował młyn i mleczarnię. Nie darmo jego imieniem nazwano jedną z ulic.

Przed powrotem pani Wanda odwiedziła rzadką hrabiowską dóbr i złożyła na jego ręce paczkę dla polskich żołnierzy internowanych gdzieś w okolicy miasteczka. Paru internowanych kręciło się między zabudowaniami folwarku. Przyszli z pobliskiego tartaku gdzie pracowali. Nie robili wrażenia zabiedzonych ludzi.

Wyjazd do Rakiszek i Rakiszek i czkoiwlek nie był zbyt atrakcyjny zalegalizował mój pobyt pod gościnnym acz dziurawym dachem Rolepia.

A niebawem zaliczony zostałem do uogole, do uogole, lecz znamienitej rodziny.

Sięgnęły dni i tygodnie, a mnie coraz mniej, razik brud, zaduch, nie zmordowana papianina pani Wandy, przyzwyczaiłem się do bełkotu pana Cera

rda, pohukiwania sowy pod oknem i wrzasku pawia. Jadało się na zachlapanym stole, w glinianych naczyniach, ale obficie, tresciwie i tusto. Rozsmakowałem się w litewskiej kuchni. Urzyby, chlebunki, oliwy, oiatki, ^{kolbasy} ~~chlebunki~~ wspaniale przyrządzała kucharka pomimo, że sama dopraszała się gorącej. o ceber zwykłej, zimnej wody. Gdy wносиła dania starałem się nie spojrzeć w jej stronę.

Ale de gustibus non est disputandum, pan Cieras naprzykradł miął do parzygnata słabosc. Najbardziej zamoczony trafiał do oficyny i drapał się na piec. Czasem na całą dobę. Zona nie przeszkadzała wiedząc, że temperatura pieca zbawiennie działa na wyschnięcie oczulezy. Bywało bowiem różnie - raz moczył się pod plebie raz nie.

Całe dnie przesiadywałem nad rzeką lub pod drzewem w aziao zarosniętym parku. Czytałem się języków, czytałem i pisywałem listy. Teraz przychodziły dość często i regularnie z Poznania i z Warszawy. Przesyłała rodzina, przysyłała przyjaciele i koleczy. Czytałem i tęskniłem. Onclalem być wśród nich, pomimo że było mi gorzej, bardzo dobrze, dużo lepiej niż Wickowi i Myskowi.

4. Aukšta Dvaris.

/ Iere.. Iere.. jak się uczyć to poglądowo, jak pracować to w pocie czoła, jak zbierać guzy to przy boku czującego serca. /

Wicek widać bezmała pustelniczy zwot. Gorzelany, Niemiec z pocno-
żenia nie znalazł zajęcia odpowiadającego umiejętnościom studenta pol-
techniki. Nzaako bardzo rzadko dopuszczał do wspólnego stołu. Rozwie-
nie wynoszono wickowi na kwaterę.

Żona gorzelanego cierpiała na schizofrenię, czy neurastenię czy inną
przypadek psychiczną. w święta i piąta paradowała w nocnej kaszuli,
szlafroku i papilotach. Po za bladym synkiem ^{nie} nie obojętno. Zadrę-
czała dziecko małą miłością.

Dla zabicia potwornej nudy vicek uczył się litewskiego. Postępy w
nauce sprawdził na jurnej, przysadzistej dziewczynie, która przynosiła mu
pokoju i przynosiła posiłki. Kiedyś ~~nie~~ radości sprawił lit-
wince zdaniem: "Ristukas Jul ant pintos". Barzo się cieszyła z przeję-
zyczenia i zaraz ^{poglądowo} ~~wykazała~~ wykazała jaka jest różnica między zwykłą szafką
a niezwykłym wycinkiem kołowego ciała.

Dysponując w nadmiarze czasem raz po raz ~~zwyczaj~~ wpadał do kolejki.
Nysiek nie pojawiał się nigdy.

w pocie czoła pracował na polach unglienik. Dziewczaczka nieudłego
rolwarku, położnego wśród lasu wiodarzyła sprawnie i energicznie. Wyz-
nawiała zasadę: "bez pracy nie ma kołaczy" i zapędzała do roboty każdego,
kto korzystał z jej gościny. biedny Rysio zrywał się przeto gdy zapiał
~~kur~~ kur i do zmorku poik konie, wypędzał bydło na pastwisko, prze-
rzucił siano na łąkach, ~~o~~ najczęściej ustawiał torf. Stara panna, też
kościółkowska była bezlitosna. skwar nie skwar, siota nie siota ~~zwyczaj~~
wyganiała na torfowisko. Niedys przyjechawszy nieopatrznie w dzień pow-
szedni poprobowałem tej pracy. z pod maszyny - taplając w wilgotnej ma-
zi - wynosiło się na nosidłach kostki torfu i na suchym miejscu układało
w długie przymy. Torf kładł w paice. Do grzoletu lepił się orunatny pył.
Udług wizyty składałem wyłącznie w niedzielę i święta, a jeśli zamierzałem
nocować to w sobotę ^{degi} do zachodu słońca.

Do Unglenik przyciągała młodzież. Pani Maria sprowadziła z Wilna siostrę z dziećmi: naszym rówieśnikiem wieskiem, nie wiele młodszą siostrą, i neginką, podlotkiem, ale już wcale wcale rozwiniętym. Chłopak był bardzo dorodny, dziewczynki zwracały uwagę, jako że na bez rybia i rak ryba. Starsza wysoka blondynka odznaczała się długimi nogami i długą kóńską twarzą, młodszą naodwrot, ~~podobnie jak mama czarnej głowy~~, krótkimi grubymi nogami i krótkim nosem i grubymi rysami. Wszyscy pracowali, nikt się nie wałkonił. Mysiek doglądał prac polowych, dziewczęta doglądały inwentarza i drobiu, mama Bogdanowiczowa prowadziła dom. Jak wspominałem na wyloczynie i rozrywki pozostawiały święta.

Byliśmy z wicelem dość częstymi gośćmi Unglenik. Czasem przyjeżdżałem na ślepych wałach, ale raczej smarowałem pleszo tych dziesięć kilometrów z koleją. Po drodze w Poniemuniu zabierałem wiceka.

Dodatkową atrakcją naszego domu było radio. Mogliśmy śledzić trochę wiadomości ze świata. Do czerwca były one nijakie. Po Norwegii panowała nie zmacona cisza na zachodnim froncie. Potem przyszła księżka Francji, koniec mitu o linii Maginote'a i nadzieji na szybkie zwycięstwo alianców. Dziwnie bagatelizowaliśmy ponure wiadomości. Chyba z winy pięknego upalnego lata, dostatku wsi litewskiej i złudnej wiary w neutralność małego państewka.

Udy wizytę rozpoczynaliśmy w sobotę nazajutrz o brzasku wychodziliśmy z reguły na jagody. Wszyscy z koszykami lub dzbankami, a my prócz tego z zamiarem przyłapanie gdzieś na dobieżu brzydkich lub brzydkich, ale bądź co bądź swojskich dziewcząt. Mysiek ciągnął za perkalikową spodnicą duby, ja za ośmiłą bluzką neginki. Wicek towarzyszył mamusi raczej wolny od nieprzystojnych myśli. Za to miał najobfitsze zolory. Ja najgorsze. Gorsze nawet od Myska. Ale bo też młodszą siostrą była bardziej od starszej bojaźliwa i niedopieszczona. Szczeciotała, chichotała, pozwoliła się nawet pocałować, było krótko i nienamiętnie i zaciekle broniła dostępu do każdej większej wypukłości.

ro sakramentalnym chłodniku, kurczakach z mizerią lub szałatą i poziomkowym kremie układaliśmy się pod sosnami na pooblepną siestę. Ale sen się nie miał. wobec tego uganaaliśmy się po zagajniku, obrzucali szyszkami, przewracali na mchu. Kiedyś, pospoili z wickiem umyśliśmy posadzić dudę na ~~MEMX~~ mrowisku. Dościągnięta do obrzyniego kopca bronila się rozpoczkwie. Gryzia, kopala, piszczała. Na nic o, się zdała cała samoobrona gdyby nie wysiek. Zmiękczoney wołaniem o litosc wycałł nam bliską piaczu. potem się tłumaczył:

- Ludzie ona była bez maitek!..

Źródła swojej wiadomości nie podał.

Na podwieczerek chodziło się do wysokiego dworu.

Maksta Dvaris był okazałym majątkiem. Przed blazą pałac prowadziła aleja starych drzew. Po jej dwóch stronach zieleńca trawnik, a na nim mozaiką kwiatow barwiły się gazony. Za budynkiem rosł angielski park. otoczony muirowanym parkanem dwor i całe obejście mogł, siuzyc za wzorzec ładui porządku. Po kolepiu czułem się nie swoje stąpając po wyżwirowanych alejach, a ^{potem} ~~Wynudzenie~~ po wywosławianym parkiecie i dywanach. Gości podejmowano w salonie. stały tu stylowe meble i fortepian. Na stoliku leżały angielskie i francuzkie magazyny.

Majątek należał do Stretowiczow. jako wiano wniosła go dystyngowanemu arystokracie siostra dziedziczki Anglenik, a więc również Kosciazkowska de domo. Koczina jak widac rozciąła, zacna, ongiś bardzo zamozna. Siwiejąca matrona rooila nie mniej dystyngowane wrażenie od męża i w samej rzeczy była swiatową damą. w gronie najbliższych rozmawialo się przeważnie po francuzku. o polepskich kuzynach z ciętą ironią, przkąsem, a często i z pogardą.

Majątkiem zarządzała matka i syn. Stretowicz-senior, wysoki, szczupły, szpakowaty, o orlim rasowym nosie dopełniał tylko swoim wyjątkiem stylowo urządzoney dwor.

Przystojny jedynak, po studiach rolniczych we Francji bardzo ~~szczę~~ zyscie gospodarzył ^{na} wawstunektarowym wioskach. w arenouie poznal ~~pa~~

nę rozdział-rolkowską i przy aprobacie mamant wziął sobie za żonę. Była to barażo sympatyczna kobieta - ładna, miła, pociągająca. Jedyna ~~ja~~ obdarzona duszą w tym domu. Prosta, ujmująca, zawsze pogodna i uśmiechnięta nie miała w sobie nic sztywnego, nie odpychała chłodem ~~szorstkimi~~ nieskazitelnych manier. Ona właśnie potrafiła dokonać wyboru w ekskluzywnym murze starszłachetczyzny i na każde niedużenie poposiudnie zainicjować dwor czereją młodzieży.

Na kilka godzin popołudnia wysoki dwor ożywał.

Starsi państwo, młody Stretowicz i Wicek zasiadali do bridge'a. Innych gości młoda małżonka uprowadzała nad rzekę. Nad tą samą, która przepływała przez łąki łołęcia. Tu była dość szeroka, porośnięta wierzbami i olszyną. Wierzby pochylały się nad wodą. Na powierzchni unosiły lilie wodne, nenufiary. Siadaliśmy w łodzi. Płynęliśmy leniwym nurtem.

Kiedyś wiozłem panią Marię. Wiosłowałem, ona siedziała przy sterze. Słońce przechylało się ku zachodowi. Promienie przecierały się przez liście wyłaczając rzekę. Znacznie wyprzedziliśmy innych. Wymienialiśmy zdawkowe uwagi. Częściej milczeliśmy. Poruszałem mechanicznie wiosłami. Wpatrywałem się w ładną kobietę.

Maria miała piwne oczy, długie rzęsy, silcznie wykrojone usta i smukłą szyję. Liliowa suknia opinała smukłą szczupłą sylwetkę. Zanurzała głowę w wodę. Od czasu do czasu wyłaczała pieszczotliwie wodorośty. Natrętnie przeciągałem wzrokiem po nogach, świętokradczo wdzierałem się za dekolt.

- wracamy.. - powiedziała w pewnej chwili.

- jeszcze nie. - odparłem. - jeszcze czas.

- będą się niepokoić.

- kto?... mąż?..

Spojrzała mi w twarz. Nieznacznie wzruszyła ramieniem.

- On nie miewa takich stanów. Jest zoty zrownowazony. Jak może mnie pan spławic do Bałtyku.

Popłynęliśmy jeszcze kilometr, a może dwa. Ciągle nie spuszczałem z niej oczu. Zapewne dlatego wyrzniętem czołem w konar zwisający nad rzeką. Wyskoczył guz, zadrapałem skórę.

- Skaleczył się pan. - powiedziała troskliwie

- głupstwo.

- Ładne głupstwo. Trzeba przyłożyć kompres.

Nie sięgałem do kieszeni. Wiedziałem, że nie znajdę tam chustki. Rodziła swoją.

- Proszę zamoczyć i przewiązać.

Nieporadnie usiłowałem zrobić ~~związać~~.

- Ch! jak pan to niezgrabnie robi. Proszę przybć do brzoju. Tam opatrzę ranę. Tu ~~zamy~~ możemy się wysypać.

Wjechałem między zarosła. Przystąpiła obok na ławce. Odurzała zapachem młodego ciała. Zamroczyło mnie. Prawie nie czułem dotyku jej palicy. Gdy rozeszły się nasze wargi poprawiała zsunięty ~~nieładny~~ opatrunek i przesiadła z powrotem na ruię.

- Zawsze pan tak wynagradza samarytańskie uczynki? - spytała z uśmiechem.

Zapomniałem języka w gębie. I ona więc, nic nie powiedziała.

Dopiero przed kłacką do której przynosiwałem łódź rzuciła:

- Właściwie powinnam i ja pana podrapać. Proszę zająć chustkę. Rana nie jest śmiertelna.

~~Wzięła~~ Powiązałem batystową ^{mi}szatkę. Okryłem w kieszeni. Nie pomagała się zwrotu. Wosiłem ją przy sobie kilka tygodni. Do przyjazdu aczy, nawet trochę dłużej.

W salonie popijano wino. Poza reglanką nikt nie zwrócił uwagi na nasz zapóźniony powrót. Ona jedna pilnie lustrowała moją twarz. Inni w skupieniu słuchali Chopina. Grał młody stretowicz. Wsunąłem się w miękki fotel. Raz po raz dotykałem guza choć wcale nie bolał.

Maria wyszła do dziecka i guz wleceją się nie pokazywał.

5. Na targowisku

/ Tere.. tere.. nie każdy kościątkowski jest zaraz kościątkowski, tak jak na targowisku nie wszystko ~~de~~ co się pragnie dostać można.

rewnej niedzieli wypadła wizyta w kołpaciszkach. wybraliśmy się w czwórkę to znaczy: pan Gerard, pani Wanda, Joga i ja. Do jeszcze jednego kościątkowskiego. tak zwiał się podstarzały ksiądz grubas, ale prawowici kościątkowscy nie przyznawali się do niego. Pan Gerard utrzymywał, że zyzio był kiedyś kościogryzki, a przecniek się dopiero kiedy od hrabiny krasickiej dostał kołpaciszki.

- To prosty muzyk, syn kowala. wygodził starej i wykroił kawałek kawałek ziemi. mogli mężczyźni płacić dziwkom krowami, czemu baba miała nie dać byczkowi folwarku. nie kościątkowski to on, panie dzie, ski nie jest i nie był..

hrabinę krasicka miała gest. zyzio dostał wcale niemał gorsze gospodarstwo, na żyznej ziemi, z dobrymi budynkami i dobrym choć nie dużym lasem. następca poszerzył fortunę o młodą żonę i coś jeszcze ^{widać} zaoszczędził na hrabinie z cniłpokiej też zyzny, do doczekał się owoc syni. Pan Gerard ~~zakrykikikik~~ powątpiewał co prawda w legalne ojcostwo. Myślał, że sądził innych własną miarę. konątnie kszalty dziecziczki kołpaciszek mogły wykrzesać nie jedną iskrę ~~z~~ z daleko ^{bankier} posuniętych w lecjach mężczyzn.

Retowaliśmy do nocy. po wyczerpaniu się wódki wzięliśmy się za piwo. Trunek na cnielu ogłuszał. człowiek czuł się jak po uderzenie ciężką pałą. głowa jakby puchła, a nogi ledwie można było przeciągnąć z kąta w kąt. pana Gerarda wnieśliśmy do bryczki. kowozł Joga jedyny trzeźwy człowiek. Do ralepia pan Gerard odzyskał sprawność w stopniu umożliwiającym wdarzenie się na piéc.

Do wtorku wysuszył spodnie. Co wtorek jezazik do fonadela na targ. Tym razem pojednał ze mną. Zajęliśmy przed zycowai kramik. Zaden szanujący się ziemianin nie pozostawiał konia na rynku, każdy wprowadzał w obę, scie. Co zamozniejsi wynajmowali nawet ka dzie.. targowy jakąś izbę. Dziedzie ralepia nie wynajmował. Jedynke tabacz-

kowe ubranie jakie posiadał nie wymagało odświeżenia. Było Jeanolicie zaplamione, zakurzone i wymięte. A po trudach podróży wypoczywał w obozisku.

tego dnia ^{zapewne} ~~nie~~ nie wiele spraw miał do załatwienia, ponieważ od razu zaprowadził mnie na herbacę. Gdyby chciała tylko o herbacę dotrzymać bym mu towarzyszył do wyjazdu, ale ujrzawszy na stole butelkę bez skrępułów wymknąłem się z knajpy.

Wędrowałem się samopas po miasteczku. Chodziłem między wozami. Na targowisku wnieszałem się w gromadę chłopów i handlarzy bydła. Przeskakiwałem wyłożone na chodniku artykuły miejscowego rękodziela: kubłanki, koszyki, przetaki, garnki, cebrj. Zapuszczałem zurawia do ciasnych, ciemnych sklepików. Rieniędzy przepływały z targowiska do kramów, z kramów na targowisko. Największe obroty robiłi sukiennicy.

Z jednego sklepu wyszła młoda dziewcziczka wysokiego dworu. Cieszyła się ze spotkania. Ja również, choć trochę mnie żenowała. Nie wiedziałem czym ją zabawić. Na szczęście odezwała się pierwsza.

- Ma pan czas? - spytała

- Chyba tak? Pan Gerard dopiero zaczyna śniadanie.

- O, to zażymy z dwadzieścia razy obejść konadeł.

Obeszliśmy zaledwie raz. Kupowała jakies katalaszki, cienką bieleńką, nici, tyton dla teścia, trochę słodyczy. Nazdą paczkę wciskała mi w rękę.

- Proszę mi pan odnieść na kwaterę, coorze?

Kwaterna znajdowała się przy młynie. Starozakonny młynarz na dzień targowy oddawał dzieciom wysokiego dworu najlepszy, najbardziej paradny pokój. Pluszowe meble, kicze na ścianach, gipsowe figurki tonęły w półmroku rakunki złożyłem na stole.

- Należy nam się wypoczynek. - powiedziała kładąc się na kozetce.

Skwar był dokuczliwy. Oplekła wdzierała się do pokoju przez zasłony na oknach.

- Niech pan się także wyciągnie. - wskazała ręką drugą otomanę. -
Przed tem tylko proszę mi sciągnąć pantofle. Nie chce mi się palcem kiwnąć. Uff! jak gorąco!..

Przyciśniętymi palcami wyłuskałem przez dziurkę guzik.

- Dziękuję. Jeśli muchy pozwolą porzucęmy sobie z półpodzinką. Potem poproszę u gospodyni kawy. Nic mnie tak nie orzeźwia jak kawa.

- Pan Gerard będzie się niecierpliwił. - wtrąciłem.

Wstrząsnęłam głową. -
- Pan na koleciu zwykł się bardzo długo posilać. ~~Wstrząsnęłam głową.~~

- powiedziała ~~Wstrząsnęłam głową.~~ spędzając z twarzy muchę.

Złożyłem gazetę i przysiadłem na brzegu kozetki.

- Co pan robi?

- Będę odpędzał od pani muchy.

- Bardzo pan miły. Nie proszę się nie fatygować. Może nie zagryzą?

- Napewno zagryzą.

- Dość głupstw. Odpoczywamy.

Odwrociła się do ściany. Na otomanie pozostało akurat tyle miejsca aby położyć się obok. Położyłem się. Rocaiowałem jej włosy. Dłonią przeciągnęłem po udzie.

Odcchyliła głowę.

- Stanowczo za duszno na taką przyjemność. Proszę porożyc się na drugą otomanę.

Nie ruszałem się. Opasałem ją ramieniem. Zajęta z siebie moje ręce. Uniosła się. Łagodne oczy nabrały jakiegoś dziwnego wyrazu.

- Przydałoby się z jarmarku przywiesić przygodę, prawda? - powiedziała
ła z sarkazmem. - Dla dopełnienia wrażeń. Będzie się czym pochwalic przed kolegami. Jak mam ci się oddać, żeby było o czym mówić?..

Zsunęłem się na podłogę. Pośledząc, położyłem musiałem pociesznie wyglądać do przez chwilę przyglądała mi się z pokazalwym uśmiechem. Potem wyciągnęła dłoń.

- Chodź. Poprobujemy, jeśli ci tak koniecznie potrzeba do kompleta meżatka?

ruszyłem do drzwi.

- Zostan! - usłyszałem za sobą - jestem głupia, ~~nie wiem~~.

Znowbie przysiąłem na brzegu kanapy. Ziozyla mi głowę na ramieniu.

- Wszystkiemu winien upał... ta obskurna żydowska graciarnia.. te ślady pluskiew na ścianach i muchy potopione w serwatce. Nic dziwnego, że człowiek bredzi. Byłeś kiedy w domu publicznym?

- Skąd!.. gdzie?.. - odparłem

- Karol odwiedzał w Brukseli. Czasem jak zaprószy sobie głowę opowiada różne ciekawe historie. Nie wiem ile w tym prawdy, ile cności zaszkowania naiwnej i potulnej małżonki? może chce ^{się} poprostu utyłać ~~z życia~~ wintny ~~z życia~~ w błotku?

Zamikła na moment. Zsunęła bluzkę i wszystko co przybrała jej pierś.

- Szkoda że to nie jest burdel. Wtedy wszystko byłoby proste, wiadome. Zaczęło by się i skończyło o określonej godzinie. Za zapłatą.. a tak? Czego mogę oczekiwać od ciebie?..

Wpiłem wargi w jej oonazone ciało.

- kazała kobietę tak całujesz?..

- kazała, nikogo.. - szeptałem - jesteś pierwsza w moim życiu, jedyna..

- kłamiesz! napewno była jakaś kuzyneczka albo siozga. Napewno była

..

- nie kłamie.

- przysięgnij!

- przysięgam.

Wyszarpnęła się z moich ramion. Swoje skrzyzowała na pierś. Podkuiliła nogi i zwinęła się w kłębek jak psiak. Gdy ~~zaskoczyłem~~ przysunęłem usta do nagich piersi zeskokczyła z otomany. Ze stolika zerwała serwetę. Okręciła w nią ~~się~~ tułów.

- Odwróć się, cncę się ubrać. - rzuciła rozczarzoną

- Jak tak można.. Mario!.. jak możesz?.. - powtarzałem.

Nie więcej z siebie wydukać nie potrafiłem.

Ona odrzuciła serwetę. nacisnęła naramienniki, zapląta bluzkę. Jej ocz. przybrały swój normalny łagodny wyraz. Posmutniały.

- Nie mogą być twoją pierwszą kobietą, nie chcę. Ja mogę być tylko po
dziwkach, w najlepszym razie po pokojówkach. Przynajmniej do tego i trudno
odwyknąć. Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam.. Zapnij mi panto-
feli!

Pochyliłem się. Tym razem palce urządziły mi jeszcze bardziej. Ona mówi-
ła:

- Nie gniewaj się. wiem, że byłem cyniczna. Bardzo cię lubię i dlatego
ze cię lubię byłem cyniczna. Zauważ memu doświadczeniu. Stało się naj-
lepsze co się stać mogło. i stanie się coś jeszcze lepszego.. rozszedzie-
my się. Przynajmniej, że nigdy nie będziesz przychodził do wysokiego
Dworu.

- Dlaczego Mario?..

- Bo cię o to bardzo proszę. Nie chcę cię tam oglądać.

- Czemu Mario?..

- Tak będzie najlepiej. i dla mnie i dla ciebie..

- Już cię nigdy nie zobaczę, nigdy?..

- Może znow się spotkamy na jakim targu. Czy to tylko w Ronadalu
urządzają jarmarki. Może wtedy już nie będą pierwszą..

Zobaczyłem ją jeszcze tylko raz w życiu. Na bocznicę wiedeńskiego
dworca. Przez zakratowane okno towarowego wagonu. Poruszała bezdzwięcz-
nie wargami. Miała bardzo smutną twarz. Biegłem. nie mogłem się zatrzy-
mac. Mogłem tylko machnąć ręką.

Przez całą drogę do kolejki pan Gerarda spał i śnił się jak nie-
mowię.

6. ~~Humorystyczny~~ Dziewczę z buzią jak malina.

/Ter.. ter.. syn dyrektora elektrowni i bez energii, bezmała inżynier a okręcić nie potrafi i w ogóle lepsza pliszka na kępie siano niż gełębica pod czerwonym saczem./

Przez dwa tygodnie czekałem jak oczekują. Myślałem tylko o Marii. Do Angliki nie jeździłem nie było czasu po co. Częściej za to odwiedzałem Wiekę.

Gdzieś pod koniec czerwca powracając z seniemunia zastałem na pokój tylko bezżoną babkę. Inni wyszli na sianoosy. Obok krenensu stały dwie walizy.

- Mamy gości? - spytałem tęskniwą pana Gerarda.

- A jakże, mamy!.. Przyjechała z saczem. - odurknieła.

- Panna Ninka?..

Starowina zaczęła się z oburzenia.

- Pan ma nie siorze w głowie! Ninka i z saczem!?!.. Zresztą Ninka już nigdy tu nie przyjadzie. Wycofała się, zmarzała. Za barzo się szanuje, żeby oglądać taką taką osobę. No my Litwini jesteśmy prosel, proszę pana, ale..

- Więc kto przyjechał? - przerwałem

- Kto miał przyjechać?.. Ta ^{wywołana!} ~~Wysłana!~~!..

Pod barzoj wyczerpujące szczegóły pomaszerałem na łąkę. Nadciągaly ~~leżące~~ chmury. Dusznota zapowiadała burzę. Kilka osób pospiesznie zgrabiało w kopy siano. Między nimi kręciła się dość zgrabna dziewczyna. Ale tylko zgrabna. Po za tym przysiadła, ruczając o pyzaty chlebek i karnacji paroniesięczonego prosieka. Wzięła za sobą ciu, enegle, o faceta. Dla samianny białego wymoczka z czarnymi kęziorkami na głowie i takimże wązikiem. Stanowili parę raczej pocieszoną. Ona rumiana, tęczną pleców, on biały jak gips; ona pulchna, nie wysoka, on cienki, ^{ciuchy} ~~rychki~~ jak tyka; ona każdym ruchem zarażająca energią i temperament, on sprawiający wrażenie jakoby przeproszał świat i ludzi za to żyje. Wzięła pod rękę niczym ocean w jednej dłoni trzymając jej torbę, w drugiej jej narzutę.

- Roznajcie się. - rekomendowała pani Wanda. - Nasza noza, siestrzeni-

ca Gieźrasia. A to jest właśnie pan Tadeusz, nasz drugi syn.

Saraze mi pechobilo zaliczenie do nietuzinkowego będz co będz reau, to tez aien "kuzynki" uscisnieniem szczerie mocno.

- Moj narzeczony. - przedstawila blacze miedziencza i nie wlaomo alacze, wydzia pogaralilwie warzi.

Zaplonil sie po same uszy. Wyszunaj dwa palce.

- Witek Reiman jestem, syn dyrektora elektrowni.. - będnaj uwizanieniem z wrazenia.

- A swiatlosc ~~niekiedy~~ niech nam swieci. - będnajem

- Na wieki wiekow.. - odpwiedzil i nie domykajac ust przepieszony spojlad z ukosa na narzeczona.

- balwan.. - mruknela

Do wieczora nie juz nie powiezial. Uwaga narzeczonej sparalizowala mu jezyk. Rownie, rowniez nie wiele. Wykonywal bez slowa kazde polecenie ruazielca, wzaycna i ^{wclaz} wozil po obecnych ~~xxxxxxx~~ oczyma sarny.

Ca przybycia gości wszyscy miedzi syplali w stodole. Zafawalem, ze wczesniej nie wpadlem na ten pomysl. Swiezy pokos trocne odurzal, ale w przewiewnej stodole bylo bez porownania przyjemnie, niz w pachnacej grzybem i moczem izbie. Z braku ekrycia przez kilka parnych nocy panna Roza azielila koc z narzeczonym. Rownie na kilka dni wpadl wicek i postanowilismy ~~gogusia~~ wystrychnac na suaka. Usalo sie to na ~~na~~ nie szybka. Nawet nie spestrzegilismy sie kiedy miedzy nami wywiazala sie rywalizacja o wzlegay narzeczonej. Narazie ~~gora~~ byl oducujacy student politechniki, inzynier in spe. Cayby do tego byl barazle, zdycyowany i szyosz w azialaniu ~~je~~ sukces naa nie nie zapowiadajacym maturzystą byłoy nieodwracalny. Tymczasem to ja, a nie on przydybaredz dziewczynę na zasiaku i po nienatarczywej szamotaninie warzami stiumillem wyrazy niezacyowane, pretestu.

Wyaje mi sie, ze w jakimś stopniu przyczynilem sie do departacji dyrektorskiego synaika nie tylko z granic telefona, ale rowniez z serca narzeczonej.

Nazajutrz, we trojkę, to znaczy narzeczona, wicek i ja odstawialiśmy bliskiego placzu cniopaka do renadela. Na stacji zeżnał uwieśbiana szczerze wzruszony. Grayka cneozila mu na cafe, a uosci szyji.

- Święci Anierwie co to ciecie!.. - powieozila ay samowarek ruszyi z przez awerca.

- Nie wypada tak brzyko wyrazac się o narzeczonym. - zauwazyi wicek i powaznie osiabił swoje szanse.

opozlewając się, ze jestem ostatecznie usuporniony na uzlaianie Wysokiego Dworu aatem się namowic na wyjaz do Unienia. Iuzkiem się. rzeza zbeczeniem w las iaxkxix a uo wpatrywalem się w tepolowę aieję. Nikt nie mi, nał męczy arzewami. Musialem nie poslaac tęio, mly, co noza powieozila nie ukrywając ironii.

- Coś tak nagie zeszkapiał? Przypominasz teraz te eymbaia witu- sia.

xxxx porownanie aotknieio mnie do zyweo. Oocieję ziozykiem na oitarzo mojej czyste, miłości do Marii. Nic mnie nie ocneozil w tej chwili ru- azielec. Nawet to, ze barazie, niz przystaiko przyciskaił bleare do be- ku Wicka.

W unienkach jak zwykle bylo rejno i weseie. Tyko nie mnie. mnie nie opuszczalo przygnęozlenie. Na spacerze, kxixkix nieustannie zocza- iem na ten skraj lasu, z ktgreo męczy arzewami wlaac bylo czerwonę aach Wysokiego Dworu. kxixkxix a ay przypomiane sobie, ze deurze bylo- by pojsie do stretawiczow osowialem do cna.

- Dobrze wiesz, esz? - spytaia noza

- niepske.. - ooparilem

- fatalnie! - wtraçila ne,inka. - Nie radzę ci wsladac z nim do loazi.

- Dlaczego? Ja wlasnie wsladę. - orzekia noza

- Nie jestem gondolierem. - warknalem. - Nie będe niko o wozli. mo- ze jeszcze serenadę wyciagac senieritem?..

- Bez łaski. - rzekła Reginka wydmajając usta - serenażę zachowaj dla mężatek. może cię jaka znów pearaple?

reształem tłuściochewi spojrzenie oprawcy. uarażę towarzystwem poszealem w las.

•rocili paa wieczor. byli rozbawieni. unachetali z byle czego, ^{żmiali} jak głupcy do sera. Rozę przewozili po rzecce wicek. noili wrażenie barazo ~~zadowolonego~~.

Do reniemunia mliczałem jak trapiста, ^{co me przeszkadzało} ~~całkowicie~~, w maarej odgarnianie się od unglenik ^{odkrywało w niej} ~~zawieszonych~~ ~~na~~ ~~szereżonych~~ ~~niekiedy~~ coraz więcej interesujących szczegolow. wicek wyslaai przeza ~~perzealną~~. zaraz za reniemuniem zabrałem się do odraubiania ^{terum.} ~~zawieszonych~~ ~~na~~ ~~szereżonych~~ ~~niekiedy~~. noza okazała się człowiekiem wielkoausznym.

na następną niedzielę wypadła wizyta w niepaciszkach. a potem zmiianem i ich rezyaentom odachlało się wizyt.

7. Jak pękał pępek świata.

/Terę.. Terę.. przez pępek nie skoczysz wysiadł walcemaras, a po nim Smetana i wyszedł klops - stąd nauka: nie jezazie nie eslązacie koubity historii. A buika z szynką nie era kazdego cymes./

Rejawły się ciężkie stalowe czołgi. Gniotły sąsiennicami plasek polnych erog i zwir szes. z wiezyczek wyjącaiy umorusane twarze zornierzy. Przepatrywali uważnie okolice. Nikt jednak nie zagroził najpotężniejszej armii świata. Dueniła ziemia, w oknach aręaiy szyoy, aręaie serce niejednego Litwina, ale warkot motorow i szczęk zeraza nie xkaxxik zakłocił w jakiś osobliwszy sposób życia miast, miasteczek i wsi. Ludzie nie earywali się od swoich normalnych zajęć. Czasem tylko efekt maszyny gromadził na aredze azieciarnię.

ro za nielicznymi wyjątkami aęonia smetenowskie, litwy przeoleęara ^{wyjątków} bezwstrząsowo. Jeany z ~~nikim~~ było kolepie. Czołgi wprowadziły nie mały zamęt i w domu dierasła i w domu melusia. melus ~~nikim~~ zaczął plć niezrezej od brata i nie tylko nie pozwolił się oie przez żonę, ale sam ^{garbowal} ~~skorę~~ skorę byiej eojarki wyrazając w ten sposób pretest przeciw ludowiaztwu. Dabeia-takze z ~~xxim~~ powodu społecznych przemian-opuszcila przed czasem ~~nikim~~ kolepie i wróciła do kowna, do młodziej, corki. Teraz nie enciała zyc z łaski zięcia-"pamięszczyka". Jeany parobek eamowił pracy, a azieazie pił na umor. ~~nikim~~ z kuchni nie wyszedzi na świat bozy, do ktorego czuł teraz nieprzezwyjęzoną eorazę. ~~nikim~~ On, ktorego nie razila nawet eorzydliwa kucharka.

Z pieca zlazł eopiero jeane, po eanę, nieaziecił, aby ~~iosowac~~ przeciw przyłączeniu litwy do Wielkiej Socjalistycznej reuziny. ~~nikim~~ Niestety wola ludu była inna. Z "za" opowiedziato się bezmaia sto procent eoywateli. W obwoazie suwaniszek, pomimo votum separatum weterana walk niepoaleęłościowych nawet sto awa. Ten nieoywały sukces eilejajny komunkat tłumaczył uazianem w referenauum Litwinow zamieszkujących poęraniczne ~~nikim~~ rejonny lotwy.

Re plebisycie zebrał się w kownie ^{nowy} parlament, który usankcjonował wolę narodu. Smetana i haškitis uciekli do rus wscnoanien. Prezyant na wygnaniu umarł, a woz bitnej armii znalazł się na terytorium U.S.A.

gazie organizuje wołnych Litwinów. Tak skończyły się dzieje suwerennej Litwy.

Dzieje nieokrutne lecz burzliwe, od puczu zellowskiego tęzące się permanentnie, wazni z podunowym saskiem. maly, męzny narca, w razie potrzeby gotow maszerowac na nzym poslacai niestety co nie co piecni-wych przywoacow. Nawet czupurny Waldemaras ułai się w Genewie przed kulakiem rilsuaskie. o. rotem ^{bylo} jeszcze gorzej. Smigly kazai uselinas pra-wice albo ocaac nowno. ^{H Smetona} Xanizai zamiast stawic odważnie czoła ~~czetana~~ eg-lanai się na Berlin. ^{Jymmesan} Berlin mliczai, a wkrótce sam zaorał niapcaę. ~~xxxxxxxxxxxx~~ Jedyną jednostką floty wojennej, zacumowane w ~~xxxxxxxxxxxx~~ rełazce. różniej, w 41-szym po wyparciu wojsk radzieckich Berlin jeszcze raz zawlaci. nie sprawadzil emigrantow, nie wsparzail panstwa, lecz witei cowa spuselnę wcielil do jakiegoś tam ostianau. To był cles ostateczny, smiertelny.

Jak wspomnialem nowy kaa przyjęte nagaai spokojnie, bez ekspozji znenyi zachwytu, ale i bez aktow rozpaczy. Do nowej rzeczywistosci przy-stosowywane się z zadziwlającą latwoscią. urzeganicy się przetasowali - ci ktorzy oetaę w dawnie manifestowali wiernosc ludaiem szaulisow prze-niesli się do Wilna, a ci z Wilna do dawnia. przyeali się do wie stolicy. Z gorliwoscią neolitow zabrano się do kraszanej spolecznej, przebudowy wsi. do na wsi - jak wiadomo - do obszarnik to Polak.

Ziemianie ^{ma gól} ~~gól~~ realnie ocenili sytuację. Likwidowali pospiesznie swoje interesy i czynnail do miast. Panstwo Lynamam-roselajkowsc, umysli-li emigrację do Generalne, guberni, a jak Bog ^{każe} każe to nawet do Reichu. Projekt zrealizł się rzecz jasna w glowie pani Wanay, do glowa rodu zara-azala do kilkunastu dni trwałą nied, spozycję.

Władzie nie owadwai tak dalekosięznych planow. Roprestu zaczęli wę-zelk do damousowej, laski i na bilzej nieokreslony czas pozegnai rolepie.

Realizacja pomysłu pani Wanay miała nastąpić przy moim wyoltnym uaziale. Jako syn mieszkanecow wartne, au mialem do niemieckie, e konsula

w łownie zajął wizerunek siebie, a - deklarując podziw dla Trze-
ciej Rzeczy - również dla wyzutej z ojcowski rodziny.

Rejechałem po rękę do wiska. Oczywiście wykpił poroniony pomysł,
ale żeby nie wypłacać za dobro nieważnością zważił się jednak ze
mną do łowna.

W jeden pogodny lipcowy wieczór nacisnęliśmy pedaly, aby odbyć wy-
cieczkę przez malewniczy kraj. Minęliśmy Żabizki, ponownie i na
kolację zatrzymaliśmy się w sołach. Traktowano nas naoc. gościnnie. Mi-
koło już nie drażnił polski język, nikt nie kazał się całować poniżej
krzyża, a przeciwnie wszędzie wyczuwało się zrozumienie dla ciężkiej do-
li pokonanych.

Wycieczka była uroczą. Sunęliśmy wiazalistą nocą, bezwietrzną,
orzechową.

następny popas urządziliśmy w Onksztach. Wyposażeni przez macedaw-
ców w kilka litów zatrzymaliśmy się przy zajazdem. Przez otwarte okna
wypiegały dźwięki harmonii. Młoda i dorosła oberzystka nie kwapiła się
z podaniem herbaty dwom obcokrajowcom. Urazeni zabieraliśmy się do wy-
ścia, gdy w drzwiach za kontuarem stanął radziecki ełicer - wysoki, bar-
dzo przystojny, uśmiechnięty.

- Zapiliby czariku, czarajka.. - powiedział.

Oberzystka pokraśniała.

- Siejczas duaziet. - odparła i zwracając się do nas dodała:

- Tamstai irgi gali painti..

- Suka ci walca grała! - bąknął pod nosem wicek.

- Nie to nie! Fera ze awera!.. - natarła w naszym ojczystym języku.

Kosjanin stuknął ją palcem w plecy.

- Czewe im nada? - spytał

szepnęła mu coś do ucha.

- Grunaa! - odparł - Kłopotku chwacit wslem. Zacznaucicie pozajussta

na kwartiru.

W uśmiechu ~~pakrak~~ pokazał rżną zarowych zębów. Nęką uczynił zapraszający gest.

W pokoiku za szynkwosem znajdował się jeszcze jeden wojskowy i jeszcze jedna dziewczyna. Trzymał na kolanach gitarę. Pili wódkę. Nasz protektor ^{not} ^u ~~Wziął~~ szklanki spirytusem i ~~zaczęły się wypruć~~. Wzięciem ~~leżących~~ ~~oddech~~, lecz mimo to żyzy nabieły mi do oczu. Na zakąską traktowali cedrą i czarnym chlebem. Z naszych węzełków wyciągnęliśmy ~~grube paję~~ z wędzoną szynką. Ryłali ~~człex~~ i poco tłuczemy się po nocy. Kluczyliśmy, ale przyparci do muru wyznaliśmy, że chcemy się starać o powrót do reżimu. Skrzywili się z niechęcią.

- W Germanii, a iaszystam?.. - rzucił jeden z dezaprobatą.

- Co mamy robić? tu nie ma z czego żyć - tłumaczyłem

- O nas ktoś radota,et tot i kusza,et. Niepler bez ~~Waznley~~ ruski, palak, litowiec ili Jewrej, kazaj, imiej et prawo na trus i stojen.

rokrzepieni nadzieją na lepsze jutro i jeszcze jednym kłalem spirytusu, wysłuchawszy ~~xx~~ "siercoszczypacieinow^o roman^s" pozostawiliśmy braci słowian opiece hozyen litwinek.

O nas zatroszczyła się inna krajanka. W Wilkomierzu przesiadła się na skwerze obok pomnika. Nie tak coprawda pełna jak te z eberzy, ale alkohol wzbogacił wyobraźnię do tego stopnia, że ¹prostytutka wydała się niczego sobie.

Już switało. poranny chłód wdzierał się pod koszulę. I jeden i drugi zamiast wypeczywać na ławce chętnie zagrzebały się pod jakimś dachem. Na przeszkodzie stanął fatalny orak ~~otowki~~. Za te co brzęczano w kleszeniach nie wiele można było kupić. Wicek próbował gratis poklepywać tłuste uda, ale spychała jego ręce. Natomiast zupełnie bezinteresownie bawiła rozmową. Onclala wiedzieć co dalej będzie, jak się potoczą losy Litwy. Do moich prognoz odnosła się krytycznie. Zwłaszcza ~~ay~~ zapowiadała całkowitą nacjonalizację. Na moje twierdzenie, że nawet ^w najstarszym ~~XXXXXXXXXX~~ za wozie swiata nie będzie miejsca na prywatną inicja-

tywę petrzasała z nieodowierzeniem wlecną wleścw.

- To co urzączą buracie, czy jak?..

- Wcale nie będącie płatnej miłości. - awważliem.

- Pieprzysz synku. Socjalizm nie socjalizm, a kocnac się iucziska muszą. może nie muszą?..

- rewnie, że muszą. Ale za miłość nikt już płacie nie będącie. - poparł mnie wicek. - Uatąd wszystko należy do ludu: miasta, wsie, fabryki, pola, lasy..

- Ale nie moja a... - przecięcia.

rozdzilił się między bezroinych.
- ronał pięć nektarów kazdy areal ~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~. - poin-
formowałem zoonie z manifestem rządu.

- Własnie a my bezroini. - powiedział wicek śleając do jej blou-
re.

Zafrasowana młistą przyszłością, nie protestowała.

- Za trzy czerwonce jeden może isc. niewieleko, przy kościele..

- bukę z szynką ci eam. - targował wicek.

Transakcja nie doszła do skutku. Zamiast pod dachem któregoś z
wikomirskich domów, po paru kilometrach spoczywaliśmy w rowie. wy-
ciągnięci na śniegowych zastawach spaliliśmy kilka godzin.

rotem musieliśmy dobrze kręcić aby rozruszać skostniałe członki.

Słońce wypijało z pola rosę. Za Janową sunęliśmy asfaltową szosą.
Wijały nas autobusy, samosneoy, motocykle, ~~XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX~~ wyprze-
żaliśmy chłopskie furmanki. wzmożony ruch zapowiadał bliskość miasta
Opedał płynięcia Wilja. Szeroka choć nie tak malownicza jak pod Wilnem.

Na przedmieściu kowna wstąpiiliśmy do jakiegoś domu aby opayc z sie-
bie kurz. Nie znając miasta zasięaliśmy informacji o drogę do ~~XXXX~~
siostry pani wandy. wszyscy byli uprzejmi, a nawet powiedzlec można
~~XXXXXX~~
~~XXXXXX~~.

8. Powrót

/Tere.. fere.. wszystko ma swój koniec w nieskończonym świecie, i kłopoty zielonego narodu z własną historią, i dzieje sławnego rodu, i skromny żywocik rezydenta./

Narazem miłą kobietą okazała się siostra pani Wandy. Nie tylko zresztą ona - jej córka Nina także. Nawet babcia jakos w Kownie wysypoczniała.

Jej druga córka była wdową po litewskim emigrancie. Dziecko wychowała w umiłowaniu ojczystych tradycji, języka i kultury. Nie ażelewyną nie demonstrowała nam zaslanekowe, pepkowe, szowinizmu. Od nasze przyjaz-
tu wszystkie trzy kobiety rozmawiały po polsku, i rozmawiały poprawną polszczyzną.

Na przykładzie tych trzech niewiast dostrzegamy był osobliwy przekłanianiec kulturowy, który urformował się w psychice litewskiego inteligenta. Ślady po pięciowiekowej symbiozie z Koroną występowały wszędy: w zwyczajach, w języku, w twórczości artystycznej, ba nawet w światopoglądzie. Swoją nacjonalizm hodowali na nienawiści do rojalistów, na poczuciu krzywdy za aneksję Wilna, aż czego się nie tknęli trafiałi na podległość polskości. Nie wzięli co począć z Mickiewiczem, co z Orzeszkową, jak traktować o-rodzek naukowy wileńskiej Alma mater, jak ocenić wspólną walkę o wolność, co powiedzieć o powstańcach listopada czy styczni. Niektórzy cały nacisk kładli na świat swoich dzieł trudno było ograniczyć historię Litwy do materialnego, a nawet wielkich książąt Gedymina, Olgierda, Witelona pozostających całkowicie pod wpływem kultury ruskiej. Uwielbiane Gedymina bo jego podboje pozwalały snuć o rozległych posiadaniach państwa, chociaż Witelona bo był separatystą, bo chciał dla siebie korony i boczył się na Jagiellę choć w ostatecznym rozrachunku i on stał się kapitulantem. Tak było tak było, choć ze pomlązy Witelona a Anatanasem Smatana wytworzyła się historyczna dziura, którą próżno starano się zafatać.

Na najwyższym wzniesieniu Kowna, przed własnym mauzoleum stoi Witautas Didysis. Ale i ta artystyczna wizja Benatera Brunwaldu została wykuta według matejkowskiego wzorca. Książki Witelona w księżącym korpusku, wspięty w książ-

strzeniach unosi na głowę obświeczony miecz. Współczesny Litwin uni-
kał odpowiedzi przeciw komu odzignęło się ramię woźca - przeciw stry-
jecznemu bratu-renegatowi czy rycerzom zakonu ranny marii. Dla dobro-
świątecznych stosunków wolał nie przypominać krwawych rzezi na zmu-
azi, skoro przy wybitnym poparciu sukcesorów krzyżactwa odrozdla się
niezawista, wolna od postanowień noroża Litwa.

W dniach sierpnia, kiedy to paraz drugi oładarem nowo tymczasowa
stolica przeżywała swój zmierzch. Ulicami ciągnęły zmoceryzowane ko-
lunmy czerwonej armii. Czasem tylko przemaszerował piatek w mundurach
koloru khaki i głęboko zasuniętych na czoła niemieckich hełmach. Żoł-
nierzy przeważnie dwóch oficerów - Litwin na czele, Rosjanin po boku.
Rozosnie jak na opakowaniu nowego gatunku papierosów "draugai".
Z tym, że na papierosach krasnoarmiejec wystawiał magnet nad głową bez-
brennego kareivisa. Na buaynkach rządowych przy zielono-żółto-czerwe-
nych sztandarach wisiały czerwone flagi. Mury oblepiała historyczna
opis
deklaracja narodu do wielkiej socjalistycznej rewolucji.

Reza tem miasto rosie wrażenie jakby przestawione je na uboczu
deniesłych przemian. Autobusy krążyły normalnie, ciżba ludzka przesuwai^e
a się chodnikami ospale, sklepy wciąż jeszcze drażniły-takich jak my-
"gólecupcow" obfitością towarów. Na tarasach kawiarni sledziceli kawk
obywatele neutralnego do niedawna państwa i z niezmacąnym spokojem
pociągali kawę lub piwo. Jezeli co uległo zmianie, w porównaniu z tym
z czym spetykaliśmy się w maju, to reakcja kawk przecheoniow na odzwięk
polskiej mewy. W maju sciągała twarze w grymas zniecierpliwienia, te-
raz oblicza wyłazzała nacając im swojski, beznała słowiański wyraz.

Rodzina pani Wandy zajmowała jeden skromny pokój. Rosziliśmy więc
wyspać się do sąsiadów, na stryzek, na sianko. Trochę dusiła zaduch
po gółociach, ale taki drobiaz, się nie liczył. Wypoczywaliśmy pod da-
cznicą gościnnej właścicielki małego sklepu. Mąż gudzies się ~~z~~
dział. Zadziwiała w onym czasie mnogość Litwinek skazanych na samotność

Babcia szepnęła nam do ucha, że sąsieda był parę tygodni temu zarejestrowany
Szaulilem przeto teraz na pewien czas wolni zniknąc z pola widzenia.
A zatem w nownie zostaliśmy zdani wyłącznie na towarzysztwo koolet. Jea-
nak zię się nie czuliśmy, przeciwnie, oświadczyliśmy przez dwa dni i
aż do nocę serdeczności wypływającej z podniosłego uczucia tęsknoty.

Do konsulatu oczywiście nie poszliśmy. Starczyła nam informacja, że
repatriacja dotyczy wyłącznie Niemców. ~~My~~ Nitier zgarniał z całej o-
szaru związku nadzieckiego wszyskicm w czyich żyłach buł. Stara noraycka
krew. Ale tylko tych. Wcale nie mieliśmy o to zaju. Z nowna czy Wilna zaw-
sze było dalej do Oświęcimia.

W towarzystwie ninki zwiedzaliśmy miasto. Nie, kupa i sympatyczna
nie wiele miała do pokazania. Sama była ciekawa i ładna - a to już coś.
Spacerowaliśmy prze,ami mienna, wieczorem oglądaliśmy witryny na Maisves
Aleje. Na skwerze przed cerkwią zadzieraliśmy głowy do gwiazd. Świecili
tak same jak na Wilnem, Kieleclem czy Poznaniem. Nie ostrzeżiliśmy żadne,
komety, ktoraby wskazywała drogę na zachod.

Ruściliśmy się w drogę powrotną. Wracaliśmy znow przez Janowę, Wilko
mierz, Onikszy i Soły, przez całą kuskciał, silczną malowniczą część ka
Litwy. Zwłaszcza dolina Świętej, okazała się przepięknym zakątkiem, ~~Waga~~
~~Waga~~. Jechaliśmy z niczym, ale było nam radośnie, jakbyśmy wracali z
udanej wycieczki. Samotni, bez reżin, nie nękami troską, nie nępleni
niepokojem o byt żony czy dziecka, i wiarą ~~Wszystko~~ spooglądaliśmy ~~ymix~~
w jutro.

W Poleciu pan Gerard plł na umor. rani wahała pakowała ~~na~~ skromny
debytek. Coga po staremu przesładywał nau rzeką i moczyl w wodzie ro-
paki. Sprawiliśmy zacnym ludziem zawod. Capadła nadzieja na ucieszkę
przez ludowładztwem. Przykre było patrzeć na przygaszone oblicza. Rosta
newiliśmy z wickiem wracać do Wilna. On oczywiście do urata, a ja?..
Chyba jednak do Rawłowiczow, do gaziezy inaziej?

Balem się trecnę tego powrotu. Wiedzialem, że jak kazae, również u-

czucie miłości bliźniego stygnie pod podmuchem czasu. Nie trudno odzwyczaić się od obcego człowieka, zwłaszcza jeśli wrócił własny syn i serce opuściła potrzeba ofiary w intencji ^{jego} szczęśliwego powrotu. Mimo tych wszystkich racji pożegnaniem ~~zam~~ rozległo. Stało się to na klucznicy oni przed aresztowaniem cerarza Kościarkowskiego i wyjazdem jego żony. Wyjechała również do Wilna.

Koza, rzecz jasna, przerwała wakacje. Zabrała się z nami. W koniowieżu czekaliśmy ponad trzy godziny na połączenie. Było to miasto o największym osadku polskiej mniejszości. Było tu polskie gimnazjum, polska gazeta, na każdym kroku słyszało się polski język. Spacerowaliśmy po mieście zjadając polepskie jabłka, wykrzykiujące ~~ę~~, kwaskane ciernie, jak pożegnane słowa pani Hanay:

- myślałam, że zostanie pan z nami do końca. Wszyscy teraz, cały świat przeciw nam...

Rudowłosa przyciskara biedro naprzemian, ^{do} raz wicka, raz do mnie. Ciągle jeszcze niezdeterminowana w kim szukać pociechy po ubytku narzeczonego.

W pociągu zajęłem miejsce przy oknie. Do Święcian kaszaniawa rdzawe włosy łaskotały moją policzek. Na dłuższym postoju postawiła herbatę i po ciastku, a po powrocie do przedziału przełożyła głowę na ramię wicka.

Część czwarta

Chleb i miłość

1. Dom, w którym kwitła Róża.	138
2. Bezmała żona, teściowie i szwagier.	147
3. Praca nie hańbi.	154
4. Nie dla psa kiełbasa!	161
5. Wykręcisz zarobisz, czyli każdemu według pracy.	166
6. Udarniki.	175
7. Dzień i noc po dramacie.	180
8. I ślepej kurze.	187

1. Dom, w którym kwitła hoza.

/Niktus bajaus.. jak szukałem pracy, a znalazłem nie mogłem, jak nie szukałem a znalazłem nowy dom, jak oratanica szukała cioci, a tatus zapalek - czyli, że najłatwiej znalazłem to czego się nie szuka./

rawłowicze przyjęli mnie z otwartym sercem. Najbardziej powściągliwie Wiadek, który przed tygodniem opuścił obóz internowanych. Trudno ~~mi~~ się dziwić, skoro wyrugowałem go z kanapy i musiał męczyć się w jednym rozku z młodszym bratem. ~~kim~~ Poza jego powrotem nie zastałem większych zmian. Nie mogąc dość nacieszyć ^{się} domowym ogniskiem prawie nie opuszczałem mieszkania. Łonka jak dawniej sprzątała mieszkanie i gotowała posiłki, Teresa i Tadeusz chodzili do szkoły, a mama niezmiennie od kolejki do kolejki. Teraz z istotnej potrzeby, bo od zmiany ustroju rozszerzyła się zdolność nabywczą ludności i już kazdy, nie tylko Litwin, lubiał sobie oficie i tłusto poujeść.

Szybko zorientowałem się, że utrzymanie ubogakowskiej osoby kościwi budżet rodziny, oparty na nieładnej pensji ^{poczciwego} ~~przez~~ prowizora. Stołówki uchodźcze, ^{co}oprócz ^{cał} nadal działały, lecz śniadanie i kolacje dawnym zwyczajem speżywałem przykry wspólnym stole. Łopki, kawa gliniastego razowca i łyżka marmelady stanowiły ^{moją} całość wkładu. Tyle fasowałem w Komitecie.

Postanowiłem znaleźć pracę. Wypadało wierzyć, że o nią nie trudno. Wszak konstytucja gwarantowała każdemu prawo do pracy i wypoczynku. Kilka nocy spędzonych na ulęzale Pracy przekonało mnie, że o nie z ~~ar~~giej prerogatywy mogli obywatele korzystać w stopniu nieograniczonym, to pierwsza narazie dla wielu leżała w sferze niezłyszczalnego marzenia.

Darwo Birza mieszkała przy ulicy Sobocz. Rejestrowano każdego, a po rejestracji kazano czekać. Czekałem. Sypiałem w dzień, noc przeznaczając na stojkę w bruchym przedsiönku gielazy. Poszukujących pracy było tysiące przytupywali z zimna, chuchali z zziębnię palce i na kazee wyjście urzędnika rzucali się nurem na trzymaną w jego dłoni kartkę. Takich kartek wydawano przez noc kilkanaście. Pewnej nocy, na tyle rozgorączkowany co i poanieconych kilku mężczyzn wyrzuciło szalacza pracy przez okno. Zrobił się tumult, zjechało N.A.W.D, kołos przytaczmano, na parę dni zamknięto pośrednictwo.

i jeszcze w tym czasie nie potrafiłem jej niczego odmówić. zdawałem sobie przy tym sprawę z kłopotu jaki przysparzam nieocenionym Rawiowiczom.

Właśnie na pozycie się kłopotu kładłem szczególny nacisk motywując swoją wypowiedź. wszyscy za wyjątkiem pana Witaiłsa poczuli się urażeni.

- za kark trzymać cię nie będziemy. - mówiła rozdrażniona mama Rawiowiczowa. - idź, pokosztuj innego chleba. Żebyś tylko nie załował..

- dostatecznie długo nadużywałam dobieci. nie chcę być urażoną, ciężarem próbowałem tłumaczyć.

- starczyło dla nas, starczyło i dla ciebie. Dzieliliśmy się czym było a że nie było dużo - wola nieba - trudno, takie czasy, wojna. nie idź, iaż poznaj dobroc innych..

- zawsze sercem pozostanę w tym domu. zawsze ~~nie~~ zachowam wdzięczność ~~ci~~..

- nie trzeba nam niczyjej wdzięczności. każdy się urządza jak mu lepiej. niech cię bog ma w opiece! uważaj tylko, żeby cię nie wystrychnęli na awanturę!

- kto mnie może wystrychnąć? - odparłem

- mało kto?.. każdy ruzielec to chytra skacina. nie zapomnij powiadomić o weselu.

Opuściłem kalwaryjską rozgorączony. nie tak ~~nie~~ wyobraziłem sobie rozstanie z tymi ~~ludźmi~~ ludźmi. Przez kilka miesięcy miałem nie przekroczyć progu ich mieszkania. Zaoronia tego stanowczo rozka, ~~cała~~ ^{po} sklepach i sklepianach. Śnipszek zaczęły o niej krążyć nie ~~nie~~ ^{mieszanych} ~~nie~~ ^{opinię}.

Domem na Chocimskiej, stał w ogródku. Od frontu mieszkała ~~ona~~ ^z rodzicielka i bracińska, od podwórza tatarska rodzina Dawidowiczów. Była późna jesień. na rabatach wlewały astry.

Z ganku obrosniętego powojem wchodziło się do kuchni, z kuchni do pokojów, ~~z pokoju do sypialni~~ ^{dziwni} i do jadalni, a przez jadalnię do sypialni małżeńskiej.

rokój, który miałem dzielec z bratem noży odznaczał się nieb,wałą prostotą. ~~razem~~ roza dwoma żelaznymi łózkami, stołkiem i dwoma krzesłami nie posiadał innych mebli. Ściany, tudzież okna świecili ~~o~~ płaszczyzną.

Panienski buduar był okazałszy. Stał tam szeroki tapczan, ^eolufczak, szafa, stolik i parę krzesel.

Jadalnia i syplainia - dość obszerne - tonęły w ciemnym pomroku. Cnoc dom nie krył w sobie specjalnych tajemnic nie ~~nie~~ otwierano nigdy okiennic. Pan Adam - ~~ojciec~~ ojciec rodziny - lubiał cobywada wzorem ~~rajskiego~~ rajskiego imiennika chadzac ~~na~~ na noc, lecz nie woli skromności zaciemniano mieszkanie. Prostu nie było komu rozchylić okiennic.

Moje dokwaterowanie nie sprawiło żadnego zamieszania. Nawet nie wzocziłem większego zainteresowania. Powiedziałem „dzień dobry”, oni ~~odpowiedzieli~~ „dzień dobry” po całej powitanej ceremonii. Wyczułem niebawem, że starzy traktują mnie jak jeszcze jeden kaprys narwanej córki, a brat Jurek nie zaprzętał sobie głowy banialukami.

~~xx~~

gdy ujrzał mnie w swoim pokoju spytał krótko: ~~czemu~~.

- Nie chrapie, nie psuje powietrza?..
- Jerzy, zachowuj się jak człowiek!.. - odburknęła
- Jak nie chrapie i nie smrodzi niech kima.

To było wszystko. Nie podałem ręki. Rzuciłem się w ubranie na posłanie. Zanosilo od niego aikonolem.

Przedpołudniem nadziłem się jak mops. Nie było do kogo żeby stworzyć. Jurek zniknął na cały dzień, noża i ojciec wychodzili do biura, pani Żegocina do obiadu nie opuszczała syplaini zajęta ~~raz~~ odświeżaniem utraczonej urody. Raziłem w piecu, czytałem książki, udawałem, że się uczę. Obiady jadałem w stołówce. Często to był pierwszy posiłek dnia. W tym domu nie przestrzegano zwyczajowych sposobów odżywiania. Raza, jak kiedy cniła i co chciał. Dopoki znałowało się coś w spiżarni sięgano po zapasy, gu,

- To jednak nie tu. Cnyba obok, w następnej kamienicy..

ulicę Łąbrowskiego wybraliśmy, ponieważ mieszkała na niej ciocia Róża i na pytanie: "a kogo państwo szukają?", można było podać jej nazwisko. Ten i ow uzcierał dokładnej informacji, co wcale nie przeszkadzało w szukaniu cioci w sąsiedniej kamienicy.

Ciocia mieszkała na końcu ulicy. Czasem składaliśmy wizytę w małym, przytulnym pokoiku na poddaszu. Na pierwszej ciocia oglądała mnie badawczo, zachowywała rezerwę, ale potem przyzwyczaiła się do mojej osoby. Częstowała herbatką i galaretką z porzeczek, a gdy pozyskałem większe zaufanie chętnie pozyczała książki z bogatej biblioteki nieboszczyka-mięza. Nawet nie spostrzeżłem kiedy zaczęła traktować nas jak parę narzeczonych. Wyrażając dla mnie sympatię dyskretytowała oszczędnie syna wicedyrektora wileńskiej elektrowni. Nie powiem, żeby sprawiała mi tym dużą przyjemność.

- I pomyśleć, że noza mogła wyjść za takiego ^{tumana!} ~~zabójcę~~. - Wyznara kiedyś z uczuciem ulgi.

W drodze do domu zapytałem arwiąco.

- Z tym ^{tumanem} ~~zabójcą~~ też czułaś się po bramach?

Wyszarpnęła ramię z mojej dłoni.

- No wiesz! Za kogo ty mnie masz? Z takim wymoczkłem. On był od tego, żeby wlepiac we mnie gały i wzdychac. Łaził za mną jak cien, jęczał, znośli prezenty - to wszystko..

- Ode mnie nic nie dostaniesz. Nie stac mnie na prezenty. Radzę się zastanowić, czy warto ciągać się z takim kazarzem.

- Ode ciebie niczego nie potrzebuje. Starczy, że mam ciebie. Po za tym nie ty jeden cierpisz biedą. wojna. Inni jeszcze gorzej żyją.

- Obiecałaś węcchnąć mnie do administracji budynków. Maszę przecież pracować!..

- Obiecałam i cotrzymam obietnicy. Dostaniesz posadę na mur. Jutro za dzwonię do Antanasa.

Antanas był synem parobka w sławnym majątku zegotow pod birzami. Teraz

dzierzył wysokie stanowisko w miejskim Komitecie. Kozła zapewniała, że zupełnie nie żywi klasowej nienawiści do byłych dziedziców, a zwłaszcza do niej, towarzyski odleciących zabaw.

- Miałas dzwonić dzisiaj. - mruknęłam

- Miałam, ale nie zadzwoniłam. Zapomniałam. Zadzwonię jutro..

- Czy ty nie rozumiesz Kozła?..

- Rozumiem, doskonale rozumiem. Tylko już nie nudz. Mów, że mnie kochasz.

Co miałem począć? Mówiłem, że Kocham. I chyba naprawdę Kochałem. Za zaborczość, za temperament, za dobroć, którą kryła pod przesłoną pozornej beztroski.

- A o tego reżymaniuka ^{mi nie wspominaj} ~~nie wspominaj~~. Nic nas nie łączyło. Kochałam się nie raz, ale przecież nie w tym wymiarze. Teraz Kocham tylko Ciebie.

- Na długo?..

- Na zawsze. Zobaczysz, jak Kocham. Zobaczysz..

W domu nie było nikogo.

Mama gdzieś na mieście przypominała przyjacielikom swoje zamierzone powołanie, papa w kompanii "bywanych pamięszczyków" stare dobre czasy, a braciszek uganiał się za bieżącymi interesami.

Byliśmy głodni. Kozła poleciała mi rozpaść w plecu. Gdy kupiłem w kuchni arwa, ona przenosiła ze spiżarni na stół skąpe zapasy. Potem przeszła do sypialni rodziców.

Wezwała mnie tam po chwili. Na sobie miała szlafrok matki - czarny w barwne kwiaty. sięgał jej do plet. Na szczycie łózka wisiała sukienka, pasek do pończoch. wyciągnęła ramiona. Runęliśmy na rodzicielskie bety.

- Wierysz, że cię Kocham. Zawsze cię będę tak Kochać. nigdy cię nie opuszczę. - mówiła gdy siedząc przy stole zapiliśmy herbatą zeschnięty chleb ze szmalcem.

- Muszę pracować. - odparłem z uporem

zachnęła się.

- Świnia! To tym co było możliwe się zdobyć na coś innego.

- Ale ja naprawdę...

- Jesteś nuorny jak flaki z olejem. - przerwała - Matyrasz się jeszcze, napracujesz moją kotkę, ^{przem} przekam ci! to.

I pracowałem.

Praca nie była taka jaką sobie wyobrażałem, ale dostatecznie wyczerpująca.

Niebawem stało się zwyczajem, że po kolacji pomagałem Róży w usuwaniu zaległości biurowych. Przynosiła do domu całe sterty różnych papierów nauczyła mnie posługiwać się liczydłami. Ona leżąc rozebrana w łóżku dyktowała długie kolumny cyfr, ja za biurkiem sumowałem. W jadalni nastawialiśmy radio, aby przycisnęło dośmucha rodzicom i głośniej generowały stuk liczydła. Około północy stając na palcach szedłem wyjąć odbiornik. Przy kotarze przesłaniającej drzwi do sypialni przez ciwnię wśluchiwałem się w równy oddech mamy i pochrapywanie tatusia. Braci-
lądował w domu
szek ~~przekam~~ dopiero nad ranem.

po wyłączeniu odbiornika pedantycznie układałem przy swoim łóżku ubranie i powracałem na miejsce pracy.

pewnego razu, dzięki nienaoliwionym zawiasom, dosłownie w ostatniej sekundzie dałem nura pod kotarę. Słyszałem bicie własnego serca, choć ucho spoczywało nie na własnej klatce piersiowej. Przez szparę w poscier-
wdał się ~~niek~~ blask żarówki i tużalny głos.

- Śpisz?... szukam zapalek. Zapalek się zaczęło, a moje wyszły.

- Nie mam. - rzuciła opryskliwie córka. - Dałbyś o, cieć spokoju. Nawet w nocy w tym domu nie ma spokoju. Oszaleć można!..

- Spokoju mówisz... no dojrze. Śpij, uszko w spokoju.

Światło zgasło. stuknęły drzwi. noza zsunęła poscier. zaciągnąłem si-
swieczym powietrzem. noszula leżała się na grzbiecie. nie poruszaliśmy si-
nasłuchiwali.

Nasłuchiwałam. Do mego pokoju na szczęście nie wszedł. Cziapanie bosych stóp jeszcze przez pełną chwilę dochodziło z jadalni. Pan domu nie używał rannych pantofli. Skoro raz zrzucił z siebie ocieplone nakładki cos na gołe nogi dopiero przed wyjściem do biura. Wreszcie cziapanie ustało. Wyrwałem się z uścisku ciepłych ramion i zsunąłem się z tapczana. W drzwiach dogonił mnie ~~Wanda~~ szept.

- Ależ z ciebie donater..

Ustka nie włączaliśmy radia. Nie było potrzeby. Darem się nakloniłem do pracy wyłącznie w pozycji siedzącej. Ja dyktowałem, a noża sumowała. Z każdym dniem stawała się bardziej rozdrażniona. Z oyle przyczyny ~~wg-~~
^{promocowania} ~~uczwały~~ awantury. Jednego razu puszczała w mnie liczydrami. Rotem przepraszała. Bardzo przepraszała. Troskliwie przykładała kompres na głowę. Ale guz i tak parę dni zaoblił mą czoło.

2. bez mała żona, teściowie i szwagier.

/mlitła bajda.. o nieprzemijającym uroku wigilijnej nocy, podarku teścia, który nie chciał być ozłaktem i zaliczce na szczęście w niepospolitej rodzinie.,

W wigilię mojego narodzenia spałaszowałem lepszy obiad. Komitet Uczniów przydzielił ponadto trochę suchego prowiantu. W stołówce złożyłem życzenia Wickowi, on mnie ~~xxxxxxx~~ narzekal, że go unikam, że nie odwiedzam w domu brata na ~~zwierzycu~~.

- Tamarka jeszcze wyplękniała. - dorzucił zachęcająco.

Z rezygnacją machnąłem ręką.

Rowiołem się na Chocimską. Znałem już na tyle swoich gospodarzy, że nie spodziewałem niczego osobliwego w ~~xxxxxxx~~ tym dniu.

i faktycznie.

roknęliśmy zupę i ~~xxka~~ po kawałku ryby. Pan Adam poprawia po raz pierwszy w ~~xxx~~ mojej obecności wystąpił pod krawatem, a Jurek aż półgodziny przesiadzał w rodzinnym gronie. Cały ten czas zużytkował na drażnienie siostry, która ani na jotę nie pozostawała dłużna. Mamusia cnicotała, od czasu do czasu wspomagając kąśliwym słowem syneczka. Po wieczerzy Jurek zerwał się do narzeczonej na Floromont, a głowa rodziny przypomniała sobie, że właściwie nie cziciliśmy się opłatkami. Ja siedziałem osowiały. Rowracałem myślą do ubiegłorocznych swiąt i ogłaszałem mi smutek.

Róża zaproponowała spacer.

Wroczyliśmy w milczeniu. Śnieg leżał na dachach i na ulicy. Zagiądałem do okien. Za szybami jarzyły się chminki. Nie miałem wielkiej ochoty spędzać tego wieczoru w bramach, ale utartym zwyczajem z Wlenskiej chciałem zobaczyć w Mickiewicza. Róża pociągnęła mnie w ~~xxx~~ stronę placu katedralnego. Potem zapuściliśmy się w Bernardyński zaułek. Ku memu zdziwieniu weszła do jednej z bram. Jednopiętrowe kamienice nie oblicywały dużo pieśczoł.

- Dokąd mnie prowadzisz? - spytałem.

- Zobaczysz..

Wyjętym z torebki kluczem otworzyła drzwi do jakiegoś mieszkania. Znaleźliśmy się w staroswiecko umeblowanym pokoju. Na stole stała choinka przybrana watą i lametą. Obok na obrusie nakrycie na dwie osoby, kawałka z nalewką, chleb, masło, talerz pełen orzechów, pierników i jabłek. Pod choinką leżała paczka.

- rozbiierz się. - rzuciła zdejmując płaszcz.

- co to ma znaczyć, rozbić? - pytałem zdumiony.

- Dorobiłam się garsoniery. - odparła z uśmiechem.

- nie żartuj. czyje to mieszkanie?

Regularny uśmiech wciąż nie znikał z okrągłej twarzy. Gdy nas, cilia się dostatecznie moin oszołomieniem, powiedziała:

- Dobrze było by mieć taką garsonierę. Niestety to tylko mieszkanie ciotek. Jak widzisz jestem dość posadna. Ciotanie wszystkie te cacka przyrzekły zapisać na mnie. narazie wycygałam od nich klucz.

- jakim sposobem?..

- powiedziałałam, że pragnę po luzku spędzić święta z narzeczoną.

- z kim?..

- rzecież chyba ożenisz się ze mną po tym wszystkim?

- myślę, że tak. - mruknąłem.

- słodki jesteś. śladajmy. spożyjemy wleczerze. jakobymy byli już u siebie, w swoim domu. Władzałam jak na Onocimskiej, spuściles nos na kwintę. i mnie było smutno, i mnie nie łatwo tam żyć. Zwłaszcza taki dzień jest przykry. prostopu trudno wytrzymać. Usmiechnij się. nie cieszysz się z niespodzianki.

- bardzo, bardzo się cieszę. - powiedziałem szczerze.

Z szafy dobyła jeszcze jakiś prowiant. Trącałismy się kieliszkami. Było miło i bardzo radośnie. pod koniec ~~zjedliśmy~~ piliśmy tylko pod pocałunki. po kolacji odrzuciła kapę z łożka.

- należy dbać o własną wyprawę. - oświadczyła.

Ściągając spocnicę powiedziała:

- ta paczka pod choinką to dla ciebie.

Zerwałem sznurek. W papierza znajdowały się papierosy, krawat, woda ko-
lonska i kałesony.

- Nie wiem jak mam ci dziękować, kocnana. - mowiem wzruszony
- głupstwo. czy aby tylko nie będą za małe.
- Co?
- Gacie.
- mam przymierzyć?
- potem. teraz choaz.
- Cudowna jesteś.
- to się zaraz okaże..

Do domu wrociliśmy nazajutrz. Drzwi otworzył pan Adam. Popatrzył na
nas zagackowo. Unrzęknął.

- poczekaście chwileczkę! - powiedział.

noza wzruszyła ramionami i poszła do siebie. Ja ~~czekałem~~ czekałem
mierem ro chwili wrócił z syplalni i wcisnął mi w dłoń ~~prezervatyw~~ ^{prezervatyw} kartonik.

- jak zabraknie dam więcej. narażnie nie mam ochoty być dziadkiem.

roczyłpał do swego pokoju pozostawiając mnie oguplonego na zrodku
kuchni. ~~W ręku trzymałem paczkę prezervatyw.~~

W drugie święto noza oświadczyła, że przjęcały ciotki i wypada złożyć
podziękowanie za użyczenie mieszkania. nie miałem wybleu. rozszedłem. Dwie
goziny świrowały mnie oczyma. ro za tym dwie stare panny były uprzejme
choc powściągliwe. interesowały się moją przeszłością i ambicjami, które
w sposób najbardziej sustejny łączyły z przyszłością oratanicy. dopiero
tuż przed pożegnaniem jedna ciotunia outajała i powiedziała wyraźnie roz-
czulona:

- rozwolisz, że będziemy ci mowili ty, drogi eniopecze, bo skoro już
masz wejść do naszej rodziny..

Z wyszukaną galanterią pochyliłem się do suchej dłoni.

skutki mojej niemej deklaracji nie dały na siebie drugo czekać. cały
legion ciotek, stryjaczek, pociotek, jakichs bliższych i dalszych kuzynów

rozważił w sobie potrzebę ułatwienia życia przyszłym nowożeńcom. Nie było dnia, żeby Roza nie przynosiła wiadomości o wolnym mieszkaniu w różnych punktach miasta. Odtąd zarażaliśmy ulicę Dąbrowskiego dla innych barażej lub mniej reprezentacyjnych.

Wybrzyzałem ile się dało. Začne lokum nie wdało mi ^{oła} ~~oła~~ ^{oła} uwieca gniazda ^{pod} ~~nasze~~ szczęścia. Roza nadsposziewanie cierpliwie znosiły moje kaprysy.

Na Chocimską nie wątpliwie dotarły pogłoski o ulskim mariażu córki, lecz nie wzbudziły szczególnego zainteresowania. Przyszły zięć po staremu stołował się w ~~garkuchni~~, śniadania jadł, albo nie jadł. Ran Adam raz po raz poczęstował papierosem, a mamusia kwasno-cierpkim usmiechem. Stosunkowo najwięcej uwagi szwagrowi in-spe poświęcił Jurek. W kilka dni po Nowym Roku powiedział przechodząc "na ty".

- Chcesz zarobić trochę liciaków? - zapytał

- kto by nie chciał? - odparłem

- Zrobi się!

Nazajutrz maszerowałem na Zwierzyniec. Miałem tam pobrać złote carskie pięćiorublowki i u straża wręczyć pewnemu rysawemu facetowi z zieloną chusteczką w kieszonce za określoną ilość prawnych środków płatniczych. Jurek zalecał najdalej idącą ostrożność. Z greszczykiem emocji - jaki wy-
niezwykłej
wołują sprawy ~~niezwykłej~~ wagi-wchodziłem do mieszkania pełnego kłębow pary i zapachu mydlin. Drobną kobieciną w gumowym fartuchu powypęzała czerecę dzieciaków na śleń. Prosiła abym poczekał na męża. Czekałem. Wreszcie pojawił się kościsty mężczyzna. Wziął kartkę Jurka, przgczytał, wyszedł do sąsiedniej izoy, skąd przyniósł węzełek. Zęzami rozwiązał super i na ^{oczach} moich przeliczył dziesięć monet.

- Zgadza się? - zapytał i nie czekając na odpowiedz ~~godął~~. - Z tym ostrożnie. Jak ziępią może być krucho.

Z nad balii doleciał głos kobiety:

- Pieniądzy od pana nie uierzesz Jurek?

Wzruszył ramionami.

- Dawno przezarte.

kobieta westchnęła.

- Dzieciaki bez butów. Boże, mo, boże..

rozglądając się czujnie na oki kierowałem się na Mickiewicza. Na szerokiej, jasno oświetlonej, i zaludnionej ulicy poczułem się dużo bezpieczniej niż w mrocznych zaułkach przedmieścia.

U stola z trudem znalazłem wolny stolik. Wśród eleganckiego - jak na wojenne stosunki - tłumu wypatrywałem faceta z zieloną chusteczką. Jeszcze go nie było. Za wręczone na koszty handlowe czterdzieści ruoki zamówiłem czarną kawę. Kelnierka przyjęła zamówienie nie tając lekceważenia.

Z ukosa spoglądałem po sali.

Nagle scisnęło w cioku. Pod oknem otoczona wianuszkami litewskich oficerów siedziała Tamara. Pochyliła się ku niej szepcząc coś z odzwieciem. Na ich twarzach malowało się podniecenie i samcza pożądliwość. Ona chrupała ciastka i popijała herbatę. Nie mogłem oderwać wzroku od okna.

~~Wziąwszy~~ nie zauważyłem kiedy wszedł facet z zieloną chusteczką. Zajął stolik w pobliżu. Towarzyszył mu dług, śniady mężczyzna. Wstałem. Pochodząc do ich stolika prawie bezwładnie poruszyłem wargami.

- Od Jurka.

Ten z zieloną chusteczką podniósł się i wyciągając dłoń zawołał:

- Jak się masz stary! Kope lat!..

Dług mniej wybuchawo targał moją dłoń. Miał sarnie oczy, przygarbione plecy i mięsiste, osłonięte wargi. Na palcu nosił sygnet. Wysiadał się aby utrzymać konwencjonalną rozmowę. Coś tam zmyślałem, trochę uskazywałem się na swój los. Rozmowcy stopniowo sciszali głos. W końcu rysawy szepnął:

- Ile tego?

- Dziesięć. - mrugnęciem sięgając do kieszeni.

Dług pochwycił mnie za przegub i syknął:

- Nie tu człowieku.. zaraz wyjdziemy.

Jurek nie wspominał o takiej możliwości. nie wiedziałem co robić. Tymczasem ten z chusteczką mamrotał:

- Tu się twarogiem nie przynosi. Serżyna z dymu spada. jak już trzeba to tylko tak..

Wsunął język pod wargę i rozchyłając nieznacznie usta wysunął cienki brzołek złotej monety.

- rozegnam panów. na mnie już czas. - powiedział długi.

- To i my ruszymy stary. Koniecznie musimy cię pokazać żonie. - oświadczył kysawy.

W krótkim wahaniu zdecydowałem się wyjść. Długi zrobił dobre wrażenie. Dobrze patrzyło mu z oczu. Uśmiechał się doobroduszenie.

Na wileńskiej wprowadził nas do sklepu antykami. w koszykowym fotelu pościelącym, pościelącym spoczywała chuda niewiasta.

- Jeszcze chwilkę miuncik i będziesz wolna. - rzekł długi ze zniewalaającym uśmiechem.

z czoła odgarnęła wiechę włosów i ukazała rozmarzone oblicze. W chwili zaczerwieniony, perkaty nos napowrót zwisał nad książką.

za przepierzeniem z desek wy dobyłem monety. kysawy odliczył trzysta czerwienców. A więc sumkę nie bagatelną. Dobry spust musiała mieć rodzina kościstego faceta ze zwierzyńca. albo kiwał żonę.

- W przyszłości proszę nie wnosić trefnego towaru do lokalu. W takiego strala co drugi to szpicel. - oświadczył ten z chusteczką i zębnając się tylko z długim opuścił sklep.

Długi zachował się wiele wytworniej. Nie tylko uskleksnął prawicę, ale przytrzymał w dłoni co zamknięcia przez kolegę arzwi.

- Lełiwa-procnnicki jestem. - powiedział miłym głosem. - prowadzę jak pan wiazi ten kramik. Co za czasy boże moje! Człowiek żyje z wyprzedzając własnej siery. Ale chęć przetrwamy jak pan sądzi?

- Zapewne. - odparłem bez przekonania.

- I jak tak myślę. narazie handluję starzyzną. lecz nie tylko. Płacę

dobrze, trochę nawet więcej od przyjaciela. może pan wspomiec o tym panu Jurkowi.

- wspomnę.

- Tylko proszę łaskawie o dyskrecję.

Jurek był zadowolony ze mnie. Ja też, bo odpałił pięćdziesiąt rubli i wiaziąłem łamarę. obiecał, że ze częścią da zarobić. i rzecz złożyła niezwykła - zaprosił mnie z siostrą na prywatkę do narzeczonej.

3. Praca nie hanbi.

/ Nlituś bajduś.. o Łazisiu, który miał dwóch tatusiów i tescia no-
żownika oraz jak za służbę w N.K.W.D. wynagradzano bliźniami z macza-
niem, a sam naczelnik gratulował dobrego wyboru./

Wieczorek u Jadzi Kotomskiej narobił sporo zamieszania. wcale nie
miałem zamiaru iść, ale rudzielec się uparł. Chciał pokazać światu oblu-
bienia.

najgorzej, że nie miałem w czym wystąpić. Woljała mnie w ubrania
brata, ale trzeszczały w szwach, a rękawy sięgały po łokcie. Każda przy-
miarka stanowiła zarzewie awantury. wreszcie zdecydowałem się szukać ra-
tunku u Łazisia Janakiewicza.

Wraz z Łazisiem roznieśliśmy razem do powszechnika. ~~Wraz z~~ grubo
przed wojną przywiozła go matka mamusia i drugi tatuś. Kiedyś bardzo mu
zazdrościłem ojczulka i ojczymka. zwłaszcza ojczymka, który ~~szedł~~^{obrotu} się
~~był~~ asem polskiego lotnictwa. Przez wiele lat, wytrwale gotował się do
lotu przez Atlantyk, ale po katastrofie Kubaili i Łazikowskiego zmienił
zamiar i zamiast maszynę do lotu poderwał żonę handlarza ~~złoty~~. Wyłazo-
wał na wschódzie. Za ojczymkiem podążył Łazisiu, choć ojczulka też ko-
chał i dość często odwiedzał w roznanu. ~~Wtedy~~ Wtedy widywaliśmy się.
Spotkany przypadkowo w Wilnie uskarżał się na los, który ~~zabrał~~^{obdarzył} go
~~z~~ własną rodziną, a od której radby czmykając do Szwecji. Wtedy jeszcze
żywił nadzieję, że ojczymek nie tylko mamusi i siostrze, ale i jemu na-
deśle wizę. i przysiał. Jednak słubna małżonka też nie w ciemię bita na
tydzień przed planowanym wyjazdem powiła mu dziecię, a tesc plinował każ-
dego kroku. Rodobno niedwuznacznie napomykał, że złęc nie złęc, a nożyk
między zebra zasunąć można.

Łazisiu pozostał. bał się żony, bał się tescia, a najbardziej tes-
ciowej, która kazała pospołu targować szczyplorkiem i pletruszką. Stał
pokornie przy straganie na Kairwałyjskim rynku, dowoził wozkiem warzywa
od ogrodników, cwałował worki z kartoflami i toczył beczki z kwasną kapu-
stą. Nigdy nie zwierzył mi się w jaki sposób on wymuskany paniczek, pa-
siero dowodzący liźskiego pułku lotników sprzął swoje życie z życiem spo-

łecznych nizin. Bądź co bądź moja wizyta była pouczająca. Doceniłem wartość gwiazdkowego podarku pana Adama ze Łoty.

Podjęmowano mnie wcale gościnnie. Tesc-rodzownik mimo poszatkowanej twarzy i szklanego oka nie wyglądał groźnie. Wskł, chudeńki, pociesznie sepienił, a po kilku kieliszkach lubiał ~~poprzętać~~ ^{sobie zamuć} żulikowskie czastuszki. Było zaś tych kieliszków nie mała. Rodocności sobie wszyscy, nawet karmiąca mama i jej ośmioletni braciśzek, który jeden okazując szwagrowi należny szacunek mówił mu per pan. Łazis początkowo siewziar osobliwy i małomowny. Dopiero gdy zagraliśmy w salonowca okazał się niezwykle i tukił na odlew raz żonę, raz ~~leżakami~~ swiekrę. Uradowałem się z poprawy samopoczucia kolegi, do temu chyba należy zawdzięczać, że wyciągnął z szafy swojej najwytworniejszy garnitur.

W domu Roza radowała się razem ze mną. Leżał jak uiał. W lustrze nie poznawałem sam siebie. Najlepszym dowodem mojej metamorfozy, był okrzyk, jaki się wyrwał z piersi pani ze Łociny.

- Wygląda jak lord! - zauważyła ociekając z podziwu.

Wyprostowałem grzbiet. Takiej opinii ~~nie~~ ^{wypadło} ~~nie~~ lekceważyć. Do domu nosciakowska musiała się znać na tych sprawach.

U Jazzi Kotonskiej zebrał się kwiat wileński, młodzieży. Panienki wystąpiły w zorzetowych sukniach, młodzieńcy bez wyjątku w awurzędowkach, bryczesach i długich butach. Za jeden prezentowałem prawdziwie wieczorowy strój. Nic dziwnego, że zbierałem zewsząd spojrzenia. Nic bez satysfakcji.

Mój rodzimelec w tym oklecie nie oszalał, przeto nie odstępował mnie na krok. Rozwalał tanczyć wyłącznie w swoich objęciach.

W przerwach między tancami młodzi ludzie politykowali. Wronili kitera na wszystkich frontach. Mrużali do siebie znacząco zapowiadając nadejście wiosny. Zapominali ~~właśnie~~, że przed rokiem mrużali podobnie.

Unosiłem wrażenie, że o ile Jazzię traktowali przyjaznie, to jej narzeczonego per noga. Od czasu do czasu wpadały w uszy niewybrane epitetety skierowane pod adresem Jurka.

- Śmierzący geszełciarz!..
- uniełk!
- waluciarz. obdziera biedaków ze skóry.
- hycel.
- dawno już powinni takiego przytknąć.
- dziwię się dlaczego ~~owtęco~~ tolerują kanclarzy.

nie było to przyjemne. Będz co będz i jaumaczarem pałce w jakimś ciemnym interesie. Przypomlałem sobie twarz kobiety w zamoczonej fartuchu i doszedłem do przekonania, że chyba jednak to nie mąz ją kiwał. Oświadałem i w tym nastroju dotrwałem do końca zabawy.

W kilka dni później odmówiłem Jurkowi, który znow uwał zarobit trochę grósza. Dziłało się to w obecności całej rodziny. wzruszył ramionami:

- bez łaski! zawsze wygodniej siorbac z garnuszka litosclowych bra-ci. - powiedział z przekąsem.

- żebyś nie dostał w mordę!.. - warknęła noza.

rani zegocina wydeła policzka i wypuszcła strumien powietrza:

- rrr..

ran adam milczał.

znow udałem się na Krakowską po pomoc. Tym razem nie chodziło o wieczorowe ubranie, a o pracę.

- zrobi się!.. - oświadczył tesc-nozownik

Nie zawiodł. Dostałem pracę w Narodnym Komisaracie wnutennych Dzieł. Zostałem pomocnikiem stroza.

Juz sama nazwa instytucji budziła respekt, a u poniektorych ~~owtęco~~ ^{gesty oświec.} aby się dostać do tak wszechpotężnego resortu należało oczywiście xyt do-
konać wielu wstępnych formalności, a więc wypisac z dziesiątek formularzy, własnego zyciorysu nauczyć się jak pacierza i odbyć długą rozmowę z naczel-
nikiem. Towarzysz ~~maxax~~ ^{komisar} - jak się domyslałem oficer gospodarczy- maglował na sposób, który nie przyniosłby ujmę kolegom z wydziału śledczego. Na ko-
niec kazał odcisnąć kciuk na formularzu i uprzedzając, że pod żadnym pozost-

rem nie wolno mi wchodzić do gmachu skierował do bezpośredniego przełożonego.

Szefer posypywał piaskiem chodnik. Ucieszyli się pomocnikiem. wręczył srewnianą łopatę instruując jak zgarniać śnieg w przyzmy.

Roboty nie była trudna. Ironicznie mroz szczyptał w palce i w uszy, lecz tylko z początku. Potem ocierałem pot z czoła. Zwłaszcza kiedy przynosiło się ładować śnieg na gruzowiki. Na drugi dzień szefer polecił stawie^{się} siedmej.

Wstałem razem z rozą. Byliśmy ~~szczęśliwi~~ po awanturze, więc wymieniliśmy zaledwie "dzieńdobry". wyszedłem pierwszy. Na ulicy usłyszałem tupot nóg. Doganiała mnie.

- Co ~~nie~~ za brewerle? Dokąd cię niesie? - rzuciła podrażniona.

- Do pracy?

- Gdzie?..

- Mówię wyraźnie, do pracy.

Jakiś czas kroczyliśmy obok siebie w milczeniu. Za Złotym Mostem skręcałem w mostową. przystanąła.

- Może łaskawie poinformujesz mnie gdzie pracujesz?

- Na placu katedralnym.

- szkoda, że nie pod Ostrą Bramą!

- nadzieję ci nie kpię z mojej instytucji.

- Co robisz?

- Wymiatam ulicę.

- Zaangażowałeś się na dozorcę? - zawołała.

- Zebysz to! Narazie na pomocnika. Żadna praca nie naroba. Lepsze to niż zerowanie na biednych ludziach. Handel walutą mi nie leży. Zresztą zatrudnia mnie nie lada jaka instytucja.

- Na placu katedralnym, kuria?..

- Mnie, bezpożnika!?.. N.N.N.N.N.

- N.N.N.N.N.?.. - krzyknęła ze zgrozą - Na placu katedralnym. Na oczach

całego miasta!?!.. Cymbał!.. kretyn!.. Duran!.. Bałwan!..

Inne miłe określenia miotała podlegając truchtem do Placu Orzeszkowej. błogosławiłem los, że ~~nie przyszedł~~ ^{dziś się to} ~~nie przyszedł~~ na ulicy. Nie bardzo rozumiałem jej wzburzenia. Nie podjąłem się żadnej, upadającej, roboty. Co komu mogło szkodzić, że machnął miotłą w centrum miasta? Coby, nie znany ni komu, kogo mogłem zaszokować. Okazało się, że mogłem. Zapomniałem o ciotkach, które mieszkały w pobliżu katechory, ~~których nie gwałcił wcale~~ ~~przez szereg lat~~ ~~nie gwałcił wcale~~ ~~nie gwałcił wcale~~.

Narzędzia pracy stały oparte o budynki. Jakiś jeszcze nie pracował. Zanim przyszedł oczyściłem spory kawał chodnika. Pochwili i w nagrodę zaprosił na śniadanie. Przypomniałem mu zakaz wstępowania ~~na~~ w mur, urzędu.

- Nie ważne!.. - oświadczył. - Nie taki wielki straszny jak go malują. Zresztą mieszkam w olicynie.

(Z łaski dozorczy i jego małżonki posiłkiem się niezgorzej. Jedliśmy bliny. Oczywiście z maczaniem. A jak bliny to musowo wypić po rumeczce.

- Robota zaraz lepi pojedzie. - dowodził szer.

Roziął w szklanki. Zaniosło samogonem.

- Ryzykant z pana. - powiedziałem. - Trzyma pan olmbur pod oknem N.N.N.N.

- A ty myślisz serce, że oni tego nie trapią. Jeszcze jak! Na pensyjce kopytka bym wyciągnął. no.. no.. kto u mnie nie olerze!

Tylko co obtarliśmy usta z tłuszczu, gdy w gwizdaku stanął żołnierz. W rękę trzymał karabin. Gospodarz wcale się nie stropli.

- ~~MM~~ Cośniesz sobie waśka?

- W nariadenie nielezią. - odparł wojak z nutą ~~złoty~~ ^{złoty} żalu.

Potem zaciągnął twarz marszem i rzekł zwracając się do mnie.

- Wasza familia?

Wydukałem nazwisko.

- Toczno. naczałnik zowlot.

- Aus iczcie, tylko przekąsi. - wtrącił mój patron.

- siejczasze cołzen isci! Dziale serioznje.

Dusza skoczyła mi na ramię. Przez ułóżnik sześciem na przygiętych kolanach. Za mną jak cien postępował żołnierz. W nacnu raz zaczął iść w prawo, to znow w lewo. Wreszcie zatrzymał się przed jakimiś drzwi-
mi. Zostawił mnie na korytarzu. Wzdłuż ścian stały zaplombowane ~~szafy~~ szafy.

Nicdy tak czekałem, do Jeanne, ~~został~~ podszedł jakiś oficer, zerwał pieczęć i pociągnął za kłódkę. Po kleszeniach szukał kluczy, a nie znajdując odsunął szafę. Nie posiadała tynej ściany. Zabrał jakieś akta.

- Ustawcie aparaty! - przykazał ochoczo.

Właśnie mocowałem się z gratem gdy zjawił się mój konwój.

- Proście! Naczelnik zawiad.

W gabinecie siwy pułkownik nie zwracając na mnie uwagi rugał niższego stopniem oficera. Na tyle na ile zrozumiałem funkcjonariusz zamiast spalić maszynową kalkę wrzucił ją do kosza.

- Wy powinni być ~~starsze~~ starsze. Wrag nie spłt. My zuzies wślo karaulim, ^{xi} adin aleit arugowo, plombirujem szafy, a wy tawariszcz takie bezaprazie.

Pomyślałem o szafie na korytarzu i mimowoli uśmiechnąłem się. Naczelnik pouchwylił mój uśmiech.

- Wy czego ułypajecies, ~~mi~~ ^{wam nadał} ~~grazdanin~~ ^{grazdanin}, a?.. Eto nie szutki, wrag nacnoziłsa wiezazie. A wooszcze czewo ~~szafy~~ ^{szafy}?

- Tawariszcz naczelnik mnie zwał. Nabotaju pocznikiem awornika. - W, ^{mo} ~~ca~~ ^{ca} ~~kaheh~~.

Zmierzył mnie od stop do głów.

- Radno.. - powiedział i wydobyl z olurka jakies zawiniatko - u was charoszaja niewiesta, zabotliwa.. No w buduszcym nie zabowajcie ^{Pajin} ~~outerbudu~~. i skazitie czto možno was najczci na ulice. Wślo taki gieroj daba, pazawliowac wybora. Priamo k naczelniku sunietsa. Zaiko czto nie k narodnomu komi-saru. Eto wam, kuszajcie na zdarowie..

Wyszedłem na korytarz, a z korytarza na ulicę. ~~Został~~ ^{został} ~~został~~. Dozorca już obmółł chodnik.

- I co? znaleźli coś paskudnego w życiorysie?... spytał.

- ~~na~~znajoma przysłała śniadanie .. - odparłem dobywając z kieszeni paczuszkę.

Na papierze odcisnięto pieczętkę: "prawiereno". kontroli podano dwa rogaliki z masłem.

Do domu wracałem pełen podniosłych uczuć. Ale noża nadal się doczyiła. Nie odzywała się. Odtąd jednak codziennie w kieszeni płaszcza znajdowałem śniadanie. krzyczało^ś, co szef już więcej, do siebie nie prosił.

rewnego dnia zgarnęłam śnieg wprost pod nogi jednej z zachnych ciotek. wywaliła na mnie oczy i krzyknęła przerażona. potem truchtem uciekła jak od złego ducha. nawet nie użyłem się uchronić.

po kilku dniach noża zakomunikowała, że ciotunie nie życzą sobie naszych wizyt. specjalnie się nie zamartwiłem. ostatecznie w zapasie była ciocia z Dąbrowskiego. ta nie pogardzała fizyczną pracą, która - mówiąc szczerze - przycią^{i mnie} coraz bardziej. ~~nie przeszkadzała~~.

~~nie przeszkadzała~~ Gdy zwierzyłem się z tego noży przyrzekła, że już teraz napewno zrobi ze mnie urzędnika. Później otrzymała nawet zapewnienie antanasa. zażądała jednak abym natychmiast porzucił upodajające zajęcie. zwiekałem z gnia na dzień ponieważ nie miałem odwagi złożyć podania o zwolnienie. otuchy dodał mi dopiero szef.

- Tęż mecyje! - powiedział. - wezmiesz chłopie tygodniówkę i chęć. nikt tu po tobie płakać nie będzie.

- nie będę szukać, nie narobię sobie błąsu?

- może będą, ale dla czego innego..

zrobiłem jak radził i znow zostałem bezrobotnym.

4. Nie dla psa kiełbasa.

/Nilitus bajdas... jak parobek wykiwał panienkę, panienka przyjaciela, za co ten przełknięszy wzięcznością zlekceważył hrabiankę, ~~zła~~ wódkę zagryzała kiełbasą, która ponoć nie jest dla psa./

Roza przykazała napisać podanie, życiorys, jakąś ankietę i poszliśmy do Antanasa.

Urządował w gabinecie przedwojennego wojewody. Zaśmiewając się do siebie przypominali sobie dziecięce wybrzki. Zaczęli rozmowę po litewsku, a potem przeszli na polski. Mnie ignorowali. Dopiero pod koniec wizyty, Roza poleciła wyłożyć papiery. Wykorzystał, że nie mam praktyki, że nie znam dobrze żadnego z urzędowych języków, ale w końcu machnął coś płocem na podaniu i polecił zgłosić się za tydzień do kompetentnego kierownika.

Cały ten tydzień żyłem w radosnym podnieceniu, a z Rozą w przelotnej harmonii. Nawet według wskazania cioci z Dąbrowskiego /te z Zauka Bernadynskiego wciąż nie chciały mnie znać/ odwiedziłem, kilka osób skłonnych wynająć pokój spokojnemu, bezdzietnemu małżeństwu.

Do posady urzędnika zgłosiłem się w Zarządzie Budynków Mieszkalnych. Przed pokojem kierownika zgromadziło się sporo petentów. Czekaniem cierpliwie na swoją ~~XXXX~~ kolej. Jedni wychodzili z gabinetu rozradowani, inni z nosem spuszczonego na kwintę. Zachowywałem olimpijski spokój - mając takie plecy.

Kierownik długo szukał podania. Z uwagą odczytał adnotację Antanasa.

- Nie mamy dla was miejsca. - orzekł krótko.

- Dlaczego, towarzysz K... - zacząłem

- Właśnie towarzysz K... pisze, że jesteście niepewni. Otrzymujecie kontakty z pamieszczykami. Nie będziemy zatrudniać ~~uszkodzonych~~ ^{pachołków} reakcji.

Naprawdę usiłowałem coś tłumaczyć. Wstał i otwierając drzwi zawołał:

- Następny!

Do pokoju wszedł klient.

Rozgorączony, bliski płaczu wlokłem się ulicami miasta. Na obład. do stołówki było jeszcze sporo czasu, a na Ciołimską, do gniazda reakcji nie chciało się wracać. Wrócić jednak musiałem. Daczn nad głową i łozko to

to przecież nie są atena rzecz. noza pokrasniała po czubek głowy. ~~nie była szczególnie ładna, ale czysto i gładka.~~

- żeby zadawać się z takim swiniogusem! musiałam być jednak bardzo głupia jako dziecko. Onamujio, parobas!.. Już ja mu pokazę! - *wykrzyknęła*
towarzyszowi dręczącym ją zębami.

Nie wiem co mu chciała pokazać i czy pokazała, bo ziamane go niepowo niewiele uzeniem ~~nie~~ ciekawie, a potem... potem jeszcze mniej.

rozczyły radzielec jak mogli tak starał się osiadać mi ~~o~~ ci, cz ~~o~~ porażki.

sama zmieniała pracę. została posadą w "valio fiestas". byi to zarząca lokali rozrywkowych, restauracji i kawiarni. Pracownicy korzystali z pewnych ulg konsumpcyjnych i kredytu. wolno im było regulować rachunki bonami, których równowartość potrącano potem z poborów.

noza zapragnęła zabawy. domagała się aby jej towarzyszyć. wykrycałem się. gdzie było oberwancomi leżało do lokalu. wybuchali o to raz po raz arabskie awantury. po każdym starciu robili mi się za dziewczynę. Bądź co bądź przywiązała się do mnie i okazywała wiele serdecznych oducnow.

i tak ~~nie~~ pierwszego, po wypicie, kiedy nie mając nic lepszego do roboty wyszedłem pod jej okno rzuciła mi się na szyję na oczach kolegów. potem ciągle odzwłona, usmiechnięta, czuła zapłaconia na obiad do restauracji "valgisu" / dawniejszego "bualetu" / ~~o~~.

Z karty wybrała moje najmilsze potrawy. A apetyt, rzecz zrozumiała ~~nie~~ dopisywał niezgorzej. potem kiedy przechodziłem, ^{obok} ~~o~~ o magazynu braci Jabikowskich, powiedziała:

- Wejdziemy. Chcę kupić trochę fatałaszkow.

przymierzyła kilka wiosennych płaszczy, ale zażen nie przypała jej do gustu. przy stole z męską manufakturą zaczęła przeglądać ubrania. Załaziła z wieszaka ciemno-szary garnitur.

- Ciekawa jestem jak na tobie leży, przymierz! - rzekła podając mi rymarkę.

wzruszyłem ramionami i chciałem się oddalić. rocnw, cila mnie za rę-

kaw.

- słoń proszę. co ci szkodzi?..

- nie rob ze mnie pajaca! - burknąłem

- Nie możesz zrobić mi tej przyjemności?

wiedziałem, że nie ustąpi. ciężko było szarpać się na oczach sprzedawców. romstuając na babskie fanaberie ściąganiem z karku irlandzkiego policjanta. rozpchnęła mnie w stronę lustra.

- Obróć się! - mówiła - ruda pachami nie ciasna?.. jeszcze raz się obróć.

kręciłem się jak modelka. Tylko na twarzy nie miałem zawodowego uśmiechu modelki. byłem wściekły. Popsuła cały nastrój dnia.

mielismy iść jeszcze na ~~na~~ kawę, ale ~~na~~ oświadczyłem, że boli mnie głowa. na rogu krakowskiej, & chocińskiej rzuciłem oschle:

- Cześć! idę do zuzicha..

- ro co?

- ro robotę. resz-nozownik może coś jeszcze wykomolnuje.

- Nie chodź.. porozmawiamy w domu. Naradzimy się.

ruszyłem przed siebie bez słowa.

Resz niczem nie dysponował, ale oblecał się rozegrzec. dla podbudowania wiary postawił pół litra. zuzichu nader melancholijnie nastrojony, szepnął mi do ucha, że matka z siostrą już wyjechały. wzdychnął. zał było patrzeć na eniópaka. zatrzasnęło mu przed nosem okno w wielki "wspañiały" świat.

Udy wróciłem róża spała. papa już gotował się do snu. odbywał właśnie ostatni spacer wokół stołu - oczywiście nago. sprzeczał się o coś z małżonką. odpowiadała mu z syplami przygnaniem i arwiącym recnotem. Jurka jeszcze nie było.

Na moim łozku znalazłem paczkę, a na niej, trzy słowa:

"Nie gniewaj się!"

rozpakowałem ubranie. to samB ktorą przymlerzałem u sabikowskich.

Długo sterczałem na środku pokoju trzymając za wieszak szarą marynarkę. Narastało wzruszenie. Rzuciłem się na posciel. Gdy przyszedł Surek nie spałem. Oawrocony do ściany myślałem o rudej, nieładnej, dziewczynie. Nazajutrz nie mogłem doczekać trzeciej. Tym razem ja rzuciłem się jej na szyję. Pod rekruckim płaszczem miałem ciemno-szary garnitur. Ony- ba poraz pierwszy od wybuchu wojny moje buty i sznury wypucowane pastą.

- wieczorem pojedziemy do "Zacisza", dobrze?..

Okrzywiłem się, lecz nie protestowałem. Jego unia niczego oym jej nie odmówił.

W "Zaciszu" brzdąkała muzyka. kilka par tłoczyło się na parkiecie. Na nasze spotkanie wybiegła bardzo przystojna kelnerka.

- byczo, ze przyszłaś! Mam dla was stoik. Komarowna jestem. -mowia sciskając mi dłoń.

Nie byłem zadowolony z wyboru miejsca. Wolałbym jakiś odległy kąt.

- To Buba. - objaśniła Roza - Ona jest bardzo bogata, najlepsza partia na Litwie. hrabianka. Posiadali wielkie dobra pod Koniewiezem..

- .. moja koleżanka! - dodała z dumą.

- Nozlegie masz stosunki. - odparłem kpiąco. - Tam dygnitarz parobek, tu hrabianka-kelnerka.

- Co ty tam rozumiesz?

Buba podeszła do stoika. przed tem jednak musiała się wyzwolić z łap opasłego litwina, który krzepko trzymał się jej bioder. Była naprawdę niezwykle zgrabna - wysoka, długonoga, wiotka.

- Czem mogę służyć? - zapytała uśmiechnąjąc się znacząco.

- Siadaj! - rzekła Roza - przykro oglądać cię w tej roli.

- Trudno kochanie. Takie czasy. Siadać nie mogę. Stary by się inajcz, Ale pana to jeszcze tu nie wladziałam?

- I nie prędko ~~zobacz~~ mnie pani zobaczy. - mruknąłem.

- On nie lubi dąsingow. Woli spokojne lokale, dobrą kawę, czasem kieliszek wina. - tłumaczyła Roza

hrabianka wykrzywiła usta.

- Jakież teraz mogą być wina? Nawet u nas nie ma nic godnego polecenia. Osobiście radzę likier..

- Świartkę czystej i kawałek kiełbasy! - zaordynowałem.

- Chcę cię epatować. - wtrąciła noza.

- Wnie już niczem nie można oszołomić. - odparła Euba.

Udy odeszła noza powleczając tonem wymówki.

- Czego się znów nabzdyczyłeś? rzecied to arcy miła dziewczyna.

- Bardzo miła. nogi ma fascynujące. Siostra też. Onątnie bym je obłapał jak ten grubas.

- Kiedyś i jego i ciebie wyszczułały psami.

- A dziś będziesz musiała sprzątnąć jak obrzygam stolik.

- Gour!..

O dziwo na tym się skończyło. Nie zwymyślała mnie, nie obrzuciła wściekłym spojrzeniem. Ale naprawdę było jej przykro. Poprosiłem ~~o~~ do tanca. Tulila się bardziej, niż to wypadło czynić w publicznym miejscu. Wcale się tym nie krępowalem. Miałem w nosie całą ^{zbiórnię} ~~szóstkę~~ złączoną w większości ze spekulantów, waluciarzy i wszelakiej masyi wycierusów.

Na ~~stoliku~~ stoliku stała już wódka, bułki i ziarna kiełbasa z musztardą. Noza dostała kawę i tort ze śmietaną. Kłiem sam. Jeden kiełbisek ukradkiem wytrąpiła krawulanka. Zagryzła moją kiełbasę. Przy regulowaniu rachunku wyraziła niezadowolnienie.

- Kłacisz bonami. Od tego nie mamy procentu. Twój rycerz mógłby się szarpnąć..

Koza wygęła wargi.

- Nie twoja sprawa! Jak będzie trzeba to się szarpnie.

Rotem mruknięta za odchodzącą:

- Dziewka. wycierała się po całym koniewlezu z kim popadło.

W drzwiach omal nie wpadłem na łuniarę. Wyglądała przesłicznie. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Noza wyprowadziła mnie na ulicę.

- Zadałwisz się śliną. Ale nie dla psa kiełbasa.

5. Wykręcisz, zarobisz czyli każdemu według pracy.

/Klitus bajdus.. o wielojęzycznym mieście, pojeźnaniu z rodziną prowizora i jeszcze jednym niepowodzeniem w służbie kolejnictwa./

Moja rudowłosa nie przynosiła więcej pracy do domu. Czasem pomagałem jej w biurze, lecz nie często. Za długo przyczyniło się czekać na wyjście wszystkich urzędników. Wiele było gorilwców, którzy parali się nadgodzinami. W biurze oczywiście Roza nazywała się Zegotaite.

Czasu ciągle miałem w nadmiarze.

Przed pościaniem zazwyczaj sięczałem nad elementarzem, a po obiedzie samopas odstawiałem urządzenie spaceru. Wędrowałem się ulicami Srodmieścia, zapuszczałem się ~~na~~ na odległe perjeria.

Żywny przedstawiało obraz. Prawdziwa wieża Babel. Nad prywatnymi sklepami najczęściej wianowały szyldy w języku polskim, nad uspoiecznionymi w litewskim, lekarze, akuszerki i dentysty ogłaszali się przeważnie po polsku, na publicznych gmachach wisiak, godła smetonowskiej Litwy obok emblematów ludowej republiki. Ulice obok Orzeszkowej, Mickiewicza, Dzierzynskiego, Stalina nosiły imiona i nazwiska litewskich księziów i zasłużonych obywateli: Wiedymina, Witolda, dr. Dasanovicjus, Cedrocia; była Alicja Liakowska, Lwowska, Roznawska, ale również Minska i Aljowska, Kauno-ve i Okmergė-ve. Gazety wychodziły po litewsku, po polsku, po rosyjsku, po białorusku i w żargonówce. Woznojęzyczne afisze zapowiadały imprezy artystyczne różnojęzycznych wykonawców.

W kocich łbach, bez zmian, kursowały popularne "Arbony", w których konduktorzy przekrzykiwali na przemian: "Za bileta prosze, i do przodu, do przodu!.." "Perechadzicie wpierod!", "Nas nie turli biletu? Pasaau pirmini!". Zdołano przyzwyczaić się do widoku litewskich oddziałów pod komendą radzieckiego oficera, podobnie jak do papierosów "Braucai"; tuż na których klasno armieec w podiennowce stał za piecami pucłowatego karcivisa. Wozozki po staremu toczyły się na gumach, a dyndziarze, jak dawniej, klęli jęzarną polszczyzną, gęsto kraszona ruskim słowem.

Ucznikiem przeliewał się różnoplemienny tłum.

Niemiecka szwargotała żargonem, na oczninku mięzży iłacem kategramm

iba na Litwina, Litwin na Polaka, Polak na Rosjanina, a wszyscy razem na Żyda. Poza ludźmi z kraju nad również w łonie ^{tych} samych nacji wrzało od sporów, intryg i namiętności.

I tak wlokłem się kiedyś dawną Mickiewicza, potem Cieszyńska, a podówczas już Stalina i gapiłem się na przechodniów. Niekto się uśmiechał. Przeważnie zdążyli gdzieś zairasować lub zamysleli. Atoli jedna twarz promieniowała dobrośliwym wyrazem. O piętę ciecniaka postukiwał łuseczką pan Witaiła Sawłowicz. Na czole opadał pilsniowy kapeluszek z olbrzymim rondem, ~~przez~~ a spokojnie na wypucowane przyszwę. Ujrawszy mnie zadart głowę i rozkrzyżował ramiona.

- Jakżesz się cieszę! - mowił szczerze wzruszony - a czuję, że spotka mnie coś miłego.

Jego mała twarz była oślesza i bardziej wycucia niż zwykle. Uśmiechnięcie w pół. Wyciąłował.

Przez Zielony most i Kaniwaryjską nie zamykaliśmy ust. Wspominał o swoim aresztowaniu. Przez kilka tygodni śledztwa nie dowiedział się za co został zatrzymany.

- Musi co ktoś naszczekał. - oświadczył. - Ludzkie ozory to najgorsze co może być, Kochany. I ty brechasz i na ciebie brechają.

- Nie pamiętam, aby pan o kims powiedział złe słowa. - wtrąciłem.

- Czasem, czasem.. ~~przez~~. Za to moja połowica. E!.. dużo by tam gadac. Te babskie kolejki to zaraza. Jedna z drugą stoi i stoi, miele i miele, papie co sliwa przyniesie, trzeba czy nie trzeba..

Przed bramą uchwycił mnie za rękaw i zaciągnął splewnie.

- Nie da rady. Musi pan zajść.

Wykręcałem się. Nie zaglądałem gdy śledzieli na zakuszkach, wolałem więc nie leżeć w oczy Sawłowiczowej, która nie zwykła nakładać namulicy swoim odczuciom. Nie pozwolił się jednak żyć byle czem.

- Ależ kocnanienki, stęsknili mi się za tobą wszystkie, że może ty moji!..

Powitano mnie niczem syna marnotrawnego. Luzo serdecznie, niż się tego spodziewać mogłem.

Dom jak przed rokiem był pełen dynamicznych, młodzieńczych głosów i niespożytej energii mamy.

po kolacji zszedł na racie pan Franciszek Urdecki. Po pani Stepanovicuś pokój zajął ~~nowy student~~, mężczyzna mógł więc bez zakłóceń poświęcić całą uwagę sprawom międzynarodowej wagi.

w pokoiku, który kiedyś użytkowałem, z Groszami mieszkał teraz były zawodowy oficer wojsk polskich i towarzysz niedoli z gospodarzy z obozu dla internowanych w Łódzku. Nie odznaczał się fascynującą urodą. z wągrowatej, mongolskiej, twarzy wystawały na bok duże uszy, a cały krępy korpus jak przystało na kawalerzystę przylinał w łuk krotkie nogi. Nie posiadał urody, ale posiadał spryt. Po zwolnieniu z obozu od razu znalazł sobie pracę, za którą ja i tysiące podobnych mi młodych ludzi uganiało się miesiącami. kierował ~~fabryką~~ rozbudową fabryki pończoch na ulicy Rydzka-Śmigłego. Gaziek i kiedy zdobył kwalifikacje budowlarza nie wyjaśnił nikomu. Dostępnym ze pan Izidor Moskwa pracował i miał za co płacić rachunki w "bukiecie" czy w "zaciszu".

Przed sobą oczywiście zataiłem wizytę na kalwaryjskiej. moja ruda dziewczyna boleśnie by to przeżyła. Ja chyba również. Nie skłamałem bo się o to nie pytała, lecz we wzajemnej szczeroci został dokonany wyłom. Zaczynałem powoli odczuwać przesyt niewieściej, zaporczości, ^{dużo} ~~na~~ ~~nie~~ jeszcze nie w tym stopniu, żeby narazić się na utratę ciepłego bądź co bądź pokoju i słabości dobrego, jakoby nie było, stworzenia. Przywitała mnie dość ciekawo i oznajmiła:

- przychodził ten straganiacz. ma jakąś robotę. Spodziewam się, że nie babki klozetowej.

powiła o Łazichu.

roszedłem nazajutrz. poinformowałem, że kolejni werbuje robotników do prac na liniach kolejowych. Sam zamierzałem się zaangażować i mnie radziła to samo. Cieszyłem się. Położyłem zaraz do Pawłowiczów wiedzając, że i

Władka głępi bezczynność.

W biurze Dyrekcji nie robiono z nami wiele ceregieli. Spisano personalia i wręczono skierowania do naczelnika stacji w Koszedarach. Nie dano nawet biletów na przejazd.

- Kto się ogólnie ~~was~~ pytał o bilety? - oświadczył urzędnik.

W istocie nikt się nie pytał.

Ale w Koszedarach naczelnik stacji mocno się strapił nadobytkiem siły roboczej. Zdziwniliśmy na kosc siedząc na ułożonych pod szopy podkładach, spałszowa^{sum} waiówkę od mamy Lawiowiczowej, a on cięło rozważał jak by zatrucenie trzech robotników. Reszcie około południa kazał zabierać z szopy łomy, parę kopat, łapę, wielki klucz francuzki i powłocił nas na ślepy tor. Ogarniając outem snieg z szyn powiedział:

- właściwie to komu on przeszkadza? Rzdewiał za cara, niechdy sobie rzdewiał ~~xx~~ dalej. Ale kij wam w oko, rozdzierajcie.

- stawka godzinowa czy na akord? - spytał rzeczowo Łazis.

- Rozumie się, że na normę. - objaśnił naczelnik. - Od metra rozszerzanego toru.

i oddalił się.

Zostaliśmy w szczerym polu. Wiatr prychnął ¹śniegiem w gębę, wciął za koszulę, gwizdał urągliwie. Zaczęliśmy od rozdziewki, dorozkarskim zwyczajem objając sobie ~~xxkix~~ zebra. Potem wiadek z pod sniegu wprzebał śrubę, a ja na głowicę nałożyłem klucz. Szarpnąłem. Ani gręńca. Złyły wylazły mi na skron. Z tym samym skutkiem. ~~fx~~ mnie moruował się Łazich, po Łazisiu Władzio. Potem kolekt, wnie chwyciliśmy za uchwyty. ~~nie~~ nakrętka nie przesunęła się nawet o milimetr.

- Dawajcie następną! - zaproponował Łazich.

Następna nie okazała się łaskawsza. Irzecia też nie. Podobnie jak czwarta, piąta i szosta.

- szkoda gadać. Nie rozkręcimy. - stwierdzili wiadek. - Irzeba pokopac podkłady.

- i co? - zapytałem

~~Wła~~ ~~da~~ to "co" nikt nie miał dać odpowiedzi. Nawet gdybyśmy dysponowali siłą mechanicznego dźwigu, to i tak żeby unieść szynę wraz z podkładami należało je rozkręcić przynajmniej na styku.

Władzio wykazał nadpouziwany optymizm.

- Spróbujemy guzle inaczej. Jakas cholera przecież ugnie.

W samej rzeczy na kilkudziesięciometrowym odcinku kilka ugnęło. Pierwszą wykręciliśmy w atmosferze radosnego podniecenia, drugą też, ale trzecią zżysia z rozmachem rzucił w śnieg.

- Dymam taką robotę. Ten swiński ryj z nas warlatow ~~xxxi~~ struga. ~~xxxi~~ laziemy! Albo da co innego, albo skurczyszynowi łomem przyjdzie.

Ledwie uprosiliśmy, aby nie zniewazał zwierzchnika.

- Tylko grzecznie, panie zżysiu. - mitygował władzio, ~~ku~~ grzeczności jeszcze nikt nie stracił.

Z Naczelnikiem nie dogadaliśmy się ani grzecznie, ani ocesowo. Ło prostu był nieosiągalny zona coś mamrotała po litewsku. Tyle zrozumieliśmy, że wódka nie cementuje małżeństwa. Radzila narzędzia postawić pod szopą i przyjechać nazajutrz.

Do przyścia pociągu mieliśmy ~~xxxxxxx~~ sporo czasu.

Wizki grały marsza. W poczekalni temperatura utrzymywała się na poziomie przeciętnej zima. Świat świecił gustawami.

- Psiakość, żeby choć szklankę nerbaty! - skarżył się władzio.

Organizator wyprawy wziął na ambit. Pochylił się z ławy.

- Pójdą do naczelnikowej. może zoiża da choć kłpietku?

Oczekaliśmy z pół godziny. Wrocili ożywiony.

- A wiecie, że to wcale przyjemna kobitka. - oznajmił - możecie przyjsie na stakan czaju.

Naczelnikowa okazała się naprawdę miłą. Rozczęstowała nie tylko herbata, ale wykroiła każdemu po pajdzie chleba ze smalcem. Zżysiuowi największą i najgrubiej posmarowaną. Zawęziliśmy, do nadejścia pociągu. Na pożegnanie przypomniała:

- Koniecznie niech panowie jutro przyjadą. Ja moczymorda do rana cny-

ba wyzdranięła wytrzeźwieje.

- Napewno przyjeździemy. - zaręczał Luzis.

Całą drogą upominał, że nie należy się zrażać, że do wytrwania należy świat.

+ Jak jutro nie przyjdzieł porządek robot, to mu tak rozuzinę rozstawię po kątach, że nie pozostanie do śmierci.

- naczeinikową też? - spytałem

- niczego sobie osobna, co?..

Nazajutrz naczeinik obiecał inną robotę. Ale tylko obiecał, bo zaraz po złożeniu przyrzeczenia ulotnił się znów jak kamiora. Byliśmy wściekli - to znaczy władca i ja, bo Luzis do powrotu rozstawiał rozuzinę po kątach. Na herbatę nas nie wzywał.

W pociągu wygarniętem mu brak solidarności.

- Co chcesz człowieka? - obronił się - nawet mnie nie poczęstowała herbata.

- Orazem wciągnęła do łóżka?

- Skąd wiesz?..

Współpasażerowie parsknęli śmiechem. Luzis jednak nie bardzo się zmieszał. Zadowolone tryskała mu z twarzy.

Jechaliśmy w wesołej kompanii. Przeważnie robotnicy wracali z pracy do domów. Napewno wydańniej pracowali od nas, gdyż outelka niez-mordowanie krążyła z ręk do ręk. Wzillala i w nasze. Wskotce zroolio się duszne i gorąco. Za kilka licetoni wyliziliśmy na platformę. Z nami młody rosjanin z harmoszką. Bez długich nalegań zagrał i zaśpiewał. Śpiewał ładnie, czystym i głębokim głosem. Okrywał całe piękno rosyjskiej plesni. Irochnę irytowały mnie plenia roduakow, którzy w przedziale usiłowali wykazać, że "Czerwony pas" też sroce z pod ogona nie wypadł.

Na kalwaryjskiej Luzisowi powlecział:

- Jutro o szestej na awercu.

- Całuj psa w nos! - burknętem

- Dlaczego?.. Napewno wszystko się ułoży.
- Tobie ~~je~~ się ułożyło, ^{to}korzystaj! szczęście może!..
- szkoda! no to cześć. tylko sam rozumiesz staro, ani mro, aru..

6. Udarniki

/klitus, bajdus.. jak oricer szwolezerów budował fabrykę, a ksiądz, prawnik i jeszcze dwóch wyklęowało się na przodowników pracy./

nośację jadłem u rawłowiczów. Coda coraz częściej.. i coraz częściej podczas gdy noza urzędowała w walgo i resto przesłażywałem na naiwaryjskie. nazem z władkiem medytowaliśmy jakby guzie zarobu trocną grosza. zupełnie nieoczekiwanie oparta wpłynęła od sublokatora, pana izydora..jeanego przedpołudnia leczył katzenjammer. idąc do kuchni po zmianę kompresu zatrzymał się na progu jadalni.

- Chcielibyście coś zarobić? - spytał

- Pytanie!.. Kto by nie chciał?.. - odparł władzio.

- Ślicznie! zgłoszcie się jutro na budowę. potrzebuje kilku ludzi do gaszenia węgla.

zrazu azgnęło mnie aby pędzić z nowiną do Łazicha. potem zrelektowałem. ^{5x} A nuz jeszcze pracowałem na stacji w Koszodarcach. i było tak istotnie. spotkałem go wieczorem. wracał z awercą pod dobrą muchą.

- Obiewasz wypłatę? - spytałem

- Gówno tam wypłatę! Kowaka. wdepniemy na jeanego. podwędziłem starej parę czerwonych.. na swiartkę starczy..

- Nie mam zupełnie chęci na wołkę. - odparłem

- Chodź!.. Czego się łamiesz. Parę rubli nie majątek. A ja się muszę dziś urznąć - rozumiesz!.. w pestkę! muszę.. z złości. od jutra znów do straganu. i marité mi szkoda - marzenie nie kooita.. sam młodak, powiadam ci. A po zatem czy chcę czy nie muszę się zająć. Jak przyjdę na bance bez grosza baby zrozumieją, że przepiłem, zgubiłem, kumpie opędziowali. stara się nawytrząsa, tesciowa powrzeszczy, ale tesc krzywdy zrobić nie da. zna ten ból. po wypłacie, na przezwo, bez pieniędzy - sam rozumiesz..

odmówiłem swego towarzystwa. poczuł się urazony. nie mogłem jednak inaczej. rodzina gotowa pomyśleć, że byłem tym kumpiem, który zyski kieszonienie.

Jak poleciał pan izydor nazajutrz, przed świtem stawiliśmy się w olu-

rze budowy. Oprócz nas jeszcze dwóch facetów. Przyjęto wszystkich. Jakiś technik powiadał nas do szatni.

- Tu zostawicie swoje ciuchy i wałową. O jedenastej dostaniecie kawę. Po śniadaniu piętnaście minut polit-zanięcia. - Informował.

Itak

~~całkowicie~~ przystąpiłiśmy do rozbudowy przemysłu litewskiej republiki radzieckiej. Mielismy przygotować materiał pod budowę nowej produkcji na terenie fabryki pańczoch. Na drugiej stronie ulicy rosła ściana zakładu trykotarskiego.

Technik zaprowadził nas ^{do lat} ~~na skraj~~ wielkiego dziedzińca. Rod obszerną szopą pokazał nam palonego wapna.

- Raz, dwa, trzy, cztery.. - policzył ~~to~~ starczy was na ten kram. Praca na akord rozliczany na całą brygadę. Tylko pracujcie się panowie!..

wykopanie dołu, ustawienie skrzyni i oprowadzenie gracy poszło dość sprawnie. Po dwóch dniach przystąpiłiśmy do zasadniczego procesu produkcyjnego. Wprowadziłiśmy naukowy podział pracy. Dwóch w beczce umocowanej na nosidłach dostarczało wodę, jeden zasypywał skrzynię surowcem, zaś czwarty skrobał gracą po dnio. Nikt nami nie kierował, nikt nie doglądał. Tylko rano majster zapuszczał zurawia do dołu i nieodmiennie sarkał:

- kiepsko, mało!.. Na pieprz nie zarobicie.

Wydażność istotnie była nie duża, pomimo że pracowaliśmy w pocie czoła. Ale bo też nikt nie miał pojęcia jak długo trzeba machać gracą, klezawiesinę do spuścić ~~zakładkę~~ do dołu. Wiadek i ja, choć z maturami ale bez zawodu, a tamci dwaj to magister praw i alumn duchownego seminarium. Do tego surowiec był podły, zanieczyszczony pełnym kamieniem i kazoorazowe oczyszczenie skrzyni pochłaniało sporo czasu. wodę przychodziło się donosić z kotłowni oddalonej o kilkadziesiąt metrow.

Niska wydażność przyniosła oczywiście niskie zarobki. Tylko ja jeden cieszyłem się zaciskając w garści kilka uczciwie zarobionych banknotów. Inni złorzeczyli. Najbardziej kleryk:

- Już ja im ostawię normę. - zapowiedział

Od poniedziałku bez wytchnienia, bez mała galopem donosiliśmy wo-
cę. Ciągłe jej było mało. Nie starczało czasu na papierosa, nie mówiąc
o rozgrzewce, na którą dotąd zacoździliśmy do kotłowni. ^{Teraz} ~~nie~~ nie było
potrzeby. Koszula lepiła się do grzbietu.

prawnik i kieryk

Tymczasem ~~maszyna~~ przeważnie popierał szcęgę. Cmilł pa-
pierośy. Zmniejszała się wydatnie ilość odpadu.

Wytchnienie przyniosło nam dopiero śniadanie. Upoczywały mięśnie,
ale musiał pracować umysł. W czasie posiłku politruk organizował ogwem
prasówkę. Szatnia, a zarazem świetlica tonęła w kłębach tytoniowego dymu.
Ze wszystkich kątów doczoździło miaskanie. ~~Wszystko~~ Co nie przeszkadzało
zakładowemu partorgowi uświadczać budowiarz. Przez piętnaście minut
opornie słowo po słowie dukał wybrany artykuł z najświeższego numeru
"Prawdy". Konczył stereotypowo:

- Są jakies pytania? Nie krępujcie się towarzysze, pytajcie, wy
czarny narod, siabó gramotny..

~~xx~~ w odpowiedzi wzmagalo się siorbanie i miaskanie. Czasem ktos
bąknął:

- znów cementu nie dowiezli, a normy wysokie nie dla ludzi..

Partorg zapisał cos w notesie.

- rozmowę z kierownikiem. Pewnie transport nawala. tylko ta towarz,
sze sprawa nie o cemencie, a o laszystach, burzujach, krwiopl, cach i
przekiętej reakcji..

- Precz z kapitalizmem!.. - wyartykiwał z reguły stros, któremu
spieszyno się do pasjonującej lektury Ropaziewiczowny.

- Ot, towarzysze Y prawidłowo zauważył. Koki co to wy jeszcze ciemni
Ale nic, podszkolim, uswiadomim.. A na rzecz wysokich norm mi tu bajdurz-
cie. Tamci z przeciwna na tych samych normach jada, a my, u nich rosna,
ze hej..

Tamtych z przeciwna nie luolała nasza zaloga, lecz - co prawda to
prawda - szczytowa ściana u nich rosła w oczach. Potem wszakże tempo prac

i tam zmalowało. Musieli powybijac otwory okienne, a na jednym piętrze położyć strop. Zwyczajnie, zapomnieli. Taki drobiazgi nie liczył się w szlachetnym współzawodnictwie.

W naszym zespole także wywłązała się rywalizacja. Dla wyrównania szans domagaliśmy się aby wodę donosić na zmianę - jeden dzień oni, jeden my. Prawnik i ksiądz nie ukrywając politowania przystali.

Odąd tylko co drugi dzień zrywaliśmy ściegna pod ciężarem beczki. Oni oyczyli się nawet guj na nich przypada koleją. Prowadzili uczone rozmowy, smiali papierosy. Czasem kieryk wyolegał po chwilałkę, a prawnik myszkował po fabrycznych halach za barażej przystojnymi robotnikami. W tym samym czasie wiadek drapał zawzięcie po unie skrzyżni, a ja donosiłem wagnio lub wyrzucaniem odpadki. Nie proznowaliśmy, a mimo to osięgaliśmy zaledwie połowę urobku tamtej pary. Wreszcie ~~XXXXX~~ we własnym interesie zaproponowaliśmy powrot do dawnego podziału pracy. Wtedy wyjawili tajemnicę swoich sukcesow.

- Ktoby tam mordował się z tym paskudztwem! - pouczał niedoszły duszpasterz. - Zalegę się wodą, pomyrda trzy razy skropbaczką i wala, do dołka. Tylko siatkę przedtem trzeba odjąć, żeby kamienie też spłynęły:

- Niezlasowane!.. Wszystko, całe zmiecie ładujecie do uoru? - pytał z niedowierzaniem wiadoło.

- Jasne! Norma leci, puciu, puciu będzie i odpadu mało. Ostatnią partię trzeba jedynie dobrze wyrobic, żeby pokryc, żeby rano majster wliczał towar jak kwasne mleko.

Zamaliśmy się z władziem czy uprzeczic o podobnej niesumienności naszego protektora i doorodzieja. Będz co bądź odpowiadał za całosc roboty. W rozterce trwaliśmy do soboty. W sobotę po przeliczeniu tygodniowki uzgodniliśmy, że lepiej nie martwic sympatycznego jegomoscia.

Do czterech tygodniach doły były pełne. Faktora poklepał nas po plecach, obiecał wywiesic na tablicy przeddownikow, a majster nie cniciał słyszeć o zwolnieniu. Kusiał goudziwym zarobkiem przy malarzach. Rozliczna-

liśmy jednak rady kleryka.

- Dupe w troki, pan owie, i chodu! - mowił zęgnając się z nami w podiej knajpie na rogu Basanovičius - vé.

Tak się skonczyła nie ciuga, lecz chwalebna kariera budowlarza.

Ex-porucznik puiku szwolezerow, sympatyczny pan izygor nie duzo uru-
zej kierował budową przemysłowego obiektu. Jednego dnia zaorał walizecz-
kę, wyszedł z domu i więcej nie wrócił. ~~xxxxxxx~~ wyszedł bez pożegna-
nia i bez kwitu za dzierzawiony pokój. Rawiowiczowa pomstowała, wyrażała
się niepochlebnie o honorze niektórych wojskowych, zaś jej pierworodny
syn łypał do mnie okiem i zacierał ręce.

Cieszyłem się i ja choc ~~xxxxxxx~~ powodu do radości było nic wie-
le. znow zostałem bezrobotnym.

7. Dzień i noc po dramacie.

/Alitis bajaus.. o niedobrej nocy i dobrej siostrze, która dla rodzono^o
począzwała kochanka, a ten pod rzziemi tancbudą czyhał na niewierną. / bnta

Na przedwiośni ludzie bywają rozczarzeni. Jeżeli nadmiar los wymie-
rzy bolesne uderzenie bardzo niemili.

Cios, jak większość tragicznych przeżyć w życiu człowieka, przyszedł na
chocimską nocą. załomotał natarczywie w drzwi, kazał domownikom zebrać się
w jednym pokoju, przeszerpał każdy zakamarek, a w końcu na ulizę, nieokres-
iony okres zabrał ukochane dziecko. Jak ukochane - to oczywiście Jurka.

po wyprowadzeniu jedynaka trwałismy w oszołomieniu. Pierwsi oprzytomieli
rodzice i nie zwlekając ruszyli ratować syna.

- Dowiedzieć się przynajmniej, za co. - oświadczyła mama.

po skrzyknięciu furtki spytałem siostry aresztowanego.

- Co o tym sądzisz?

- Dopoty dzban wodę nosi dopoki mu się ucho nie urwie. Zdaje mi się, że
przerzucił się na narkotyki. taki musiał być koniec.

- Starzy wiedzieli czym handluje?

- Bodaj, że wiedzieli. A jak nie to się domyślali, tak jak i ja się domy-
lam. kto wie czy matka nie maczała w tym pałcu. ma taką przyjacielkę na riw-
nej - sucha, żółta, sama poźre wagon morfiny. szkoda Jurka! zawsze to olat..

- Tylko nie płacz.

spojrzała na mnie z podoba. potem zrzuciła z siebie sziafrok. naga wtu-
liła się w moje ramiona.

- Gdyby cię wzięli płakałabym napewno. dobrze, że nie dałeś się wplą-
tać.

Przygarnąłem ją mocno do piersi.

- Nie tracmy czasu. - szepnęła wskazując na posłanie.

Nie pozwoliła wygasic światła.

- Pó takich przejściach mamy przecież prawo do bezsenności. wypada abyś
mnie pocieszał.

rocieszałem. wtedy rodzice nad ranem powrocili - niestety bez syna - i ze-
liśmy przykłaćnie ~~kwazi~~ w swoich łóżkach. Dumalem sobie, że ~~nie~~ jednak wcale

nienajgorzej byłoby mieć własne mieszkanie. wtulony w poduszkę zbierałem z poszewki zapach rudych włosów. zwiłzałem sliną pogryzione wargi. Po tej ^{mocy} najprawdopodobniej ^{by} bym się ożenił, gdyby...

O właśnie to-gdyby!!..

Nie doszli tesciowie odsypiali zmitręzoną noc do poitania. Ja nie mogłem doczekać trzeciej. Na godzinę przed zakończeniem urzędowania tkwiłem w bramie na Mickiewicza. Wyszła z biura w otoczeniu kolegów. Ojrzawszy przebiegła jeźdźnią, złapała za kark i wycałowała.

Na obiad poszliśmy do "George'a"

- Dzisiaj ja płacę. - oświadczyłem.

- ~~Toż do kasy~~ Zostaw na papierosy. - odparła

- Na machorkę zawsze zarobię. Sądzisz, że nie zarobię?

Spojrzałem badawczo w jej oczy. Wyrazały powątpiewanie. Za dobrze je znałem, aby zdołały coś ukryć. Gdy przyszło do płacenia wsunęła mi w garść banknot.

- Ja płacę! - warknąłem przez zęby

- Teraz nie. Nie dzisiaj. Nie chcę takiej zapłaty. Jutro, dobrze?..

- To pojedziemy wieczorem do "Zacisza".

- Zgoda, jednak przed tem zajrzymy na rłwną.

- Po co? do kogo?..

- Do tej kiepsydry o której ci wspominałem. Ta maskara chyba wie co Jurkowi grozi. Prosił o to starzy. Ostatecznie cniopakowi coś się należy za naszą noc.

Pani Sabina wdowa po prokuratorze mieszkała na drugim piętrze dużej, czynszowej kamienicy. Wiedzącą urodę podtrzymwała rozpaczliwie za zwiększonymi pokładami pudru i szminek. Wyszczерzyła do nas zofte od nikoty zęby. W pokoju, do którego nas wprowadziła zanosiło słęnkiznxxx starzyzną. Osiadła na pluszowych kanapkach i fotelkach, w zagłębionych witrynkach i na wielkiej dębowej szafie.

- Jureczek potknął się. No coż zdarza się. - powlaziła tonąc w jednym z wysłużonych foteki - mamunia chyba roni łzy? nie potrzebnie. Zie-

go diabli nie biorą. wyjazie. rosiedzi i wyjazie.

- Nie orientuje się pani co mu zarzucają? - zaczęła noza.

Mama zmięła twarz w grymas, który miał oznaczać usmiech.

- Nie interesuje mnie los społecznych wyrzutków. Kto raz się spalił spłonął również w mojej pamięci. Zabawna jesteś dziewczynko. Gdybym nawet wiedziała to ci nie powiem.

- Mamie będzie bardzo przykro gdy powtórzę pani słowa - wtrąciła noza.

- Na głupie pytania otrzymujesz głupie odpowiedzi. Za co go mogli wsadzić? Przecież nie za cud nad Wisłą, nie za księża okorupkę.

- może za narkotyki?

- może?... nie wiem. żadnego wyznania ci nie uczynię oczywiście. Dobra sobie!.. przychodzi z obcym facetem i urządza mi sprawiedź wielkopańską. wyskakuje z narkotykami roztropny bobasek..

- Jednak narkotyki?!.. - podchwyciła noza.

Mama zwróciła się w moją stronę:

- W kogo to takie uposiedzone?

rottem dorzuciła srogo:

- A wogóle to gdzie diabeł cię tu przypędził?

- Mama mnie przysłała, prosiła..

- Baba w piętkę goni! - przerwała gospodyni - przysłała mówisz. Ale napewno nie z tym facetem!..

- To moj narzeczonny!..

przez żółtezęby przesączył się strumień powietrza.

- Narzeczonny!.. popatrz, ty popatrz!.. to już chyba ślomy, albo osmy jeśli pamięć nie zawodzi. Gratuluje pana.

nie wiedziałem jak zareagować. Uśmiechnąłem się czy uśmiech obrazonego. Na wszelki wypadek sciągnąłem orwi i wykrzywiłem głowę.

- Niczego się ode mnie ptaszyno nie dowiesz, bo nic konkretnego nie wiem. Człowiek nie jest święty, życie trzeba, czasem coś się sprzeda, czasem kupi, ale ze mną Jurasek nie robił interesów. Dwa trzy się nie liczą.

- Mimo to może pani słyszała w jaki sposób wpadł?

- Słyszec coś tam słyszałam. Wino to grajdołek, tu jeden drugiemu za koszulę zagląda. Podobno Jurasek... Ty! ~~ten~~ ten twój baosztylikant czy pewny gość, nie pusi farby?... przerwała.

Teraz obraziłem się nie na żarty. Noza również.

- No wie pani! - zawołała. - mieszka pod Jeanym dachem. Iraktujak jak
jem, go za członka rodziny.

- Jak członka, powiadasz, hm... ty chęca na, gązie, masz go za tego członka, co?... - zarechotała.

roderwałem się na nogi.

- Siadać pan! - szarpnęła mnie za rękaw - przysiadł was z misją to siedz na tyłku i słuchaj. Juraska podobna uobli na nandekku kokalnę. Upęziował jakimus szemranemu facetowi dwie butelki. Onofera wie czy facet nie był wystawiony na wacia, czy też mieli go na oku. Dosc ze wyspał gązie, od kogo i za ile.

- Straszne! - zawołała Noza. - Za narkotyki strasznie karają!

- Zdrowo. - zgodziła się dama - Ale niech żywi nie tracą nadzieji. Pociesz mamusię, nie ma co zawczasu szarpać piersi. Szkoda. Wyszła to wyszła, ale na riszoinach może jeszcze kogoś skusi. Za tyzieniem synus powinien być w domu. Ja ci to mówię.

- Dziękuję, dziękuję za dobre słowo. + mówiła Noza z taką wiarą jakby słyszała decyzję samego szefa N.A.W.D.

dotowałem się do wyjścia i jeszcze raz powstrzymała mnie sion gospodyni.

- Co pan taki w gorącej wodzie kąpany. zaraz podam herbatę. wypada czems podjąc przysziego zięcia najdrozsze, przyjacieliki. Lada chwila nadejdzie narol.

Ostatnie zdanie skierowane do Nozy poparia porozumiewawczym spojrzeniem. Gdy wyszła po czajnik mrugnęła pod nosem.

- Chydny baosztyi!..

- Jak one wszystkie. - rzuciła Noza

- To znaczy kto?

- Wszystkie wiedzące kobiety. Moja matka, jej przyjaciółki, znajome, rówieśnice. Złe, puste, przewrotne i jadowite. Nie masz pojęcia jak jadowite. Jak która nie ukąsi bliźniego traci sens życia. Siebie i innych zatruwają klimakterem.

- Przesadzasz. Nie wszystkie.

- W moim otoczeniu wszystkie.

- To co w nim tkwisz. Uciekaj!

- Niczego bardziej nie pragnę. - odparła sciskając mi dłoń
Stęchłe ciasteczka zapiliśmy herbacaną. Nagle w drzwiach stanął przystojny mężczyzna. wysoki postawny brunet z oczkami. Zawołał od progu.

- Kogo moje niegodne oczy oglądają, panna rozryczka!

- Pan narol J., a to narzeczony tejże panny. - rekomendowała gospodyni.

Ledwie raczyli podać mi dwa palce. Zrazu przysiadł do mojej towarzyski. Rieszczotliwie wyglądał jej dłoń. Oblesnie silżając się wzrokiem po jej biodrach i piersiach, słowem tam gdzie warto było się silżać paplał coś trzy po trzy. Do mojej świadomości dochodziły strzępy zdań. Nie słyszałem czym bawi mnie gospodyni. Wszystko giuszyła paplanina Gogusła i chichot noży. Ciemniało w oczach patrząc jak wzięczy się do przystojniaka i nie dość energicznie spycha jego łapę oscylującą wokół ~~mojej~~ uda.

Nie wytrzymałem. Powiedziłem oschle:

- Idziemy!..

- Roczekaj. mamy jeszcze kupę czasu. Dzieci narazie nam nie piaczą.

- odparła noża.

- Jak sobie cncesz. Ja idę!..

- Udzie znowu ^{as} pędzisz?

- Zamówię się u Rawłowiczów.

- Umówiles się ze mną do "Zacisza".

- Możliwe, ale się oamysliłem. Pójdę do Rawłowiczów.

Gospodynię i jej gościa wyraźnie dawiła rozmowa. Ona szczyrzyła złoty-
te zęby, on korzystając z zacietrzewienia dziewczyny bezkarnie gładził
jej ^{moją} ~~moją~~ zaczerwienioną po czubek głowy młotała we mnie wściekłe spojrze-
nia.

- więc nie idziesz do Zaczysza? - sycząca - nie idziesz?... dobrze, po-
żalujesz, popamiętasz, myślisz, że będę rozpaczac!..

- ja też nie.

- zatem nie idziesz?..

- może pojedę, ale nie z tobą. - odmruknęłam.

stanała do mnie plecami.

- dysponuje pan dziś wolnym wieczorem panie Karciu? - wycedziła prze-
zębny.

- Oczywiście. Dla pani panna rozryczko wszystkie wieczory mego życia.
nie tylko wieczory. Noce też...

Trzasnąłem drzwiami.

Zgodnie z zapowiedzią pojechałem do Rawkowiczów. Zatrzymali na noc,
~~uczestowali~~ kolacją, pan witalis wystawił karaikę - nic nie pomogło. O
dziesiątej znalazłem się przed "Zaczyszem".

ustawiłem się pod drzewem, tak żeby samemu będąc w cieniu mieć na
oku oświetlone latarnią wejście do lokalu. wchodziły kobiety, mężczyźni,
jacyś wojskowi, trochę krzykliwej, pochamrowanej młodzieży. wreszcie po
godzinnym wyczekiwaniu zobaczyłem znajomy kaptur, a obok czarną Jesionkę,
z pod której wyglądały wysokie lśniąco buty. "jeszcze jeden ołcerek" -
pomyślałem zgrzytając zębami. w tym momencie dokonał się ostateczny wyłom
w mojej sympatii do przedwojennego wojska polskiego.

czart wie poco stałem jeszcze poligodzinny? chyba poto, żeby zobaczyć
mających zębami na szybie sylwetkami tańczących oraznie samego siebie. w
każdej blisko, nieprzyzwolcie blisko splecionej parze dopatrzywałem się
znajomych kształtów. odhodząc przypomniałem sobie, że niedawno w tym sa-
mym ogrodzie spotkałem Tamarę. tym przypomnieniem osłodziłem sobie ~~ten~~ go-

ryczki. Złoty.

W domu wywracając się na sienniku ^{ja} zaradzałem ruczelnca z najpięk-
niejszą dziewczyną w łina. Kiedy nad ranem w przedsiłonku skrzyżnki, arz-
wi byłem wolny od uczucia zazdrości. Od zamiaru śżenku także. Rozglądałem
kobietami, poza jedną, która posiadała ciemne włosy, niebieskie oczy, snia-
dą cerę i długie, zgrabne nogi oraz tak bardzo lubiała ciastka i kawę ze
śmietaną.

8. I ślepej kurze..

/Witalis bajduś.. co znaczy potęga woli i pieczęć z godłem wielkiego mocarstwa oraz co zrobić, aby kobieta była dumna z tego czego nie chciała./

Rudzielca unikałem. Tak się urządzałem, aby wracać do domu tylko na noc. I to bardzo późno. Wieczory spędzałem na kalwaryjskiej. Zauważyłem że dostarczam rodzinie Rawłowiczów sporo satysfakcji. Cieszyli się mną jak kimś ocalonym.

Jednego wieczoru kiedy przeciągnąłem wizytę do granic przyzwolności mama Rawłowiczowa powiedziała z rozorującą szczerością.

- Właściwie to tyś mógł wrócić do nas. Przecież nie opuszczasz się ze-
nię z tym ryzym cudałem.

Ran Witalis zatrzepotał rękoma. Łonką przeraziła szczerość matki. Ja nic nie odpowiedziałem. Arzyrzekiem sobie i nocy, że jeśli nawet opuścić Chocimską nie będę korzystał z gościny w tym domu.

A z Chocimskiej wyprowadzić się należało jak najszybciej. Rodzice no-
żyk od momentu aresztowania syna stali się ochli, nieprzyjemni, uszczypliwi jakymś ponosił winę, że milicja Jurka a nie mnie posadziła za kratki

Zrozumiałem że teraz muszę zmobilizować całą w, siłkę woli i znaleźć zajęcie zapewniające dach nad głową. Marzyłem oczywiście o pracy umysłowej. Wie szukając już niczyjej protekcji koleđowałem codziennie od biura do biura, od instytucji do instytucji. Własny zyciorys znałem jak palcerz i bynajmniej nie zrażałem się niepowodzeniami. Zawziętem się.

Tu wręcz odmawiano, owdzie łuczono, gdzie indziej uzależniano zatrudnienie od wykazania się udokumentowanym wykształceniem. Na moją prośbę nadspodziewanie szybko przysłali mi z Poznania odpis matury.

Świadcstwo uwierzytelnione przez notariusza pieczęcią z nackenkre-
cem było w różnych urzędach różnie przyjmowane. Z czasem doświadczyłem, że jeśli staję przed Rosjaninem lepiej dokument trzymać w kieszeni; od-
wrotnie Litwin zazwyczaj atest dojrzałości oglądał z zainteresowaniem.
Tak jak studiował go główny księgowy w Powiatowym Zarządzie Uminnych Spół-
dzielni.

W owym czasie na tyle już opanowałem litewski, żeby wyczytać w "Tiesie" i zrozumieć, że gminne społeczeństwo spozycow poszukują buchalterów. Pojęcie o księgowości posiadałem dość mgliste, ale jako absolwent liceum handlowego napewno bardziej, nadawałem się na to stanowisko niż eks-szwolezer na kierownika biurowego.

Kandydatów przyjmował główny księgowy. Było nas kilkunastu, w różnych miejscach - w Wąsoszynie i w Szumsku. Zrazu zwracał się do nas po litewsku. Na szczęście nikt nie miał władzy na tyle, aby zrozumieć o co chodzi. Usiłowałem wyróżnić się przytakując i wymawiając głośno "tak", kiedy jednak zagadnął mnie bezpośrednio wydukałem niemrawo: "Aci grašau, aš tik biški suprantu lietuviškai, labai mažai.." Konkurenci i tyle nie potrzeba. Zdołem więc pewien handicap. Wzrost jeszcze bardziej, gdy nastąpił sprawdzian wiadomości rachmowych. Jeden jedyny wiedziałem co to debit, a co credit, że saldo to nie to samo co balo, a manco to także coś za co się siedzi. Moją sukces przypięczętował opis maturalnego świadectwa główny księgowy uderzył wierzchem dłoni po plecach niemieckiego notariatu i zgoła nieoczekiwanie powiedział po polsku:

- Proszę, nawet urzędowy papier posiada jak należy. Zaraz widac, że rachowiec. Co jak co, ale Niemcy pierwszemu lepszemu świadectwu nie wdają. Nie wyprowadzałem go z zbiegu, nie wspominałem, że to tylko opis świadectwa polskiej szkoły. Napewno zrobiłbym mu przykrość. Tymczasem poklepał mnie poufale po ramię i kazał przyjść za dwa dni.

- Będziecie pracować w Wąsoszynie. Pojutrze będzie tu przewodniczący spółdzielni to was zabierze.

Wąsoszyna w Szumsku została nie osadzona.

Ulicami Wilna leciałem jakby mi wmontowano propeler. Za Zielonym mostem poswistywałem, śmiałem się do siebie, podskakiwałem na jednej nodze. Cynba brano mnie za wariata. Npłem sobie z tego.

Do Rawłowiczów wpadłem jak bomba. Wiedziałem, że będą się cieszyć razem ze mną. Bardzo się cieszyli. Pan witalis brał w ramiona, przyciskała do obrętego biustu mama, skakały na szyję dzieciaki. Władek trochę z

żalem powtarzał, że i on koniecznie musi się rozejrzeć za czymś poważnym a Louka rzucała mi takie spojrzenia jakoby nagle objawił się uwieczony laurem bohatera.

swoją radość zapragnęłam przekazać również Rózy. rognąłem na uchodźską.

była sama. siedziała na tapczanie podpierając brodę na podkurczonych, kolianach. czytała jakąś książkę. rodniesła na mnie rozową, puciołową buzię.

- Już tak wczesnie wyrzucili czy cokolwiek i ten wytrudzi. rawnie wiczo-
wa opiała już ^{całe wstęgi} ~~czego się wzięło?~~

- Roza!.. - zawołałem nie zwracając uwagi na jej słowa. - Roza! Mam pracę! dostałem pracę! słyszysz..

- murarza, szklarza czy hycia?..

- prawdziwą, najprawdziwszą posadę. irzymaj się, nie spadnij! Jestem buchalterem.., główbuchem!

- gdzie? - krzyknęła spuszczaając nogi z tapczanu.

- w jaszunach, w spółdzielni spozycow!

- w jaszunach.. - powtórzyła i krótkotrwałe ozywienie znikło jej z twarzy.

- nie cieszysz się?

- nie..

- Dlaczego?

- nie cieszę i tyje!

- Ale dlaczego?

- Czegd tu się cieszyc? - mowila rozrazniona - ze wyjedziesz, ze nie będą cię mogła zobaczyc wtedy kiedy zecną, ze będą cię gził z jakąś wiejską lafiryną!..

- Wynagrodzisz sobie narókiem. - warknąłem - będą cię mogła co wieczor podrygiwać w "zaciszu".

- i teraz mogą. A ciebie muszą ^{mieć} przy sobie, rozumiesz! tu bok, za ścianą. Czuc, że jesteś, że spisz, że odychasz, że mogą każde chwili cosko-

czyc i wyrwac ci pęk kłaków. O tak!..

Zanim zdążyłem uchylić głowę wczepiła mi palce w czuprynę i szarpnęła. Syknąłem z bólu. Pchnąłem ją na tapczan. Cisnęła pantofliem, potem drugim, a potem zaczęła tłuc piętami, aż jęczały sprężyny.

- Camon, baiwan, cycus, oierma, ouci!.. Władzie się nie ruszysz! Tu będziesz siedział. Im!.. tu pod ręką, żeby było kogo grzmocic, dra-pac, na kogo plus, ciskac czem wiezie..

Tym razem uprzeczylem rzut wazonem. Zwalilem się na tapczan i cnc w ciało wpiła paznogie wywrocilem na brzuch. Siedząc okrakiem na pie-cach w zapamiętaniu, w kpasji młociem płęsciami gzie popadło. Przesta-ła się szamotać. Rojękiwała. Ja wciąż bliem i bkiem. Długo bliem.

Gdy przyszła do mego pokoju było już zupełnie ciemno. Przystąpiła na łóżku. Milczeliśmy. Bezwiednie dotykałem podrapanej szyji. Ona przysłaniała podpuchnięte oczy. ~~xxxxxxxxxxxxxxxx~~ Oczekiwałem, że teraz nastąpi co już dawno powinno nastąpić, że zakończymy naszą "dziwaczną mi-łość".

- Bardzo boli? - odczuwałem się aby przerwać uciążliwą ciszę.

- Nie wiem, może boli. - odparła cicho. - Wiem jedno, wiem, że cię kocham. może nie tak ^{jak} trzeba, po swojemu, ale mocno, bardzo mocno.. i nie chciałabym cię stracic..

- Przecież jeszcze mnie nie tracisz.

- Tracę. nie dlatego, że wyjeżdżasz do jakichś tam lasów. Tracę cię oddawna. od naszego pierwszego stosunku i za każdym następnym co-raz bardziej. zaczęło się w sypialni rodziców, potem u ciotek, potem..

Przerwała. wyciągnęłem rękę, ale nią odsunęła się.

- Ze mnie zwiłeś to course. Przynajmniej, przez pewien okres, pier-wszy, najtrudniejszy będę czuła, że byłeś mój. Potem albo od ciebie od-wyknę, albo znow zacznę walczyć. Ale wtedy już nie ustąpię nikomu. Ni-komu!.. pamiętaj nikomu!..

- Będę tu w każdej niedziele, może nawet częściej. Przecież lasów pod bokiem.

- Nie przyjeżdżaj. Narazie nie przyjeżdżaj. Nie potrzebujesz mi dawać zadośćuczynienia za ból. Przyjedziesz jak zatęsknisz. A teraz idź do Rawłowiczów. Czekają z kolacją. Im też należy się pozegnanie. Są dorozy dla ciebie, lepsi ode mnie.

Znow zamikliśmy. milczeliśmy długo, bardzo długo. Ująłem jej dłoń. Przyłożyłem do ust.

- Chodźmy stąd. - powiedziała - ten dom jest coraz gorszy. Tu ściany cuchną zgnilizną..

- Masz chęć na "zacisze"?

- Nie, pojedziemy na spacer.

Udy z Mickiewicza wprowadziłem ją w Dąbrowskiego szępnęła:

- Kochany...

Pierwszej klatki schodowej jeszcze nie oświetlono. Rod strych podchodziliśmy bardzo długo. Ale i w następnych już oświetlonych turlała się ~~zaczęła~~ mocno i pozwoliła sobie całować oczy. Z ostatniej w, chodzącym przeświadczony, że wszystko zaczyna się od nowa.

W domu czekała niespodzianka.

za stołem siedział Jurek i pustoszył zapasy domowej spiżarni. Powitał nas jakby wrócił z podmiejskiej wycieczki. Ostrą uszczypał w policzek, mnie targnął za rękę.

- zwolnili cię? - spytała Róża jakby jego obecność nie potwierdzała tego faktu:

- Czego mieli trzymać. Analiza wykazała, że handluje sodą, a za to jeszcze nie karzą. - wyjaśnił oczuwając kawałek chleba.

- To co było się narazac, matka ochodziła od zmyślow.

- Sądziś, że ja nie miałem cykorii? Kto mógł przypuszczać, że w butelkach soda. Chcieli mnie naduc żuliki. Opakowanie oryginalne, Bayerowskie, a środkiem natron. Wiech bozia wynagrodzi złodziejom. Cała strata trochę twarogiem. Czekuję się, głupstwo!

- Dałbys już spokój!

- Uważasz, że lepiej śnieg zmiatać z ulicy? - rzucił spoglądając lekceważącą w moją stronę.

- On od jutra obejmuje posadę głównego księgowego! - oświadczyła z dumą, która nawet mnie wycała ~~moją~~ przesadą.

Jerzy gwizdnął przeciąganie.

Czesc pięta

Żeby pod komunizmem.

1. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.	193	132
2. Szklane oczy wilka.	205	146
3. Cena niewiary.	212	151
4. Veto towarzysza prezesa.	216	154
5. Dodatnie saldo miłości.	221	154
6. Storno dodatniego salda.	227	162
7. Pożytek z Archimedasa ^{ritagorasa}	234	163
8. I taka prowadziła droga..	240	171

1. właściwy człowiek na właściwym miejscu. ^{pożyczki} ^{jednak}
/baj..baj..baju.. trudne są wszystkiego, ~~nie~~ byle nie upadać na duchu
i warsztat pracy można oczyścić z rolników, skarpetek i głów prezesa/

Ponad dwadzieścia kilometrów dzielilo Jaszun od wsi. Ni to wies
ni miasteczko leżały przy szosie na ląd. Dwie ulice łąkujące się
do siebie prostopadle - to wszystko. Na dobrą sprawę to nawet nie dwie,
a jedna, bo trudno nazwać ulicą wspomnianą szosę, przy której stało za-
lewie kilka budynków. Tu jednak koncentrował się handel i tu właśnie
było moje pole działania. Stąd w odległości trzech kilometrów, przy sta-
cji kolejowej urzędowała gromadzka rada, instancja partyjna, milicja, a
oraz skupiała się spora część mieszkańców osady.

Do mego przyjeżdżał upieczniono dwa sklepy:- spożywczy i manufak-
tury prowadzący również galanterię, obuwie i skóry. Poza tym egzystowa-
ła jeszcze żydowska piekarnia, a przy stacji gospoda, które wkrótce row-
niez miały ulec nacjonalizacji. Pozostałe placówki gminnej spółdziel-
ni znajdowały w większych okolicznych wioskach.

Do Jaszun jechałem w towarzystwie prezesa spółdzielni.

- Cholera weźmie ten cały kram. - narzekał w drodze. - Potrzebne
mi to jak wrzód na dupie. Partia wyznaczała i wybrały ~~nowe~~ duraki. Li-
czę na was kolego, bo te parchy i litwiny doprowadzą mnie, psakrew, do
kryminału.

Przyrzekłem nigdy do tego nie dopuścić.

Prosto z dworca prezes Sucko zaprowadził mnie do komitetu.
Sekretarz lub inaczey partorg odczytał mi o doniosłej i odpowiedzial-
nej roli głównego księgowego.

- Razem z przewodniczącym odpowiadać przed partią za cały od-
cinek pracy. Handel w ustroju socjalistycznym to nie tylko instrument
gospodarczy, ale i polityczny. Przez handel zaspakajamy ludzkie potrze-
kształtujemy byt, a byt określa świadomość. Pracujecie zatem uczciwie i
bacznie spoglądajcie na łapy, bo niektórzy obywatele nazbyt dokuczanie
czują się właścicielami społecznego dobra. - zakończył.

Z komitetu trafiliśmy do gospody. Ponieważ niebawem miała prze-

sc pod nasz zarząd wypadalo dokonac ilustracji.

Odrazu zorientowalem sie, ze ta placowka przysporzy nam nie mały obrot. Wszystkie stoliki byly zajęte. spora gromada chlopów tłoczyła się przed barstem, za którym królowa dobrze zbudowana dziewczyna. szczególnie, podziw budził jej biust, przerastający rozmiarém dwa duże kufle piwa.

- Przyszla kierowniczką. - rekomendowal piezes - a to miashnie jest nasz glawouch. będzien razem współpracowac.

Uśmiecanęła się całą gębą. romyslałem sobie, ze Róża niepokoiła się nie bez przyczyny. Radobym odrazu nawlęzao współpracę, lecz Bucko odciągnął do stolika, przy którym juz siedział barczysty, łysawy mężczyzna.

- A to nasz kierownik sklepa.

- Dasys. - przedstawił się pyzate chlopisko wyciągając wischnatą rękę. - no tak sobie chyba i kropniem na znakomstwo.

kropnęliśmy nie licho. od stacji do wioski maszerowaliśmy podtrzymując się pod ramiona. Polak, białorusin i litwin zgocnym chórem wyciągali rogyjskie czastuszki. Po wyjściu z lasu piezes zarządził ciszę.

- Tera ani mru, mru.. stara się obudzi i będzie bleda.

przed swoją chałupą sciągnął buty i od furtki szedł w skarpetach. Zafirasowany własną niejasną przyszłością zapomniat o losie nowego pracownika zostawił go poprostu bez cachu nad głową. wolens volens powlokłem się za kierownikiem obejrzec spojwoczy sklep.

Obudzilem się naza jutrz nie zdując sobie spraw, gdzie się znajduję. spoczywalem na zelaznym łozku w ponurej, zasmiecone, izbie. dotkniw, bol głowy przypominal co nie co dzieje wczorajszego dnia. przy łozku stail stolik, a na nim między pustymi butelkami, okruchy chleba, kawalki nie dogryzionej słoniny, jakies urzędowe papiery i moje skarpety. przez scianę dochodził gwar i szum.

siedzialem na posianiu nie wiedząc co dalej począc. ani się ogzle umyc, ani doprowadzic do porządku ubranie. uczuwalem niesamowite pragnienie. w koncu wyłaziem w gaciach i niesmiało odchyliłem drzwi. w sąsiednim pomieszczeniu znajdowala się duża ława, stail z nienebiowanycn desek

- jakieś pudzki, banki, skrzynie, kartony i worki. Domysliłem się, że oglądam magazynowe zaplecze sklepu. Na ławie stała woda. Przykucnąłem i jak spragniona szkapa chleptałem nie odrywając ust od wlaóra.

- rali co?.. - usłyszałem za sobą - najlepiej kilka. zaraz się coś wykombinuje.

wbijakem się gorączkowo w spódnie, kładąc szukałem po kątach trzewików, lecz mimo wszystko kierownik był szybszy. przytaczał pokazną butelkę. bezskutecznie tłumaczyłem, że musimy przystąpić do pracy, zapoznać się z zakresem obowiązków.

- Na wszystko będzie czas. Praca nie zajac! - oświadczył

- Zresztą z kim chceś gadać? - dodał przecinając na ty - Bueko będzie do gadania dopiero na wieczór. Teraz siedzi na pokucie. Łabę ma bojką, jak trzeba to i koczerką zahaczy.

- Pojdę do biura. Przejrzę dokumenty, zapoznam się ze strukturą społeczności.

w miarę moich słów kierownik coraz szerzej rozszalał usta.

- gdzie?.. z czym?.. - zawołał zuziwiony. - tu twoje biuro, tu biurko, a tu wszystkie papiery..

okazywał kolejno: pokój w którym spałem, stół na którym do niedawna spoczywały moje skarpety, a mówiąc o dokumentach czubek buta wsunął pod łóżko. skłoniłem głowę. cementową posadzkę pokrywała sterta papierów. wśród bloczków, kwitariuszy, leżały porozrywane segregatory, jakieś teczki, parę zatłuszczonych kartotek. nim ochłonąłem z wrażenia dorodna brunetka wniosła chleb, ogorki i kiełbasę.

- Tu Iruska stawiają! - rzeki basys jednym ruchem ręki zmlatając ze stołu pozostałości wczorajszej iluacji.

- nerbatę będą pic? - spytała ~~niezadowolona~~.

- Coś ty Irka, odureła! Czaj nie wodka mocno nie wypijosz. A pan ochotter odczuwa porządne pragnienie.

dziewczę pisnęło z uciechy.

- Chleba mozesz jeszcze dorzucic. Bez chleba nijak zakaszywas. Nie ziewaj! Migiem!..

Zachęciwszy pracownicę do pospiesznu poklepaniem wcale nie znikomej części ciała wyszarpał z pod łózka jakiś większy arkusz papieru i pokrwił na nim kiełbasę. Jeden plasterek nabitý na czubek noże podsunął sobie po nos.

- Żuguże!.. - zaklął po litewsku - karasinom wanlaget. Sto razy mówię, żeby nie kłaść kiełbasy koro naity. Ale to wszystko jedno jak do słupa..

węchał, parsknął, gniewał się, lecz tylko do powrotu ramionnicę.

- Baj ryjek i zmakaj! Nie mieszaj wojowac. - rozkazał.

ponieważ personel zwiekał z wykonaniem polecenia, wrocili go na łózko i ^{wy}cmokał. ~~cmokał~~ głośno i długo, gąz buzia dziewczyn, oznaczala się pokazną powierzcnością. Pochłosta się z posiania czerwona jak świka. Obrzuciła mnie piorunującym spojrzeniem, jakojm to ja podrapał ją niegodną brocą.

- Krasawica!.. - miaskał kierownik gąz wyszła.

potem rownie smakowicie miaskał zując czosnkową kiełbasę, pomimo że śmierdziała naitą. Ucztowaliśmy do południa. Na przerwę obiadową przeszliśmy do sklepu, gdzie zapoznał mnie z pozostałym personelem.

Oprocz irenki po sklepie krzątała się przysadzista marysia i młody przystojny Abram. Stwierdziłem, że panuje tu atmosfera bezmała rodzinna. Wszyscy czuli się jak u siebie w domu. Nikt nie opuszczał miejsca pracy posilając się w sklepie. Crodziwy zydek wypili na surowo z dziesiętek jaj, marysia gustowała w serach, a pupiika kierownika ~~zjadał~~ wzbogacała organizm w węglowodany zapychając szerokie usta garściami cukru w kostkach. Moja osoba nikogo nie krępowala. Można powiedziec, że potraktowano mnie jak starego znajomego. Abram ustąpił trochę miejsca na worku. Roczęstował papierosem. Dawił rozmowę. Obie sprzedawczynie baraszkowały z szelem. Gdy jedną zoyt długo dociekał do sciany, druga okładala go kułakami po plecach. Baruzie, ostro brnął się do irenki,

nie przeto więcej obrywał od Marysi. w pewnej chwili Abram poczynił się do mego ucha.

- sami widzicie towarzyszu co tu za barak. Leży jedna drugiej nie pilnowała rybaków je na ładzie. Nie mogę na to patrzeć, jestem komсомо-
cem. Musimy z tym skończyć. Z tym pozeraniem kaziennych produktów też.
Wzuciłem okiem na zgarnięte do kąta skorupy jajek i przecznałem mu
rację.

ktos energicznie zakłopotał w drzwi.

- Abram wpuść, to Baranaukska. - poleciał kierownika.

- Jeszcze jedna moczymorda. - mruknął chłopak i poszedł spuszczać
zasuwę.

wkroczył mężczyzna o czerstwym obliczu, ze siomianym wąsikiem pod
nosem. konfidencjonalnie pozarował towarzystwo i położył na ładę bank-
not.

- baterię i ogorek! -

Maryśka painęła szerą w potylicę.

- Rodak ma życzenie! - oznajmiła.

Uknieił się od obulitego biustu, a irka pokazała przyjaciółce język
ostawił w rzędzie pięć cwiartek.

- To technik drogowy. - informował mnie Abram. - zaraz pokazę co
umie. Car pijusów. Największa oliwa na całej Litwie.

Technik uderzeniem w dno wyolił korek z butelki, wprowadził płyn
w wirowy ruch i nie poruszając grzyką wiał w garało. Rodobnie postąpił
z następną, potem z trzecią, czwartą i piątą cwiartką. Cótariwszy wás
huknął basem.

- Ogorek miał być niepokryta jajowko!

Maryśka dobyła ze słoja ogorek.

- Łapami chwytasz srajoo. Ty...

Tu zaczęły się piątrzy przekleństwa. Kwały potokiem ruskie, pol-
skie, litewskie, płynęły pojedynczo i ciekawym zestawieniu, całe włązał
ki, wciąż nowe, nigdy nie powtarzane dwukrotnie.

- Potrafił tak kilka minut. - objaśniał Abram.

Zasługiwał na wiarę. To co słyszałem było godne podziwu. Kłetyżko dla soczystości i nieskazitelnej recytacji, ale również dla bogatej wiedzy. Umiał wymieszać w zawieszanie pomysłowych słów wszystko - znikąd świat transcendentny i realny, ducha i ciało, faunę i florę, świętych pańskich i mety społeczne, perskiego szacna, trędowatego i zebraka, czarownicę natarzynę i nasputina. Z szczególną lubością przymierzał genitalia do pozostałych części ludzkiego ciała. Zakonczył w odczujstym języku.

- Sibiś ne pierogás!.. todel dar vlena buteluku.

- Dla przepłukania gardła - wyjaśnił na mój użytek.

Było to ostatnie zrozumiałe słowo, które ^{to} onia padło z jego ~~ust~~ ^{ust.} ro tej chwiltce już bełkotał. Nie na nogach trzymał się mężnie. Do wieczora skrupulatnie „doglądał” rodu.

Pod wieczór zjawił się prezes. miał guza na czole i lekko posinieloną powiekę. Po zatem niezaraadzał żadnym niezwykłym stanom. Przeciwnie promieniał radością. Nie przejął się utyskiwaniami na warunki pracy, a gdy zrozpaczony referowałem w jakim stanie znalazłem dokumentację godawał otuchy kłepiąc poufale po łopacie.

- Dacie sobie radę. Pomozemy wam. Od jutra z kopysta, do roboty! O siódmiej tu jestem.

Przyszedł punktualnie. wyciągnęliśmy z pod rozka stos papieroś. zaczęliśmy układać: osobno faktury, osobno asygnaty, kwity magazynowe, raporty. ^{wszystkie} Zasiadałem stolik, kłóczyłem życie, całe postranie. Backo ciapał się w potylicę, sapał i na każdą wątpliwość odpowiadał zairasowany:

- udlózcie na bok. Dasys będzie wiedział co to za gówno.

Wano panował w sklepie wzmożony ruch więc narazie nie mogłem skorzystać z informacji kierownika. Zarządził koło uziębłej. W międzyczasie prezes ułożył coś nie coś w chronologicznym porządku. Uderzał zapewne brak dowodów na wpłacone udziały. Siłecznie rozmawiałem, że udziałowość wypada rozpocząć od rejestracji członków i ustalenia kapitału zakł.

dowego spółdzielni. Lucko co prawda zapewniał, że Dasys będzie wiedział, bo zbierał wkłady, ale kierownik niestety rozłożył ręce.

- Wpłacali... kto mówi, że nie. Dużo było takich co płacilo. rze-
niąże kładłem do kasy.

- A dowody wpłaty, p^okwitowania? - nalegałem

- Każdy jeden ~~masz~~ dostawał kwit.

- To muszą być kopie.

- Co takiego?

- No kopie. Przecież pisał pan napewno przez kaskę.

- Nikt ~~mi~~ nie mówił, żeby pisać przez kaskę.

Zagryziłem paznogie. Chciało mi się wyc. zrezygnowany upadłem na
krzesło.

- Pora na śniadanie, - powiedział Dasys widząc moje przygnębienie.

- O właśnie! - ucieszył się prezes - najlepiej zjeść śniadanie.

Nie zdołałem przeciwdziałać. Kierownik zdecydowanym ruchem zgarnął
na podłogę dokumenty, a na opróżnione miejsce postawił wyciągniętą z kie-
szeni butelkę.

- Co pan wyrabia! - zachnętem się - mieliśmy pracować. Nie p^oza potę
tu mnie przysłano, żeby złopać wódkę.

- Co wy Dasys! Z samego rana z wódką. Roboty do cholery, a on le-
zie z butelką.. - strofował prezes.

- Jeden, dwa kieliszki jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

- Jeden, dwa nie.. - zgodził się prezes.

- Na zakąskę mam rolmopsy. Wczoraj przysłali. Świeże..

- W occie?..

- Jakżeby!

- Z ogorkiem?

- Rozumie się!

- No to dawaj bracie! Już dawno nie było rolmopsów. Tylko płoranem
bo robotę czeka.

Uparłem się. Nie zasiadałem do stołu, na którym w między czasie wyrósł słoń ślezi.

- Wycniłyśmy po kropelce, a potem rozgryzę się za kasetem, gdzie zapisywałem udziały. musi co się zadziało gdzieś w sklepie.

- Najpierw niech pan odszuka, a potem kieliszek możemy wypić.

Przynosił poplamiony zeszyt. ~~xxxxxx~~ zawierał jakies nazwiska, adresy i powpłacane kwoty. Nie był to dokument księgowy, ale zawsze coś. Wycniłem kieliszek. Śleź okazał się wyborny. ~~rozdawał~~ apetyt. Nic dziwnego, że śniadanie przeciągnęło się do południa.

Podobnie jak wczoraj w przerwie obiadowej, wdepnął technik drogowy, Abram pił jajka, a Marysia odciągała kierownika od tłustej arenki. Firminkas bućko chrapał na urzędowych papierach rozestianych na łozku.

Nazajutrz około południa zjawił się mocno podenerwowany.

- Kartorg wzywa. Co mu powiemy?

Byłem zdecydowany powiedzieć wszystko. Włęczę - postanowiłem złożyć rezygnację. Przejycia ~~xxxx~~ ani utwierdziło mnie w przekonaniu, że nawet jeśli przy pomocy sił naturalnych i nadprzyrodzonych wyprowadzę rachunkowość spółdzielni, to wątroba i nerki wysiądą napewno.

Utyskiwałem przed polityczną głową gminy jak żydowska lamentnica. Słuchał przytakując ze zrozumieniem głową. Po złożeniu rezygnacji powiedział spokojnie:

- Socjalizmu na rozach się nie buduje. Socjalizm buduje się ~~xxx~~ przez ludzi i dla ludzi - a ludzie to nie anioły. Bałagan mówicie. Każda przeprowadzka stwarza bałagan. A my tu towarzyszu cały naród chcemy przeprowadzić z kapitalistycznych ruder do jasnych domów socjalizmu. Potrzeba czasu i wiele cierpliwości, żeby nauczyć ludzi żyć po nowemu. Głowa do góry! Pomóżemy wam. Przychodźcie z każdą trudnością, z wszystkimi kłopotami. Potrzeba to tu jestem, aby wam pomoc. Nie możecie sobie dać rady z uporządkowaniem starego śmiecia, dawajcie zacząłemy od początku, tak jakby od dziś zaczęła działać Jaszunska Spółdzielnia Spółzycow. Co byście proponowali na początek?..

- Inwenturę. W każdym sklepie by trzeba przeprowadzić remanent.

- Ot i mądre słowo! Towarzyszu bucko przez trzy dni dokonacie spisu z natury?

- Kąki wszystek towar?.. nie da rady. - odparł prezes skrobiąc się w głowę - bo to trzeba w Jaszunach dwa sklepy - spożywczy i manufakturę - w Rudnikach jeden, w Sołecznicach jeden, w Garbach jeden, i chyba jeszcze gospodę tu przy stacji..

- Co tam nie dacie rady! Musicie. - przerwał partora - Zagonicie do roboty cały aktyw, każdego kto umie pisać i liczyć. W poniedziałek zameldujecie o dokonaniu spisu!..

- Jak musi, tak musi.. - dąknął bucko i desperacko zsunął czapkę na czoło.

Po wyjściu mruczał coś pod nosem, marszczył czoło. nie dał się namowić do gospody na kolację.

- Trzeba odskoczyć poł wsi. - tłumaczył - myślicie, że łatwo będzie znaleźć kogo do roboty. Diabli nadali urząd, psiakrew!..

Roszedłem sam. buletowa witała mnie jak dobrego znajomego. bez ceregieli naląła dwa kieliszki.

- Za pomysłność!.. - powiedziała trącając mój kieliszek - będzie pan chyba częstym gościem. można się u nas stołować.

- Trochę daleko. - odparłem

- Nie przeczę. Ale spacerek po pracy dobrze panu zrobi. Zawsze tu weselej jak tam na dole, we wiosce.

Na potwierzenie jej słów jeden z gości huknął drugiego w głowę. Spotwarzony pochwylił kufel i piwem bryznął w ślepią napastnika. Doskoczyła do stolika.

- Uważaj chociaż jeden z drugim! - krzychała - Za łoy to nie tu! Tu jak w kościele, spokój, porządek - do cholery!.. Nie umiecie się zachowywać śmierdziele- to won!..

- Już będziem grzeczne panie broniu, jak baranki, ani, ani.. - zapewniał obłany piwem.

- Pamiętaj, jeszcze jedna awantura i wylecicie na morzę. Noga wasza tu nie stanie!

- Tak da panna Bronia jeszcze po jednym na zgodę i będziem jak ^{owczaki} ~~zary~~.
Spełnili obietnicę. Pili ośliniając sobie policzki.

Na stojąco zjadłem przy bufecie bułkę, zapiliem herbatą i już zbierałem się do wyjścia, gdy w drzwiach stanął stach. Jak zwykle w długich butach, gabardynowej kurtce i w spodniach z lejami. Ścisnął mi energicznie dłoń i pociągnął do stolika.

Jego obecność wybitnie zbulwersowała bufetową. Dla innych gości od-
tąd nie istniała. Sami donosili sobie jadło i napoje. Do nas podbiegła
truchtem. Wytarła stoł, postawiła doniczkę z pelargonią.

- ~~ZARIEK~~ Zabierz królowo to kwiecie, a przyhołuj coś konkretnego.
- powieziś.

- Półlitra?..

- Może być.

- Na zaaaskę jajka, serek, rybkę na zimno, czy Klebosaę?

- Gównol!.. Pilszczyki ciągną pod manufakturę.

Pracował przy wyrębie lasu i tego dnia dostał tygodniówkę. Gawędzi-
liśmy dość długo. Nie zwracaliśmy ~~zwracaliśmy~~ zupełnie uwagi na gości, ani
na pannę Bronkę, która od bufetu do naszego stolika posyłała uśmiech za
uśmiechem. Nadspodziewanie żywo interesowa^ł ~~ł~~ ^ł tym co robię, co myślę, ja-
kie mam plany na przyszłość. Nie miałem co ukrywać i nie ukrywałem.
Trochę certoliliśmy się przy regulowaniu rachunku, ale stach jeszcze
nikt nie przełamał. Nawet bufetowa swoim biustem i łykami oraz obiet-
nicą opóźnienia gospody, żeby móc świadczyć usługi tylko nam. Odpro-
wadził mnie pod sam las.

- Wdepnij pan kiedy do mnie. Wkażdą niedzielę waruje w swojej bu-
dzie. Unciałbym jeszcze z panem pogadać. - powiedział na pożegnanie.

Przyrzekłem nie spodziewając się, że stanie się to tak szybko.
Narazie obowiązki służbowe zaosorbowały mnie bez reszty.

Do inwentaryzacji sukno zwerbował co bardziej piśmiennych chłopków. Miałem do nich mowę o doniosłości tego urzędowego aktu, porozdzielałem arkusze i bez wiary w powodzenie zyczyłem owocnej pracy. Siebie wyznaczyłem ²¹ głównym komisarzem.

Nazajutrz o świcie pojechałem do Rudnik. wioska leżała w sercu puszczy. Droga prowadziła przez las przysypany śniegiem. skrzyplai pod płozami. było cicho i mroźnie. Dwuch członków komisji arzeiała w słońcu.

Kramik w Rudnikach ^{z przykryciem} prowadził szpaanowaty litwin, niegdys nauczyciel, któ- temu ~~zadaniem~~ ^{razjaśniać} sam razjaśniać umysły wiejskich wisusow. Do pomocy przybrał sobie dawną uczennicę, nieurzycką, rosłą dziewczynę.

Na ogólnemu zadowoleniu wziąłem na siebie ciężar notowania tego, co członkowie komisji policzyli, zmierzyl lub wyważyli. Pod wieczór mogliśmy wracać do domu. Ale nie wrociliśmy. Dziewczyna przykryła ładę pakunkowym ^z papierem sprawiając przyjemne wrażenie, że to "czym może nie pogarzą" a więc: chleb, kiełbasa, słonina, ogorki i sałeterka surowych jajek- ~~xxxx~~ ~~xxxx~~ ~~xxxx~~ ~~xxxx~~ ~~xxxx~~ - spoczywa na obrusie. wraz z ubytkiem płynu w litrowej butelce rosł nastroj wylewnej serdeczności. komisja cmokała i brała w ramiona kierownika, wyrażając radość ze spotkania "choć jaź jednego porządnego litwina". Ja radowałem się widokiem ładnej sprzedawczynie, pomimo że nie odstępowala dawnego wychowawcy. O północy siadaliśmy do sanek. W tece wioziłem zapisane arkusze, pierwszy widomy dowod swojej pracy na trudnym i odpowiedzialnym stanowisku głównego księgowego.

W jaszunskich sklepach inwentura trwała jeszcze dwa dni. Zwłaszcza sporo kłopotu było w manufakturze. ~~przez~~ ^{wymierzenie} wymierzenie kilkadziesiątu bell sukna, barchanow i kretonu, przeliczenie paruset par butow, wyważenie / skory i przędzy wełnianej, spisane bezliku guzikow, spinek, taslemek, ~~xxx~~ kłamek i innych galanteryjnych drobiazgow ^{wymiarowo} ~~pochnięto~~ wacie zmuone, prac. Starozakonny kierownik, a niegdys właściciel, uwiłai się jak w ukropie. Trzeba było uważać do zdradzał skłonność "przez pomykę" pokazywać te same pary butow lub przyciskać nogą wagę, gdy leżała na niej skora. Raz po raz

odciągał mnie bok, aby przekonać, że cała nasza robota nie warta funta kłaków, że najlepiej gdyby podyktował wszystko ze swoich notatek. Moją odmowę przyjmował wzruszeniem ramion, wyrażając zdziwienie, że bardziej ufam półpiśmiennym cniopkowi niż pamięci doświadczonego kupca.

Po tygodniu wyceniłem arkusze, obliczoną wartość obciążyłem poszczególne ~~XXXXXX~~ placówki i rozpocząłem jaką taką ewidencję obrotu towarowego. Należało oczywiście jeszcze ~~XXXXXX~~ ustalić wynik działalności ^{minimally} ~~dotychczasowego~~ okresu, lecz ten trud byzia odkładałem na później. Narazie nikt mnie o to nie nagaonywał. Czasem kierownik manufaktury pytał nieśmiało: "czy pan księgowy już wyliczył na czym to właściwie człowiek siedzi." ^{He cybe :} ~~nie rozumiałem~~ ^{nie} ~~o jaku~~ na tym ~~zależało~~ ^{zależało} czybym obliczył usługi zapewne na dobre.

Dzień płynął za dniem. Naogół udawało mi się wykręcać od zakrapianych obrzicie posiłków. Jeżeli pijałem z kierownikiem Dasyssem to wieczorem, po pracy. Nadal urzędowałem na zapleczu sklepu. Raz w tygodniu wyjeżdżałem służbowo do Wilna, do centrali lub do banku z rozliczeniem. ~~W~~ w banku pospołu z prezesem Bucko składałem "srocze okazatelstwa". Było to coś w rodzaju weksli. Inspektor banku przypominał nieustannie, że w wypadku nie spłacenia w terminie kredytu prokurator jak nie wykroi pięć lat. Nic dziwnego, że pod koniec miesiąca ładowaliśmy na szarwarkowe iurmanki co droższe artykuły i odstawialiśmy do hurtowni. Magazynier bazy kłął, ale ^{na podstawie} rad nie rad pisał kwity, których inspektor w banku wyrównywał nasze konto. Z początkiem każdego miesiąca podpisywaliśmy nowe zobowiązania kredytowe i wysyłailiśmy nową kawałkadę wozów po te same artykuły. Podobne operacje handlowe bardzo irytowały kierownika Dasysa. ^{bowen} zamiast ~~zbożnie~~ spac lub pic ładował i wyładowywał wozy. W takim wypadku posilał się dopiero wśród nocy i wówczas nie było sposobu wykręcić się od kompanii ^{jego} iurmanów. Litwin gotowy był poprzetrzącać kości. Jeśli nawet wskoczyłem wcześniej, do rzeka, zrywał koc i w gaciach pędził do stołu.

2. Szklane oczy wilka

/Baj.. baj.. baj.. jak tętent konnicy podniósł na duchu rodaków, jak niespokojnie biło serce zazarośnika, a gotowość służenia ojczyźnie została wynagrodzona skórą wilka./

Tak jak prosiła, pomimo że w Wilnie bywałem często na Unocimską nie zaglądałem. Do rawłowiczów też raczej rzadko. Po załatwieniu urzędowych spraw, jeśli zbywało czasu lażłem zazwyczaj do kina. Filmy dawano przeważnie radzieckie, i to stare - "Cyrk", "Świat się śmieje", "Człowiek z karabinem" itp. Najczęściej z uwagi na bliskość dworca chodziliśmy do kina w pobliżu Ostrej Bramy. Na "Wielkim walcu" byłem trzy razy.

Tęskniłem, a spotkanie odwlekałem. Nie wiem dlaczego? Może jej temperament nawet jak na dwudziestolatka był zbyt żywiołowy.

pewnego dnia zamierzałem już iść na Śnipliszki i chyba bym poszedł gdyby nie film z Harrym Bauerem i Danielle Darrieux. Wyświetlano "Tarasa Bulbę". Obraz cieszył się ogromnym powodzeniem aczkolwiek nie odbiegał od przeciętnego kiczu. Rozaczyna w wyobraźni reżysera kojarzyła się z pastuchami dzikiego zachodu, a polska magnateria z klasą angielskich landlordów. Darrieux była landrynkowa i uduchowiona jak przystała na młodą lady, zaś Harry Bauer rubaźny, krzepki, we wiecznym rozchlestantej koszuli i szerokich szarawarach. Pewne wrażenia robiła scena śmierci Tarasa. Konał w stepie pod rosochatą wierzbą. Wołojcy otaczający wodza wyciągnęli rzewną dumkę. Ataman dobył resztki siły, dźwignął się na łokciach i krzyknął: "kozaki!". Odrzucili spisy, zeskoczyli z koni i na pustym stepie zaczęli się obłankancy taniec. Na twarzy Tarasa Bulby zastygł uśmiech zadowolenia. Scena nie wypadła zupełnie melodramatycznie dzięki grze Harry Bauera. Był szczery, bezpośredni i wzruszający.

A jednak najwyższy kunszt aktorski nie dostarczył tylu wzruszeń co szarża polskiego rycerstwa, sztandar z białym orłem i bojowy okrzyk: "Bij, za zabij!". Wąsaci widownia zapomniała, że wąsaci rębacze usiłują roznieść na szablach walczących za wolność, że w innym wymiarze czasu i przestrzeni rozgrywa się to samo co lat temu dwa nad buzurą czy na przedpolu Warszawy. Wyparowała gdzieś sympatia dla Tarasa i jego wołojców, poczucie sprawiedliwos-

ci, rozsądek. Wszystko przesłoniły łopoczące na wietrze sztandary. zerwały się oklaski, ktoś ryknął: "niech żyją!".

Nagle z jednej loży doleciał przeraźliwy gwizd. Sala na moment zamarła. Potem wszystkie głowy zwróciły się w stronę prosciana. wyrażano komus kufakami, obrzucano wyzwiskami, osądzano kogoś od czci i włary. Barażlej popędliwi ciskali pudełkami zapalek, poleciał jakiś klucz, ktoś rąbnął w kierunku loży butelką. Zapalono światła. W przejściu między rzędami pojawili się porządkowi i milicjanci. Publiczność jakby odmieniła. wszyscy przybrali najbardziej obojętne miny, Większość wpatrywała się w oświeczone ekranu. Tylko czerwone policzki mężczyzn i wilgotne zrenice kobiet świadczyły, że zubożenie nastąpiło po dużych emocjach. milicjanci wyprowadzili z sali jakichś trzech miokosów. Do wyjścia kroczyli z dumnie podniesionym czołem. Film puszczone dalej. Ale odąd ilekroć na ekranie pojawiła się konnica, przemierzała step tak chyzo, że konie i jeźdźcy zlewali się w jedną zamazaną ~~masę~~ ^{plamę}. Nie łatwo było rozstrzygnąć czy galopują zaporozcy czy lachy. Widownia tupiała.

W bramie kina mignęła mi znajoma sylwetka. Przepychałem się ^{jej} nie zgubić w tłumie. zanim jednak zdołałem dopaść ramię loży podtrzymywał jakiś mężczyzna. Przebiegłem jeźdźcą. Pod ścianami domów rwałem do przodu. Od Trockiej zawrociłem. Nie spiesząc, z udanym spokojem szedłem na spotkanie. Skłoniłem się arcywytwornie. Przystanęła, ale tylko na moment. Potem mocniej przyciskając się do nieznanego przeszedła mimo. Poczuję się bardzo nie swoje. Serce łomotało jak młot pneumatyczny.

Człapałem wlokąc nogę za nogą. W połowie niemieckiej poczułem na plecach dotyk ręki.

- Co się z tobą dzieje ładzio?.. - usłyszałem

Obrociłem się. W twarzy miała łagodny uśmiech.

- Nic szczególnego. Pracuję: - odparłem suchno.

- Zapomniałeś o mnie? Unikasz mnie..

- Prostu nie mam czasu. Teraz też zaraz wracam do lasun.

- Widziałam cię w kinie. Siedzieliś parę rzędów przede mną.

- Zdawało ci się.

- Nic mi się nie zdawało. Widziałam również jak olegies by nas wyprze-
azic.

- Masz wzrok sokoła!

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie - dlaczego mnie unikasz?

- Ty przecież sama ^{tego} ~~nie chciałaś~~ ~~nie chciałaś~~

- Ale nie chciałam, abys zrozumiał to dosłownie.

Zamilkłem. Ujęła mnie za ramię.

- Wejdźmy gdzieś na herbatę. Ja za tobą bardzo tęskniłam. Muszę ci o tym
powiedzieć..

- Nie mogę ci służyć. Za parę minut mam pociąg. Ale dołącz tamtego face-
ta. On chętnie posłucha.

- Tadeusz! - zawołała - to przecież jest..

Nie dowiedziałem się kto wyprowadzał ją z kina. Porzuciłem na chodniku
i pospiesznie ruszyłem na stację.

Jednak od Kozy nie uciekłem. Myślałem o rudej dziewczynie całą drogę.
Myślałem i przez następne dni. Ciągłe było przy mnie. wreszcie napisałem
list - przepraszający, czuły, błagający o łaskę ujrzenia "najcudowniejsze-
go" oblicza.

Po kilku dniach przyszła telegraficzna odpowiedź: "Przyjedź w niedzie-
lę. Czekam."

Musiałem jechać. I to z bagażem wzruszeń, zakłęb i barozie, lub mniej
szczęśliwych wyznaw. Ułowilem się nad podarkiem godnym uczcić dzień naszego
pojednania. Jak zwykle niczego nie mogłem wykombinować.

Dzień przed wyjazdem nawinął się stach. Zaciągnął do siebie. mieszkał
w drewnianym, ~~typowym~~ typowo letniskowym domu. Zajmował jeden pokój. Inne
świeciły pustkami. Schody na piętro doparł w żelaznym piecyku. Z braku
krzesła posadził mnie na łozku. Popiliśmy rozpuszczony we wrzątku miód.
Bez ogrodek przeszedł na ty.

- Co byś powiedział gdybym ci zaproponował współpracę? powiedział

- Przecież pracuję. - odparłem

zrobił grymas zniecierpliwienia.

- Współpracę, a nie pracę. Na urwala cię nie namawiam. Onę zeoyz przystąpił do organizacj,1.

- Nie bardzo rozumiem o co chodzi. -

udałem naiwniaka, zeoyz ocnił na z wrażenia.

- Nie strugaj wariata. Dobrze wiesz.

- Do konspiracji?..

- Do stowarzyszenia karmiących dziawic!.. - rzucił ze złością zapadło milczenie.

Stach cmił fajkę. ruszczał z płuc gęste kłęby dymu. Zależną piecyk rozpalil się do czerwoności. W pokoju pocieplalo. Ściągnąłem płaszcz.

- Jeszcze kipiętku? - przerwał milczenie.

- Starczy. Przeciw komu będziemy konspirować?

- Głupie pytanie.

- Niemcow tu nie ma, więc przeciw komu?.. przeciw Rosjanom, przeciw Litwonom?..

- Przeciw kazdemu kto nam nastąpi na odcisk.

- A jeśli to my im depczemy po nagniotkach?

- Czyś ty rozum wysrał!? kto kogo sadza na lukiszki, kto przesladuje sztubaków za guziki, kto wyrzuca z pracy, kto nie daje zyc, kto starego rawłowicza zapakował do mamra. mamy się dac byle swionopasowi. ~~xxxxxxx~~. swojā głowiznę niech zre w kownie!..

- Jakies tam prawa do Wilenszczyzny przeciez mają. - wróciłem - To ich dawna stolica.

- Takie samo jak my doberlina! tez był kiedys słowianski. Co tu duzo rozprawiac!.. przystajesz czy nie?.. Onlop jestes rowny dlatego ^{cał} ~~cał~~ zachaczyłem. u nas same morusy, kozaki..

- Co to za towarzystwo?

- Za dużo chcesz wiedzieć. ~~razem~~ rolnicy. miouzi, zdrowi na ciele i umyśle. Tacy jak ja. Irochę może mniej narwani. mówisz, że tu nie ma okupanta. A może ty bolszewik?..

- Co będziemy robić w tej organizacji?.. - zoyiem pytaniem jego pytanie.

- 68?..nm.. co będziemy robić?.. JAKTO CO!.. gromadzić broń, węszyc, trąpic rozmaite kanałię, jak się zdarzy usztywnić co lepszego urania. Ty byłbyś w Kontrwywiadzie. Przeważnie sklepy przewija się sporo iuda, mowi się o tym i owym, utrzymuj^{sz} kontakty w wojspoikomem, z litwinami, z zydami. Bycie nasłuchiwać można się dowiedzieć wiele ciekawych rzeczy. Co nas szczególnie interesuje dowiesz się od bezpośredniego przełożonego..

- To znaczy?..

- No więc krótko: tak czy nie?..

- Niech będzie.

Udsapnął. Do pieca dorzucił kilka polan.

- Jesteś wierzący? - spytał

- Nie..

Na ogorzałą, pociągłą twarz wysąpiło zakłopotanie.

- Z tobą to jest mordęga! - mruknął - Ale nasypali piasku, oob^o-dzie się bez świętego nam^uśczenia. Tylko bracie, z nami nie ma żartów. Słyszałeś o Przesmyckim?..

- Nie słyszałem.

- Zalewasz.. napewno słyszałeś! To ten, który niedawno na śledzt^u-drugiego wie zadusił sędziego i wyskoczył z piar^uszą piętą oknem. Roderwali na niego wojsko, milicję i czort wie jeszcze co. I drapnął! To nasz czio-wiek. Takich u nas więcej. Jesteśmy bezlitosni dla wrogów i dla zdraj-ców!..

Spojrzał na mnie groźnie. Zawsze podziwiałem jego brawurę i fantazję, teraz ~~wyona~~ ~~miu?~~ ~~smieszny~~.

- Więcej tu nie przychoz. To co mają wiedzieć, że nas coś łączy. I tak patrzą na mnie bykiem jako na właściciela ^{dozry} ~~winy~~. Złoz się do naczelnika poczty. On da ci konkretne zadanie. To narazie wszystko. Daj szuflę!

Ścisnął mi dłoń. Po uścisku nie mogłem rozprostować palcy. Właściwie nie mieliśmy sobie już nic do powiedzenia. Było coś rzec opanąłem bezmyślnie:

W zimę musi ~~to~~ być

- Zdziesz tu po spartansku. ~~Xianna~~ jak w psiarni. Rowinlenes coś wymienić na jakąś białą pierzynę. Onooby tego wilczura.

Okazałem podobitą zielonym suknem i rozwieszoną na ścianie skórę dużego basiora.

- To cholera! może jeszcze termoior do łozka?.. A tego szatana nie prehandluję nawet na wódkę. Jakaś pamiątka po baćku musi się zachować. Stary sam go kropnął. Zobacz co za futro, jakie kły. Okaz! Cnyoa przewodnik stada. Samiec!

- To skorze trudno określić. ~~asa~~.

- Ale tam!.. Nie wiesz jakiego czorta ma w oczach stary rozbojnik

- Przecież oczy są szklane. - wtrąciłem.

Nadał się. Wydał pogardliwie mięsistą wargę.

- Nie podoba się?.. - rzucił zaczepnie.

- Bardzo mi się podoba. Sam bym chciał mieć coś takiego.

Rozpogodził się. Napnął mnie po łopatce.

- Chciałbys, to bierz!.. - zawołał

- Daj spokoj stach! - zaprotestowałem

Bezskutecznie. Wskoczył na łozko i sciągnął ze ściany futro.

- Zwin sierścią do śrocka.

- Zostaw!..

- Zadnych srytus-titus! Bierz i kwita! Na pamiątkę dzisiejszej historii. Tu prędzej czy później rozniosą wszystko. Na muzyk pociąg na kapcie, lepiej niech ^{bez} ~~przechowa~~ u ciebie.

Wybrańnałem się, lecz mój sprzciw tylko potęgował jego upor. i ruma-

czyłem, że mieszkam w norze za sklepem, że nie mam gdzie złożyć wspomnianego prezentu.

- Złozysz u rawłowiczow. Po wojnie jak wrócisz do swoich wspomnisz sobie kresy i pomylenia, który jak ten wielki szczerzy zęby na wszystko - na ludzi, na świat, na wszystko...

- I miał szklane oczy. - wtrąciłem. ~~██████████~~

- Ze co?..

- Nic.

- No to szuraj! Albo wiaż pod łozko bo zaraz przynoczi bronka.

Poszedłem. nigdy już nie rozmawiałem ze stacnem, a wicziałem go jeszcze tylko raz. W okolicznościach, które nie rokowały rychłego spotkania. Dotąd go niespotkałem i nic o nim nie wiem.

3. Cena niewiary.

/Baj.. baj.. baj.. kobiecie niekiedy warto zaufać, zwłaszcza jeśli rodziców wyprawi do kina.,

Rodarek stacna rozouził pozękanie wielu osob. proponował kupno prezes bucko, kierownik dusys, jego dwie sprzedawczynie, ba nawet kom-somolec adbam. każdy pragnął chlubic się łowieckim troieum. iwardo od-mawiałem. godną posiadania była tylko cura starolitewskiego rodu ze-gotow.

Wilka przyjęła, lecz nie tak jak należało się spodziewac. jakiś czas wisiał nad jej tapczanem, potem ziozony przed łozem pana adama chronił jego bosc stopy podczas rannej gimnastyki.

nóza przyjęła mnie dość powściągliwie, choc tego dnia wystąpiła niezwykle elegancko. ofryzowała włosy, wylakierowała paznokcie, skro-się piło^{sę} obficie kwiatową wodą. rozwolila się pocałowac w policzek. potem wtulona w rog tapczana nie skąpiła widoku zgrabnych nog. przysiadłem na zydlu. prawie godzinę męczyliśmy się rozmową. udawała, ze interesuje się moją pracą, ja szypowałem w gorne rejony ducha wypowiadając ok-lepane komunały o sztuce, literaturze i filmie. Denerwowała mnie cedząc sztucznie dobierając słowa. kiedy przez lejek z uszmlinkowanych ust wy-puściła: "jak znajdujesz obraz z danielie, prawda, ze harry bauer był nie powtarzalny" - nie wytrzymałem.

- Z kim bylas wtedy w kinie?.. zawołałem

- gdzie? - spytała nalwnie

- W kinie! - wazknąłem.

- A.. w kinie. znajomy, bardzo uroczy czlowiek.

- Spotykasz się z nim!?!..

- Spotykam.

- Co to za bubek?

- Zaden bubek. Dowiedzialabys się gdybys wtedy wykazal więce, ^{takta} ~~czy~~ ~~by~~ ~~ci~~ ~~nie~~ ~~powiem~~. Teraz ci nie powiem.

Obciągała spodnicę, ale ta uparcie wracala ^{poza kolana.} ~~do~~ ~~pracy~~ ~~w~~ ~~kinie~~.
doskoczyłem. raice zacisnąłem na jej barkach. zaskowyczala z dolu.

- Powiedz.. powiedz.. powiedz!.. - syczałem.

Próbowała się uwolnić. Szamotała się. nogami spychała mnie na podłogę. Gdy to nie pomogło ugryzła w ramię. Zeskoczyłem.

Zanosila się od smiechu. roszedłem do okna. Zapaliłem papierosa. Na szybę puszczałem dym, jakbym chciał przesłonić swoje oblicze, które wydało się błazensko śmieszne. ręce mi dygotały. Nagle puszczone z tapczanu poduszka uderzyła mnie w głowę.

- możesz mnie pocałować. - usłyszałem

Ogłupiałem coczna.

Wstała. zarzuciła mi ręce na szyję. Wargami dotykała moich oczu, ust, włosów, ~~z~~ ~~na~~ ~~mojego~~ ~~czoła~~. Nie oddawałem pocałunków.

między drzwi wepchnęła się łysa głowa.

- Wychodziny z matką. - powiedział pan Adam pozdrawiając mnie skłoniem.

- My również. - oświadczyła noza

w sieni
Gdy skrzyknęły ~~wyxxixxxx~~ drzwi zapytałem:

- Chcesz wyjść? Teraz gdy zostaliśmy sami?

Uśmiechnęła się przekornie.

- Oczywiście. Muszę dbać o reputację. Nie dał boze naszedłoby nas Sławek.

- Jaki znowu Sławek? - wrzasnąłem

- Nie krzycz. Ten z kina.

- Przeszan się wygłupiac!

- Wcale się nie wygłupiam. Dobre wiesz, że u mnie takie sprawy idą dość szybko. Nie noszę ciężo załoby po poprzeczku. A już zupełnie nie leży mi rola opuszczonej. Był reżymaniuk, przed nim paru, potem ty, teraz jest Sławus.

Nie wiedziałem ~~się~~ rzucić się na nią, zdemolować pokój, czy trzasnąć za sobą drzwiami, żeby szyby poleciały z okien. Cnwiłowo zasiskałem pięści i przepuszczałem przez nozarza nierówny oddech.

rogiaskała mnie po głowie jak smarkacza.

- Włuptasie, to był mój brat.

Odrąciłem nerwowo jej dłoń.

- Czego się wściekasz? Czy nie wspominałam ci, że mam przyrodniego brata, z pierwszego małżeństwa matki. To był on.

- Biesz!!.. Mowiłaś, że jest w niewoli.

- Był, a teraz jest w więzieniu.

- Aha!.. Hitler puścił oficerka, żeby sobie z siostrunią poszedł do kina. Fantazji ci nie brak.

- Nikt go nie puścił, a poprostu uciekł.

- Bzdura!.. Ale dobrze:- mowiłem sciskając mocno jej przegubie - Jeszeli chcesz mnie jeszcze kiedykolwiek oglądać zaprowadzisz mnie zaraz, natychmiast do niego.

- I co mu powiemy? Jak cię mam przedstawić? - pytała patrząc mi w oczy.

- Jak ci się podoba! idziesz?..

Podszła do szafy. z wieszaka zdjęła płaszcz.

- Podaj kalosze. - powiedziała spokojnie.

Na ulicy owiał nas wiosenny podmuch. w przyzmacach, na chodniku tałaj brudny śnieg. korytem Wilgi płynęła kora. prawie ~~ze~~ nie rozmawialiśmy. Na zawałnej drodze kirchny natknęliśmy się na lonkę.

Łóżka powiedziała tonem wykluczającym jakiegokolwiek wąhanie.

- Wez mnie pod ramię!

Udała szliśmy przytuleni. coraz mocniej, coraz czulej, coraz serdeczniej. Nie dochodząc targowych hal bąknąłem.

- Nie pojedziemy do niego. to nie ma sensu. przepraszam cię.

- Ja wcale się nie gniewam. na ciebie trudno się gniewać. to przecież dobrze, że ci na mnie zależy. A jego faktycznie lepiej nie niepokoić. niech ochłonie po emocjach ucieczki. jeszcze go poznasz. może nawet udziesz mu mógł w czym pomóc. nie jest sam. uciekło ich trzech. potrzebuje dużo opieki..

Skłonny byłem wysciągnąć ją na oczach przeciwników.

- Całuję cię mocno, mocno, bardzo mocno.. - szeptałem

- Mogłbyś nie tylko całować zazdrosnika. - odparła z uśmiechem -
Ile wysiłku włożyłam, żeby właśnie dzisiaj wyprawić rodziców do kina!...
Przyrównałam "Tarasa" do najlepszych przedwojennych filmów. Ojciec schwy-
cił się na wzięki danieliki. Matka uwierzyła, że to coś w rodzaju "Ślu-
bow ułaskich". Widzisz-i wszystko na nic.

Wzięliśmy się bez celu. Szczęśliwi, radosni jak po pierwszym po-
całunku. Wszystko wokół nas zdawało się być bliskie, drogie i faune. Nie
widzieliśmy wiosennego błota, poczerwiałych bezlistnych drzew, posępnych
i szarych kamienic. Bez końca szeptałiśmy sobie do ucha czułości.raz po
raz zapuszczaliśmy się w najbardziej mroczne zakoki, gdzie mogłem wargami
dotykać jej chłodnych policzków.

Leowle złączyłem na ostatni pociąg. Przed wagonem korzystając z
praw ludzi zegnających się całowaliśmy się bardzo namiętnie. Kolejarz
opukujący osie uśmiechał się pod wąsem. Równie rzadko widać kobietę,
która by tak czule zęgniała mężczyznę wsiadającego do podmiejskiego pocią-
gu.

- Do środy! - zawołałem ze stopni wagonu

- Doże jak to długo!..

- Wieczność.. - westchnąłem tak ciężko jak parowoz, który zapełnił
peron kłębamii pary.

4. Veto towarzysza prezesa

/baj.. baj.. baju.. inspektor nie inspektor, a głos prezesa swoją wagę ma./

Z powiatowego zarządu przyjechał inspektor. Na pracowników spółdzielni padł strach. I mnie zaniepokoiła ta wizyta. Bądź co bądź urzędowałem drugi miesiąc, a efekty były żadne. Dasys po dawnemu pił na ~~urzędowym~~ służbowym stole, zaswiniał dokumenty kleibasą; sklepowe podkarmlały się na koszt spółdzielni; Abram obok działalności politycznej rozwijał swój organizm ^{optyczną siłą} ~~spazmami~~ ~~śmia~~, a prezes Sucko, dla celów reprezentacyjnych roział między siebie i furmanow niejedną ciwartkę. Kierownik manufaktury jak kradł tak kradł - może tylko nieco sprytniej. Anajpa przy stacji od momentu nacjonalizacji pracowała na deficycie. Co się działo w sołecznikach i w garbach niewiele miałem pojęcie. Solidnie i uczciwie nandlował ~~zaspawo~~ jeden sklep w Rudnikach.

Niepokój okazał się przedwczesny. Inspektor był wyrozumiałym człowiekiem. Po zatem przybył nie dla kontroli, a dla pomocy w zorganizowaniu pracy z prawdziwego zdarzenia. Nazywał się Jospe. Onuay, diady, piegowaty na nosie, miał nie dużo ponad czterdzieścia lat. Nosił prezentowe buty, zapinaną pod szyję czarną kurtkę i jasny kaszkiet. Wzorem ludzi radzieckich u boku dyndała mu skorzana torba.

Rozpoczął działalność od indywidualnych rozmów. Wysłuchiwał utyskiwań, przytakiwał projektom uzdrowienia stosunków, przyjmował donosy, które sekretnie składali na siebie pracownicy. Po za litewskim, którego nie znał z każdym konferował w jego o czystym języku - z Sucką po białorusku, ze mną po polsku, ze swoimi pobratymcami w zarggnie. O ile z nami spokojnie i grzecznie, to z tymi ostatnimi namiętnie i odcasowo. W mojej obecności kierownika manufaktury tarosił za klapy marynarki jak snopem słomy uderzał o rebrę. Na drugi dzień kierownik mówił do mnie w uniesieniu:

- Wy wiecie jaki on mądry. On wszystko zna, on wie jak my targujemy..

- Co znaczy my? - spytałem

Łypnął porozumiewawczo okiem.

- Nu my, spółdzielnia. Bo to komu starczy cierpienia odmierzać po metrze czy awocn. Są takie co z pocałowaniem ręki biorą cały wał. I on to wie! Arzyczał ze wysle na białe nieczwiedzie. Ale ja sobie myślę, że on tylko tak

krzyczał. Taki mądry musi wiedzieć, kto jeździ na biało niedzwiedzie.

po indywidualnych rozmowach i ilustracji wszystkich sklepów - przez co, niech to diabli, depeszowałem do Wilna: "urwanie głowy, nie przyjadę, kocnam" - inspektor zwołał zarząd i radę nadzorczą spółdzielni oraz ważniejszych pracowników, to znaczy mnie, na naradę. Rada nadzorcza składała się z miejscowych wiesniaków, przeważnie tych, którzy tak wydatnie pomagali przy inwentaryzacji.

rozpoczął od pochwał. Podziękował za dotychczasowy trud i oświadczył, że jest mile rozczarowany, gdyż spodziewał się wiele gorszego stanu. W jego rybich oczach nie wyczytałem kpiny. Duszko z zadowoleniem zacierał kolana. Wiesniacy tręcali się łokciami.

po tym znaczącym wstępie zalecał rozwiązać następujące zmiany, a więc: wynająć lokal na biura, zatrudnić jeszcze chociażby, trzy osoby w administracji, utworzyć magazyn-bazę, głównemu księgowemu czyli mnie zapewnić ludzkie warunki bytowania.

Tenż prezes pocierał czoło, rada milczała, a ja kręcałem z niedowierzaniem głową.

- To wszystko ładnie wygląda. - zaczął prezes - Jeno skąd brać pieniądze. Spółdzielnię ledwo żyje. No i ludzie. Mocno gramotni na kamieniu się nie rodzą. Chyba żeby z Wilna, jak to nam - chwalić boja - gwardyjska towarzysza główbucna przysłali.

- Środki się znajdują. - oświadczył inspektor Jospe - Partia każe i gosbank przyzna kredyt. Partię rozumie, że na rozruch potrzebne są pieniądze. Partorg przyrzekł pomoc, a za słowami partii zawsze idą czyny. Z ludźmi też żaden kłopot. Tylko się rozejrzeć, a znajdują się na miejscu. Nawet jeśli który na początku będzie słaby to się pouciągnie, poduczy. Po to przyjechałem i nie wyjadę, aż wszystko będzie funkcjonować jak należy.

Ostatnie zapewnienie nie zachwyciło prezesa. Jeszcze mocniej pocierał czoło. Inspektor natomiast snuł świetlane horoskopy z niezmaconym spokojem, nie zważał na reakcję zebranych.

- Zakupi się meble - biurka, stoły, szafy. Dzwoniłem już do Centrali

po kasę pancerną. Na kasjerkę przyjmie my towarzyszkę namiot. Młoda, zdolna, roztropna, politycznie uświadomiona, komsomołka..

- Jej ojciec^{zawini} tu trzymał. Każdego muzyka doł jak kozę, a najwięcej biedniaków. - wtrącił prezes.

- Władza radziecka nie sądzi nikogo za grzechy ojców. Wołotow też z hrabiów. Zresztą stary namiot to już nie ten co kiedyś. Rozmawiałem z nim. Przejrzał, zrozumiał linię partii i rządu. Najlepszy dowód, że zgodził się oddać pomieszczenie na biuro.

- Za ile? - spytał poważnie zaniepokojony prezes.

- Nie z waszej kieszeni, towarzyszu przewodniczący! Do księgowości na ewidencję materiałową dobry będzie młody hotołum. Nie komsomołec wprawdzie, lecz chłopak sprytny, niegłupi..

- O bardzo sprytny! - zawołał bucko - nie tylko ziarno, ale dopytywał^{szę} pytkawki z ojcem we młynie. Zupełnie wwał się w tatę, starego szanraja!..

- Towarzyszu, kto waszym zdaniem nadaje się do pracy w handlu uspołecznionym - kowal, rymarz, szewc, cieśla?..

- Ja właśnie jestem cieśla i..

- I dlatego potrzeba wam fachowej pomocy. Dalej można by zatrudnić..

- Jak do kantoru to już teraz musi być mój koleka! - zawołał ben-czuk, najaktywniejszy członek rady - ryz gramotny, pisać umie. miał iść na popa, ale bog nie pozwolił, niech pisze w kantorze.

Inspektor Jospe skrzywił się. Szybko jednak ukrył nie zadowolenie.

- Zgoda. - oświadczył - ale część chajupy i stodołę oddacie na bazę.

- Zapłacicie-tak dam. Chata duża, a stodoła czy pod kołchoz, czy pod spółdzielnię jedna cholera..

- O zapłacie narazie nie ma mowy. Może po bliansie. Będzie zysk zawrzemy umowę.

- Więc jak nie chceta płacić. Za darmo dwie duże izby i stodoła,

a Namiotu za..

- Od was, towarzyszu Denczuk, - przerwał inspektor - należy oczekiwać większego wyrobienia społecznego niż u naszego wędziarskiego handlarza.

Chłop stropił się. Przez chwilę zaciął własny język.

- Ale kółko do kantoru weźmiecie? - rzekł z desperacją.

- Okaze się przydatny czemu nie. Na kierownika bazy proponuję przesunąć Masysa. Zajęty magazynem i kartoteką mniej będzie miał czasu i okazji do picia. Potem pomyślimy o kimś innym. Jego miejsce w sklepie zajmie Abram.

Tu prezes Bucko miał już dość. Roderwał się, czapkę z głowy prasnął na podłogę i krzyknął na całą izbę.

- Same żydy mają tu rządzić! A gówno!.. mało, że jeden kantuje, towar na bok upycha, to jeszcze ludzie mają być bez soli, bez cukru, bez mydła, może bez tego kawałka chleba. W manufakturze żyd, w piekarni żyd, w biurze żyd i jeszcze w spożywczym gadają! A takiego!!!

Zrobił wymowny gest ręką.

Twarz inspektora nabiegła krwią. Żyłki nabrzęziały na skroniach. Wsparł się na zaciśniętych kulkach o blat stołu i waząc na rozstawionych nogach niewielki korpus ceził przez zęby:

- Towarzyszu Bucko! Żle mówię - obywatelu Bucko! odmawiam wam prawa do miana towarzysz! wylazł z was faszysta. Dobrze, że pokazaliście prawdziwe oblicze. Chociaż długo tu prezesować nie będziecie choć ~~przez~~ ~~was~~ poinformować, że ta cała żydowska obsada została uzgodniona z towarzyszem partorgiem. Zapomielismy tylko o was! towarzysze!.. przerywam zebranie, żeby naprawić to niedopatrzenie. Spotkamy się wieczorem po mojej wizycie w ispoikemie.

Zamieszonym krokiem wyszedł z izby. Zerknął na Buckę. Nie sprawiał wrażenia przybitego. Czerstwa twarz wyrażała zaciętość i zdecydowanie. Z kieszeni wyjął paczkę papierosów, zapalił. Kilka razy głęboko zaciągnął się aymem. Potem spokojnie podniósł czapkę i powiedział do mnie swoim normalnym, z lekka zachrypniętym głosem:

- Wartoby wdepnąć do Dasysa na kielicha. Ale cholera nie ma jak!
Kartorg wyniucna i objedzie. rojędę, posłucham co ten wypleraek tam
szczeka.

Z niecierpliwością oczekiwaliśmy wieczora. szty zakłady. Jedni
utrzymywali, że buckę przymkną z miejsca, inni że po dochodzeniach,
jeszcze inni, że skonczy się na złożeniu prezesa z urzędu. Nikt nie
miał racji. Prezes i inspektor wrocili po paru godzinach i ku zdumie-
niu wszystkich odnosili się do siebie bez serdeczności, ale poprawnie.

sekretarz komitetu zwymysłał i jednego i drugiego, kazał wracać
i zabrac się do uczciwej roboty. Zdecydował przy tem, że panna namiot
zostanie kasjerką, syn Denczuka a nie młynarczyk będzie moim pomocni-
kiem, zaś tego ostatniego zatrudni się tylko dorywczo do czasu wyprowa-
dzenia zaległości. Kierownikiem bazy polecił zamianować Dasysa, lecz na
jego miejsce w sklepie wyznaczył ^{Momyx} ~~stare~~, starszą i brzydszą sprzedawczy-
nię, przyjaciółkę i rywalkę pułkownej Irenki. Zalecił ponad to rozglądać
się za nowym kierownikiem manufaktury.

Prezes bucko promieniał. A młody izraelita pomimo niewątpliwej po-
rażki zachowywał godność. I teraz i później. Jak mógł tak ignorować pre-
zesa. W ważniejszych sprawach zwracał się tylko do mnie. Okazał się męż-
czyną o niespożytej energii, pełnym ^{inicjatywy} energii, na swój wiek bardzo
rzeczowym. Imało się go tysiące pomysłów. Rodziwiałem jego zdolności
organizacyjne, a zarazem im złorzeczyłem, że zamorsorbowany sprawami
przedsiębiorstwa nie często mogłem wyskakować do Wilna. Do swojego ru-
dzielca, do którego odrodzone uczucie coraz bardziej, potężniało.

5. Dodatkowo saldo miłości.

/baj.. baj.. baj.. na wodach Wilgi to nawet plegi na plecach Litwin-ki to nie plegi, a złociste łuski słońca./

Spodziewałam się sprawnie niespodziankę. Tymczasem otworzyła mi przed snem mama. Jak zwykle ~~przez~~ w przybrudzonym szlafroku i papilotach. Nadspodziewanie uprzejmie pokazała mi w usmiechniętą rzędu sztucznych zębów.

- Rodobna dyzuruje. - poinformowała - Estatało coś dużo ma tych cyzurow.

Przed biurka "wałgu" dociągnęłam się pełen na czarnie, szycen myśli. Nie rozjaśniło ich nawet światło ze szycami pokoju, w którym pracowała. Uczynił to dopiero okrzyk radości i blask zycen nieoleskien oczu. Idąc korytarzem podskakiwała z nogi na nogę.

Za jednym biurkiem tkwił podtatusiały, ale jeszcze nie stary mężczyzna. Popijał kawę. Przedstawiła mnie jako kuzyna. Usmiechnął się awu-znacznie. Drażnił mnie. Odzywałam się monosylabami, podczas gdy noza papiała jak nakręcona i chłocotała nie wiadomo z czego. Wreszcie poszedł

- Ten też uciekł z obozu? - mruknęłam.

Aręjąc się w kołko ~~nie~~ klaskała w palce i swiergotała jak poulotek.

- Cudownie, że jesteś, że przyjechałeś, że będziemy razem, całą noc razem, że przepędziłeś tego ramola..

- Co to za jeden?

- Kolega. Zonaty, dzieciaty, straszny gaduła. Piramidalny nudziarz. Gdybyś nie przyszedł siedziałaby tu do północy, głęził i wytrącił cyster-nę kawy. Może ty wypijesz? A może coś zjesz? Zadzwoń do straża, zaraz przyniosą z dołu.

- Daj spokój! Nikogo nie chcę tu wlaźlec. Chcę być z tobą sam.

- Chwilczkę! Zamknę drzwi na kluczek.

Robiegła do drzwi. Czekałam dosłownie sekundy, a niecierpliwiełam się jak pies przed spuszczeniem ze smyczy.

Wpadła. Na kanapie wywrocila koziółka. Potem leżąc na wznak plęta

tlukła w sprężyny. W trosce o społeczne dobro skrępowaniem jej ruchy swoim ciężarem.

Szarżalo gay powiedziała:

- Zawsze przyjeżdżaj w środę. W każdą środę mam dyzur.

- Czy aby ten kawiarz nie rozkłapie po biurze. Możesz mieć nieprzyjemności.

- Uwiózę na niego! Mam w nosie całe biuro, całe miasto, cały świat, ~~xxxxxxx~~ przejedź!..

Byłem w środę. I w jeszcze w jeonę, i jeszcze w jeonę. Jezdziłem zresztą nie tylko ~~xxxxx~~ na dyzury. Spotykaliśmy się w każdą niedzielę, przy okazji każdego służbowego pobytu w Wilnie. Bardzo intensywnie przeżywaliśmy nawrot uczucia. Nic dziwnego - przecież na dodatek była wiosna.

Tymczasem w laszunch od połowy kwietnia urządowałem w nowym lokalu biurowym. Szafa namiot wynajęła nam duży pokój, z którego po drewnianych schodkach wychodziło się ~~xxxxxxx~~ wprost na drogę. Dom stał na skrzyżowaniu przy szosie lidzkiej. Swoje biurko ustawiłem oczywiście naukos, na przeciw biurka prezesa.

Bucko czuł się tu jednak nie ~~xxxxx~~ swojo, znacznie gorzej niż na zapleczu spożywczego sklepu. Zjawiał się przeważnie pod koniec urzędowania podpisać korespondencję, zamówienia lub czeki. W czapce zsuniętej, na potylicę, sapiąc, stawiał zawijas i znikał.

Między biurkiem umieściliśmy ogniotrwałą kasę wyposażoną w szyr, którego znajomość warunkowała otwarcie. Rowinien znac go wyłącznie prezes i ja, ale znali go chyba wszyscy. Nasjerka panna namiot napewno.

Była to dziewczyna nie nazbyt urodziwa, przysadzista, o dużej głowie i wylupiastych oczach. Oczom tym nic nie uchoziło. Bez przerwy siłgęły się po twarzach, rękach i cudzych biurkach. Wszędzie wsadzała nos.

Niedoszły pop nola benczuk nie znosił jej, za to i trwał z nią w ~~sta-~~ ~~nie~~ permanentnej wojnie, którą jako szef musiałem pacyfikować.

Trzeci mój pracownik, syn młynarza nysiek mot baum zachowywał neutral

ność. Sumiennie notował obroty materiałowe, a jeśli na kogo psioczył to na Dasysa, który od czasu objęcia pracy uparł się wypisywać dowody magazynowe w ojczystym języku. Nie było na to rady. Litewski obok rosyjskiego był drugim językiem urzędowym.

Wewnętrzna korespondencja oraz różne dyspozycje i notaki do terenowych placówek dawały wyobrazenie o kłopotach budowniczym wlezy bucki. Łydzi pisywali do siebie żargonową, litwini po litewsku, bucko tylko często często po rosyjsku, a ona Penczuk po białorusku, ja do wszystkich po polsku. Pracowało się trudno, lecz spółdzielnia dopiero teraz przypominała instytucję z prawdziwego zdarzenia, daleką od dawnego chaosu i baraganu. Gdy było spojrzeć na szafy zastawione segregatorami, na sprzęt, na ludzi pochylonych nad biurkami nie chciało się wierzyć, że parę tygodni temu cała dokumentacja przedsiębiorstwa wleciała się pod zaleźnym łozki

Inspektor Jospe odstawił kawał dobrej roboty. Nie przyznawał tego jeden prezes bucko.

- Bez niego też by poszło. Kto wie czy nie lepiej. I bez szpicli na karku. Na tą purchawkę uważaj oracie doorze. - mówił do mnie - Ta swołocz zdolna do wszystkiego.

- Co ona może mnie zrobić? - odparłem

- Mało co w tych czasach może się zdarzyć?..

Bucko okazywał mi wyraźną sympatię. Ja też polubiłem prezesa za prostotę, skromność i żarowy chłopski pomysłunek. Zyliliśmy się z sobą. Aby nie uprzedził go Jospe znalazł dla mnie we wlosce pokój.

Zamieszkałem u gospodarza na kilku włokach, bartnika z zamiłowaniem i rodzica najpiękniejszej dziewczyny w gminie.

- Z pięknotką ostrożnie przyjacielu. - przestrzegał bucko - stary naleczyc cnołeryk. Już nie jeden oberwał po uchu.

W tym okresie byłem uodporniony na wszystkie kobiety poza jedną rudą dlatego lekcewazyłem przestrożę. Nie Janeczka faktycznie była warta grzecnu.

Okój na poddaszu budził daleko mniej podziwu. Dotąd służył za składnicę pszczelar^{skich} przyborów. Po wprowadzeniu ^{się} jeszcze wisiały ramki z woszczyną, sita, stały cebry brunatnego płynu, dymniki - wszędzie pachniało pasieką. Mały zapach przetrwał do końca mego pobytu w lasznanach. Pod rozprazonym dachem szczególnie nasilał się latem. Gospodyni wszakże proponowała leżankę w stołowym, na parterze jednak nadwygodą przeckiadaniem samotności i nieskrępowanie. Na poddasze wchodziło się bezpośrednio z dziedzińca schodami obudowanymi do szczytowej ściany. Wstawiono mi poro^{we} łozko, szafę, stół i kilka krzeseł. Skromnie do skromnie lecz w porównaniu z izbą za sklepem komiortowo. Nikt mnie nie krępował, ja nie interesowałem^{em} otoczeniem. Zaprzętała mnie wyłącznie myśl, jak i kiedy wymknąć się do Wilna.

Wilno jest zapewne najpiękniej położonym miastem Europy. Same miasto może budzić kontrowersyjne opinie. Nawet takie arcydzieła sztuki jak antokojska, oazylika, Piotra i Pawła, kościół św. Anny czy Katedrę wobec urewnianych przedmieść, niechlujnych zaułków starego miasta, orzyklicn, secesyjnych kamienic srodmiescia traktować można jak rodzynki w cięście z żakalcem. Inaczej jednak gdy spojrzec na ~~XXXX~~ to samo z wierzyn zamkowej, Gory lub Trzykrzyskiej, gdy zanika brud i szarzyzna, a wzrok ślizga się po strzelistych wieżach kościołów lub nurtem wili i płynie wśród urwistych orzegow; inaczej gdy patrzec na miasto przez pryzmat przypomien. Urok Wilna zawarty jest bowiem przede wszystkim w skojarzeniach jakie sprowadza bezmała każdy załom, każdy cien padający od staromiejskich murów. Zatopiona w mgie oddalenia linia lasow, malowniczy przełom rzeki, koplaste piaski wzgorz kleru, a myśli do onych czasow, kiedy to kniaz Giedymin "zbudował miasto Wilno, które w lasach śledzi, jak wilk posreda zborow, i dzikow i niezdźwiedzi".

Zbudował w okolicy stworzonej, dla zakoczanych. Nie darmo rozwinęły się tu skrzydła polskiej poezji.

Łączyliśmy z nozą dalekie spaceru. Nazwa majowa niedziela wyprowadzała nas za miasto. Błąkaliśmy się w parowach bryjskich noc, wypoczywaliśmy

w zaroślach na zboczu Antokola. Już nie potrzebowaliśmy kryć się pod strzechami śródwiejskich kamienic. Ludzie, których spotykaliśmy nam nie przeszkadzali, ani nie zenowali. I nawzajem rzadko jaka para rozpiętała ramiona na nasz widok.

Alecyś popłynęliśmy kajakiem do Werka. Jeden Dunajec, może jeszcze brda równać się może z Wilją. Azeka musi urzec każdego, urzekła i mnie. Dla wyrażenie wdzięczności za urok dnia raz po raz pocyniałem się do przodu, aby całować upstrzone piegami plecy. Przechyliła głowę podstawiając usta.

W Werka wyciągnęliśmy kajak na brzeg. Rozłożeni na płasku wystawiliśmy twarze do słońca. Braliśmy w siebie włosnę. Na bezczelnym niebie szybowały ptaki.

- O czym myśkisz? - spytała w pewnej chwili.

- O niczym. - odparłem

- Nie można o niczem nie myśleć. Człowiek zawsze o czymś myśli.

- Być może. Ale nie wszystko daje się zamknąć w słowa.

- Albo nie przed każdym chce się otworzyć duszę.

- wielkie słowo: dusza. prostu jednych stac na szczerosc, innych nie.

- Ciebie stac?

- Nie próbowałem się nigdy wybebeszac. No a ty zawsze jesteś skłonna do wyznań?

- Nie zawsze, ale czasem tak. Naprzykład co byś chciał wleźć?

- Nie pytam o nic konkretnego. Chcę wleźć, czy stac cię na bezwzględną szczerosc?

- Nikogo na to nie stac. Nazyw pragnie cos zatrzymac wyłącznie dla siebie. Nie można dla kogos wyskrobać ona duszy.

- znow ta dusza. - mruknęłem.

Tym nie mniej, uniosłem się na łokciach. Nie posądzajem jej o złoć do refleksji.

- Chodźmy do lasu. - powiedziałem. Na tej patelni można się usmazyc

Po za tem mam ci co wyznania wielką tajemnicę.

- Jaką?

- Że cię bardzo kocnam. Ale o tym mogę ci powiedzieć tam w lesie.

- Zostanmy. tu bardzo przyjemnie. słońce nagrzewa ciało. rowiesz mi w środę na dyzurze.

- w środę nie przyjadę. mam bilans na karku. będę pracował przez noc.

- biedaku!.. zamęczasz się w służbie ludu. Żal mi Ciebie, ale od-
dzisiaj musisz wytrzymać do przyszłej niedzieli. Dzisiaj nie można.

- kobiety są jednak po partacku stworzone. - westchnęciem.

- za kilka dni zmienisz zdanie. Zapewniam cię.

Zapuściłem dłoń w jej włosy. Na palce nawijałem rude kosmyki. Tu-
liła ^{ja muszę jechać} gorącą od słońca twarz.

Do przystani pracowicie zagarniałem włosiem ^{pod} przynęca ~~za~~ prąd. wieczorem poszliśmy do King.

Do Jaszun wracałem z przykrością. Obiecywałem sobie, że żeby nie wiem co się stało w środę będę na dyzurze. Udybym nawet miał nie złożyć w terminie bilansu.

- Bywają różne. - zauważyłem filozoficznie - Jeżeli jednak to sprawa niedalekiej przyszłości uważam, że nie potrzebnie opuszcza rodziców. Wilno nie leży za morzami. Można nawet codziennie dojeżdżać.

Zasępił się. Przez chwilę milczał. Wymachiwał marowo nogą.

- Kto wie co będzie za miesiąc, za tydzień? My żydzi nie damo mamy duże nosy. Naogół nas wężem nie zawodzi. A ja czuję jakby. Ciężka z Niemcami wечно trwać nie może. Skonczy się szybko, niż nie, eden przypuszcza. Zaś na wypadek wojny gdzie im będzie lepiej, jak nie na wsi. O żywność łatwiej i bomby nie polecą. A matka i dziecko potrzebują dużo spokoju i dobrego, zdrowego jedzenia - czy nie potrzebują?..

- Oczywiście, że potrzebują. - zgodziłem się.

Zaintrygował mnie swoimi politycznymi prognozami. Nie miałem jednak wiele czasu na rozmyślania, bo skoro tylko wyszedł arkusz otworzyły się drzwi łączące ~~XXXXXX~~ z mieszkaniem namiotów.

Zbliżyła się panna namiot. Nie panując na nerwami rozpyliła mi po twarzy nadmiar sliny.

- Co on mówił?.. - rzuciła gorączkowo - ma być wojna? z kim, z nim? z Hitlerem?.. mówcie błagam was, proszę!.. Włęcz będzie wojna a prawda! - on tak mówił, - prawda, - tak powiedział...

- A coż to onassandra? - odparłem cofając się na odległość cniącą mnie od mokrej zawiesziny słów. - Prorok!.. taki socjalistyczny Jeremiasz czy Zachariasz?.. Prostu jest przezorny i na wszelki wypadek pragnie zabezpieczyć żonie jak najlepsze warunki. To dobrze świadczy jako o troskliwym i kochającym małżonku.

- Jemu nie chodzi o żonę, jemu chodzi o dziecko. Żona mu tu nie potrzebna. I bez żony ma wszystko co potrzeba! - wypaliła

- wszystko?.. A ja myślałem, że u państwa ma tylko wikt i opłatek. Mała jak kopiejka oczy wlepiła w podłogę. Zaramieniała się. Ale tylko na moment. Po chwili porzuciła mnie zachwiałym wzrokiem.

- Gdyby nawet, to co to kogo obchodzi!?!.. - mruknęła.

- Mnie najmniej! - odburknęłam - Są ciekawsze i pilniejsze sprawy.

Pojutrze oddajemy bilans. Lepiej pomogła by ~~mi~~ pani zamiast przejmować się prorocstwami i to w dodatku wywołanymi przez dziurkę od klucza sądziłem, że odejście. Tymczasem usiadła za swoim biurkiem i zabrała się do pracy. Obserwowałem ją z pod oka. Zębami zazierała naskorek warg. mechanicznie przerzucała gałki liczydła. Gdy zapisywała podliczoną sumę ręką jej, arzała.

W pokoju narastał mrok. Złożyłem do szuflady akta.

- Proszę pana. - doszedł mnie ~~szepot~~ szept.

- Słucham panią! -

Na słowo "pani" położyłem szczególny nacisk. Dotąd wszyscy, a zwłaszcza moi semicki współpracownicy - tak jak głosie zawieszona na ścianie hasło - pamiętali, że "panow niet". Dowcipny i dokładny Abram dopisał nawet czerwonym ołówkiem "u, echali w Kazachstan". Tego dnia już drugi młodzieżowy aktywista zwracał się do mnie per pan.

- Słucham. - powtorzyłem do jakos głos uwiązi jej w gardle.

- Czy pan wierzy w to co on mówi?..

- Ze będzie wojna? Sądzę, że będzie. Faszyzm i komunizm nie mogą współistnieć. Ale kiedy to nastąpi trudno przewidzieć. Hitler napewno pierwszy uderzy..

- Do zimy nie wybuchnie, prawda?..

- Wykluczone. Zdrowy rozsądek ~~kazach~~ nakazuje Niemcom zlikwidowanie w pierw frontu zachodniego. Pierwsza wojna dała im nauczka, że wojna na dwóch ^{frontach} przerasta ich siły. Stary Bismarck już wskazywał, że..

- A jednak on powiedział, że zacznie się niedługo. Mówił, że za miesiąc, dwa.. - przerwała mój uczony wywód.

- Jeżeli on jest dla pani taką wyrocznią to po co mnie pani głowę zawraca - odparłem ze złością. - Można się jego wprost zapytać. Jakli wieszczek dokładnie określi miesiąc, dzień, godzinę..

- Niech pan nie kpi. Nie twierzę, że on wszystko wie. Nie mówię że jest wyrocznią, choc jest bardzo mądry. Oj, jaki mądry!.. i jeżeli

teraz, obecnie, tu do Jaszun ściągają żonę to jest źle. Jest bardzo źle..
Nasi zawsze wiedzą wszystko prędzej i lepiej od innych. Dla nas nie ma
granic, my jesteśmy wszędzie, na całym świecie.

- Czy lepiej to pytanie? - zacząłem się podrażniony w narodowej am-
bicji - Jak pani wiadomo my Polacy nie uznajemy granicy rozdzielającej
nasz kraj. Jesteśmy czujni na wszystko co się dzieje na naszej ziemi.
Mamy łączność i powinniśmy wiedzieć o przygotowaniach do hitlerowskiej
agresji, które przed uderzeniem na taką potęgę jak Związek Radziecki
musiałyby być ogromne. Ukryć ich byłoby nie sposób. Tymczasem za Bugiem
cisza. W tym roku wojny jeszcze napewno nie będzie.

Zauważyłem, że moje słowa przyniosły jej ulgę. Nie miałem do niej
sympatii tym nie mniej, uprzedni ~~xxkxkx~~ paniczny i bezradny lęk zasłu-
żał by ją pocieszyć.

- więc jest pan przekonany, że nie wybuchnie przed zimą? Byłoby tylko
nie zaczęła się przed zimą!

- Dlaczego pani zależy tak na tym terminie?

- Rę nowym roku będę już w Moskwie. Deleguję mnie na kurs ideologicz-
ny. - oświadczyła z dumą w głosie.

- Proszę, proszę!.. pogratulować. To faktycznie, wojna by mogła pani
złamać karierę.

- Wojna to nie złamanie kariery, to koniec wszystkiemu, to zęłada,
to śmierć..

- Powinna pani wierzyć w potęgę Czerwonej Armii!

rzucając mi nieufne spojrzenie powiedziała sucho:

- A pan w kocięcą intuicję.

W drodze do domu pomyślałem sobie, że dobrze byłoby odwiedzić naczelnika
poczty. Sprzysiężenia nie brałem zbyt poważnie, lecz co szkodziło
poinformować "szela" o nastroszających ^{kulawych} naszą małą olurową społeczność. Być mo-
że żydzi posiadali jakies tajemnicze kanały porozumienia. Ludcy zawsze
ostrzegali przed żydo-masonską międzynarodówką. Postanowiłem udać się na
pocztę po powrocie z Wilna.

Na stację bliżej było na przełaj przez las. Droga zakreślała szerokie zakole. Prosto od biurka pędziłem na złamanie karku. Do przedziału wskoczyłem dosłownie w ostatniej minucie. Komus nastąpiłem na nogę. Ktoś krzyknął, ale zamiast przekleństwa usłyszałem głos mojej gospodyni.

- Dokąd to panu tak śpieszno?.. Kino i teatr pozamykane, a na wizyty trochę późno.

Dochodziła północ.

Odychałem głęboko. Oncliałem zbyć milczeniem babką ciekawosc, jednak nie dała za wygraną.

- Z rodziny kto chory? Prawda, pan tu nie ma rodziny. To może co nie dać boże narzeczona?..

- Jaka tam narzeczona.. - bąknęłam - Jadę do muszę.

Baba nie ustępowała.

- Kiedy nie narzeczona i nie cnora to czego tu się szlafu po nocy? nanych pociągów cosyc.

- Jadę do Święcian-zelgałem.

- I ja do Święcian. -ucieszyła się - bo u mnie w Święcianach siostra Laskowska zamężna za Janem. może pan zna mieszkają przy rynku.

- Nie znam nikogo. Jadę służbowo.

- Służbowo.. - powtorzyła rozczarowana - wszystko równo, zawsze przyjemniej z kimś znajomym podróżować. Czas szybciej leci. A zaraz mamy połączenie.

- Nie wiem. Dowiem się w Wilnie.

rapiała bez przerwy. Spławilem babę dopiero na dworcu. Pod pozorem, że idę po informację dałem crapaka.

Przeczuwałem, że baba przyniesie mi pecha. I nie myliłem się. "Vez gio Treto" na Mickiewicza drzwi otworzył mi jakiś zaspany mężczyzna. Nawzajem wywaliliśmy na siebie gały.

- Zegotaite? Nie ma. miała dać zmianę i nie dała. Siedz tu człowieku teraz chcący czy nie chcący.

- Może co się stało?

- Chyba żeby na drzewo byli wjechawszy..

- kto?

- No kto?... Ona i jej fatygant. Pojechali maszynom w las to i wiele co moglo się zdarzyć. Albo i zabadzialis sie gazie to?

- Kiedy pojechała, z kim pojechała!?!-wrzasnąłem
rzucił

- draugas kas ira, ir ką ćia nori?.. xaxytak groźnie.

Zbiegłem ze schodow jak przepłoszony złodziej. Przeleciałem na ukos plac Orzeszkowej, wpadłem w wileńską, zadudniłem deskami zielonego mostu. Dopiero na kalwaryjskiej zabrakło tchu.

Jak pech to pech! Zawsze otwarta furka była zamknięta. Przesadziłem płotek. Pod oknem sterczałem kilka chwil niezdecydowany co czynić. Zastukałem. Pierwszy raz cicho, delikatnie, drugi trochę silniej. Oparty o ścianę czekałem. Lotem rąbnąłem kulakiem. Zaskrzyptały zawlasy w okle-
nnicach. Nie mogła się nie obudzić. Nasłuchiwałem. Wewnątrz nikt się nie poruszał. Wreszcie błysnęło światło.

Tylko, że ^{mię}niej. Zaświeciły się dwa serduszka przed syplainią rodziców. Dałem susa w krzaki. Rozchyliła się okiennica i wyjrzała łysa czaszka ^{pana} ~~pana~~ zegoty. Renetrował przenikliwie mrok. Coś mruczał pod nosem. Lotem wspiał się na palce. Gruby brzuch wysadził za parapet. Rociekła cienka struga. Drażyla piasek.

Nie wiedziałem co dalej począć, gazie iść. Bezmyślnie, wbrew chęci chodziłem od rogu do rogu. Coś trzymało mnie w tej spokojnej, zacienionej drzewami uliczce. Bezsens wałęsania się był tym większy, że równocześnie wymiatałem z pamięci, raz na zawsze, i ową ulicę, i ten dom, i jego mieszkańców, - słowem wszystko cokolwiek wiązało się z plegowaną dziewczyną. Jeszcze bardziej niż jej zlorzączyłem sobie za niewybredny gust, za ślepotę, za sprzeniewierzenie się plęknemu ucielesnionemu w innej dziewczynie - niepokojącej, ^{niepokojącej} ~~niepokojącej~~. Czekałem na zwarłowanego ruczleica dla samoudręczenia, dla przypomnienia ^{sobie} ~~sobie~~ ^{niepokojącej} ~~sobie~~ pyzatej, rozowej twarzy, szczeziniastym ^{szczeziniastym} ~~szczeziniastym~~ rzęsów, serdeczkowatym ^{serdeczkowatym} ~~serdeczkowatym~~ paluchom i szpetnej ^{szpetnej} ~~szpetnej~~ odcawie na lewym biodrze, dla ponaigrywania się z samego siebie.

rzadko przesuwiał się jaki zapozniony przechodzeń. Pó jezani nawet pies nie przeleciał. Dopiero na przedświecie zaterkotał motocykl.

Przywarłem plecami do płotu. Liście wierzby dawały dodatkową osłonę. Zeskoczyła z tylnego siodełka. mężczyzna ustawił przy krawężniku maszynę. Zatrzymali się przy furtce. Coś mówił, ona chichotała. wyciągnęła dłoń. Pochylił głowę, a potem otoczył ją ramieniem. Wykręcała twarz umyając jego wargom. Próbowała wyswobodzić się z uścisku. nie puszczał. mówiła coś bardzo szybko. Wiedziałem co, mogłoby jej podpowiadać. Duren! Teraz w żadnym wypadku nie należało rezygnować. Właśnie teraz nakezało natrzec. Przeszkapił cymbał.

Przasmęła furtka.

Nawet nie przeprowadził jej wzrokiem. całą uwagę poświęcił maszynie. nie chciała zapalić. Pragnęłam, aby zwichnął sobie nogę.

było to jakieś uparte chłopisko. Napewno Litwin. Deptał i deptał rozrusznik. W końcu warknęła. Gdyby równie zdecydowanie i energicznie naciskał na piegusa i ten by niechybnie zastarkował. To napewno był Litwin. Nasz człowiek jeśli nawet nie potrafi zmienić biegow, dziewczynę zajął zapali jak należy.

Za godzinę odcodził mój pociąg. byłem znudzony. zarazie, zmęczony niż w inne środy po najbardziej wyczerpującym dyzurze. W wagonie usnąłem. Obudziłem się w Lidzie.

7. Pożytek z ~~książki~~

/Baj.. baj.. baj.. o kojących przymiotach matematyki, herbatce pod lasem i pławieniu preceptora./

Doświadczenie uczy, że najlepszą otrutką na kobietę jest ~~inna~~ druga kobieta.

Do pierwszej napisałem wszystko kończący list, druga po małym wahaniu zgodziła się na spacer nad rzekę. Janeczka kończyła w tym roku gimnazjum przeto zabrała z sobą ^{sporo} ~~pożyczą~~ ilość podręczników.

Nie z naszej winy rozpoczął się czerwiec, a na łące pacniała świeżo skoszona trawa. Na dodatek Janeczka była naprawdę ładna. Dość napewno się nie mylił twierząc, że najładniejsza w gminie. Gdyby jeszcze wiedział jak przyjmując pocałunki przysłania oczy długimi rzęsami uznaloby bez pudła że w całym powiecie. W wojewodztwie już nie, bo w wojewodztwie, nawet w republice, ba na całym świecie najpiękniejsza była Tamara. Tylko że Tamara była nieosiągalna, a tu dość było wyciągnąć rękę by pod palcami przeżył się ślicznie uformowany ciust. Spodnica przykrywała niewątpliwie równie ponętne i jędrne uda, ale tych dotykać ^{nie pozwalała} ~~przedzie~~ ~~zaczekała~~ nazdą próbą przesunięcia dłoni poza kolana spotykało zepchnięcie i gniewne napomnienie.

- O!.. co to to nie!..

- Co nie? - pytałem naiwnie

- Właśnie to. Za szybko pan zmierza do celu!

- Wcale nie za szybko. Tempus fugit. - próbowałem tłumaczyć utrwala^{jąc} jednocześnie łacińskie zwroty - w czasie wojny w dwujnasob. Dławił wiedzą nie jeszcze zostało żywota. Przepada chwytac garściami wszystko co wpada..

- Ale moje nogi panu w garść nie wpadają. I nikomu nie wpadną. nigdy..

- Nigdy?.. - parsknętem - to urocza panienska ślubowała czystosc.

- może i ślubowała. A jeśli ~~książki~~ straci to nie na trawie.

- koniecznie w łóżku i ~~z~~ ze ślubnym małżonkiem.

- Głupstwa pan plecie! Na co mi chłop. Co za pożytek z chłopca?

- Duży. Zapewniam panią, że chłop to wcale pożyteczna rzecz. - przeko-
nywałem i dla dodania wagi słowom zsunętem jej suknię z nog. rainęła mnie
w ucho.

- Za takie rzeczy będę zawsze bic! - oznajmiła.

Twarz paliła jeszcze w nocy, lecz owe czerwone popołuwanie należało raczej do przyjemnych.

Przyjeździe gospodyni trzeba było zaniechać nauki nad rzeką. Janeczka przygotowywała się do matury w swoim pokoju. Matka przez kilka dni dąsała się na mnie za rejteradę z wileńskiego dworca.

- I w dodatku blagier! - mówiła córce - wcale do Świącian niejechał. Rozglądałam się na stacji. Nie wysiadł.

- Wysiadł w Staroświącianach, a mama jechała do Nowoświącian.

- Może. Ale grzeczny to on nie jest.

Mozolnie, ale wytrwale pracowałem nad podreperowaniem reputacji. Kłaniałem się w pas, jeżeli przechodziła przez podwórze obciążona czymkolwiek podbiegałem i wyjmowałem jej z rąk dzbanek, kosz czy wiadro. Nawet z własnej i nie przymuszonej woli naciąłem koniom sieczkę. Doprowadziłem do tego, że któregoś wieczoru warapała się do mnie na górę i stawiając na stoliku słoik miodu powieźziała po głębokim westchnieniu.

- Może pan jest mocny w rachunkach, bo ~~tam~~ tam na dole pobeguje z jakimś ~~zadaniem~~ zadaniem rady dąc sobie nie mogąc.

Matematyka sprawiała mi zawsze poważne ^{trudności} ~~trudności~~. Równanie z jedną niewiadomą wyciskało pot na czoła, z dwoma jeszcze w życiu ~~nie~~ bez ściagi nie rozwiązałem. Mimo to zszedłem na dół. Moja przyszła uczennica dogryzała ołówek. Oczy miała czerwone, nos napuchnięty. Po pół godzinie i ja byłem bliski płaczu. Ropielniczkę zapełniłem po brzegi okurkami, z ^{głowy} ~~czucha~~ bezmała ^{złapałem} ~~złapałem~~ skórę i nic, - mizeria, klops. Uczennica doszłyko zorientowała w możliwościach preceptora. Przekonana, że z tej strony pomocy oczekiwać nie należy zajęła się opiliowywaniem paznokci. Coś smarowałem po papierce i kłąłem tego co na ludzkie utrącenie wynalazł cyfry. Na domiar złego gospodyni raz po raz wtykała głowę w drzwi.

- No jak wam idzie? Już skończyliście? - padało wciąż to samo pytanie.

- Mam proszę nam nieprzeszkadzać! - denerwowała się Janeczka.

prośba była słuszna i ze wszechmiar uzasadniona. Zwłaszcza odkąd zrezygnowaliśmy z rozwiązania zadani, a ja ~~nie~~ na pocieszenie abiturientki głaskałem jej nogi. Teraz pozwalała. Pociemniało zupełnie gdy zdecydowaliśmy owieścić sukces. Oczywiście licząc na matematyczną ignorację poczelwej wieśniaczki.

Od tego dnia Janeczka ^{często} ~~zawsze~~ płakała ~~z~~ z powodu matematyki, a ja już bez pośrednictwa matki śpieszyłem z pomocą. Po lekcji zostawałem zatrzymywany na kolacji. Po tygodniu gospodyni oświadczyła, że mogę się uważać za swego. Co rano dostawałem z tego ~~zawsze~~ tytułu kubek gorącego mleka. Była to już trzecia poczelwa niewłaśia, w której moje osamotnienie oddziało opiekuncze instynkty. Po Rawłowiczowej i Kosciatkowskiej, teraz mama Janeczki przygarniała ~~zawsze~~ do rodziny. Nie protestowałem.

Utrzymałem od hoży gruby list. Neczytając pouariłem na strzępy.

Inspektor Jospe zaprosił mnie ^{tu} podwieczorek. W wynajętym mieszkaniu pod lasem urządził przyjęcie z okazji przyjazdu żony. Ja jeden byłem aryjszym w całym towarzystwie. Ale Jospe gromił każdego kto w ferworze rozmowy posłużył się żargonem. Stąd rozmowa się rwała, a potem wogóle się nie kleiła. Najbardziej aktywny kierownik manufaktury też w końcu spasował. Panna Namiot od ~~zawsze~~ początku spoglądała na wszystkich z pode łba. Pomimo namowy gospodyni nie wzięła do ust ani jednego ciastka.

Ciąża inspektorowej była już wysoko zaawansowana. ~~ona~~ Wysoka, biała ^{mięmięta} nie opuszczała koszykowego fotela. wciąż narzekała na chłód. Maizonek okrywał ją czule wełnianym szalem.

Pozegnałem towarzystwo po godzinie. Unciałem jeszcze zajęsc na pocztę by wreszcie odwiedzić swego "konspiracyjnego szefa". Ze mną wyszła namiotowna.

- Natura jest potworna. - powiedziała kiedy znaleźliśmy się na drodze. - Żeby tak oszpecac człowieka tylko dlatego, że ma wydac na swiat innego człowieka.

- Dla swego maizonka właśnie teraz powinna byc najpiękniejsza.

Zamikła. Przygryzła usta. Jeszcze baraziej, scliągnęła brwi. Przed

domem powiedziała:

- Nie zajdzie pan do mnie? Rodziców nie ma, jestem sama. Od jakiegoś czasu boję się samotności.

- Przecież było ^{tu} pozostać. - odparłem sucho.

- Ma o nie!.. tam było jeszcze gorzej. Wlechn pan powie jak się można tak zakłamywać?

- Jak?

- Przecież on jej nie kocna. Jej nie można kocnać. Nawet gdyby nie była zniekształcona nie można się kocnać w kims tak bezbarwnym, galareto watym, przeźroczystym, zimnym, tru!.. hadość!..

- Jej stan jest najlepszym dowodem, że można.

Spojrzała na mnie z nienawością.

- Po co się wogóle parzyć, po co rozmnażać, poco płodzić ludzi!.. I tak się pożerają nawzajem. I tak ją zatiukają razem z ~~jej~~ bokartem!..

Trzasnęła bramą. zniknęła w sieni.

na poczcie zastałem niskiego, chudego mężczyznę. musiał już coś wiedzieć o mnie, bo bez wstępnych indagacji wprowadził do prywatnego mieszkania. bardzo mętnie tłumaczyłem dlaczego dopiero teraz przychozę.

- Nie miałem nic do przekazania coby pana mogło zaniekawic. Nic specjalnego się nie działo. - mówiłem

- Zawsze coś się dzieje. - odparł tonem wyrzutu. - Zapewniam was że niedługo będziemy świadkami niezwykłych wydarzeń. trzeba się do nich przygotować.

- Będzie wojna? - wtrąciłem

- Skąd takie przypuszczenie?

Opowiedziałem treść rozmowy z Jospem, jego niepokój, nastroj, przygnębienia ogarniający pannę namiot.

- Otoż widzi pan, że jest się czym interesować. Wlechn pan w przyszłości ze wszystkim przychozi. W tych czasach nie ma spraw białych. Co to za egzemplarz ta panna namiot?

- Antypatyczna figura. nieufna, podejrzliwa. Nie mam dowodów, ale

posądzam o zdolność do wielkiego swinstwa.

- Należy ją pilnie śledzić. I niech pan będzie ostrożny. Krzy nie,
lepiej mniej powiedzieć, niż za dużo.

Wyszedłem z poczty rozczarowany. Jeśli tak miała wyglądać "roboota"
to faktycznie nie było się ^{do} czego ~~spieszyc~~ ~~z kwitowaniem konta~~
~~...~~ Do zorientowania plotek mogli sobie znaleźć kogo innego.

W niedzielę mama nalezcycowa dała przyzwolenie na popływanie po
rzece. Kajak pozyczyłem od młynarczyka. Chętnie wyswlaadczył przysięgę
kniżemu przełożonemu.

Mereczanka jest nie dużą rzeką. I nie tak malowniczą jak rzeka-matk
Wilja. Rłynie przez łąki, brzegi ma dość wysokie, poroście olszyną. W
licznych wykrotach pieni się mnóstwo raków.

Jej leniwym nurtem sunęliśmy w stronę majątku. Tu woda zatrzymana
przez jazy tworzyła wielkie rozlewisko. Na powierzchni unosiły się wo-
dorosty, żółte i białe nenufary, trzcina ~~...~~. Nie chciało się
nam przenosić kajaka przez zastawy. Trochę popływalismy po zalewie, a
potem zaszyliśmy się w przybrzeżnym tataraku. Pałło słońce, ozykały
baki, szybowały ważki. Ona ^{oparta} ~~...~~ plecy o moje piersi, a ja całowałem
obnażone ramiona i kark.

- Zejdźmy na brzeg! - zaproponowałem

- roco, tu dobrze. - odparła

- Tam będzie jeszcze lepiej. - powiedziałem wskazując kopę siano.
rarskneja smiechem.

- Tak sądzisz. Dobrze. Podpłyn do ozęgu.

Na urwistym brzegu nie łatwo było znaleźć miejsce dla dogodnego wo-
dowania.

Nagle przerzuciła nogi za burtę i omal nie wywracając kajaka wskocz
ła do wody.

- rodaj wiosło! - krzyknęła z brzegu.

rodalem.

Szarpnęła, ~~...~~ Dałem nura do wody.

Gdy po chwili stał tkwiąc po pas w rzece rzuciłem się do brzoju
jej już tam nie było. Gdzieś w oddali migotała ciemno-zielona ~~jej~~
spodnica. Stojąc na łące oczekiwałem jak skąpany kundel. Byłem wściek-
ły. Byłbym ją gonił do utraty tchu i zoli na kwasne jabłko gany gdy-
by ^{zginął} prąd rzeki nie znosił kajaka na środek rozlewiska. Chcąc nie chcąc
z powrotem zanurzyłem się w rzece. Wyłowilem wiosła, dopłynąłem do
kajaka. W drodze do miyna zaprzysięgałem okrutną zemstę.

I byłbym jej chyba dokonał gany nie wydarzenia dwóch następnym
tygodni.

- Mam dla was zadanie. - ciągnął pocztarz - rojeździe pan do Wilna. Jutro rano. Na Jagiełłowskiej, pod dziesiątym zgłosi się pan do niejakiego Jana Olszewskiego. Będzie pan pamiętał: Jan Olszewski. Powiadcie się na mnie i zawiadomicie o aresztowaniu Stacha. To wszystko. Czekam w poniedziałek. Jutro proszę nie przychodzić. W niedzielę poczta zamknięta, a nie trzeba, żeby wiadziiano, że spotykamy się prywatnie.

Buckę łatwo było przekonać o potrzebie wyjazdu do jednostki nagrzędej. Hanna namiot uśmiechała się ironicznie.

Na Jagiełłowskiej, faceta nie zastałem. Powiedziano, że będzie wieczorem. Pomyślałem, że dobrze byłoby odwiedzić Kościłkowską. Po aresztowaniu Gerarda zjechała z Polepia do Wilna i zamieszkała na Larzeczu. Oczywiście z Gogą. Uczyła kroju w gimnazjum krawieckim. Przydała się przedmałżeńska przynależność klasowa, a zapewne i kontakty stare, matki z lewicową młodzieżą nowna. Dość, ^{że} byłę "pamieszczycy" pozwolono uczyć w socjalistycznej szkole.

Zrobiłem im dużą radość. ~~Wszędzie~~ Goga poprostu wisił na moim ramieniu. Pokazał mi swoje skarby, które wywoził z Polepia, a więc: odłamek podkowy po klaczce, cybuch po ojcu, obrozę po psie, kawałek drewna odłupany z łodki, mech zdarty z poszycia stodoły i całą kolekcję pior ptasich: kukułczych, sowych, wronich, z kuropatwy i z czajki. Na siłę ^{zrobił} ~~wzruszył~~ mi prezent ze wspaniałego pawiego oka. Za mi było chłopca. Wieś dla niego była wszystkim.

Zagarnął mnie na całe popołudnie. Pani Wanda z trudem zdołała zamienić kilka słów. Ciągłe kazał przypominać sobie łąki, rzekę, drzewa, wujka Władzia, kucynarkę-maszkare, żywy i martwy inwentarz Polepia. O ojcu tylko nie wspominał. Nie mógł. Wstydzili się też.

- Przeszan Goga! - znecierpliwiła się wreszcie ^{matka} ~~pani Wanda~~. - Co tam słychać panie Tadesszu u noży?

Spocumniałem.

- Nie wiem. - odparłem - dawno jej nie widziałem.

- Ach tak! szkoda. myślałam, że z tej maki będzie jednak chleb.

szalapatna bo szalapatna, ale dobre stworzenie. Serce ma złote. Musi pan wiedzieć, że kiedy z początku było mi ciężko, bo to naje odrazu pracę udzieli, pomagała nam jak mogła. To mieszkanie też za jej pomocą. Umie się kręcić wśród ~~tych~~ Litwinów.

- Umie...-powtorzyłem suchno przypominając sobie zmotywowanego Fagasa.

Tym nie mniej słów Kosciółkowskiej, słuchałem z ~~zainteresowaniem~~ przyjemnością pomimo, że przecież w dobroć noży nigdy nie wątpię. ~~Ważną~~ starczyła spojrzeć na ~~własne~~ rękaw wiasnej marynarki kupionej za jej pierwszą gazę. Gdyby wykreślić ową przekiętą noc, nie słyszeć drażniącego warkotu silnika.

Pod wieczór zastałem faceta na Jagiellońskiej. Nie wiele starszy ode mnie brunet w luźnej ~~marynarskiej~~ dwurzędowce i wysokich butach wysłuchał z uwagą mojej relacji.

- Stach tu niczego nie poszkapił.- stwierdził gdy potwierzyłem opinię poczciarza. - to akcja zakrojona na szerszą skalę. Ja dziś nie nocuję w domu. Ranu nie radzę wracać do Jaszun. Ma pan gazie przenocować?

- Mam. - oświadczyłem myśląc o rawłowiczach - co mam przekazać na poczcie?

- Nic. W poniedziałek już wszystko powinno być jasne. Ran w ~~każdym~~ każdym razie niech nie wraca.

Nocowałem u rawłowiczów.

Do północy słuchaliśmy Londynu. Przed końcem speaker audycji polskiej z nieukrywaniem rozdrażnieniem skandował: "Filtr Moskwy z Berlinem trwa nadal. Znow przez stację graniczną w Małkini przeszedł duży transport tuczonych gęsi. Władcy Kremla czynią wszystko aby ciemlęcy Europy: Polski, Norwegii, Belgii, Holandii, Francji nie podupadli na siłach. Ran motow ludzi się, że za gęsi smalec kupi bezpieczeństwo swoich granic. Ale czeka go rozczarowanie..."

- Ściszcie! - syknęła rawłowiczowa.

Ranu witalis posłusznie skrzył gąbkę. Przystawiliśmy uszy do głośnika. Jeszcze kilka minut leciały gromy na krótkowzroczność komisariatu

innastrannycu uzięł.

- Ma rację! - skonkludował pan Grodecki uderzając kufakiem w swoją chorą nogę. - Dostanę jeszcze takiego łupnia, że się im, panie dziejski, dwudziesty rok przysni! Roda Kostiuchnowką, panoczku daliśmy im takie wciery, że sam ataman budionny wasy sobie rwał z ~~rozpaczy~~ rozpaczy. Hitler musi sobie tylko przygotować jazdę, do czego i dobre na rołakow, Francuzów, ale ^{na} Bolszewika do kitu. Nie przejedzie po tamtych piacnach. Hitler łeb ma, napewno swoich zuchow posadzi na konie. A że zuchy są widzieliśmy w trzydziestym uzięwiałym. Jeden Niemiec starczy na dziesięciu łapciuchow. Szkopow nie kocnam, panie dziu, wcale, Austryjakow jeszcze. Do ~~szkopa~~ to panie są gdzie przyjemniejsze dziewaszki jak we Wiedniu. I nie kosztowne takie. Postawisz ~~panu~~ panu Fliznera, parę precelkow i rod co chcesz. Znałem jedną taką mimi to za parę ponczoch..

- O- o wspomiała babcia dziewczę, wieczor! - przerwała rawiowiczowa- było, ~~nie~~ minęło. Teraz w kolanie strzyka i w Krzyżu łamie. Ciepła butelka lepiej wygodzi jak mimi!

- Bodaj tam dobrodziejka kocnana! czy ^{moja} ta ~~Wegera~~ Wegera zostawi po sobie marną szczapę na podpałkę? Wszystko wysmoli, zawinie kuprem i najda na lowry - latawiec, powsinoga! Zeoy tak na nią taki reumatyzm..

- Weź pan na górę czajnik. Nano Tereska odbierze.

- Rączki całuję! - ukłonił się ex-legun i pokuszył do kuchni. Jeszcze na moment pokazał się z czajnikiem w ręku.

- Zresztą cholera wie czy dali by rady. Napoleon tez sobie zęoy połamał. Rosja to uziwny kraj, tajemniczy, nieodgadniony..

- i ciegawy. - dodałem

- Jam tam go nie ciekaw! ~~ę~~ mruknął

W kuchni trzasnęły drzwi.

- Ten to nigdy nie wie kiedy przestać głądzie! - powiedziała rawiowiczowa. - Jutro znów go przyniesie.

Nie przyniesie. Pomimo, że nie był ciekaw jeszcze tej samej nocy rozpoczął podroz po ogromnych oaszarach Rosji. Zakomunikowała mi to raw-

łowiczowa tarmosząc za ramię.

- Grodeckiego zabrali! - krzyczała

- Kogo? - pytałem zaspany

- No Grodeckiego! W nocy wzięli. Ireskich też. Całą rodzinę: starszego, synową i dwoje wnuków.

Usiadłem na kanapie.

- Kto ich pozabierał, za co?.. Kobiecy, dzieci!.. Co się dzieje?..

- Wyjdź na balkon zobaczysz. A najlepiej będzie jak wyjdziecie z domu. Ty, Władek, Lonka i ojciec. Wrazem ^{czego} mnie z samymi pędrakami chyba nie ruszą.

Zerwałem się z posłania. Nakiładając ubranie wyglądałem na ulicę. Opustoszała. Pomimo niedzieli nie widać było się odświętnie ubranych ludzi, nikt nie spieszył do kościoła. Dwa czy trzy razy przemknęła ciężarówka. Płecami do szoferki siedzieli enkawudzisci. Cienkie bagnetki wymierzali w bezchmurne niebo.

Pan Witalis dowodził, że nie ma najmniejszego sensu wychodzić z domu.

- Co komu pisane ten od tego nie ucieknie. - mówił - Tych co mieli zabrac zabrali nocą. W dzień nie mają zwyczaju aresztować.

- To zobacz! Spójrz w okna. Uganają się jak hycie. O! słyszysz? Już jadą! - denerwowała się Rawłowiczowa - Boże Święty znowu dzieci!.. Malenkie jakie. Chryste znikaj się! I staruszek - toz to się ledwie na nogach trzyma.. Za co bog karze ten narod!?..

biadała. Załamywała ręce. Wzdychała.

Potem wbiegła do przedpokoju po kapelusz i płaszcz męża.

- Ubieraj się! - zawołała - Władek na co czekasz, Lonka!..

Pan Witalis nie ruszał się z krzesła. Łapczywie wciągał w niepojemne płuca olbrzymie kłęby dymu. Na czoło wystąpiły mu zmarszczki, tak rzadkie na łagodnej, dobrej twarzy.

- Witak, proszę cię! - nalegała ^{szturczyła} ~~popędzając~~ go po piecach.

- Zostaw mnie. - burknął - nigdzie nie pojedę. Władek i Lonka nie

ch idą. Wyjść łatwo, ale potem znaleźć się będzie trudno. Jak jesteśmy na spisie to zabiorą kogo znajdą w domu. Innych też poszukają. W tym są bardzo skrupulatni..

- Na co czekacie?.. zwrócił się do starszych dzieci.

Lonka uderzyła w płacz. Chlipały młodsze pociechy. Rawłowiczowa wycierała oczy. Nawet dwudziestoparoletni Władek pociągał nosem. Poczułem się zbędny w tym gronie. Moje losy w tej chwili marginalny, obojętny. Mogłem wyjść nie zauważony.

Słońce zalewało ulicę. Kamienice rzucały krotki, z każdą minutą krotszy cien. Prawie że nie spotykało się Polaków. A jeśli jaki się znalazł przemykał ocienioną stroną ulicy, jakoby liczył na dodatkową osłonę dla nisko pochylonej twarzy. Środkiem chodnika przesuwali się tylko Litwini i Żydzi. Na zaważnię gromadzili się przy krawężnikach. Żywo rozprawiali. Każdy gazik z uzbrojonymi żołnierzami potęgował ozwienie. Zwłaszcza gdy zdążał na stację, a między szarymi szynelami kuliły się wystraszone postacie - młodzi, starzy, dzieci - w letnich powiewnych sukniach bez płaszczy i w futrach, w eleganckich wizytowych ubraniach i szarych roboczych kombinezonach. Na rogu Trockiej litewski oficer kiaskał w dłonie.

Twarz mi paliła z wściekłości i z wstydu. Poczułem się spoliczkowany przez szeroką, mięsistą łapę chama. I zdawało mi się, że ma ku temu prawo za moje tchorzostwo, za to, że nie mam odwagi pałać w czerwoną, spasioną gębę.

Wlokłem się otrętwiały. Idąc jego ulicami byłem nieobecny w tym mieście. Czuję się zawieszony w próżni. Żadna myśl nie układała się w logiczny łańcuch. Byłem opanowany bezradnym, dziwnym zaniem. Nieokreślonym bo nieskierowanym ku czemuś czy komuś. Do przecież nie ~~do~~ ^{do} gawiedzi skupionej na skraju jezoni i nie do konwojentów na samocnodach, instrumentów czyjeś ^{śląpoty} ~~śląpoty~~ ~~śląpoty~~.

rod ostrą bramą utartym zwyczajem kiepały pacierze bezżone bałiny, a dwóch czy trzech żebraków wyciągało na chodnik drewniane kikuty.

Obraz był zasłonięty. Tej nieoczekiwanej przeczystej ranny nie rozbudził ani nabożny śpiew, ani pobrzękiwanie dzwonków, ani łomot kufaków po człowieczym sercu. Zawrociłem.

Wzruszyłem na noszę.

Uwaga była pusta. Na płycie riksudskiego leżała wiązanka biało-czerwonych goździków. Cisnąłem ją między żołnierskie groby, między tych "co w kwietniu 1919 roku, Jemu, jako wodzowi winno jak prezent pod nogi rzucili."

Tu wykluła się pewna refleksja - głupia do głupia, lecz refleksja. Zrozumiałem, że rozrachunek za błędy ludzi i narodów przynosi zazwyczaj zapóźno, ale przyjsse musi. ~~Wtedy~~ Zrozumiałem ~~czymś~~, że nikt nie powinien umierać bez poniesienia odpowiedzialności za obłąkaną miłość do ziemi, do ~~krącej~~ tradycji, do rodaków. Dlatego ~~to~~ owo "dumne serce" złożone u stóp "dumnej matki" należałoby wyrzucić, otoczyć zbrojną eskortą i wywieźć daleko, gdziekolwiek, byle poza ~~granice~~ ^{arenę} narodowych waśni. Niechby sobie przy tem opasły Litwin klaskał do opuchnięt^{cia}~~ych~~ dłoni. Niechby klaskali wszyscy zadowoleni z wyroku historii. Ale wywożonym na bocznicy wileńskiego niechby oszczędzono pogardy. ^{Wzrost} ~~Wich~~ kwiaty składane w celi konrada i przed sarkofagiem suchotniczego krolewicza ~~nie powinny~~ drażnić ^{Grecer} cudzej dumy. ^{od} wygodzenia szowinistycznej bigoterii był tenże trup mięsien.

Postanowiłem wracać do Kaszun. Udybym nawet cnciał gdzie indziej, to nie miałem gdzie. Do odjazdu pozostały niecałe dwie godziny. Tyle żeby w dworcowej restauracji zjeść obiad.

Na ulicach srodmieścia panował już zwyczajny ruch. Kursowały "ar-bony", tłukły kopytami o bruk dorozkarskie konie. Zaludniły się chodniki. Język polski słyszało się równie często, jeśli nie częściej, od innych. Z porannym uderzeniem nie pozostało śladu. Szała codzienności wyrównała powierzchnię życia.

Na Dworcowej, ktoś trącił mnie w plecy. W twarzy Rozy rysowała się powaga. Rod pachną trzymała paczkę.

- Nie minęło cię to wszystko, widziałaś?.. - spytała

- Widziałam. - odparłem krótko

- I co teraz sądzisz o społecznej sprawiedliwości? Jak ci się podoba dyktatura proletariatu, walka klas? Na pięciu burzujów stu oledaków! Wyłapali dozorców, listonoszów, nauczycieli, emerytów. Cudacznym kamancom biegnie ten wasz podział klasowy!..

- Co ja mam z tym wspólnego? - burknęłem podrażniony

- Już nic?.. Szybko ogłosiłeś rozbrat. Doskonała kuracja dla idealistów!

- Z niczego się ^{tu}wyleczyłem! - warknęłem - to pomyłka. Nie pierwsza i nie ostatnia. Z naszej strony też ich było sporo, jeśli nawet nie więcej. Wzięła mnie pod ramię.

- Czemu ofiarami tych twoich pomyłek są zawsze zwyczajni, prości ludzie? Łójdiesz ze mną?..

- Dokąd?..

- Do nich. Na dworzec towarowy. Jeszcze nie wszystkie pociągi odprawiono. Spróbujemy coś podać.

Z podobnym zamiarem przyszło na ~~kolejową~~ kolejową rampę jeszcze kilkadziesiąt osób. Stali w znacznej odległości od wagonów nie śmiejąc podejść do wartowników. Noża zaciskając swoją paczkę przestępowała z nogi na nogę.

- Nic z tego, nie dopuszczają. - powiedział ktoś w tłumie.

rociągnęła mnie za rękaw.

- Chodź!

Ruszyliśmy prosto na wartownika.

- Stój, kuda!.. - krzyknął

Wrosłem w ziemię. Ona szła dalej. Żołnierz coraz zdecydowaniej potrząsał karabinem, jakby ostrzegał, że nic go nie powstrzyma od pchnięcia. Przystanęła dopiero na krok przed bagnetem. Namyślnie coś przedkładała wskazując na wagony. Wartownik przeczył ręką głową, ale każde jego zaprzeczenie wzmagalo jej gestykulację. Wreszcie macnął ręką. Wziął paczkę.

W tej samej chwili ku rampie runęła ludzka cizba. Radł strzał. Na tłum ruszyli enkawudziści. wartownik rzucił pakunek i dołączył do kolegów. Napierających zaatakowali kolbami. Noziedł się pisk, płacz, posypały się przekleństwa.

Nóża porwała paczkę i podbiegła pod wagon. Ja za nią. Uniosłem ją przez w górę. cisnęła paczkę w okna dyalącego wagonu. w oknie ukazała się głowa młodego mężczyzny. cos mówił. Zagłuszeni wrzaskiem rozpęzanego tłumy nie rozumieliśmy słów.

- W nogi!.. - krzyknęła

Biegliśmy wzduł transportu. w jeonym wagonie mignęła znajoma twarz. była to Maria. Maria z wysokiego dworu. poruszała bezozwicznie wargami. miała bardzo smutne oczy. zażyłem kiwnąc głoną.

^{Nóji} pociąg odchodził za kilkanaście minut. Przed dworcem pożegnałem nozę.

- Może przyjechałbyś za tydzień? - szepnęła

Przytaknęłem.

Czesc Słósla

Rozstania.

1. Czerwcową jesień.	249 177
2. Na skrzyżowaniu.	260 184
3. Bohaterom sława, renegatom ^{śmierć} kula	269 190
4. Salceson dla bohaterów.	278 197
5. Słowo na wagę złota.	294 207
6. Po Gustawie Konrad.	301 211
7. W cieniu ponarskich drzew.	311 218
8. Kamyk do sadzawki wspomnień.	321 225

1. Czerwcową jesien ^{Włoc}

Trzy po trzy.. o aniach, wstrząsając głobem przewróciły porządek małego światka, - czyli jak prezes walczył za lud, księgowy ratował od głodu ofiary wojny, a inspektor sam rzbis siebie.

Na pojednanie czasu nigdy nie jest zbyt dużo, przeto postanowiłem pozostać w Wilnie do wtorku. Przed wyjazdem wypadło oddać klucze od szaf i biurka. Bućko korzystając z nieczieni wybrał się na ryby więc udałem się do panny Namiot.

Czerwiec czterdziestego pierwszego należał do równie pogodnych miesięcy co wrzesień trzydziestego dziewiątego. Znow wisiła bezchmurna niebo.

Narazie od nadrzecznych łak wiało chłodem. Na szosie zauważyłem niecodzienny ruch. Samochód sądził za samochodem. Przeważnie w kierunku Lidy.

Na ławeczce przed biurem zastałem całą semicką część personelu. Nie tylko inspektor Jospe miał bladą twarz. Kasjerka szczykała zębami.

- Wojna!!!.. - wymamrotała gdy zolizyłem się do ławki.

- Niemożliwe! - zawoizłem - skąd ta wiadomość?

inspektor panował nad sobą, lezz głos mu crzał: ~~szumienia~~

- Z radia. Uderzyli o czwartej nad ranem. Samoloty zoombaradowały Gredną, brześć, Białystok. Przemawiał Mołotow..

- Dokąd oni jada? - przerwała panna Namiot goniąc wzrokiem auta.

-.. będziemy się bronic! - ciągnął - Nie przejadzie! Tym razem nie przejdzie! Związek kadziecki to nie Francja, nie Polska..

- W Hiszpanii też wołano: "no pasaran" - z goryczą powiedziała Namiotówna.

- Teraz nie z milicją sprawa. Nie z garstką ochotników z między narodowych brygad, z bezbronnymi robotnikami. Teraz drogę zagradza najpotężniejsza armia świata.

Arzepiące słowa jakos nie poprawiły samopuczucia siucnaczy. Abram wykrczał sobie palce az treszczały w stawach. Syn miymarza spacerował nerwowo. Namiotówna ciągle przyzlepiała przerażony wzrok do pędzących sa-

mochedów i powtarzała do znudzenia:

- Dokąd oni jadą?..

- Muszę wyjechać do Wilna. - oświadczyłem - W banku mam kilka spraw.

Jospe spojrzał zdumiony.

- Do banku? Ato tam teraz będzie ^{moja} głowę do rozmowy. poza tem jest rozkaz ispołkomu żeby nikt nie opuszczał miejsca pracy.

Przeżółtem przekleństwo.

- Dzisiaj także pracujemy. - dodał

Nikt nie opuszczał ławki. Sklepy były zamknięte, a biurka świeciły nagim blatem. Około dwunastej podniósł się Jospe.

- Zajrzę do żony. - rzekł - Abram niech zamelduje partorgowi, że w "Sielpo" wszyscy na miejscu.

- Dysyaa, Bucki i Denczuka nie ma. - wtrąciłem

- Bucko na rybach, Dasys w sklepie odsypia wczorajszą popojkę. A Denczuk - machnął ręką - ten się nie liczy..

Abram wskoczył na rower. inspektor pomaszerował w stronę lasu. Bardziej niż zwykle kurczył kark. Głowę niesł bezmała na ramionach. Gdy znikł za zakrętem odezwała się namiotowna:

- Źle jest.

- Dlaczego? - zapytałem

- Te samochody. To wygląda na ewakuację. czy nie rzuca wam się w oczy brak wojska, naszych czołgów.. gdzie one są?.. Dotąd nie przeleciał żaden samolot.

Jakby dla zaprzeczenia, po paru minutach doszedł szum silników. wzmagał się z sekundy na sekundę. roznie, nad linią lasów pojawiła się eskadra. samoloty zatoczyły szerokie koło, z którego co raz odrywała się pojedyncza maszyna do ^{niekierowanego} ~~przebiegającego~~ lotu. cingła za wierzchołkami drzew i natychmiast po detonacji wyskakiwała w górę, jakby wyrzucona potężnym wybuchem. po pierwszej bombie namiotowna zacisnęła powieki. skrzyżowane ręce miętoszyły bluzkę. Marek Notbaum przybliżył, ale powiedział spokojnie

- Atakują kolejowy most na Merezance. Chcą przerwać łączność z południem.

- Boże.. Boże.. - szepnęła Namiotówna - żadnej obrony. Jak we wrześniu..

Zakręciła się na pięcie i wpadła do domu. ~~Kiś~~ tego dnia więcej się nie pokazała.

Tymczasem wybuchy bomby dały się słyszeć jeszcze wielokrotnie. Najczęściej od strony Wilna. Wieczorem łuna zalała całą północną część miasta. Płonęło lotnisko na Porubanku.

W poniedziałek nie wyłączając Kosi Denczuka przyszedli wszyscy. Ale też nikt nie pracował. Przed sklepem tłoczyli się wieszniacy. Partorg polecił sprzedawcę po kilogramie soli i litrze nafty. ^{wydał} ~~zorganizował~~ ~~zakaż~~ sprzedaży wódki. Inne produkty rozprowadzono bez ograniczeń.

Okolo południa zapasy były na wyczerpaniu. Nie miała w tym zasięgu przejeżdżających, którzy wpadając do sklepu potrzęsali baruziej lub ^{całe} mniej ważnym dokumentem i ładowali na woz ~~zorganizował~~ partie towarów. Przed bazą sytuacja była analogiczna, z tym, że kierownik Dasys wykazywał daleko więcej niechęci i dużo mniej zrozumienia dla znaczenia poszczególnych osobników niż Marysia czy Irka w sklepie. Do pomocy wziął sobie Kosi polecając po każdej wydanej skrzynce dwie inne odnosić do stodoły i zagrzebywać w sianie. ~~W ten sposób da wieczór w bazie już także nie było praktycznie masowego spożycia.~~

We wtorek szosa Wilno-Lida przypominała sroczmiejską ulicę. Ruch był przeważnie jednokierunkowy, na południowy-wschód. Pojazdy już nie zatrzymywały się przed spółdzielnią. Ręziły przed siebie z zawrotną szybkością skrajem ciągnęli obciążeni mężczyźni, kobiety i dzieci wypłoszeni z miasta pierwszymi nalotami.

Znowo całe przedpołudnie przesiedzieliśmy przed biurkiem. Jedna panna Namiot skrętnie wertowała na biurku papiery, coś notowała, coś darła. Sucko i inspektor od rana konierowali u partorga. Dasys zaparkował się w magazynie i żadna siła nie mogła go nakłonić do otwarcia drzwi.

A łomotali zawzięcie i uchadźcy z miasta i stali mieszkańcy osady domagając się soli, mąki, kaszy, mydła.

Około południa przypedałował z pod stacji bućko. Ale drogę do biura przeciął mu wzburzony tłum. Babcy wrzeszczały, chłopcy spoglądali z pode łba wypuszczając od czasu do czasu soczyste przekleństwa. Ktos krewki przyrunął prezesowi pod nos kuliak.

- Czego wy ludzie?... - perswadował obłązony - Co ja mogę zrobić, jak nie ma to nie ma. Jutro pojutrze się uładzi i znow dowiązają.

- Diabli tam nie ma! rąchowaly żuliki, rozkradły!.. - krzyczała jakaś kobieta.

- W jeden dzień wyprzedali cały towar judasze!..

- Z sklepu może. Ale z magazynu?

- Magazynier z kumpłami kłajaxaxax zalewa mordę od rana!

- Ukryli przed ludzmi, a teraz trąbią na pośmiewisko.

- Na szyderstwo!..

- Z ludzi sobie cyrk robią!

- Kołem by w drzwi!..

- I po zebracn drani!!!..

Zdesperowany prezes jedną ręką przesuwiał czapkę z boku na bok, drugą skrobał się po pośladku. Czynił przy tym niesmiały próby wydostania się z okrążenia. Gdziekolwiek jednak się nie obrócił miał przed sobą groźne twarze.

- No dobrze!.. - krzyknął - Pojadziem z gławouchem sprawdzić ile i czego jest na magazynie. Co się znajdziem wydamy do sklepu. Tylko zadnego rozboju byc nie śmie. Wszystko po porządku!..

- Ale pamiętaj szargany nie abman! - padło ostrzezenie

- A to kulasy z dupy wyrwiem!..

Prezes skinął na mnie głową. Poodniosłem się z ławki. Bądź co bądź był ~~moim~~ przełożonym. Tłum postępował za nami krok w krok. Prezes obcasem rąbnął w drzwi magazynu. Wołał:

- Otwieraj Dasys!.. Pamiorki czte li?.. Otwari kab ciebie chajera!!

Jego głos pozostałby pewnie głosem wołającego na pustyni gdyby z wyrzucony z tłumu kamień nie utrafił w szybę. W szparze między drzwiami zajaśniała łysiejąca czaszka kierownika. Ducked wsunął stopę, lecz ^{Teinade} powstrzymał napór.

- Ruszczaj! - warknął

- Nie wpuszczę nikogo. - odparł śpięknie Dasys

- Bo co?..

- Bo remanent.

- Jaki remanent do ciężkiej choroby!..

- Albo odpowiadam za towar, albo nie?.. Póki nie uporządkuję co jak należy nikt ^{we} nie wejdzie. Wczoraj dość tu nabuszowali. Siedzieć nie myślę!

- Dasys człowieku czyś odureł? - napominał prezes.

- Ajk śikti! - usłyszał w odpowiedzi.

Krew uderzyła mu do głowy, bo ^{ty} tyle po litewsku rozumiał.

- Ruszczaj gnoju! - wrzasnął - remanent nie remanent zawsze jestem w prawie wejść! księgowy też. Nie otworzysz to jak boga kocham telefonuję do partorga, że mi tu bunt zakładasz..

- Długa chłopcy i zaraz puści!.. - krzyknął ktoś w tłumie.

- Rałauki!.. - rzekł Dasys i zniknął w głębi budynku.

Nie ruszaliśmy się z miejsca. Prezes wciąż trzymał nogę między drzwiami. Po chwili znów ujrzyliśmy mięsisty nos litwina.

- Ty i księgowy włazcie! Innego trzasnę żelazem w łeb. - oświadczył wypychając przez szparę kawałek łomu.

Tłum zaszemrał. Prezes skierował ku niemu zapocone oblicze.

- Odejdźta chłopcy! Powiadam po obroci rozstąpta się. Milicja jeszcze póki co na miejscu, jeszcze urządzą! Znajdziem co na składzie damy do obrotu, nie zgnądzim pošlem na ranku iurmanki do wilna.

Gromada opornie zaczęła się wycofywać na środek drogi. Dasys spuścił łańcuch. Już w progu doleciało nas groźne memento.

- Pamiętaj Józio - a to kulasy z dupy..

Magazyn żywnościowy w istocie był pusty. W innych izbach zalegały bronie, pługi, kosy, ^{stadu} ~~zabójczy~~ kadzie z smarem i dziegciem, lecz na tym towarze nie zależało niecierpliwym klientom.

- Naprawdę Dasys nie masz ani worka kaszy, nic maki. Przecież było wszystkiego do cholery. Udzie się pouziła cała słonina, konserwy?..

Dasys z lekka zataczając się na nogach odpowiedział z trudem pakując czkawkę.

- Jest. Czy kto mówi, że nie ma?.. wszystkiego jest, ale nie tu. W stodole.

- Tak dawaj chłopie! Wiesz co się dzieje. Rozszarpia nas.

Litwin przeknął ślinę.

- Niezgo nie dam! - burknął

Bucko omal nie przyklęknął przed upartym ar, blasem.

- Człowieku masz ty rozum? - molestował

- Śudas, nie dam!

- Panie Dasys, zrozum pan. Wczuj się pan w położenie. - zacząłem i ja.

- Burnas żmogus. Asięgowy a nie wie, że musi być remanent. Ne dosiu ir baigta!.. Perkunas!..

Wiedzieliśmy, że skoro odwołał się do starolitewskiego bożka nikt i nic go nie przekona.

- To co robie? - zapytał bliski płaczu prezes.

- Jutro wydam. Od samego rana.

Bucko długo drapał się w potylicę.

- Tak daj chociaż cwiartkę. Bez łyka nijak do nich wracać. - rzekł ~~zrezygnowany~~ zrezygnowany.

Dasys wyciągnął z kieszeni napoczętą butelkę. Prezes wyprochnił do ona. nekawem wytarł usta.

- Idziemy! - powiedział i dziwnie usztywniony ruszył przed siebie.

mnie się nie śpieszyło. Przystanąłem za regałem. wyszedłem gdy trzasnęły drzwi, a Dasys założył sztabę.

- Šudas im dam! Jutro tez gównu dostaną. Może pojutrze, ale nie wiadomo. - powiedział i ~~przekrzyknął~~ konfidencjonalnie zagarnął mnie ramieniem.

- Chodź dziergniem! W kantorku jest ~~to~~ zakąsac, jest i kompania.

Na zydu rozparty jak basza siedział technik drogowy ^{Beniksuska} ~~przepracowany~~. Obok na skrzyni bliżej mi nieznanym litwin. Na stole między baterią, butelek spoczywała solona słonina, cebula i kilka grubo pokrojonych kawałków chleba.

- swój człowiek. - zarekomendował mnie Dasys.

Technik wsadził mi do garści szklankę.

- Ruj! Nam na zdrowie im na pohybel! - rozkazał

Nieznajomy zagadał coś po litewsku. mowił tak szybko, że nic nie zrozumiałem.

- Dasys pasako save tai savo. - przerwał mu technik.

Jednak więcej na czyjąś zgodę nic nie kazał.

Gdy wychodziłem zapadał mrok. Dobrze szumiało mi w głowie. Bracia Litwini nie tylko uraczyli jak się patrzy, ale na krąg wypadek głodu, - który ich zdaniem przy bolszewickiej gospodarce zawsze wisi na człowiekiem; Dasys wyposażył w pokazny krążek suchej kiełbasy. Do kieszeni napchał papierosów i kilka paczek sucharów. Rowłoczystym krokiem zmierzałem do ulica dostrzegając w oknach światło.

Opodal sklepu natknąłem się na dwie kobiety. Jedna tarosiła kiamkę, druga wspinając się na palce zaglądała do srooka. Wyjaśniłem uprzejmie, że spółdzielnia z przyczyn obiektywnych jest nieczynna. ^{taki} ~~A~~ gdy ponad to dodałem, że stan trwać będzie chyba jeszcze dość długo młodszą powiedziała do starszej z wyrzutem:

- No widzisz Elu! Tu, a nie w Wilnie przyjadzie się umrzeć z głodu.

- Nakłoniłam siostrę - tłumaczyła blondynka - żeby wyjechać na wies nie wyobraża pan sobie jakie w Wilnie bezgłowie. Ludzie szturmują sklepy. Niczego dostac nie można. A moja Jadzia to okrutny zarłok.

Jadzia wymamrotała coś pod wcale zgrabnym noskiem, co miało być zaprzeczeniem wyrażonej opinii.

- Żeby chociaż półbochenka chleba. Byłoby coś do kolacji. Jutro sobie poradzimy. Jak nie nam^{to} miejscu, pojedziemy gdzieś dalej, do pobliskich wiosek. - mówiła starsza.

Z za pazuchy wyciągnęłam kiełbasę, a z kieszeni dwie paczki sucharów.

- Służę pani! - rzekłam robiąc szeroki gest.

Młodsza achnęła z wrażenia. Starsza zatrzepotała rękoma.

- Dziękuję.. Skądże znowu?.. nigdy byśmy nie śmiały..

- Chyba żebyśmy panu jutro oddały.

- Nie ma o czym mówić! Mam to dając. - argumentowałam - Pracuję w spółdzielni i chwilowo mam co trzeba. Proszę brać i kwita!..

Blondynka się jeszcze krygowała, ale młodsza, brunetka trzymała już w ręku kiełbasę.

- No to po bożemu, po polowie.. - zdecydowała starsza odulerając się strze krążek.

Przełamala na pół.

- Uratował pan nas od głodu. Nie wiem czym się będziemy mogły odwzajemnić? Cielewicz jestem. Moja siostra kropowna, jeszcze panna. Zatrzymaliśmy się pod lasem. Stąd czwarty dom na lewo.

Był to dom, w którym inspektor Jospe wynajął dla żony mieszkanie.

Procałowałam szarmancko wyciągniętą dion. ranienską łapkę tużdziez. Odwzajemiała się szczególnie mocnym uściskiem. Tak mi się zdawało. Rytały jak i gdzie mogą wyrownac swój dług, od czego wybraniałem się zapewniając że zawsze mogą liczyć na moją pomoc. W obliczu takiej deklaracji młodsza prosiła aby ich czasem odwiedzić. Obiecałem.

W biurze znalazłem suchkę. Spół-wsparty na przedramieniu. Musiał mocno targnąć ~~jęga~~ za rękaw, żeby unosił głowę z nad biurka. Na czole siedział guz ~~niekaka~~ koloru dojrzalej śliwy. Sądziłem, że wymowi mi rejtęradę, ale nie.

- Dobrze, że przyszliście. - powiedział - Po mnie obejmujecie dyżur. Przekaz. Wszystkie zakłady i przedsiębiorstwa dyżurują. ~~Też~~

- Teraz idźcie spać, ale o dwunastej czekam. Ledwie tu siedzę. Leb ni pęka..

- Oberwał prezes?

- Cegłą w łepetynę, a kamieniem w czoło. Dobrze że choć kilku znalazło się poczciwych, bo by zabili psiekrwie! Jutro znów ta sama poika. Ale ten Dasys to świnią! Nie myślałem. Wyglądał na porządnego. I pomyślałem: za takiego nastawiałem karku. Jak Boga Kocham, żeby nie ja, dawno by wyleciał. Może jak łupie!.. Czerep mi pęka!.. O psiekrwie!.. -

rojękiwał trzymając się za głowę.

- Najlepiej jak pan pojedzie do domu. - powiedziałem - przyłoży pan sobie kompres, wyśpi się i rano będzie dobrze..

- Chciałby pan za mnie posiedzieć? Dziękuję. szczerze dziękuję, bo już naprawdę trudno wytrzymać..

po wyjściu prezesa za jego przykładem oparłem czoło na przedramieniu i zasnąłem.

Obudziłem się po północy. Ziemia dygotała od detonacji. Gdzies grzmiały działa. Od czasu do czasu powietrze wibrowało od szumu samolotów. Po szosie bez przerwy sunęły samochody. kilka razy szcękając żelazem przetoczył się czołg. Pojazdy migaly za szybą jak widma, - bez swiatek - jak oślepione straszzydła.

Wyjrzałem przez okno.

Cała północna i zachodnia płaszczyna nieba krwawiła łuną. nad willą raz po raz wylatywały rakiety - rozno kolorowe, gwiazdziste - i opadały wlokąc za sobą jaskrawą smugę światła.

Na przedświcie wszystko ucichło. szosą przemykały już tylko pojedyncze samochody. zamierzałem powrócić do przerwane go snu gdy nagle zazgrzytały hamulce i jakaś maszyna zatrzymała się przed domem.

Wszedł partorg, a za nim biały jak płotno inspektor Jospe.

- Dyżurujecie?.. Nic nie było?.. - rzekł sekretarz podając mi rękę i nie czekając na odpowiedz dodał:

- Towarzysz Jospe ma do was prośbę. Nożnie o was mówili, ale na szczęście znam się trochę na ludziach. Do zobaczenia towarzyszu, do rychłego zobaczenia!..

Energicznie ścisnął mi dłoń.

Do biurka zbliżył się Jospe. Ten niski, chuderlawy człowiek skurczył się tej nocy jeszcze o kilka cali. Oczy miał ^{podkrążone} ~~zasiniane~~, a wargi zsiniały. Długo poruszał nimi bezgłośnie zanim wypadły pierwsze słowa:

- rewnie pan nie zechce? - zaczął - pan napewno nie zechce.. jednak muszę o to prosić. Muszę błagać.. nie mam tu nikogo komu mógłbym zaurac. Nasi gaby nawet cncieli nic już nie ~~można~~.. dlatego zmuszony jestem właśnie pana.. Ale pan napewno nie zechce!.. niby dlaczego, z jakiego tytułu?..

- O co chodzi? - wtrącałem nieco zniecierpliwiony.

- O opiekę, o pomoc dla mojej żony. - wyrzucił jednym tchem.

- Dla żony!?! - zawołałem zdumiony

- Tak, dla żony.. Na coż ją tu przywoziłem, poco zabierałem od rodziców?.. Ale przecież chciałem jak najlepiej, tylko jej dobra.. kto mógł przewidzieć, że to stanie się tak szybko i taki ^{dybrót} przyblyszee?.. kto mógł przypuszczać, że starczy im wszystkiego trzy dni?..

- komu, co, jak?.. - pytałem gorączkowo

- Niemcom. Są na przedpolu Wilna. Jutro chyba zajmą miasto. Jutro będą i tu. Doze co się z nimi stanie!?! - szepnął ten szczerzy ateista tiumiac izy - moje małe nienarodzone dziecko.. moją syn.. Niech im pan pomoże?.. pomoże im pan?..

- Cóż ja mogę zrobić? -

- Tylko ułatwie jej powrót do Wilna, do rodziców. A potem..

Głos mu się załamał.

- .. proszę, choć nic wzamian obiecać nie mogę.

- Pan ucieka?

- Tak. Muszę. Wycielujemy się. Dostałem rozkaz. Wroclimy tu napewno, wiem, jestem przekonany, że wroczę.. żeby tylko było poco, do kogo?..

Wyciągnęłam rękę.

- Postaram się. Uczynię co będę mógł. - powiedziałem z wiarą w swoje słowa.

Trzymał ją długo. Bardzo długo. Zbyt długo. Zaczęła mi ciążyć. Pod palcami wyczuwałem każdą kość.

- Gdyby jutro mógł pan pojsc do niej - mówił - i powiedzieć, że musiałem, że taki był rozkaz. Jestem komsomolcem, pan rozumie. Proszę powiedzieć, że kazałem jej wierzyć w nasz powrót, w nasze szczęście.. i niech syna nie poddaje obrzezaniu,.. może nie ~~нашия~~ będzie podobny do zydów..

x Obrócił się gwałtownie i wypadł na szosę. Odjechał.

Znikł z oczu, znikł z mego życia. Ale pozostawił umowę, która przerażała swoim ciężarem.

2 Na skrzyżowaniu.

/Trzy po trzy.. o smutnym losie kasjerki, celnych czołgistach, uciekających trumnach, wikarym, który modlił się za ginących, o rzeźmieszkach i opuszczonej kobiecie./

W środę, bezpośrednio po dyżurze próżno czekałem na pracowników. O pół do ósmej przyszła panna Namiot. Do ósmej udawaliśmy, że jesteśmy zajęci bieżącymi sprawami biura. O ósmej powiedziała cicho:

- Nikt nie przyjdzie. To już koniec prawda?..

Nie odpowiedziałem. Nysowałem na papierze esy-floresy. Za oknem przejechał samochód. spytała:

- Jeszcze nasi?

- Nasi.. - odparłem

Znow zapadła uciążliwie długa cisza. Wreszcie wstała.

- Do widzenia-powiedziała kierując się do mieszkania

- Do widzenia..

Już więcej nie usłyszałem jej ochryplego głosu. Niedługo ujrzałem ją nazajutrz leżącą twarzą w trawie. rogięta suknia odsłaniała grube uda - białe jak gips i jak gips skamieniałe.

Zamknąłem budę.

Klucze postanowiłem odnieść bucce. Do sklepu już nikt nie szturmował. Czasem ktoś szarpnął kławkę i o odchodził.

Za kościołem, między zwartą zabudową wsi ludzie skupiali w większe lub mniejsze gromady i żywo o czymś rozprawiali. Nagle przemknęło kilku rowerzystów. Przystanąłem zdumiony. Za technikiem drogowym, baranauskasem pedałował) ~~nieznany~~ towarzysz wczorajszej libacji, za nim dwóch nieznanymi osobników, a na koncu Dasys. Przez plecy mieli przewieszane karabiny, a technik dodatkowo u boku nagan. Na rękawach ~~nieznany~~ białe opaski.

Na poczcie moj konspiracyjny "szeł" nie potrafił mi wyjaśnić kogo reprezentowali i do czego zmierzali zbrojni rowerzyści.

- Wygląda na litewskie powstanie. milicja wczoraj się ewakuowała więc chyba ruszyli na podboj wołospajkomu..

W nocy
- Parterg ~~nieznany~~ opuścił Jaszuny. - poinformowałem

sieniu. Poniżej w odległości dwustu metrów kładła się szosa. Załoga powychodziła z wozów, poza jednym żołnierzem, który wychylony z wiazu ~~pankran~~ penetrował przez lornetę przedpole. Inni wyciągnęli się na trawie, jeszcze inni posilali się dobywając nożem konserwowane mięso. Jakiś elegant postawił na błotniku lustro i zabrał się do golenia.

Większość obserwatorów z za parkanu nie skąpiła pochlebstw tężyźnie i zdrowej, schludnej prezencji wojaków. Najwyższy zachwyty wyrazili mężczyźni z białymi opaskami na ramieniu. Było ich pięciu. Oparci o karabiny trzymali się z dala od pospolitych ludzi.

- Dranie!.. - usłyszałem za plecami.

Za mną stał wikary jaszunskiej parafii. Nieduży, krępy, w wątrowce i płóciennych spodniach, tonsurę chował pod popielatą maciejówką.

- Partyzanci, psia ich mać!.. - mruzczał - Wczoraj Stalina w zadek całowali, dziś partyzanci..

Nagle ten z lornetką coś krzyknął. Porzucili w rowie niedojezione konserwy, herbatniki, niedopite butelki i dopadli pancerek. Gorący się nie starł nawet mydła z brody.

Maszyny prawie bezgłośnie cofnęły się pod drzewa. Lufy działa jak pociągnięte za sznurek zmieniły nieznacznie kąt nachylenia.

poprzysiadano

Za cmentarnym murem ~~tanxixxxxprzysiadł~~. Oczułem się bezpiecznie za pnem starego kasztana, dlatego nie schylałem głowy. Przeciwnie wspinałem się na palce. Wikary jeszcze bardziej wyciągał szyję, choć nie chroził go żaden pien. Partyzanci także wyglądali za mur, choć odcisnęli sobie wrażenie, że chętnie by ^{sobie} kucnęli, gdybyśmy i my uczynili to samo. Jeden nawet krzyknął:

- Śiaskitės, rupuze!..

Nie było czasu na dyskusję.

Na horyzoncie, ~~na~~ na jasnym pasie szosy pojawiły się ruchome plamy. ~~narastał~~ Narastał szum spalinowych silników.

- Raz.. dwa.. trzy! - liczył wikary - Jada trzy trumny.

rotem zdjął czapkę i zaczął poruszać wargami. Zrazu bezgłośnie.

W miarę przybliżania się ciężarówek coraz zdriiwiej i coraz wyraźniej. Gdy wymówił: "teraz i w godzinę śmierci..." huknął strzał.

I jeszcze jeden, i jeszcze jeden. radaly jak grad. Nikt ich nie liczył. Wszyscy leżeli pod ścianą parkanu. Nawet kiedy już ucichło, nawet kiedy parsknęły motory i dał się słyszeć zgrzyt zwiru.

Pierwsi wypadli za furtę Litwini. Reszta opuszczała cmentarz ~~xx~~ ~~xxxxxx~~ pojedynczo, w milczeniu, z osadem lęku i przerażenia w oczach. Chciałem wracać do domu, ale wikary pociągnął mnie za rękaw.

- Musimy tam iść. - powiedział - napewno są ranni.

Schodził ku skrzyżowaniu drog sprężystym krokiem. Postępowałem za nim wbrew woli. Nie rozumiem dlaczego musiałem za nim iść.

Niemcy odjechali w kierunku na Wilno.

Na drodze dopalała się ciężarówka. Druga przewrocona na bok spoczywała w rowie. Trzecia stała nienaruszona, jakby zatrzymana ręką milicjanta. Za stłuczoną szybą, na kierownicy opierała się ludzka głowa. Zwłoki dwóch innych krasnoarmiejców, na wpeł zwęglone leżały opodal dopalającej się ciężarówki. W rowie pod miazgą blachy i drewna ktoś jęczał. Wikary skierował się w tym kierunku.

Z za skrzyni nienaruszonego pojazdu wyskoczył człowiek z karabinem

- kur ejnis!?! - wrzasnął wymierzając łufę w piers księdza.

- Tam ranny..

Partyzant zarepetował bron.

- Srac na niego! Nie galima!.. - warknął

- Będziesz i ty jeszcze ~~xxxxxx~~ skowyczał drapicruscle! - burknął wikary.

Do wpartego o graniczny kamień młodego chłopaka nikt nie bronił dostępu. Ostrzyżony po rekrucku, bez furazerki, w zaplamionej smarami i krwią rubaszce poruszał wargami jak ryba wyrzucona na orzęg. Oczy miał otwarte, ale z pod powiek wychodziło tylko obrzeże zrenic. Rękę zaciskał kurczowo na biodrach. Siedział w kałuży krwi.

- Dostał w brzuch. - szepnął wikary - złap pod ramię. Trzeba prze-

nieść w inne miejsce.

Podchwycony chłopiec jęknął straszliwie. Wykrzywił usta. Głowa odleciała mu do tyłu.

- Zostawmy. - rzekł ksiądz - musimy go tu opatrzyć. Skocz pan po wodę i kawał płotna.

robiegłem do najbliższej chaty. Powrociłem z wiadrem i lnianym ręcznikiem.

- Już nie trzeba.. - szepnął wikary i zagryzł wargę.

Przyklęknął. Przeklął się. Twarz ukrył w dłoni. Przygiętem i ja jedno kolano. Oczy utkwilem w ziemię, aby nie widzieć azlęcinnych rysów zabitego.

Wikary podnósząc się z klęczek palcem otarł powieki.

- Za nas zginął.. - powiedział cicho.

Szliśmy obok siebie w milczeniu.

Na łące trzech Litwinów pilnowało dwóch jencow. Jency siedzieli splatając ręce na potylicy.

skręciliśmy na drogę prowadzącą do lasu. Dochodząc do skrajnego domu mruknąłem:

- Ksu na bude zdała się nasza pomoc.

Ściągnął spłowiłe brwi.

- Ale to się przyda napewno. - rzekł dobywając z pod wiatrowki radziecki pistolet typu TT. - Przysięgam bogu i temu chłopcu tam pod kamieniem, że się przyda.

Zatrzymałem się przy parkanie z chrustu. On poszedł dalej. Stałem przed mieszkaniem Jospowej. Wahałem się czy wejść. Na dziś starczało ludzkiego bólu. I chyba bym zawrócił, gdyby z okna nie wyrzuciła młoda brunetka.

- Pan do nas! - wołała - prosimy, bardzo prosimy!..

Dwie siostry zajmowały skromnie umeblowaną pokojk - właściwie komorkę. Stały tam łozko, stoł i dwa zydele. Na szafie pozdawionej

drzwi leżały walizki. Kilka sukien wisiało na patykach pełniących rolę wieszaków.

- Ubogo i ciasno tu u nas. - tłumaczyła starsza - Taka już dola uchodźców. Była chyba jakaś bitwa, słyszeliśmy strzały?..

- Żadna bitwa. - odparłem - Niemcy ~~xxixi~~ rozbili samochody radzieckie.

- Niemcy już są?..

- Są.

- Widział pan ich? - wtrąciła młodszą

- Widziałem.

- Straszni co?

- Zależy jak na nich patrzeć. Zewnętrznie normalni ludzie..

- Potym co się słyszało bałabym się taklemu ^{Spójrzec} w oczy.

- Nikt ci nie każe spoglądać w oczy. - wmieszała się starsza - O tego masz Bronka.. Bądź co bądź dobrze, że się sytuacja wyjaśniła. Nareszcie będzie można wrócić do domu. W tych warunkach nie sposób żyć.

- Najgorsze to te zapachy zalatujące z kuchni. Jak gospodyni rozpa-
li parnik wytrzymać nie można. - skarżyła się panna Jadzia.

- Zapachy zapachami, ale ludzie tu jacys nieuczyci. Ze skóry by oddali za garść mąki. Mieszkam tu za ścianą jakaś samotna kobieta. - starsza
zniżyła głos - Chyba żydowka. Jest w ciąży. Zupełnie nie wychodzi z pokoju. Koło tej to gospodyni skacze. Co uzien mleczo, jajeczka, maseiko, czasem coś z obiadu podrzuci. wiadomo żydzi mają czym płacić..

- Na dobrą sprawę to by mogła nam odstąpić jeden pokój. - wtrąciła panna Jadzia - Na co jej dwa i każdy trzy razy większy od naszej nory. Trzebaby powiedzieć gospodyni..

- Proszę jej dać spokój. - powiedziałem - To nieszczęśliwy człowiek. straciła męża.. właściwie nie straciła, jednak tak jakby straciła..

- Pan ją zna?

- Znam.

- Zydówka, prawda?..

- Zydówka.

- Gudłaje zawsze i wszędzie potrafią się urządzać. Stanowczo powinna oddać jeden pokój. - upierała się młodszą.

- Ja bardzo proszę!.. rzekłem z naciskiem

- Oczywiście nikt o tym nie myśli poważnie. - oświadczyła starsza - Jeszcze tych parę dni się przemęczymy. Gorzej, że nie możemy panu spłacić długa.

- Panie wciąż o tej błanostce.. -

- Zauna błanostka. Naprawdę byliśmy potwornie głodni. A Jadzia ~~je~~ jak głodna to gotowa ~~wła~~ rodzoną siostrę pożreć.

- A teraz jak sobie panie radzą?

- Jakos sobie radzimy. Zresztą wiekować tu nie myślimy. Przy pierwszej sposobności wracamy do Wilna. W Wilnie musi nas pan koniecznie odwiedzić. Mieszkamy na Wielkiej Pohulance. Też skromnie, ale nie tak. Będzie pan o nas pamiętał, prawda?..

- bezwzględnie! - odparłem - Teraz jednak już panie pożegnaj.

- Odchodzi pan? - zawołała panna Jadwiga - Proszę jeszcze posiedzieć.

Tak się miło rozmawia.

- Muszę. Mam jeszcze bardzo ważną sprawę do załatwienia.

- Pewnie randka?..

- Właśnie randka!..

Wyprowadziły mnie na sien. Kazem Zoumalone rozchyliły usta gdy zapukałem do sąsiednich drzwi.

ponieważ nikt nie odpowiadał nacisnąłem klamkę. Pierwszy ^{pokój} był pusty. W rogu stało tylko dziecięce łóżeczko przybrane w niebieskie wstążki. Przypomniałem sobie, że inspektor Jospe zaplanował syna.

Ta, która miała zrealizować jego dyrektywę przekręciła klucz w zamku dopiero po natarczym łomotaniu. Od ostatniego razu jeszcze baranie, wyblada. Na podługnej, nieco kōńskie, twarzy wystąpiły sine plamy. Nos jakby wydłużał, a wargi wyglądały jakoby nie miała warg.

Spoglądałem w wymizerowaną, zaciągniętą smutkiem twarz i nie wiedziałem co powiedzieć. Ona też milczała. Nie uczyniła najmniejszego gestu powitania, nie kazała usiąść, nie pytała z czym wzglęnie po co przychodzi. Kiedy cisza stawała się nie do zniesienia wydukałem:

- Mąż polecił mi panią pożegnać. Dziś w nocy..

- Wiem. → wyszeptala - wyjechał. Musiał.. Wiem.

- Tak musiał. - ciągnąłem trochę bardziej osmielony - dostał rozkaz.

Nie był naprawdę żołnierzem, ale był członkiem partii i partia kazała mu wyjechać.

- To wszystko wiem.. Od rana, kiedy nie powrócił do domu usiłuję również zrozumieć, ale nie mogę.. To pewnie dlatego, że jestem głupia zydowska dziewczyna. On zawsze myślał za mnie i za siebie. A teraz go brak.. I chyba dlatego nie mogę zrozumieć czemu odszedł... Dziękuję, że pan się fatygował. Tylko proszę mi niczego nie tłumaczyć.. On jeden, jedyny na świecie potrafiłby mnie przekonać.. Tak jak naklonił do opuszczenia rodziny..

- Chciał pani dobra. - wtrąciłem.

- Mówił panu o tym?.. A o panie Namiot też panu mówił..

Znow zapadła cisza. Przeniósła wzrok na okna, ale byłem przekonany, że niczego nie wiodzi za szybą. Zrozumiałem, że nie mam tu nic do szukania, że tej kobiecie potrzeba tylko samotność.

- Prosił żeby pani pomagać. Moje możliwości są naprawdę ograniczone, ale..

- Nic mi nie potrzeba. - przerwała - jak mnie stąd wyrzucą spróbuję się dowieść do swoich.

Przymknąłem drzwi tak cicho, jakbym popełnił lub conajmniej był współsprawcą jakiegoś kradactwa.

Na drodze minął mnie konwój złożony z trzech zbrojonych osobników. Prowadzili dwóch radzieckich żołnierzy. Jencom odjęto pasy, owijające i sznurowała. Podtrzymywali spójnie. Powłoczyl nogami, aby nie pogubić

butów
obuwia. Twarze mieli skamieniałe.

Szose wcięż tarasowały wraki samochodów i leżały trupy. Żaden nie miał obuwia. Młody rekrut nie spoczywał już pod kamieniem. Rozciągnięty na wznak znaaczył za sobą parometrową smugę krwi. Musiał wyfasować w wojsku przyciasnawe buty.

Nieody znalazłem się na wysokości kościoła gruchnęły strzały. Strzelano w lesie, do którego odprowadzono bezbronnych jeńców. Litewska partyzantka odniosła pierwsze zwycięstwo.

3. Kier bohaterom sława, renegatom śmierć.

/Trzy po trzy.. jak się mścić, żeby nie samym bogom było rozkosznie,
jak kasjerka-nieboszczyca ocenzurowała przełożonego i jak łatwo dorobić się kamaszy, a za zdradę narodowych interesów kuli./

Upał stawał się nieznośny. Pod rozprężonym dachem kręciło się w głowie od zaduchu i przenikliwego zapachu miodu i woszczyzny. Tymczasem tuż za sadem płynęła rzeka.

Ktoś już się pluskał.

Pod krząkiem wśród porzuconej odzieży rozpoznałem chłopkę Janeczki. Zabrałem łaszki i jak można najciszej wsunęłem się między trzcinę.

Pływała przy drugim brzegu. Nagie ciało obmywała wyłożona słońcem woda. Rozkoszowała się kąpielą - nurkowała, obracała się na grzbiet. Wiedziałem, że - mówiąc delikatnie - zachowuję się nieprzyzwoicie, że powinienem albo zradzić swoją obecność albo odejść zanim wyjadzie na mieliznę. Jednak żądza zemsty za wywrocenie kajaka okazała się silniejsza.

Kilka wyrzutów ramion i podpłynęła ku wolnej od wodocrestów zatoce. Czując grunt pod nogami stanęła. Jeszcze raz zanurzyła się pod szycę. A potem zbliżającą się do brzegu sylwetkę zgrabnej dziewczyny oblewało już tylko słońce. Gdy woda sięgała jej do kolan zawołałem:

- Jaka woda - ciepła?..

Chlupnęło jakby do rzeki wpadł ~~nie~~ kłoc drzewa. Wypłynęła na bliższym miejscu. Zginając grzbiet skrzyżowała na piersi ręce.

- Świnia!.. Wynos się!.. Idź stąd!.. - krzyczała histerycznie -

- Żadna siła mnie stąd nie wypędzi.

- Proszę cię odejść!.. Między nami wszystko skończone..

- Jeszcze się nic nie zaczęło. Zresztą mogę odejść. Ubranie mam si wrzucić do rzeki?

- Nie wygłupiaj się!.. Rozalujesz, zobaczysz.. wynos się.. do się utopię..

- Na to nigdy nie pozwolę! wyłowię cię z największą przyjemnością.

- Proszę cię, bardzo proszę.. idź sobie, zostaw mnie.. - bragała olika płaczu.

- Dobrze pójde sobie, a popłyniesz ze mną kajakiem?

- Dobrze..

- I przyrzekasz, że nie wyrzucisz mnie do wody.

- Nie..

- idę do młyna po kajak. Czekaj tu na mnie. ramiętaj, jak uciekniesz ogłoszę całej wsi, że masz znamię na podbrzuszu.

- świntuch!.. idź już nareszcie, ruszaj stąd!..- należała niederp-
liwie.
brzegiem Merezczanki doszedłem do młyna. młyn nie pracował. woda przelewała się otwarte zastawy i wolno ściekała na koło. syn młynarza Kysiek hotbaum sam pomógł wynieść kajak do rzeki.

- Niech pan go zatrzyma. - rzekł odpychając mnie od brzoju - nam już nie będzie potrzebny.

- mnie też nie. - odparłem - Najwyżej na trzy godziny. przynajmniej nieuszkodzony.

- Po co?..

Wzruszył ramionami i zawrócił do domu.

Janka czekała. w barwnej chłopcce i czerwonej chustce wyglądała jak bukiet kwiatów rzucony w trawę. Jednak nachmurzona buzia nie obiecywała niczego radosnego. Prąd niósł w dół rzeki. Wszelkie próby nawiązania rozmowy kończyły się na zdawkowym "tak", "nie", "nie wiem", "wszystko mi jedno".

- Szkoda, że nie pozwoliłem ci się utopić. - powiedziałem trochę podrażniony - z topielcem łatwiej byłoby się porozumieć. a wogóle to czego się baczysz?.. Naszłem cię przypadkowo, chciałem się wykąpać. Chyba byłbym kastratem albo homoseksualistą gdyby sobie odmówił widoku najpiękniejszego ciała w gminie. Co ja mówię!.. na całych kresach. ^{Alrodyta} ~~Wtedy~~ nie mogła lepiej wyglądać wychodząc z kąpieli. Takie ramiona, piersi, biodra..

- przestań!.. - przerwała.

Jeszcze sucho, ale ton głosu zapowiadał już gotowość pojednania.

po dwóch godzinach wracaliśmy nie tylko pojednani. łączyła nas zię-

len łąk, zapach siana i bzykanie świerszczy - jedyne wrażenia jakie z otaczającej rzeczywistości wdzierały się do nierealnego wzruszenia młodości.

Mama naleczykowa zrzędziła, że córka przegapiła czas dojenia krow. Odkąd egzamin dojrzałości przyszło się odłożyć w mglistą przyszłość zapędzała córkę do różnych zajęć gospodarskich. Po wyrażeniu niezadowolenia zwróciła się do mnie:

- Przyjeżdżał tu taki jeden z karabinem. Musi ten ich partyzant. Ma pan dziś jeszcze zgłosić się ~~xxgminniex~~ na posterunek.

Do pposzonego obiadu nasiadłem nieco zważony. Wolałbym uniknąć kontaktu ze zgrają. Jednym uchem łowiłem co gospodyni i jej małżonek mówili o nowych horoskopach dla rolnictwa. Tyle zrozumiałem, że kiedy znikło wiadmo kołchozu na wsi będzie dużo lepiej niż w mieście i że ja- neczce już nie potrzeba szkoły, bo jedynaczka odzieuczyczy wszystko. Gospodyni drobiazgowo wyliczała co, a gospodarz przyswiadczał całą po- wagą męskiego autorytetu.

Posterunek mieścił się koło stacji. Po drodze, na murawie obok mu- rów starej cegielni natknąłem się na namiotową. Odtąd towarzyszył mi wódek obnażonych nog trupa. Przesłonił oraz ogarzałego, nagiego cia- ła drugiej młodej dziewczyny.

Z dawien dawna organa ~~xxmazy~~ ładu i porządku publicznego urzędo- wały w murowanym budynku, obok szkoły. Tu urzędowała granatowa policja litewskie wielkoludy prezydenta Smetony i radziecka milicja. Teraz jed- nak poinformowano mnie, że sztab partyzantów rozlokował się w gospoźle przed wejściem buraczano-gęby wartownik sprawdził dokumenty i powiodł przed oblicze dowodcy. Był nim technik Baranauskas.

Partizany wadas przyjmował przy suto zastawionym stoliku. Inne stoliki z mniejszą baterią butelek obsiecali podkomendani. Osiedlowała panna Bronka.

- Śiaśkités! - rozkazał - kur ira jusu pirmininkas?

Udałem, że nie rozumiem o kogo chodzi.

- Kto?

- Pirmininkas Ducko?..

- Nie wiem. Od przedwczoraj go nie widziałem.
rozdął głos

- Ne suprantu, rupuze! Dabar reike lietuviškai kalbėti. Čia ira
lietuva!.. Nepriklausima Lietuva!.. - ~~xxxxxxxxxx~~.

- A ja rozumiem, lecz nie umiem mówić. - odparłem spokojnie.

Zmarszczył czoło. Czerwona zapita gęba jeszcze bardziej poczerwie-
niała. Słomiany wąsik podjechał pod zęby. Wiał w gardło zawartość szklan-
ki.

- I tak dostaniemy skurwysyna!..

Conajmniej minutę obrzucał pocziwego prezesa kłóaczynymi wyzwiskami.
Gdy skończył rzekł już zupełnie spokojnie:

- Wymietliśmy bolszewickie łajno i nikt nam już kraju niezapaskudzi.
Zaczynamy na nowo rządzić. Teraz już na wieki wieków. Ruj za wojną litwę.

Podsunął mi szklankę. Widać, że się ociągają ryknął:

- Ruj!!!..

Wódka była dobra - czysta, moskiewska.

- Nasrałbym na ciebie, ale Dasys chce cię wziąć do roboty. On teraz
jest Jašunių Vartotojų kooperatyvas pirmininkas. A tamtego sukinsyna
wsio równe dostaniemy! I w czachę!.. Krotko. Jak z tymi żydowskimi pacno-
kami. Twoja Namietowna i ten gówniarz Abram już sztywni.

- Widziałem je, trupa.

- Cdzie?

- Pod cegielnią.

- Hałuje!.. Mówiłem, żeby nie rozwalac przy drodze.. A gówno! Nij
im w grob! Masz, gołnij jeszcze stakanczyk i smaruj do Dasysa.

- To znaczy?..

- Do gminy. Szpera tam bez końca w jakichś paplerach. Idz! Ale na-
walaj, bo będzie krucno.

Postanowiłem od razu się dowiedzieć jak sobie wyobraza moją pracę
nowy prezes spółdzielni.

Basys pochylał łysiną nad stertą dokumentów. Z pod rozmanianej osobą .
koszuli wyglądał potężny, owłosiony tors. Jakby spieszył się swoją kixixix.
Nie patrzył mi w oczy. Wzrok obnosił po sprzętach, po suficie, po oknach
rochwalił na wstępie, zapewnił, że zawsze żywił sympatią, że wogóle je-
stem swój chłop. Prosił abym mu nie odmówił współpracy teraz kiedy nowa
władza obarczyła go wielką odpowiedzialnością.

- Co mam robić? - spytałem

- Zrazu trzeba zabezpieczyć zapasy pozostałe w sklepach. Najlepiej
złożyć w szkole. Prochę nas jeszcze mało - mówi - a sklepy mogą rozgra-
bic.

- Jeden uzbrojony strażnik wystarczy. - zauważyłem

- Mówię, że nas jest narazie mało. Nie możemy rozpraszać się poki
jeszcze wioczą się maruderzy. Chciałbym, żebyście jutro pojednali do
budnik. ~~xx~~ Wysyłamy furmanki, trzeba żeby ktoś był przy likwidacji skle-
pu. W drodze ~~xxx~~ chłopci też mogą nie jedno podwędzić..

- Czy to przymus? - wtrąciłem szukając jego wzroku.

Wciąż oglądał swoje krotko zapilowane paznokcie.

- Ja nie przymuszam, ale komendant nie lubi żartować.- bąknął

- Czemu zabiliscie Abrama i Namiotownę? - painąłem

Zerwał się z krzesła. Zaczął nerwowo przemierzać pokój. Na czoło wy-
stąpiły mu krople potu. Sapał jakby dźwigał ciężki worek. Potem przysta-
nął pod oknem i patrzył przez szybę. Byłem przekonany, że nic nie widać,
że spogląda we własną duszę.

- To nie moja sprawa. - powiedział cicho.- Ja ich nie zabiłem.

A Abrama to nawet szczerze mi żal.. Głupi bo głupi, ale nie szkodliwy.
Jego grzech, że był żydem, że latał z czerwonym krawatem, że nosił sztur-
mówki na pierwszego maja.. szkoda chłopaka. Razem organizowaliśmy tam-
ten zawieszony kram. Nawet syplaliśmy razem.. w tej samej komorce za ście-
pem co i ty. Ale nie mogłem mu pomóc.

Przerwał. Palcami bębnił w szybę.

- Tej gnidzie jednak się należało! - podniósł głos nieomal do krzyku. Chcesz to ci pokazać.. przestajesz i ty się uziwować.

Dopadł biurka. z szuflady powyrzucił jakieś papiery. W nerwowym podnieceniu rozgarniał je po całej powierzchni stołu. W końcu znalazł to co chciał znaleźć, a mianowicie arkusz kancelaryjnego papieru.

- Czytaj!.. znalezione w szafie pełnomocnika A.A.W.W.

roznałem charakter pisma namiotowy. rewantycznie podkreślony nagłówek głosił: "Lista podejrzanych o szkodliwą działalność"; niżej w nawiasach: "ściśle tajne!". Potem następowało nazwisko za nazwiskiem wraz z niepidarną, ^{zawsze} ~~bez~~ niepochlebną charakterystyką nieznanym mi bliżej osob. xxxix Atoli pod jednym z dalszych numerów przeczytałem: Antanas Dasys - kierownik sklepu "Ślepo" w Jaszunach - pijak, bałaganiarz, litewski nacjonalista, wrogo nastawiony do ustroju. Kradzieży mienia społecznego nie stwierdzono, natomiast demoralizuje personel uprawiając nierząd ze sprzedawczyniami.."

Wruknełem
- gdzie ona was podpatrzyła? - zamyknęłam

- Czytaj, czytaj!.. znajdziesz i o sobie.

Ciekawość moja wzrosła. Opuszczałem inne nazwiska, szukałem swego. Znalazłem pod koniec listy. A oto ~~XXXXXXXX~~ co mi zarzucała moja była kasjerka: "nieustalone pochodzenie społeczne. niepewny. rodzina żyje w Bzeszy. ma kontakty z zagranicą. podejrzany o kontakty z polską organizacją". nad ^{ty} figurował dopisek: "napewno należy do organizacji! zna Kohna!!" i data "14. 6.41". Wszystko co dotyczyło mojej osoby było obwiedzione czerwoną linią. Tym samym ołówkiem czyjaś ręka napisała obok nazwiska: "do drugiej deportacji."

Oddałem arkusz bez słowa.

wracałem ścieżką przez las. nie chciałem oglądać trupa kasjerki. mimo wszystko było mi żal, że panna namiot nie zdołała na kurs do Moskwy. rołożone w sercu puszczy, osłonięte lasem i płaszczystym bezdrożem, ludziki pozostały jakby na uboczu czerwcowych wydarzeń. wojna uotaria tylko do umysłów ludzi, skłaniając do namiętych rozmów i dyskusji.

Wieśniacy zgrupowani pod strażacką remizą z ciekawością przypatrywali się karawanie wozów. Gdy stanęły pod spółdzielnią ruszyli ich śladem. Z domów powychodziły kobiety i dzieci.

Nierownik sklepu, flegmatyczny i małoomowny litwin załamał ręce:

- Chcecie nas ogołocic? Zostawiacie ludzi bez soli, bez nafty, bez paru rygli mydła?.. Dotąd żadnej paniki tu nie było. Targowało się normalnie. Obiecałem, że dopóki starczy towaru każdy ten litr nafty czy pudełko zapalek dostanie. Zawierzyli. Nikt zapasów nie robił. A teraz?.. Jak ja wyglądam?..

- Nie mój pomysł. - bąknąłem - nie ja wymyśliłem tą operację. Nowa władza postanowiła zabezpieczyć społeczne dobro przed grabieżą.

- Dotąd nikt nie kradł, to i teraz nie będzie. głowę daję!.. Człowiekowi trzeba zaufać, człowieka trzeba szanować..

- Wądrz słowa! Dobrze, żeby pan to wytłumaczył swoim redaktorom.

Podszedł do telefonu. Uparcie kręcił korbką. Potrząsał słuchawką. dmuchał w mikrofon. W końcu dostał połączenie. Rozmawiał po litewsku. Zrazu spokojnie, a potem głos mu orzał coraz bardziej, coraz bardziej czerwieniały policzki. W pewnej chwili wypuścił z rąk słuchawkę. Zadyndała na kablu. Po drugiej stronie ktos skrzeczał:

- Bandziory!.. - wymamrotał - Rob co pan chcesz! Możecie nawet zabrać moje brudne gacie. Tylko ostrzegam: ludzie tu spokojni, poczciwi, ale do czasu. Przyłożyc też potrafią..

Zerknąłem w okna. Wciąż przybywało głów. Przypomniał mi się guz na głax nie czole prezesa Bucky. Głos w słuchawce jeszcze skrzeczał:

- Nie mogę wykonać waszego polecenia. Co robic?.. krzyknąłem w mikrofon

- Has kalba?

Mówił wodz "powstancow". Wymieniłem nazwisko. Krotko naswietliłem sytuację.

- Co bunt!?!.. - ryczał - Ja im pokażę bunt! Czekac na żandarmerię!

Przysiadłem w kącie na pustych skrzyniach. Nierownik się uspokoił. Tylko ręce mu jeszcze drżały.

- Co ten kundel jeszcze czekał?

- Wysła żandarmerię.

- Kogo?..

- Pan powinien się lepiej znać ode mnie na organizacji litewskich bojowych jednostek.

Stanął nade mną.

- Ty mnie człowieku z tą zgrają nie łącz! Bo za tem było by dooerze, gdybyś ~~nie~~ zrozumiał, że Litwa to nie oni. Łobuzów znajdziesz w każdej nacji. Całe zło w tym, że ~~ich~~ tu ich się zebrało szczególnie dużo. Uczciwego Litwina nie potrzeba ze świecą szukać - napewno nie!..

Trzasnął drzwiami. Wyszedł. Wroczył ze sprzedawczynią. Włożyła fartuch i stanęła za ladą. On znow wyszedł. Z ulicy doleciał szum i szurgot nog. Rotem rozgwar przeniosł się do przedsionka i otworzyły się drzwi.

- Ustawie się w kolejce, po porządku! - mówił kierownik - ro jednym z rodziny. Najpierw wydamy żywność, potem inne towary. Ty się kaziuk nie pchaj, bo figę dostaniesz!.. Brac' na ile komu pieniędzy starczy. Rotem nie będzie.. Racewicz, ty mi stań w drzwiach i pilnuj porządku!..

Po ~~o~~eracji stanął obok młodej dziewczyny i obsługiwał klientów, którzy rych po dwóch wpuszczal wysoki, żyłasty chłop. Tak sprawną obsługę rzadko się widuje. Po godzinie półki opustoszały. Rozostała wódka, której stanowczo odmawiał pomimo żarliwej molestacji klientów płci męskiej.

Przed przejściem na stronę z artykułami przemysłowymi zwrócił się do mnie:

- Panu czego nie potrzeba?

- Chyba nie..

Obrzucił mnie krytycznym spojrzeniem.

- Może kamazze?.. mamy niedrogie, soliane.. Te będą w sam raz. Dwieszcie rubli. Wiech pan przymierzy.

Podał karton.

- Racewicz wpuszczaj! po skórę, buty, ponczochoy, sukno, kort, cnusty, co tam, który będzie chciał!..

4. Salceson dla bohaterów!

/Trzy po trzy.. o cielęcym zachwycie dla bydlaków, bydiaku, treskliwych sióstrach, niespodziance, bohaterach na pokucie, sile przyzwyczajenia i "dziewczynach, które chciała huknąć w pysk dygnitarza ./.

Jeśli nie liczyc przejazdów po rzece przez trzy dni nie wyszedłem nesa poza zagrodę. Przeszedłem na pełne utrzymanie Kalcycow. Aby nie zasłużyć na miano kompletnego darmozjada grabielem siano, rznąłem sieczkę, wy-pędzałem bydło do wodopoju i szczególnie gorliwie emablowałem Janeczkę.

Przez ^{nie}przeciągało teraz ponoc sporo niemieckiego wojska. Rewną grupę oglądałem z kajaka. Riazowali na piaszczystym zbocz, pokrzykiwali, plu-skali się wodą niczem rozbrykane dzieci. Trudno było uwierzyć, że ci młodzi ogorzali mężczyźni maszerują na podboj cudzej ziemi, że żołni są pale spo-kojne domy, mordowac ~~kobiety, starców, dzieci~~ ^{bezbronnymi ludźmi} wyglądali na letników spędza-jących urlop w tej właśnie wsi.

Dostatecznie

~~XXXXXX~~ znużony oglądaniem krowich i konskich zadów wyszedłem jed-nego wieczora powłóczyć się po wiosce. Życie wstępowało w wytarte łozysko co-dziенności. Po zagrodach kręciły się przeważnie dzieci i psy. Dorosli pozosta-wali jeszcze na polach. Punkt ciężkości spraw publicznych jak zawsze spoczy-wał przy stacji. Handel nie istniał, poczta obsługiwała tylko telefony, a sołtys nie przyznawał się do urzędu. Na słupach wisiały ogłoszenia wojennego komendanta okręgu wileńskiego grożące śmiercią każdemu kto by dybał na życie niemieckiego żołnierza, kto by się odważył szkodzić nowej administracji wojskowej i cywilnej, ktoby dokonywał rozboju i sabotażu, ktoby rozkradał zaobycz zwycięskiej armii. Ogłoszenie wydrukowano w języku polskim i niemieckim. Brak litewskiego ^{dotychczas} albo o ignorowaniu faktu okupowania ziem rozennie litewskich, albo o przeświadczeniu, że wrogiej postawy spodziewac się ~~można~~ ^{trzeba} tylko ze stro-ny narodowej "mniejszości". Za drugą alternatywą mogły przemawiac obrazy oglą-dane wszędzie tam gdzie istniało większe skupisko Litwinow.

Na ulicach Wilna nie tylko podlotki wciskały kwiaty w ręce ~~niem~~ ^{żołnierzy.} sporo domow pocztywało sobie za wielką zaszczyt goszczenie byle jakiego telewebia. W uruchomionych lokalach, zanim wywieszka "Nur für Deutsche" nie zatrza-snęła im drzwi przed nosem najbarziej dostojni obywatele ustępowali miejsca

niokosom w mundurze feld-grau. Pojawienie się na niebie samolotów z czarnymi krzyżami sprawdzało na wcale poważnych ludzi uniesienie graniczące z ekstazą. Sam widziałem babinę kiaszczącą w dłonie i pkrxy pokrzykującą drżącym ze wzruszenia głosem : "musu lektuvai, musu lektuvai!" Inna także leciwa złożyła modlitewnie ręce jakoby ujrzała złocisty rydwan goga słońca, niegdyś na niebie zablakał się radziecki samolot. Stare dwuskrzydłowe pudło opasał wianuszek dymkow. rzecnośnie pozadzierali głowy. Gdy wreszcie jeden z pocisków trafił i maszyna beczkując zaczęła opadać jacyś osobnicy zaczęli bic brawo jakoby spadała kurtyna po wspaniałym przedstawieniu. spojrzalem im w twarze. Wyrażały cielecy zachwyty.

Na tablicy przed domem sołtysa przeczytałem rozporządzenie nakazujące wznowienie dostawy mleka do miejscowej mleczarni. Opornym oczywiście zapowiadano surowe kary.

Wilka ciągnie do lasu, mnie ciągnęło na miejsce pracy, jakoby nie było pierwszej w życiu, i w dodatku nie na lada jakim, a odpowiedzialnym i kierowniczym stanowisku. Przed domem szajki Namłota spacerował wachman. Nad wejściem do naszego biura widać było szyld: "Ortskommendantur". Jeżeli ^{szubkar} ~~szubkar~~ ~~ixixjaszszsz~~ z żoną żyli jeszcze w drugiej części budynku nie mogli czuć ^{sz} dobrze, choć może nawet bezpiecznie. Chwilowo karabin wartownika chronił starców przed rozwydrzeniem pijanych "powstanców".

Utoż ich dowodca obciążony rzemieniami stanął na ganku i nie było gdzie wiać. Przywołał mnie ruchem ręki.

- Z wami co się dzieje? - rzucił groźnie

romimo ściągnięcia brwi jakos mnie nie przestraszył.

- A co się ma dzieć? - burknąłem

- Dasys ma pełne ręce roboty, a wy się oodcciliscie dupą do nas.

Albo dupa was nie puszcza od siebie, co?... - zarecnotał - No u nas też nie kaplica. racierzy nie kieplemy. Jest co wypić, jest co przetrącić, jest kogo przyrolować.. ^{się} spisaliście ^w wcale dobrze tam w Rudnikach nie dają temu kutasowi opędziować wołki. Chłopski dobrodzie, się znakaził dymany w ucho. Kupczyk!.. utargował kunię w bebecch. Przychodz jutro. tylko na mur!

Z nami lepiej ~~nie~~ być dobrze.

Wysunął rękę. Miałem wrażenie, że pochwyciłem ropuchę.

- Jeszcze jedna nowina! - dodał z chytrym uśmiechem - Destalimy twojego pryncypała. Drugiego przyjaciela ludu. Pojdzie w razchod!.. Karazie siedzi w piwnicy.

Poszedłem w kierunku na Sołeczniki. Za mostem spotkałem dwie siostry. Wracały z lasu. Niosły poziomki. Opalone twarze i ramiona świadczyły, że korzystają z lipcowego słońca. Sprawiały wrażenie zadowolonych z życia.

- Ran na spacer?.. To i my pochodzimy jeszcze trochę, prawda Jadziu? Nie chce się tkwić w domu w taki piękny wieczor. - oświadczyła starsza.

Ranna Jadzia zakręciła się w miejscu i jak paroletnie dziewczę przeskakując z nogi na nogę poległa przed siebie.

- Toż to keza! - rzekła starsza przeprowadzając siostrę serdecznym spojrzaniem - za mąż choćby dziś, a w głowie pstro.

- Ranna Jadwiga wychodzi zamąż? - powiedziałem byle coś powiedzieć

- Nie, skąd!.. Kręci się naprawdę jeden taki broniek, nawet poczciwy chłopak, ale bo to on jeden. Nic poważnego. Jeszcze czas. Do cerowania skarpet zawsze zdąży. A w wojnę to wogóle lepiej do ołtarza się nie pćnac. Czy to trudne zostać wdową. A jeszcze nie daj Boże dziecko!.. Jak ta bidula nasza żydóweczka..

- Właśnie, co ~~nie~~ u niej słychac? - przerwałem

- Siedzi w czterech ścianach. Z każdym dniem biedsza. Jedną noc to nam wykreiła historię! Usłyszałam pojękiwanie, jakies spazmy. Myślałam, że to już. Żydowka nie żydowka w takiej chwili kobieta koblacie zawsze pomoże. Zajrzałyśmy. Klęczała na podłodze głowę złożywszy na walizkę. Urgała cała. Pytałam co jej, czy chora, czy stało się co?.. Nic. Ukaz!.. Prostu za włosy odciągnęłam głowę od walizki. Była mokra od łez. I prochowlec zamoczyła, szalik - wszystko.. Sto żydowskich płaczek nie wycisnie więcej. Tyle tylko zdołałam z niej wydobyć, że chce do domu, do rodziców. I jeszcze, że się boi. "I nocy się boję, i dnia się boję.." - powtarzała. we

Wcale nie byłem od tego, żeby nie sprawdzać - jak się dało i gdzie się dało - zalet pięknej Janeczki. Na ogół poddawała się próbom bez większego sprzeciwu.

Było tak do dnia, w którym spotykając mnie na podwórzu nie oświadczyła oschle:

- Masz gościa. Czeka na gorze.
- Ktoś z gminy? - spytałem z niechęcią
- Nie z gminy, z Wilna..

Na łóżku wypoczywała noga. Leżąc z rękoma splecionymi pod głową wystawiała ku mnie bosc nogi.

- Zrobiłam cię niespodziankę, prawda?.. - rzuciła z uśmiechem
 - Skąd się wzięłaś, jak mnie znalazłaś?.. - pytałem nerwowo
 - No powiedz, że ci zrobiłam miłą niespodziankę! Chyba się cieszysz? Co stoisz jak kołek?.. chodź przywitaj się. Możesz mnie nawet pocałować..
- rodszedłem. rochyliłem się, aby pocałować ją w czoło. Złapała mnie za kark i ściągnęła na siebie. Jeszcze raz doświadczyłem jej namiętności. Ugryzła mnie w wargę.

- Wariatka!.. - krzyknąłem odskakując.

Cisnęła we mnie poduszką. rątem zeskoczyła i pochwyciwszy za ramię na zaczęła mną obracać jak wlehcciem. raplała przy tem, że kocha, że tęskni, że się martwiła o mój los, że zyc bez ze mnie nie może, jak się strasznie cieszy, że mnie widzi i że beze mnie na krok się stąd nie ruszy.

Uciekłem za stoł.

- Powiedz wreszcie skąd się tu wzięłaś?
- Głupie pytanie. Z Wilna. Przyjechałam samochodem.
- Z Niemcami?.
- Samochodem "Fienocentrasu". Przyjechał po mieko. rierwszy jaki z Wilna wyjechał w teren. nikogo nie cncieli zabrac, ale mnie zaurali. wzięli mnie za Litwinkę. Nie wyprowadzałam bucow z błędu. Z dwie godziny wracają z Sołecznik i z Bieniakon. możemy się zabrac. Nie posiadasz cnyba

wielkich bagaży. Z tego co widzę nie zrobiłeś fortuny na posiadzie księgowego... Ale jeszcze mamy sporo czasu, pocałuj!..

- Nigdzie nie pojedę! - odparłem z naciskiem i jeszcze głębiej zasunęłem się za stoł.

W jednej chwili zmieniła się na twarzy. Spasowała, oczy błysnęły, a piers coraz pracowiciej unosiła biuzkę. Przysunęła się do stołu. Przeszła na moją stronę. Ja na przeciwną. Jeszcze tak parę razy zmienialiśmy pozycję.

Szwała

- Ta labirynda cię tu trzyma!.. - ~~хххххххххх~~ - ta malowana kukła, ta ~~пхххххх~~ zanosząca obornikiem slicznotka!.. O nie, mój kochany! Mnie nie znasz.. Zaraz tu odstawię taki cyrk, że wszystko stanie na głowie!.. I mama, i tata, i ciocie, i wujc - wszyscy!.. A tej turkawce piórka powyrywam! Słodki pyszczyk rozryję w kratkę..

- Ślipia jej wydrapię! - krzyknęła - Ślipia rozumiesz! Myślisz, że nie potrafię!?!.. Potrafię!..

Kzuciła się do drzwi. Dopadłem ją na schodach. Wlokąc po stopniach wciągnąłem do pokoju. Kopała, drapała, tkała kufakiem gdzie popadło. Jakoś udało mi się wykręcić ~~jej~~ rękę do tyłu. Jęknęła z bólu.

- Pamiętaj.. - skandowałem jej wściekle nad uchem. - Jeżeli się stąd ruszysz, jeżeli gdziekolwiek wyjedziesz beze mnie, to i ja sobie pójdę.. ale nie do Wilna, ale nie z tobą! I więcej mnie nie zobaczysz. Pamiętaj!.. pamiętaj!..

Odepchnąłem ją na łozko. Przeszła się szamotać. Ucisła. Skulona leżała na pościeli. Ciężko osunęłem się na krzesło. wclaz nie mogłem zebrać myśli. Długo, bardzo długo nie padło żadne słowo.

Potem usiadła i wlepiając we mnie zaczerwienione oczy powiedziała cicho:

- Nie pojedziesz?..

- Nie..

- Czemu?

- Bo nie chcę.

Wciągnęła pantofle, na ramiona narzuciła szary swetr i wyszła. Sunę-
łem za nią jak cień. Z niepokojem wypatrywałem czy nie napatoczy się gdzieś
Janeczka. Deszliśmy pod mleczarnię.

- Teraz narzeczony pewnie nie pusi pani do szoferki? ^{powiedział konwojent} ~~szczerząc~~ zę-
by.

- Wracam sama. - Dąknęła

+ sama?..

- Narzeczony ma tu jeszcze kilka spraw do załatwienia.

- Przyjedziem drugim razem. Taką miłą panią chętnie wozim.

miła pani podała mi rękę.

- pocałuj mnie. nie dla mnie, dla ludzi.. wypada, żeby narzeczony
uściskał ukochaną.

Objąłem ją w pośl. pocałowałem mocno, i dużo serdecznie, niż cnciałem
wsiadła do szoferki. ruszyli. pocałowałem się głupio.

Z drogi nie skręciłem do zagrody Kaleczycow. Do stołu gospodarzy
pchać się nie było czego. Poszedłem oddać się w pacht litewskim rycerzom
wolności.

Dasys zaprowadził mnie do sztabu, czyli innymi słowy do knajpy. Wo-
dza nie było. ~~Wszystkie stoiki~~ Bezmała wszystkie stoiki okupowali żoł-
nierze Wehrmachtu. Partyzanci wciśnięci w kąt zuli łapczywie czarny sal-
ceson lub soloną słoninę. Pani Bronka i jej kolezanki zupełnie nie zwraca-
ły uwagi na strzelanie z palcy, nawoływania i stukanie po talerzu. Zaj-
mowały się wyłącznie oficerami i podoficerami. Jacyś dwaj Litwini kinąc
szpetnie zwolnili stolik. Dasys popchnął mnie w tym kierunku.

- Za psi pazur nas nie mają. - zwierzał się sciszając głos do szeptu -
A przecież oczyszciliśmy teren z bolszewików. To że teraz żrą i piją też
tylko dzięki nam. O kawałek kiełbasy doprosić się nie można, wszystko za-
harapcili. Żeby sobie człowiek trochę tego zapasu nie zrobił, baigta!, zę-
by na półkę. huknij na tą krowę, może podejździe ragada!..

Uderzyłem łyżką w pustą butelkę. Panna Bronka obróciła się z marszem
na twarzy. Ale odziwo na mój widok zmazała go zniewalającym uśmiechem.

- Nareszcie ludzka gęba! - zawołała podchodząc.

I wskazując palcem grupę Litwinów dorzuciła:

- Na tych ^{wieprzów} ~~zawołaniach~~ to już patrzeć nie mogę. Jak się derwali do koryta toś im przodem i tyłem leciało.. Nic pan nie słyszał o stachu?

- Po za tem, że go wywieźli nic.

- Jeszcze półroka, a wszystkich by wywieźli. - wtrącił ponuro Dasys

- Wy nie lepsi! - odpaliła - Żeby dali dłużej rządzić fiaki byście ludziom powyrwali. Ale koniec waszego panowania! Jutro oddacie pukawki i koniec zabawy!.. Stacha to szkoda, co? Taki piękny chłopak. Może jaki piękny.

Westchnęła. zdawało się, że naciągnięty stanik trząśnie.

- Co pan kaze?.. - zapytała z rezygnacją

- Cokolwiek.. - odparłem

- Najlepiej puszkę jakichś rybek, chleb, pół kilo salami i półlitra żytniówki.- zauważył Dasys

- A gówno w maładze też?.. może kurę w rosole, i szczupka po żydowski ku, indyka z kasztami i czerwone wino! A tak solone, słoniny nie łaska?..

- Niech będzie. i wodki..

- Wódki dla cywili nie ma! Awatermistrz zakazał!

- Ja nie cywil! - obruszył się Dasys chwytając ^{za} ~~się~~ kaburę.

- Mówiłam przecież: jutro oddasz i po krzyku.

- Co tam pani bronka bzdury ^{plecie!} ~~opowiada!~~

- Żadne bzdury. Hauptmann mówił. On tu sam główny. Dostaniecie po pacę na muchy i przestaniecie ludzi straszyc..

Dasys przybiadł. zgarbił się. policzki mu obwisły. Przypominał ~~nie~~ kundla na stryczku.

- Dla pana półlitra przyniosę. - oznajmiła odchodząc do bufetu.

moj towarzysz milczał. rucił głośno i obficie nosem. Dopiero gdy wjechała butelka, a po niej chleb, konserwowe ogorki i sałceson odzyskał nieco animuszu.

mann!

Przysiadł się niski, krępy gefreiter. zostałem poufale poklepany po łapacie. Na dowód przyjaznych uczuc wytrąbili do dna naszą butelkę wódki. Dasys zawinął w gazetę salceson i wyszedł. Niemcy wdali się ze mną w rozmowę, byli ciekawi co mnie przyniosło i co robię w tym "dzikim kraju", jeden dopytywał czy nie znam jakich miłych dziewczynek, drugi czy nie mógłbym dostarczyć jajek. Rozkiadałem bezradnie rękę. Pomimo to mój ziomek przedstawił mnie samemu felweblowi, jak się okazało podoficerowi gospodarczemu batalionu. I temu przypadłem do gustu. Poleciał stawić się w szkole, gdzie nazajutrz miał się rozpocząć podział poradzieckich łupów pomiędzy wojsko i ludność. Za pomoc w rozdziale obiecywał pełen wikt i pierwszeństwo w zakupie towarów.

- Morgen früh, um acht Uhr! - przypomniał na pożegnanie.

Idąc przez las metycowałem jakby odzyskać przychylnosc gospodarzy. Nie miałem ochoty korzystać z łaski suchego jak wior felwebla. Odwiedziny noży aby nie stały się kamieniem obrazy dla starszej, a zwłaszcza młodziej gosposi należało rozsądnie uzasadnić. Ostatecznie mogła to być zwyczajna wizyta znajomej, ~~osoby~~ na przykład, jakiejś urzędniczki z centrali lub z banku, która przyjechała na wies w poszukiwaniu produktów.

Nie chciało się wchodzić pod rozprężony dach, w duszną, słodkawo-mdlawą klatkę. Była pełnia. Przystanąłem na balkonie. Korony arzew, nacrzedzne mgły, krzaki, słomiane poszycie zabudowań - wszystko wysrebrało: księżycowa poświata. Lekki podmuch wiatru niesł z łąk chłód i przyjemny zapach siana. Od wielu dni po raz pierwszy nie odczuwałem przygniatającego oddechu wojny. Rechotały żaby, cykały swierszcze - było cicho, spokojnie, dobrze. Nie myślałem o jutrze, ani o żołdakach, ani rzezimieszkach Baranauskasa, ani o bucce, ani o gospowej, ani o gospodarzach, ani o róży. Nawet co dotąd nigdy się nie zdarzało ilekroć byłem sam nie myślałem o bliskich w roznanii. Oparty o poręcz brałem w siebie pogodną kzi-czerwcową noc.

Księżyc zasunął się za drzewa.

Rzuciłem drzwi. Nie zapalając świecy ściągnąłem marynarkę. Krzesło na którym zamierzałem ją powiesić było założone czyjąś odzieżą. Wystarczyło dotknąć, aby wiedzieć do kogo należy.

- Kóża!.. - zawołałem półszepceniem.

- Nie krzycz, nie gniewaj się.. - odparła jeszcze ciszej.

Wszedłem do łóżka.

- Dlaczego wróciłaś?

- Musiałam. Z połowy drogi przyszedłam do ciebie pieszko, bo jeżeli już mamy się rozstać to nie tak.. to nie tak jak wczoraj.

Przysiadłem na poscieli. Opasała mi szyję nagim ramieniem.

Wciąż spała jeszcze, podczas gdy ja zgażyłem już przemyślenie całe swoje położenie. Moja zażyłość z córką gospodarzy i płynące stąd korzyści należały do bezpowrotnej przeszłości. Również użytkowanie poddasza stało się niemożliwe. Rozostało albo wracać do Wilna na Chocimską, albo urządzić się przy stacji i pewien okres przeżyć wśród nitierowskiego żołdactwa. Jedno było złe, drugie jeszcze gorsze. Wybrałem gorsze.

Wybrałem, żeby niczego więcej nie zawdzięczać rudej dziewczynie, która oddychała teraz spokojnie przy mojej twarzy, która wzruszała i drażniła, która była zdolna do poświęceń i zadawania krzywd, którą można było kochać i nienawidzić, ale z którą życie było nie sposob. Miłość i zarada, oddanie i wiarołomstwo, uniesienie i pogarda - wszystko to razem wrzało w sercu, którego bicie wyczuwałem pod dłonią złożoną na obnażonej piersi.

Spała, a ja całowałem jej włosy. Zegnałem wariacką miłość, nasze kłótnie, wyrządzane sobie wzajemnie przykrości, doznawane pieszczoty, nieszczerść, nieodmownienia i bolesną, raniącą prawdę. Dochodziła ósma. O ósmej miałem zameldować się u Feldwebela. Przygarneńcem ją mocno. Ten dzień przeznaczyłem dla niej, wyłącznie dla niej. Ostatni. Opudziła się. Pousuwała usta.

Gdy wstaliśmy powiedziała:

- Była piękna noc, prawda?..

- Cudowna. nasiężycowa, pachnąca..

- Widziałam jak stojąc na schodach syciłeś się nocą. Ale będziesz pamiętać nie tylko księżyc i zapach ziści?..

- Zapach jasných włosów, gorący oddech i uściski również.

- To dobrze.

to chwili دعاła:

- Jestem głodna.

- Trzeba będzie pojsc na wies. Onieo, twarog i jajka dostaniemy bez kłopotu.

- Nie chodźmy. w torbie mam jakieś kanapki. Do przyjazdu "Pienocentasu" nie wiele zostało godzin.

- To pojedźmy nad rzekę, ta buda przytłacza.

- Nie pojedziesz do Wilna?

Odpowiedziałem najłagodniej jak umiałem:

- Dzis nie. moze kiedyś przyjadę. za tydzień, za dwa.. nie wiem..

- Chodźmy nad tą rzekę.

Pływalismy kajakiem z godzinę, nie dluzej. Gdy dobijalismy do brzegu zapytała:

- Z nią też pływałeś?

- Pływałem.

- Ale do ciebie nie przychodziła, w twoim łozku nie spała?.. powiedz spała czy nie spała?.. - mowiła ze wzrastającym rozdrażnieniem.

- Nie spała.

- Wygląda na dziamazię!

We wiosce wypilismy po kubku zimnego mleka i zjedalismy pajdę razowego chleba.

- Tak nie chcę mi się wracać. - powiedziała - skóra na mnie cierpi nie gdy przypomnę sobie papuncia, mamunię i braciszka. Jeszcze poki ty byłeś.. xxxixixixt

- A diabli tam z rodziną! - mruknęła - można ocierać się ludzi i byc samotnym.

- Zostan do jutra.

- Nie. Dziś poraz ostatni jedzie znajomy konwojent. Jutro inny może nie wziąć. Ciepawda wczoraj zrobiłam per pedes kilkanascie kilometrow. Ale wczoraj to co innego..

Samochod przyszedł z dużym opóźnieniem.

konwojent wyszczerzył zęby.

- Dziś czy pani nie zapomniała kluczy? - rzekł z uśmiechem.

rottem dodał:

- Niestety będzie musiała pani jechać na platformie. szoferkę zajęł jeden dygnitarz z "rienocentrasu".

Ponieważ ciężarówka zbierała mleko również w innych punktach do rozstania pozostało jeszcze sporo czasu. ruszyliśmy do lasu. Okna Jospowej przysłaniały okiennice. natomiast przez parapet sąsiedniego okna przewieszala się dorodna brunetka. Ukłoniłem się.

- Jeszcze w Jaszunach? - zawołałem

- Tyko do jutra! - odarkzyknęła panna Jazzia.

koza badawczo zlustrowała młodszą z sióstr.

- Gdzieś ją widziałam. - oswiadczyła

- Chyba w Wilnie. Uciekła z siostrą przed bombardowaniem.

- Idiotki! Aha.. przypominam sobie. mieszka gdzieś na konulance. Pracowała w kinie jako bileterka.

- Nie w kinie, a w teatrze.

- Doskonale znasz życiorys tej siuski. Duzo tu jeszcze obkakiwales podobnych pind?..

Nie opowiedziałem. zaswiała mi pewna myśl i urążyła uparcie pod sam las. Gdy siedząc na mchu przeoklądałem ją kozy przekwakałam nie dała mi dokonczyc.

- znów jakaś flama? -

- Wysłuchaj do konca! To żydówka, mężatka, zona..

- No to co?.. z mężatkami najpewniej, a dla odmiany warto popróbowac z żydówką!..

- Daj spokój!.. Ona jest w ciąży.

- W którym miesiącu?

- Nie znam się na tym. W każdym razie bardzo zaawansowana.

- Ale ja się znam. Zobaczymy!..

Spodziewałem się spazmów lub zupełnego zubożenia ze strony młodej żydówki, tymczasem moją propozycję przyjęła zupełnie spokojnie, nie objawiając ani lęku, ani entuzjzmu, ani szczególnego podniecenia. Prosto naciągnęła prochowiec, na szyji przewiązała jedwabną chustkę i zaolerując dużą walizkę wyszła za mną z domu.

Szliśmy dość wolno, a mimo to wyprzedziliśmy ją o kilkanaście kroków.

- Dziękuję ci hoża! - powiedziałem

- E tam!.. Nic nadzwyczajnego. Konwojent i szefier oblecują sobie po mnie coś nie coś, więc potrafię odwrócić ich uwagę. Licho nadało tylko tego kontrolera. Byle nie wyczuł żydówki.

- Nie ma zbyt semickich rysów. Błada, obrzękła - zwyczajnie jak ciężarna kobieta.

- Weź od niej walizkę!

Przystaliśmy. Żydówka odpoczywała. Wciążko oddychała. Z czoła wycierała pot. Odtąd maszerowaliśmy razem. Przekładałem walizkę z ręki do ręki.

- Pomogę ci. - powiedziała hoża chwytając za uchwyt.

- Zostaw!..

Szczupła kobieta poruszyła bezkrwistymi wargami.

- Tam nie ma nic mojego, przysięgam.. Ani jednej szmatki. Wszystko dziecka.

- Aż tyle?.. - zaumięła się hoża

- Cała wyprawka: pieluszki, kaitanki, koszulki. Trochę może dużo, ale podobno dziecko potrzebuje dużo bielizny. Proszę się nie męczyć ja peniosę.

- Wcale nie ciężkie. - oswiadczyłem znów zmieniając rękę.

Na samochod czekaliśmy jeszcze przynajmniej półgodziny. Gospowa

cały czas siedziała na walizce wspierając łokcie na kolanach i kryjąc twarz w dłoniach. Poszłem z Rozą na most. Siedząc na barierze rozmawialiśmy o sprawach białych, postronnych. Do powrotu skłonił nas warkot silnika. Ciężarówka zahamowała przed zjeżdżnią. Zbliżyłem się do Jospowej. Wciąż twarz ukrywała w dłoniach. Roza rozmawiała rozprawiając coś z konwojentem. Do mnie dochodziły strzępy słów. W końcu usłyszałem:

- Gerai!.. -

Trąciłem Jospową w plecy.

- Idziemy!..

Podeszła Roza.

- Walizkę zanies na platformę. Ranią ja poprowadzę.

niesmiało

- Nie trzeba, ja sama.. - zaprotestowała siska zydowka.

- Cicho.. Lepiej niech pani nic nie mówi. Niech pani tylko wykrzywi twarz, niech pani postępuje..

Ku memu zozwieniu poprowadziła Jospową do szoferki. Otworzyła drzwi. Na siedzeniu rozpiął^{suł} zazywny mężczyzna.

- Chcemy pana prosić, aby ustąpił pan miejsce chorej kobiecie. Cierpi, jedzie do szpitala.

- No taństa nori?.. warknął zaczepnie.

- Proszę, żeby pan oddał miejsce chorej.

- Ne suprantu.

- mówię wyraźnie. Ma pan zwoinic miejsce. Ta kobieta nie może się trząść między bankami. Przecież pan widzi w jakim jest stanie!

- To woz służbowy, to nie sanitarka! - odburknął usiłując zamknąć drzwi.

Roza chwyciła za klamkę. Jak zwykle przed wybuchem jej policzki nabrały pałowego koloru. Jospowa stała obok zesztyniała. Szofer, konwojent i ja nie wiedzieliśmy jak się zachować.

Szarpnęła drzwiami. głowę wsunęła do środka.

- Złaź bo cię trzasnę w mordę!.. - krzyknęła z furją.

wielkie jak drąg chłopisko przeskoczyło na miejsce kierowcy, a

stamtąd jak piłka wyleciała na drogę.

Roza podesadziła Jospową na stopień.

- Gdzie panią w Warszawie wysadzić? - spytała

- Na Niemieckiej. - szepnęła osłupiała kobieta.

Roza zwróciła się do szofera.

- Zatrzyma się pan na Niemieckiej, prawda?..

Nierowca porozumiewawczo łypnął okiem. Zapuścił motor.

- Dziękuję ci. - mówiłem trzymając jej dłoń - Jesteś wspaniała!..

- Czasem za wspaniała. Trzymaj się!..

- Nie pocałujesz mnie?..

- Nie. Nie chcę drugi raz wracać.

Samochód warknął. Ruste banki jęknęły. Kontroler omal nie zleciał pod burzę. Dziewczyna o włosach rudych jak raz wymachiwała do mnie ręką.

2. Słowo na wagę złota.

/ Trzy po trzy.. jak Felwobel dzielił powstancze łupy, a powstancem pozostały leszczynowe kije i stąd jednego ruszyło sumienie, a drugi choć wódz skapitulował przed naftową lampą.

W przeciągu tygodnia zapasy zgromadzone w szkole zostały rozprzedane. Lwia część dostała się Niemcom, ułamek i to najmniej wartościowy ludności, prawie nic zdobywcom. Zapowiedziane przez szynkarzeczkę rozbrojenie stało się faktem. Bohaterowie jaszunskiego powstania przeżywali ciężki okres. W niedalekiej przyszłości skończył się ich sen o suwerennym, niezawisłym państwie. Ziemie bałtorskie, litewskie, łotewskie i estońskie pod nazwą Ostlandu przygotowywano do roli europejskiej kolonii pruskiego imperializmu.

Wysprzedaż poradczieckich remanentów dokonywała się z niemiecką systematycznością. Codzieln suchy, przylizany Felwobel upłynniał inny asortyment, a więc najpierw tekstylia, potem bieliznę i trykotażę, potem manufakturę, potem obuwie i tak dalej i tak dalej. Aukcja zaczynała się o dziewiątej. Wchodziła oficerska starszyna i uowoinie długo gmerała wśród towarów najwyższej jakości. Ci nic nie płacili. Następnie, w zależności od stopnia zażyłości z Felwoblem dłużej lub krócej mogli buszować podoficerowie. Żołnierzy wpuszczano po pięciu. Musieli szybko wyznaczyć skądowac życzenie - coś dostali coś nie - zapłacić ~~określoną~~ ^{wyznaczoną} przez Felwobla cenę, trzasnąć kopytami, wyrzucić łapę i zmiatać.

Do obiedzie rozchylano szam dla tybulców. O ile przedpołudniem pętałem się bez zajęcia między żołdakami, to teraz w miarę znajomości niemieczyny tłumaczyłem co poszczególnej klienteli pragnęliby nabyć za menuet jaj, za osekę masła, za butelkę bimbru lub kulkę cielęciny. Obecny bawalcom gospody zbrzydły już konserwy i krupnik na poczku, a zapas gatunkowych wódek był na wyczerpaniu.

Bastionem partyzantów pozostała gmina. Dla upamiętnienia zorojnego czynu nadal nosili blade opaski i leszczynowe kije, które wystrugali sobie w pobliskim zagajniku. Ludzi jeszcze napawali strachem, choć coraz częściej okazywano im pogardę i lekceważenie. Kilku nieszczęśliwców, a między nimi Buckię uparcie więzili w piwnicach gminnego budynku. Ani

Ortskomendatura, ani dowództwo Wehrmachtu nie interesowało się losem więźniów. Był to los pozabawienia godny, lecz dopóki nie urzędowało Gestapo nie beznadziejny.

W pewnym momencie zagaconą masę.

- Powiedźcie czego wy właściwie chcecie od tego człowieka, dlaczego go go trzymacie?..

Wysłałem oczywiście o bućce.

Podrapał się po zarosniętych policzkach.

- Takich jak on właśnie teraz trzeba pilnować jak oka w głowie. Ci niźnicy pójdą na front prędzej czy później, i przyjdą inni. Musimy mieć dowód na to cośmy zrobili dla oczyszczenia kraju z bolszewickiego śmiecia. Władza cywilna od razu zrozumie kto tu ^{jest} prawdziwym sprzymierzeńcem.

- Mówi pan o Gestapo?..

- A choćby.. w każdym razie o kims rozumiejszym od tych nabzdyczonych oficerów.

Złapałem go za łokieć.

- Przecież pan najlepiej zna bućkę. Dobrze pan wie, że nikomu krzywdy nie wyrządził..

Apelowałem do rozsądku i sumienia tego człowieka, wiedząc, że w gruncie rzeczy nie był zły ani zawzięty. Zamiętałem jak mnie gołca karmił, u przegu kariery chlebem, miodem, powidłami, jak picieł na prymusie jakieś zupki, jak smażył jajecznicę, jak często gęsto popijał w moim i Bućki towarzystwie. miał prymitywne poczucie patryjotyzmu. Jak większość rodaków zarażony zaściankowym nacjonalizmem ulegał ludziom pokroju Baranauskasa, lecz miewał chwilę kiedy można było trafić do niezasmieconej warstwy jego sumienia. Udało mi się. Irałem.

Wlepił we mnie oczy karconego dziecka, wysunął dolną wargę, skubał palcami i słuchał. W końcu wymamrotał:

- Spróbuję. Rozgadam z Baranauskasem. Od niego wszystko zależy.

Przyszedł wieczorem. Zajmowałem wtedy małą izdebkę na poddaszu szkoły. Nocowałem na podłodze, za przykrycie miałem wytarty koc, za podgłówek własną kurtkę. Przyniosł samogon. Wybił korek.

- Łąca złota. - powiedział podając butelkę.

Odechciało mi się pic.

- Skąpu wziąć złoto?.. - odparłem zrezygnowany.

- Ja mam piątkę. Mogę dać. Bram na złoto! - oświadczył - rj!..

Zamoczyłem usta. On wysączył do ona.

- Stara Buckewa też napewno ma. Razdy muzyk cnowa na czarną goudinę trocnę carskich. Tylko pojsc nie pojde, do mnie nie zawierzy.

I ja nie wzbudziłem wielkiego zainteresowania. Potrzebowałem wielu słów zanim wręczyła kilka złotych monet. Wskazując łozko, w którym z pod przykrycia wystawała głowa dziecka powiedziała dramatycznym głosem:

- Jej odejmuję od ust. Z biedy wpychnam w większą biedę. Inni patrzyli swego, a on prezesował. Nazwał się na urządzie - duren! Macie, ale bog was skarze jakbyście encieli pokrzywdzicie!..

Monety paliły mi dłoń. Baranauskas był przecież zdolny do wszystkiego, mógłby wyprowadzić w pole i Dasysa, i mnie, i tę zaklinającą kobietę.

Czekał na mnie w gminie. Dasys uprzedził, że ja dostarczę pieniądze zaledwie przekroczyłem próg zniżył do półszepotu ochrypiły, pijacki głos:

- Przyniosłeś?.. Ile tego masz?..

Wymieniłem sumę.

- To mnie nie urządza. Ale kij wam w oko, dawaj!

Wyciągnął dłoń. Ja ciągle trzymałem ręce w kieszeni.

- Kiedy go zwolnicie? - rzuciłem

ośmiechnął się chytrze.

- Wcale go nie zwolnię.

- Wzięknij tylko co?..

- Ocieknie.

- W jaki sposób?

- Ano zwyczajnie. Dotąd go nie wypuszczaliśmy, jutro wyniesie kibel. Strażnik się zagapi, a on drapnie. Zagapi się na mur, zaręczam!..

- Albo i nie. Narebi wrzasku i ściągnie Niemców.

- Mówię, że się zagapi to się zagapi! Rotem dostanie w mordę, ale mu się opłaci. Zresztą chcesz wierzyć, nie chcesz nie wierzyć. Bez waszych kasztanów przeżyję. A sukę powiesz. Przyjacie Gestapo i pusi w rączki. Żaden komunista się nie uchwala!

- Kto go uprzeżdzi?

- Ty..

- Ja?..

- A kto?.. Zaraz go tu przyprowadzą. Zostawię was na kilka minut. Powiesz co trzeba. Możesz nawet zaradzić, że straż nie ma broni. Oni nie wiedzą, że nosimy puste kapsle. Nikt się nie dowie o waszej rozmowie.

- Napewno?..

- Za kogo mnie bierzesz?!.. - zdenerwował się - nie zgłoszę, że u mnie w gabinecie pouczono więźnia jak ma wiać. Na głowę upadłeś! No dawaj dole, bo się rozmyślę!..

- Re rozmowie. - odparłem sucho.

Ruszył wiązanek przekleństw. Wyszedł. Poszedłem do okna. Na dworze panował zupełny mrok. Ledwie można było dostrzec kontury gospodarskich budynków. Czekałem około dziesięciu minut. Układałem sobie treść rozmowy. Wiedziałem, że trudno będzie przekonać sukę do tego do czego sam nie miałem dużego przekonania. Nie dowierzałem bandycie, a aresztant miał ku temu jeszcze mniejsze powody. Postanowiłem nie nalegać, a jemu pozostawić ostateczną decyzję.

Skrzyknęły drzwi. Odwróciłem się. W wymizerowanym mężczyźnie trudno było poznać czerstwego, rucniwego i krzepkiego prezesa. Czoło miało podkrążone, przygarbił się, brudna koszula bez kołnierzyka wyczoziła z pod wyplamionej marynarki. Miosło od niego stęchlizną. Stałismy naprzeciw siebie mierząc się wzrokiem. Milczeliśmy. Dopiero kiedy wydało

ni się, że uśmiech przemknął przez brudną, nieogoloną twarz wyciągniętą dłoń:

- Zona pana pozdrawia. - skłamałem.

- Był pan u niej?

- Byłem.

- Dziękuję. Zarowi?... Wandzia chyba duczy za bączką? Napewno duczy! Ona jedna tęskni, napewno tęskni.. - uśmiechnął się przez izar.

- Bardzo tęskni. Inni też.. musi pan uciekać! - zacząłem mówić gorączkowo - jutro wyniesie pan paraszkę. wtedy trzeba wiać! strażnik się zagapi. Nie będzie przeszkadzał. Baranauskas przekupiony..

- kto przekupił?

- ~~xxxxxxx~~ zona, po trochu Dasys..

- Dasys?

- To nieważne.! ważne żeby pan uciekł. tu was wykończą - nie oni to Niemcy!

- Dała na mnie. Jednak dała. Dużo?... chyba się łajała, co?... nie dała!.. Dobra to ona jest, tylko pręka, nerwowa. Jednak dała, nie pożalowała.. - powtarzał jakby to było najważniejsze w tej chwili. - a sobie już myślałem że ^{ze}mną krycha. Mówi pan, żeby wiać?..

- koniecznie! - nalegałem - strażnik się zagapi, a pan chodu ~~xx~~ przez pole i w las.

zamyslił się. Uźwienie przygasiło w źrenicach. Zmarszczył czoło.

- Już ja ich znam.. - szepnął - Wywalą w plecy jak do zająca. Już ja ich znam..

- Chyba z palca! Łażą bez broni. Niemcy im odebrali.

- Nie mają psiesyny broni!?!.. wykrzyknął - to czego ciągle straszą ołowiem, łapią się za kieszenie nycie!..

jeszcze
nie mógł ochłonąć z wrażenia. Był ^{jeszcze} podniecony kiedy baraziej do siebie niż do mnie mamrotał pod nosem:

- To można by chama za łeb do brooka, zydłem po czapkę, a potem w nogi.. wszyscy co do jeanego!..

- Deszczu należy do pana. - wtrąciłem - tylko uprzedzam, że wypada się śpieszyć. Jutro, pojutrze może być za późno. Zacznie szalać gestapo. Litwini mogą odzyskać bron.

Nie odpowiedział. Długo myślał. Rionowa żyła naórzmiała mu na czole.

- Mówi pan, że Wandzia buczy? - spytał wreszcie

- Bardzo tęskni.

- I stara sama od siebie dała na mnie wykup?

- Powiedziała, że córce odejmuje od ust, żeby ratować dziecku ojca.

- Od ust odejmuje.. - powtórzył

Wzrok wbił w ścianę. Robił wrażenie skamieniałego.

- Musimy konczyć panie Bucko. - powiedziałem tracną powietrzaną - zaraz wróci ta kanalia Baranauškas.

Ocknął się.

- Pan da te pieniądze! - rzekł głucho

- Na co panu?

- Pan da!.. - napierał - te od niej.

wzruszyłem ramionami. Wycarnałem pieniądze. Dłuska pięciorniczkę zatrzymałem w kieszeni.

- Chce mu ~~pan~~ pan sam wręczyć? - spytałem

Jednym, potem drugim wymachem zrzucił z nog niezasznudowane kamusze.

- A gówno nie placek! - krzyknął i skoczył na parapet.

Zanim zdążyłem wydać okrzyk zdumienia zginął w mroku.

Idąc za pierwszym odruchem i ja dopadłem okna. Ale nie w, skoczyłem. Przymknąłem szyby, zasunąłem zatyczkę. Trudno zrozumieć dlaczego wyczekiwałem na tego bandytę o skretyniałym wyrazie twarzy. Byłem daleki od obrawy i nigdy przedtem, ani potem nie prowokowałem przeciwko sobie losu. A przecież usiadłem teraz ^{przy} jego biurkiem jak petent w oczekiwaniu odwołanego na chwilę urzędnika.

Wszedł i zaębiał.

Muszył

zaciśnął kufaki. ~~xxmxxkxx~~ do przodu. Na drodze do biurka potknął się o rozklepane kapcie. Kopnął je pod ścianę. Tym samym osłabił nieco ciśnienie wściekłości.

- Gdzie oni?... - ryknął

Serce waliło jak młot, w dołku poczułem dławienie, ale całą siłą woli rozdziawiłem usta.

- Nawiał.. - mruknąłem markując ziewanie

Wcale nie ogarniała mnie senność. W największym napięciu siedziłem purpurowego ze złości banaytę. Rozstawił nogi. Kufki wparł pod zebra. Przez nozdrza wypuszczał przyspieszony oddech.

- Ty parszywy gnojku! - wycharczał - Wydaje ci się, że jesteś nie-tykalny pod opieką ~~XXXXXXXXXX~~ szwabów.

- Nic mi się nie wydaje. - odparłem siłąc się na spokój - Prostu uciekł. miałem go łapać za portki? to ~~on~~ samo za pana zgodą miał zrobić jutro..

- Zamknij mordę! - wrzasnął podnosząc ramię do ciosu.

Rechwytnąłem lampę.

- Sprobuj! -

Przez chwilę pasowaliśmy się wzrokiem. Gdyby przysunął się choć o centymetr rozbiłbym kłosz, cylinder, całą lampę na jego łbie.

- Jeszcze ty mnie popamiętasz gołąbku! - wycedził przez zęby, a potem ryknął:

- Woni..

Wycefywałem się nie spuszczać z niego wzroku. W progu przystanąłem w kierunku biurka cisnąłem złotą monetą.

- Podarek od przyjaciela! - zawołałem i zamuchnąłem światło

Z lampą wypadłem na dziedziniec. Odrzucona rozbiła się z orzękiem o kamienie. Onałem przed siebie ślepie bez pamięci.

O świcie maszerowałem szosą na wino.

6 Po Gustawie Konrad

/Trzy po trzy.. pełne dylematów: dlaczego akordeon lepszy od fortepianu, jaką cenę godzi się za dach nad głową, czy sardynki, czekolada i koniak to już miłość, czy każdy mężczyzna jest swinią itp. itp.. /

Przed Czarnym Borem jakiś usłużny cnipek zabrał mnie na furmankę. Jechał do Wilna. Wioził kilka pudów żytniej mąki, za którą obiecywał sobie: "szarę, kostium i buty, a jak nie to bajan, futro i kalosze". Całą drogę łamał się nad wyborem. Nadziłem karakuliy, smoking i fortepian. Jednak nad fortepian przedkładał akordeon, "bo to latem i przed chatą pograc można i do sąsiedniej wsi iść znajomym w oczy zaswiecić, a klawikord, po prawości nie byłoby i gdzie postawić". Drobiazgowo wyliczał ile to dobra zdołał zgromadzić pod dachem od czasu rozpoczęcia wojny.

- Najwiency teraz kiedy na zydów przyszła bieda.- stwierdził

Przy takim potentacie moje bogactwo zawinięte w koc i przewiązane sznurem stawało mnie w rzędzie nędzarzy. A przecież od wyjazdu z domu nigdy nie dysponowałem równie dużym majątkiem. Na służbie pruskiego feldwebela dorobiłem się kilku koszul, oook zdobytych w ludnikach parę parobutów, nieco skarpet. Wiozłem procz tego sukienne spodnie, dwa krawaty i rzecz, którą cenilem najwyżej - kupon brązowego materiału. Przeznaczyłem go na czarną godzinę. Nie posiadałem coprawda zimowego płaszcza, ale ktoby się przejmował takim brakiem na kilka miesięcy przed mrozami.

Gerzej, że nie miałem dachu nad głową. Powrot na Chocińską warunkował złożenie określonej deklaracji. Ranna na wydaniu nie chciała być dłużej panną, zaś rodzice też woleliby bardziej wyklarowaną sytuację w stosunkach między Jędrzejką, a nie wiele obiecującym młodzieńcem, zwłaszcza od kiedy dezorganizacja nandiu utrudniała nabywanie środków ^{cyfrowanych} ~~przeznaczonych~~. Na schronisko Komitetu Uchodźców nie było co liczyć wobec zmniejszenia ich liczby. Rozostawali rawłowicze, jednak z ich gościnności postanowieniem korzystać w ekstremnej ostateczności. Nie przelewało się na kalwaryjskiej i pokoj po urósach dzierżawili sublokatorzy, a kozetkę w jadalni użytkował władca. Młodszy syn sypiał na zestawianych fotelach.

Podrygiwałem na wozie, gawędziłem sobie z woznicą i jakos nie miała się troska o bardzo bliską, najbliższą przyszłość. Stawiałem na szczęśliwą

gwiazdę, która w tym mieście do którego zdążyłem mrugała do mnie zawsze przyjaźnie.

Nieoczekiwanie pierwsza przeszkoda wyrosła tuż przeg korubankiem w postaci żandarna skierującego wszystkie turmanki do przydrożnego zagajnika w lasku opasanym kolczastym drutem Niemcy przeprowadzali rewizję. Nie zważając na zawożenie wieśniaków kazali opróżniać wozy z pościelami sioniny, z baniek ze śmietaną, z łubianek wypełnionych jajkami, z worków mąki, kaszy, cebuli, z wiązek brunatnej samosiejki. Zaniepokojony o swoje bogactwo zeskoczyłem na ziemię tuż za bramą. Z duszą na ramieniu, a pakunkiem pod pachą skierowałem się do wyjścia. Wartownik wystawił groźnie automat. Ale gdy wydukałem parę słów łamaną niemieczyzną opuścił. Rozsunął koc, wyciągnął kawałek brudnej koszuli i przepuścił.

Do rogatek dotarłem bez przeszkody. Im bliżej dochodziłem srodmiescia tym więcej widziałem mundurów Wehrmachtu. Ale i zielona kurtka i dżakejka z "rogenią" nad daszkiem trafiały się nie rzadko. Litwini byli przy broni. Tu prawdopodobnie nie stracili zaufania, a więc rychło mogli je odzyskać również w laszunchach.

Zatrzymałem się na skwerze obok cerkwi przy zbiegu wielkiej i małej Pohulanki. Dotąd prowadziła mnie młodzieńcza bez troska, od tam poczujęm się zblakany, nikomu nie potrzebny, przez nikogo nieoczekiwany. Aby zadac kłam podobnemu uczuciu ruszyłem przez buffalową dolinę na Śnipliszki. Basiadka-tarka poinformowała, że państwo Zegetowie "gdzie to byli wyjechawszy". Gdzie i kiedy powroca nie wiedziała.

- Musi co na wies. Ludzi teraz nosi po swiecie. - oswiadczyła.

Trzasnąłem furtką. Wiedziałem, że jej juz nigdy nie otworzę, że skoro muszę znaleść inny dom żadna siła mnie nie zawiecze między sciany obrosnięte dzikim winem.

Trudno powiedziec czemu skręciłem w Krakowską. Od Zazicha pomocy nie oczekiwałem. Sam mieszkam przy tesciach jak dziad na dozywociu.

W kilku minutach stwierdziłem, że zawiązane pod presją tescia-nozownika stało żyje w przykładnej harmonii. Zazisłowi musiała wywleczec sz-

wecja i młoda koszegarskiego zawiadowcy stacji. Nie krępując się moją osobą obklepywał miłośnie legalną małżonkę. niestety nie znał żadnej pocziwej duszy gotowej przygarnąć bezdomnego człowieka. Nazał czekać na tescia, który miał rozległe stosunki na całej Łosłowce.

- Coś tam wykombinuje. Jak dobrze pojedzie to nawet z wypoczętą wdową.
- Zapewniał Łazisio.

- Wzenniłby się pan w jaką porządną rodzinę. - zauważała buraczanowica małżonka.

- No jasne! - zgodził się Łazis - czego tu latać po cudzych kątach z dymiącą fajką. nie bieduj! przyjadzie backa to znajdzie nie tylko łozko, ale i coś do łozka. bo to jak sam wiesz wszystko głupstwo, najważniejsze babskie d.....

Szczególnie czule poklepał małżonkę po tym ci najważniejsze i zażądał dla gościa zakąski.

Wypiliśmy cwiartkę. Przed drugą pani domu zwróciła się do pana domu.

- Jak myślisz Łazichu, Julka byłaby w sam raz dla pana?

Skrzywił się. Nie znałem Julki, ale skrzywiłem się również. Pomimo protestów wstałem od stołu. Obiecałem wrócić gdyby wymyśleni na pręce znajomi nie mogli mnie przenocować.

- Przychodź! - namawiał Łazisio - Jedną, dwie noce przekimasz na ślepniku, potem murowane stary coś znajdzie..

- Nie trzeba i szukać! - wtrąciła pani domu - O Julci miejsca starczy.

- Choćby nawet.. - mruknął Łazich.

Na ulicy wpadłem w wisielczy humor. Parskałem śmiechem. Gdziebym się nie obrócił za byle kąt żądano niepokojącej ceny. Mama Rawłowiczowa cnyba by spędziła najstarszego syna z kozetki, gdybym trwałsze przywiązanie okazał najstarszej córce, Łazisiu rad widzieć we mnie nastawcę swego kawale siego wybryku, a hōza.. noży zapłacił bym każdą cenę, gdyby nie przeraziła bogactwem swojej kobiecej duszy. zawsze była zagadką. Nikt nie potrafił by przewidzieć kiedy zaradzi, kiedy zapragnie szacunku, kiedy brutalności,

kiedy czułości a kiedy wyuzdania. Jej ogień opalał. Nie chciałem być
cną. Po każdym zbliżeniu było coraz truaniej uciekać.

Na Jagiellońskiej młody człowiek poznał mnie. Pakunki polecił złożyć
w przedpokoju. rozczęstował niemiecką cygaretką.

- Co tam w Jaszunach? - zapytał - naczełnik poczty zarów i cały, chyba
już nie urzęduje? Wiedzicie kolego jak to się wszystko cudacznie plecie.
Opłakiwaliśmy Stacha, a chłop już pewnie w armii, w polskim mundurze, z
karabinem w ręku.

- Jako?..

- Nie słyszał pan o misji Andersa?

- Riąte przez dziesiąte.

- zbiera Polaków po Rosji. Stach nappewno w Suzulu, jeśli nie na blis-
kim wschodzie. Gdybym wiedział, że to taki przybierze obrot złośię, bym
się na ochotnika do wywozu.

- Ja byłem na liście.

- Skąd wiecie?

- Znalaziono listy.

- Jakiś wyjątkowy patałach urzędował w jaszunskiej agenturze N.N.W.D.
No jeszcze jednego papierosa naszych wyzwolicieli!.. - powiedział wyciąga-
jąc papierosnicę - Trudno ocenić czy winien pan im wzięczność czy orzyda-
kie słowo. Gdyby ta wojna wybuchła parę tygodni później, może i pan znalazł
by się w szeregach alianckich armii. A tak, dalej przyjdzie się wiesć zy-
wet uchodzić. Zostaje pan w Jaszunach?..

- Wczoraj opuściłem na zawsze. Tu muszę się rozejrzeć za jakimś miesz-
kaniem, lub choćby za łozkiem gazies w kącie.

- Będzie panu trudno. z zacnych winian już coś nie coś wyparował pat-
ryjetyzm. To nie trzydziestydziewięty, nie kwapią się do bezinteresownych
uczynków. Ale miejmy nadzieję, że pan się jakoś urządzi.

- Muszę..

- Za tydzień, za dwa proszę wpaść do mnie. Do tego czasu powinniśmy od

budować organizację. O ile naturalnie góra złoży się ustawić do nowej rzeczywistości.

Z tłumokiem pod pachą znow znalazłem się na ulicy. Łazienki były leżące. Właziłem na wzniesienie Pohulanki jakbym zamierzał odbyć drogę powrotną. Doszedłem do cerkwi. Na ławce położyłem bambule. Po skwerze kręciło trochę dzieci, postarzały mężczyźni i kobiety, wystawiali twarze pod promienie zachodzącego słońca. Jakiś rościarz szukał miejsca. Złożyłem tłumok na ziemię. Wydobył z kieszeni spórzą kromkę chleba. Przetłamał na pół.

- Może głodny, proszę!.. powiedział wyciągając dłoń - kiełbasą nie częstuję, bo nie mam. kiełbasa się skończyła.

Chyba nawet nie podziękowałem. Wstałem. Przeszedłem jezonię. Numer domu się zgadzał.

Obie siostry, które ja kiedyś częstowałem kiełbasą powitały mnie radośnie. Starsza zakrzętała się koło kolacji, młodsza dotrzymywała mi towarzysztwa.

Mieszkały bardzo skromnie. Niekoniecznie lepiej niż w Jaszunach. Do sułtany wejście prowadziło wprost z ulicy. Lokal nadawał się raczej na magiel niż na mieszkanie.

Skłamałem, że idę bezpośrednio z Jaszun. Starszą rozczuliła moja pamięć, młodsza podsuwała nieustannie jedzenie "bo z drogi człowiek musi być wygłodniały". Rozmowa trochę się rwała. Głównie z mojej winy, ponieważ z niecierpliwością wyczekiwałem powtórzenia się słów: "...na jakiś czas może się pan u nas zatrzymać".

x Wreszcie młodsza zagaadnęła:

- Czy się pan zatrzymuje?

- Przed nocą obkoleduję kilku znajomych, może kto przygarnie wiochykija. - siliłem się na żart.

- Nie puścimy! - zawołała starsza - musi pan wypocząć. Czego tu się jeszcze badziac po mieście. U nas pan zanocuje.

- Oh, taki kłopot.. - mruknęłem tonem, który wyrażał zgodę i wzięczność zarazem.

- Żaden kłopot. Prześpi się pan na otomanie w tym pokoju. My nocujemy obok. Kano nikt budzić nie będzie bo do pracy poki co ani ja, ani siostra nie chodzimy.

- Pojutrze obejmuję posadę. Będę kelnerką u "Georga"! - pochwaliła się panna Jadzia.

- "George" otwiera podwoje? - spytałem

- Tak, ale tylko dla Niemców!

- Rozumiem: "nur für Deutsche". Ze też pani decyduje się na taką pracę?

- Za namową narzeczonego. - wtrąciła blondynka

- Panna Jadzia się zaręczyła winszując!.. Do rzeczy chłopak z tego bronka, ostro się bierze!..

Brocza brunetka spłonęła.

- Nie Bronek a Gustaw. - wyjaśniła jej siostra - poznaliśmy go wracając z Jaszun. Jechał z Lidy i zabrał nas z sobą. Jest oficerem lotnictwa. Mówię panu jaki przystojny!.. Jaki miły, grzeczny, dobrze wychowany i uczynny zasypuje nas prezentami do krępacji!..

Odrazu stało się wiadome z czyje, łaski pakszuje sardynki, wędlinę, masło, dzięki komu piję cukrem słodzoną herbatę i zajadam pierniką rzuceniem okiem na ładną dziewczynę i aż wderzyc się nie chciało, że pod zwojem czarnych włosów kryje się taki ptasi mózg. Starsza, też wcale pełna kobieta nie zaradzała więcej rozumu. Zał mi się zrobiło głupich istot.

- O ile mi wiadomo Niemcom nie wolno się zenic z cudzoziemkami. - tłumaczyłem debrotliwie - nie pozwalają na to ustawy norjmberskie. Hitlerowi chodzi o czystość germanskiej rasy.

Zmieszwały się. Młodsza złożyła usta w dziob, jakoby zamierzała wybuchnąć płaczem. Po chwili blondynka powleczała rozczarzionym głosem:

- Wątpię żeby Gustaw zwodził Jaziunię. Za uczciwie mu z oczu patrzy. Może pan go pozna i sam się przekona co to za znaczny człowiek. Nie pokrzywdzi Jazdi, napewno nie pokrzywdzi!.. Ie ich prawa napewno tu nie obowiązują może w Reichu?.. Zresztą i my mamy trochę krwi niemieckiej. Wjciec zmienić

nazwisko. Nasz dziad pisał się Kroppe, przez dwa "p" - proszę pana!

Jak zajdzie potrzeba udowodnimy to papierami..

- Zawsze to ryzykowne wiązać się z obcym. - wtrąciłem

- Przesady!..

- Może, ale to Niemiec.

- Ojej!.. Jazdia nie wanaa zedy z tego powodu moczyc w Wisle! - ucieła
ła poirytowana.

We własnym interesie zamikiem. Coda tylko przytakiwałem głową.

- Niemiec Niemcowi nie równy, sam pan to rozumie! - stwierdziła, po
piomiennym dytyrambie na rzecz niezwykłego ustawa.

- Oczywiście. - zgodziłem się - są i ucziwi. Lotnic, to kwiat mro-
dziezy niemieckiej. Jeżeli wspomiałem o ustawach norjmberskich to tylko
z zyczliwosci dla panny Jazdi, ale może się mylę.. Napewno się mylę!..

Do konca kolacji panował już niczem niezmacony, pogodny nastrój.
Panna Jazdia pokazała zdjęcie młodego byczka o szerokiej szczęce, gru-
bych wargach i jasnej, popalowanej czuprynie, a ja pochwaliłem gust. W
nagrodę dostałem kieliszek koniaku.

Dawno nie spałem w czystej poscieli, z poduszką pod głową.

Nic dziwnego, że z dnia na dzień odwiekałem przenosiny do urojonyc
przyjaciół. Lroczce gosposie nie nastawały na zwoinienie kanapy. Były
zniewalającą goscinne. Po tygodniu zaklimatyzowałem wcale nie zle.
Staralem się jednak jak najmniej przybywac w domu. Wiele czasu zmarno-
wałem na ponowne wyrobienie sobie karty do stołowki, często odwiedzałem
Rawłowiczow, raz po raz Kosciałkowską, raz po raz Miekka na Zwierzynca
Wicka, włoczyłem się po mieście, spijałem gorzką iurę w kawiarniach,
ale wystrzegałem się Chocimskiej.

Od kolacji nie łatwo się jednak było wykręcić i to mnie krępowalo.
Jakby nie było korzystałem z hojności hitlerowskiego zoludaka i miałem
powody przypuszczać, że hojność ta nie była bezinteresowna.

Dobroczyncę poznałem wkrótce. Nałasiwy, zadowolony i pewny siebie
napelniał pokoje rehotliwym smiechem. Zrazu srozył się na moj włock i
widac było, że chętnie wyrzuciłby mnie za drzwi. Ale odakąd panna Jazdia

dozwala również w mojej obecności sadzać się na kolana, szczypać za policzki i całować w ucho wyzbył się nęuności. Po kolacji czasem nawet po- częstował cygarem.

W stołówce nieoczekiwanie spotkałem Steika Bionlińskiego. Ucieszyłem się gębą gimnazjalnego kumpia. Przywędrował do wina ze swoim przyjaciel- em również poznaniakiem gazie z rolesia. Zaczepił się ^{przy} w rodzinie pie- karza ze Śnipiszek. Żył jak tysiące uchoźców, a teraz zamierzał maszero- wać do u.u., gazie w kouskiej czy innej suchnowoli ordynował ~~ym~~ ojciec- lekarz. Namawiał i mnie do podobnego kroku.

- Teraz to już bez różnicy gazie będziesz żył. Kto wie czy tam nie lepiej?.. Tam będziesz miał na karku samych szwabow, a tu na dodatek je- szcze szaulisow.

Narazie dawałem wymijające odpowiedzi. Do poznania wrocie nie mogłem, a poza poznaniem nie miałem bliskich. ~~ra~~ za tem poczułem zdecydowaną an- tytę do riepzyka, tymczasem ten ~~kwarkxkxzxxxtkxana~~ na podobieństwo wstydlivej wypukłości tworzył ze Stefanem jedną całość. Przywonogi Jozio riepzyk o mentalności kramikarza, ciężkim dowcipie, nie uznający niczego poza własnym podworkiem stanowił okaz przytępowego poznanskiego "banora", na których widok dostawałem wysypki.

Gościnności na Rohulance nie sposób było przeciągać ad infinitum. Jeżeli mimo to nie ~~kwarkxk~~ od razu skorzystałem z zaprosin rawłowiczow, u których zwoiniła się kozetka po wyjeździe włacka na kilkutygodniowy po- byt do krewnych, to tylko dlatego, że Malwaryjska leżała za blisko Ono- cinskiej. Mieszkając przy głównej ~~kwark~~ arterji Śnipiszek narazałem się na niechybne spotkanie, którego za wszelką cenę chciałem uniknąć.

Tymczasem ujrzałem swoje rudowłose bestwo w okolicznościach z ~~oia~~ ^{tem} niezwykłych. Przed ~~kwark~~ jednak wypadła wrocie do porzedniego dnia.

Porzedniego dnia do suteryny na Rohulance wylgnęła się czarna rozpa- ^{ła} cz. Wieczorem pani ~~kwark~~ zademonstrowała twarz popuchniętą od łez. Z przy- ległego pokoju dochodził spazm. Opłynęło kilka minut zanim starsza z sło- str łzami podlewając skargę na podłość i perfidję ludzką odkryła mi przy-

czynę tragedii. Gustaw wyjechał bez pożegnania i nadejście okazał się chłopem żonatym i dzieciątym. Bolesną prawdę odkrył inny pilot, który z perki kolegi przyszedł "pocieszać narzeczoną,"

^{Ela}
rani ~~nie~~ zaciągnęła mnie na kanapę i do późnego wieczora litowaliśmy się złamanemu sercu młodej dziewczyny.

- Już nigdy nie zaufamy mężczyźnie! - stwierdziła na dobranoc starsza z sióstr - Ten drugi, Konrad się nazywa, może przychodzi.. Ale nie wyznał do Jazziuni, od Jazziuni mu wara. Zresztą ~~kanibalizacji~~, ze woli ograbie, coświadczone kobiety. Jego szczęście - inaczej wyleciałby za drzwi!..

Otoż na tej samej kanapie ujrzałem nazajutrz nozę. Obejmowała ramieniem skrzywioną istotę. Obie miały zaczerwienione oczy. Ze zdumienia zeszytniałem. Stojąc w progu nie widziałem jak na to zareagować. One jakby niezauważyły mego wejścia. Noza szeptała do ucha ciemnowłosej dziewczyny^z jakies urywane zdania.

- Co tu robisz!?! - wykrzyknęłam

Obróciła ku mnie twarz.

- Jak się masz?.. Odwiedziłam przyjaciółkę. Ale co ty tu robisz?..

- spytała siłąc się na ~~epickę~~ opanowanie.

Ja się nie wysilałem. Deszczylem do otomany i wzburzony zaczęłam krzyczec:

- ^{się} Skonez z tymi awanturami!.. Odczep!.. czego się ciągle pętasz, czego włazisz mi w drogę!.. Odczep się, rozumiesz!.. Odczep się!..

Westchnęła.

- Słyszysz Jazziu?.. - powiedziała spokojnie - ~~Mój~~ narzeczoną te też ładne ziółko. Oni wszyscy tacy.

ranna Jazzia zaniosła się rozdzierającym szlochom.

wybiegłem na ulicę. biegłem bez celu i bez świadomości tego co czynię. również bez celu zatrzymałem się przy jakiejś latarni. krew pulsowała w skroniach, waliło serce. miałem ochotę tłuc łbem o żelazny słup, albo zaczepić i wdac się w bojkę z pierwszym lepszym przeciwnikiem.

Dotknięty w ramię wstrząsnęłam się jak porażony prądem.

- Zdaje ci się, że ode mnie uciekniesz? - usłyszałem nader dobrze znajomy głos.

Zacisnąłem kufaki. Przez nozdrza przepuszczałem przesycony wściekłością oddech.

- ~~nie~~ Na ulicy się przecież nie kłucisz? - mówiła nienaturalnie spokojnym głosem - Chodź do mnie. Jestem sama. Tam będziesz mnie mógł stłuc..

- Odejdź!.. - warknąłem

- Pojdę.. Ale wrócę.. wrócę jutro, pojutrze, codziennie.. tak długo jak długo będziesz razem z tymi lafiryndami!

- Ręknie się wyrażasz o przyjaciółce! - wtrąciłem odzyskując równowagę.

- Parszywa suka jest mi większą przyjaciółką! - syknęła

Teraz ją dla odmiany opanowywało zaenerwowanie.

- Nie znam i znać nie chcę szmaty! Oświadczyłam jej wprost, że przychodzę po ciebie, że jesteśmy zaręczeni, że spodziewam się dziecka!

- Oszalałaś!.. - krzyknąłem

- Tak powiedziałam: dziecka.. trafiłam na dobrą chwilę. Wystawiona do wiatru przez tego szkopa wierzy święcie, że każdy chłop to swinia.. jutro jej przejdzie, ale dziś możesz nie liczyć na nocleg.. idziesz ze mną?..

- Już nigdy i nigdzie z tobą nie pojdę.. nie myślę zaczynać wszystkiego od początku. Nie mam sił. Zrozum!.. my nie jesteśmy dla siebie..

- Wiem - przerwała - jednak dopóki mam świadomość, że jesteś gazdą w pobliżu nie znośię byś należał do innej.

- Do nikogo nie należę. Opuszczam Wilno na zawsze.

- Kiedy?

- Nie wiem jeszcze, szybko..

- To do tego czasu bądź ze mną.. błagam cię! Proszę cię bądź ze mną!..

redniosłem głos.

- Nie, nie!.. idź już sobie!.. idź!..

Uczyniła nieokreślony ruch dłonią jakby wahała się czy ją podać czy nie. W końcu szepnęła:

- Idę. Tyko pamiętaj będę cię szukać.. rok! Jesteś w Wilnie ^{moje} ~~Jesteś~~

7. w cieniu pomarskich drzew

Trzy po trzy.. o pożądaniu, motorze ludzkich czynów i nieprawości, o wielkim sercu małego człowieka i o romańskim Lesie - inaczej niż w księgach wieszczą./

Przeniosłem się do rawłowiczów z bezwzględnyim postanowieniem opuszczenia Wilna.

Już nie wioczyłem się bez celu po mieście. U Stefana, w pokoju za piekarnią założyliśmy sztab wyprawy. Stefan troszczył się o zaopatrzenie, ja wytyczałem marszrutę do G.G., Józef wykłochał się o każdy szczegół.

Zaczęliśmy od przeglądu stanu posiadania, dorobku dwóch lat wojny. Rzeczy w nadmiarze i nieprzydatne zamierzaliśmy wymienić na uzupełnienie brzośli, zakup kocy i żywności. Największy kapitał, z którym wiązaaliśmy największe nadzieje stanowił mój kupon na ubranie. Obiecywaaliśmy sobie za niego dwie używane jesionki. Ani Stefan, ani ja nie mieliśmy płaszczy.

Coziennie wynosiliśmy na kijowski rynek jakiś ciuch. Stefan targował z przekupnikami, my udając zainteresowanych kupnem podbijaliśmy cenę. Potem naodwrot on kupował, a my dyskretytowaliśmy wystawione na straganie noże, mezażki, kocy, stare plecaki lub drażniliśmy sprzedawców domagając się za bezcen spożywczych koncentratów, soli, zapalek czy machorki. Część nabytych produktów spożywaaliśmy wspólnie na śniadania i kolację. Rodstawę wyżywienia jednak ciągle stanowiły cienkie zupki i jałowa kasza w komitecie.

W ten sposób nie ciążyłem rawłowiczom, którzy sami kłepali biedę, ledwie wiążąc koniec z koncem. Dla odmiany, teraz poczciwy prowizor raz po raz sięgał do mojej banieczki z machorką. Niedostatek najbardziej gnębił jego żony małżonkę. Ciągle krążyła od koleżki do koleżki, ale w koszyku przynosiła coraz mniej. Staralem się przychodzić na nocleg najpóźniej, aby uwolnić zacnego gospodarza od potrzeby serdecznego zapraszania do stołu. Wychodziłem jak mogłem najwcześniej, zwłaszcza od czasu kiedy rawłowiczowa ruszając na obco dziecinicy zabrała klucz od kredensu i powleziła do starszej córki:

- Dasz dzieciakom po szklance herbaty i kawałku chleba. Śniadanie będzie jak wrócę.

Może chodziło tylko o zabezpieczenie zapasów przed łakomstwem dzieciarn. Jednak poczułem się nie swojo.

Stefanowi udało się wyjąć za zegarek wyjątko dla Józefa nowe i rozmiarem odpowiadające jego wielkiej stopie buty. Z tego co pozostało kupiliśmy trochę ~~czarna~~ frykasów. Romyślałem sobie, że dobrze byłoby spożyć kolację z gospodarzami. Wbrew protestom Józefa wydzieliłem przypadającą na mnie osiekę masła, nieco cukru w kostkach, ~~herbata~~, kawałek suchej kiełbasy, sioł marmelady i miodu. Z myślą o panu Witalisie nadwyrężyłem o ćwiartkę zapas spirytusu, który w strategicznych planach Stefana zaliczony był do najwartościowszych ^{Spółków} porozumienia ~~wyjątko dla Józefa~~ na trasie wiano-warszawa. Dla obłaskawienia Józefa przystałem na kupno kompasu, o który walczył aż do śmierci w brzuchu. W przekonaniu harcerza z ciała i duszy zażen przeczorny człowiek nie wędruje bez tego przyrzędu.

Na halwaryjskiej sprawiłem dużą radość. Tadeuszek łyżką jadł miód, Teresa zapychała buzię cukrem, mama sięgała po kiełbasę, Lonka po ser. My z papaszą wysuszaliśmy ćwiartkę pod kaszankę, która już pocodziła ~~z domowej~~ z domowej spiżarni.) Nastroj przypominał pierwsze miesiące wojny. Brakowało tylko leguna i gwizdów radioodbiornika.

W pewnym momencie cociekliwa rawłowiczowa zapytała:

- Powieźcie nam dziś, co? Jeszcze trochę a zapędzicie w kózki rog sorę niok.

powiła o największej żydowskiej handlarce z ulicy Niemieckiej.

- Stefan sprzedał zegarek. - odparłem

- Nie szkoda to?.. Drugiego teraz szybko nie kupi.

- Co począć?.. Józef był bez butów. W sandałach do Warszawy nie dojdzie.

- Pewnie, że nie!.. A dobry chociaż?

- Cyna..

- Mój boże! - westchnęła - śladzio tak marzy o zegarku.

- To już nieodwołalnie opuszczacie wiano? - wtrącił pan Witalis: - smutno będzie. Zżyliśmy się z sobą. Po wojnie odwiedź pan znajomych, panie Tadeuszu. Zawsze z radością powitamy. Kiedy w drogę?..

- W poniedziałek. - odparłem - Jeszcze musimy opęzlować materiał, kupić płaszcze i można smarować..

..chciałem prosić - zwróciłem się do rawłowiczowej, - o kupon. Jutro chcemy wynieść na rynek.

Oddałem go rawłowiczowej na przechowanie.

Moje ^{Słowa} ~~wzruszenia~~ wywołały nieoczekiwaną reakcję. Gospodyni poczerwieniała, nasrożyły gęste brwi i biorąc w pojemną pierś chycąc z kubik powietrza wyrzuciła:

- Nie dostaniesz! Nic ci nie dam!.. Nie mam, oddałem do krawca dla władka na ubranie. Niczego tu nie wymawiam, ale jakiegoś wzięczności można było od ciebie oczekiwać!..

- Mania!.. - krzyknął pan Witalis

Natarcie skierowała na małego skosnoramiennego małżonka.

- Ty tu nie masz nic do gadania!.. Ciebie nic nie obchodzi! Ciebie całe życie nic nie obchodziło. Z apteki i do apteki. A cały dom, dzieciaki zarcie, odzież wszystko zważyłeś na mnie! Czy wiesz, że władek jest bez portek, a Tadeusz bez płaszczyznych butów, że Teresa dodziera ostatnią klockę? Ty nic nie wiesz, ciebie guzik to obchodzi!.. Złotyście mnie ukamieniowali nie oddam! Mam, leży w szafie, ale nie oddam!.. Myślałam, że on to coś lepszego, ale to taki sam wredny poznaniak jak ci Grosowie. Tamci też odpiścili za dobre serce..

Wstałem od stołu. Wyszedłem do kuchni. Oparłem czoło o karłowaty piec. Łzy cisnęły się do oczu. Nie chciałem takiego pożegnania z tym domem.

Przez drzwi dochodził płacz. Płakała Lonka, płakały dzieciaki. Rawłowiczowa coś wyrzaskiwała. Pan Witalis powtarzał niezwykle jak na niego głośno i z oorzydzeniem:

- Nędza, świnstwo, tak się nie godzi, świnstwo!..

Po chwili przyszedł do kuchni. Objął mnie w pól. Sądził mi zaledwie do brody, to też gwałtownie oddając uściski wzięłem go w ramiona zdawać się mogło, że to ja pocieszam jakiegoś niewyrosniętego chłopaka.

- Ruściaki, wszystko puściaki. Nie pierz kochanienki do serca. Złoda

le dziwiąc się chodzącym jeszcze po świecie naiwniakom. Jemu samemu - jak oświadczył - przydałaby się uczciwa jesionka. Rozmowie przysłuchiwała się siwa niewiasta - może urzędniczka, a może też petentka komitetu. Wyszła za nami na korytarz.

- Mogłabym panom pomoc. - ~~xxxxxxx~~ powiedziała - to synach mam dwa szkolne płaszcze. Jeden syn zginął, drugi w niewoli..

Na pomarszczonej twarzy osiadł smutek. Stefan bąkał jakieś podziękowanie, Józef i ja kłaniałismy się nisko.

- Mogą być trochę za ciasne. - ciągnęła lustrując nasze sylwetki - Ale są perzane. Rę moich synach, bliźniakach..

W szarych oczach zobaczyliśmy łzy.

- Będziemy bardzo zobowiązani. - bąkałem - może byśmy mogli czymś odpłacić, coś dla pani zrobić..

Józef się skrzywił, a Stefan dodał:

- Narąbac drzewa czy coś w tym rodzaju..

Uśmiechnęła się.

- Nie trzeba. Dwa stare płaszcze żaden majątek. Tyko gorzej, że mam u brata koło Łeszyszek na Iesniczowce. Dam pismo i po drodze będą mogli panowie wstąpić.

- Nie idziemy przez Łeszyszki - ^{chmurząc się} mruknął Józef.

Na szczęście Stefan odsunął go na bok.

- Głupstwo zmienimy trasę. Serdecznie dziękujemy.

Zdecydowaliśmy jednak marszrutę nie zmieniać ponieważ Stefan dyskontując swoją bogobojność i bezinteresowną służbę ministranta dostał w kurii metropolitalnej pisma polecające do proboszczów organujących na trasie Wilno-Lida. Doszliśmy ~~na~~ także do wniosku że marsz po płaszcze dobrze nam zrobi jako zaprawa przed znacznie dłuższą uroga na zachód.

Józef wykpił pomysł i pozostał. Stefan czekał na mnie na rogu Lwowskiej o czwartej rano. Przed plekarniami ustawiały się kolejki. Półseni ludzie podpierali ściany domów. Na zielonym moście wartownik oparty

o balustradę wpatrywał się w rzekę. Kłynała wartko, opłukiwała barki i sosnowe kłody obojętna na wszystko co się działo na jej orzechach.

Przez Legionową wyszliśmy za miasto. Rieśliśmy się na ponarskie wzgórze. Budził się las. Wchodził między drzewa w milczeniu, do jakże tu pięść trzy po trzy, w mięściu gdzie przed stu laty nasi równieśnicy, deliberovali jakoby ruszyć z posad bryłę światła. Szum drzew zmuszał do szacunku bo był to ten sam szum, który jednemu z nich, poecie, kołk tęsknotę do niedalekich bolciennik, a potem na paryskim bruku dyktował strofy narodowej epopei. Zachowywaliśmy się jak przystoi się zachowywać w narodowym parku, bo i był to park narodowy. Milka wierzby, parę westchnień: "drzewa moje ojczyste!..", "za ileż wam winien o domowe drzewa!" - starczyło, aby z tego lasu uczynić pomnik narodowej kultury, aby położony poza granicami kraju, dziś może wytrzecony i wykarzowany maszynami leśnymi wziąć pod ochronę Narodu, ocalić od zapomnienia.

Za lasem często przysiadaliśmy w rowie i wzorem tamtych reformowaliśmy świat. Bodaj to mieć dwadzieścia lat! Ile różnorodnych, nieskazy nych sceptyzmem nadzieji kiełkuje w umyśle człowieka: Rojenia snułem przeważnie ja, a Stefan pytał i pytał..

Do leśniczówki dotarliśmy pod wieczór. Nakarmieni po przełyk legliśmy w stośle na sianie ciągle jeszcze rozstrzygając pryncypialne problemy ludzkości. Zasypiałem w przekonaniu, że jeśli Jozef nie zatruję zólcia marsz na zachód będzie wcale przyjemną imprezą.

Do obejrzenia płaszczy stwierdziliśmy, że bracia-bruzniacy nie zaliczali się do wielkoludów. Ja jeszcze jakos wbiłem się w szynel, ale Stefan ~~xxxxxx~~ co złożył ramiona to trzeszczały szwy. Ponieważ jednak darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy zabraliśmy co los spuścił i ruszyliśmy w drogę powrotną.

Maszerowaliśmy w samo południe. Kurz i spiekota wysuszała gardła ~~xxxxxx~~ i chcąc nie chcąc musieliśmy ludzkości dać spokój. Przechodziliśmy przez włoski w mniejszym lub większym stopniu dotknięte ~~xxxx~~

działaniami wojny. Niektóre były prawie doszczętnie rozbite, wypalone i opustoszałe. Z jednej zostało tylko rumowisko cegieł, parę kominowych kikutów, zwęglonych brewien i gąszcz pokrzyw, lebledy i łopuch. Na drodze leżał do połowy obłazły ze skóry kon. W bezpanski sadzie narwaliśmy kwaśnych jabłek i na szczeniacką modłę ootlukwszy na kolanie gasiliśmy pragnienie.

Krok za krokiem zblizaliśmy się pod ronary.

Z lasu coraz wyraźniej dochodził terkot maszynowych karabinów. Gdy na chwilę młkły odczywały się suche pojedyncze strzały. Do okrajnych zarosli pochodziliśmy nieco zdeprymowani. Dopiero teraz zauwazyliśmy, że na prawo od drogi duża połac lasu jest odrutowana. Tam właśnie padały strzały.

- Też mieli gazie sobie urządzie strzełnicę! - mruknął Stefan rodzicałem jego oburzenie, lecz cos mówiło mi, że nie chodzi tu wcale o wprawienie strzeleckiego oko. Przeczył temu szum motorów i przedzierający się przez leśny gąszcz zgiek i krzyk ludzki.

Droga przez las była jeunak wolna. Nie zaszekeścił żaden lis, a jeśli w chaszczach odczwał się ptak, to krotko i lękliwie. Wydłużonym krokiem schodziliśmy po zboczu.

Na otwartej płaszczyźnie przedmiejskich pól odgłos kulomiotów przycichł, a natomiast wzmagał się warkot motorów. Przed nami na szosie migały samochody. Na pełnym gazie zbaczały na polną drogę.

Przeszliśmy jeszcze paręset metrow i wszystko ^{było} ~~stało~~ jasne. Świątynia romantycznych westcnnien, historyczne miejsce schadzek patryjetyczne, młodzieży stawało się grobem bezbronnych, zaszczytuch ludzi.

Przez całą długość legionowej, w krotkich i nieregularnych oustępacij mijaly nas ciężarowki zatłoczone polzywymi ze strachu istotami. Byli to przeważnie starcy, niewiadomi, kaleki, troche dzieci. Za kierownicą siedział zawsze Niemiec, ale w czterech rogach platformy sterczeł żołnierz w pociesznych dzocejkach na głowie. Trzymając w dioniacz gotowe do strza-

tu automaty mierzyli ofiary ~~krwym~~ spojrzeniem oprawców. Niektórzy żydzi pojękiwali, niektórzy dławili się spazmem, kilka kobiet wyło nieludzko, ktoś rwał na sobie odzież. Ale większość zastygła w niemym przerażeniu. Jeden brodaty starzec uparcie zadzierał głowę jakby spodziewał się dojrzec w obłokach karzący miecz bożej sprawiedliwości. Najspokojniejsze były małe dzieci. Te, które stały z przegu, wystawiały ciekawie buzię za burtę śledząc ex zawrotne obroty koł.

wyciągaliśmy nogi byle czym prędzej dopaść jakiegoś przecznicy i zgubić z oczu ponury rajd śmierci. Staraliśmy się nie patrzeć na jezdnię, jednak pomieszany z szumem silnika jęk ludzki torturował nas co kilkadziesiąt sekunda.

W pewnej chwili usłyszeliśmy odgłosy harmonii. Obrócili^{śmy} ~~głowy~~ ^{mimowolnie} głowy. Nadjeżdżała ciężarówka jak inne, z tym że nad budą szofera wyra- stały nie cztery, a dwie duże, ki. Skoczna melodia potężniała z sekun- dy na sekundę. Przystaliśmy. Wóz ~~przejechał~~ ^{przejechał} mimo. Na środku platformy, na jakiejś skrzyni siedział brudny, ogarzały cygan i przytupując do tak- tu rozciągał zawzięcie harmonię. Ciemna czupryna chwiała się z boku na bok. Był tylko w koszuli i parcianych portkach. Litwini wyrażając po- dziw dla jego talentu szczerzyli zdrowe, białe zęby.

W środmiesciu, Stefan, który pierwszy ochłonął powiedział ze zwyk- łą sobie rozterką w głosie:

- Czy nie ma innego sposobu na rozwiązanie kwestii żydowskiej? Albo ten cygan, dlaczego cygan?.. Litwinom też się dziwię. Żeby zrobić z siebie narzędzie takiej potwornej zbrodni?.. Jak myślisz na co oni liczą.

zruszyłem ramionami.

- Na stryczek. Na co może liczyć opryszek.
na wszystko

Stefan zawsze szukał odpowiedzi i z reguły żadna go nie zadowalała

- Ale dlaczego właśnie konary wybrali na miejsce kazi?

- Żeby тебе zrobić na złość! Naj spokoj, do chłery jasnej!.. 18-

nary nie Ponary jeden diabeł!.. Mord w kościele też jest mordem. Nie sp-
satisfakcji
rawia żadnej ~~rażnicy~~ morderczym..

- Czy Litwini uważają Mickiewicza za swego poetę czy nie?..
rzecież nie znającą innego, któryby tak cudnie odmalował ich kraj.

- Wybrałeś sobie czas na literacką biesiadę! - mruknęłam

- Jednak nie powinni profanować Ponar.

- To naród młody, prężny. Nie potrzebuje żadnych pamiątek dlatego
je bezcześci..

- Cholerny dzień! - dodałam - a tak się przyjęcie zaczęła cała
eskapada.

- Józef będzie się wybrzydzał na płaszczu. Napewno powie, że od
kresowiaków niczego uczciwego spodziewać się nie można.

- Wypinam się na Józefa! Co tam płaszczu?.. Tędy nawet koszu-
nie były potrzebne. A piorun by strzelił taki dzień!..

Nie spodziewałam się, że za chwilę ujrzę jeszcze jeden ponury wyci-
nek dnia. Już za zielonym mostem napatoczyliśmy się na pochod odprowadza-
nych do getta żydów. Sunęli środkiem ulicy. Niesli walizki, tobołki, wia-
ra z drobnym kuchennym sprzętem. Klęcy gięli pod ciężarem plecaków i wor-
ków. Prawie nie widać było starych, wgrzybiałych i kalek. Dzieci za to
było dość sporo. I one wlokły toboły. Jedną tylko dziewczynka niosła lal-
kę w krakowskim stroju.

W pierwszym szeregu kroczyła młoda dziewczyna. Piękną twarz podwią-
zała jedwabną chustką. Ramiona okryła futrem. Na nogach miała filcowe ka-
ce. Jedną ręką ~~nieś~~ neseser oklejony etykietkami hotelowymi, dru-
gą przytrzymywała przewieszane przez plecy narty.

na brzegach chodników gapił się tłum. Kilku wyrostków przeskakując
z nogi na nogę towarzyszyło pochodowi. Pokazywano sobie palcami znajome
sylwetki, czasem ktoś w tłumie się uklonił. Na widok pięknej żydówki ja-
kiś rezolut rzucił uwagę:

- Do Zakopanego się wybrała, na "sis"!

- To co do Zakopanego. Na Ponarach też dobre górki! - włączył się drugi.

- Jasne! Był spadek śnieg. Zjedzcie sobie prosto do jamy.

- Do zimy nie dociągnie, do zimy wszystkim kaput!..

Z boku rozległ się znajomy głos.

- Nie bieduj!.. Z tym co ma w kuferku przetrzyma ciebie, mnie i naszych wnuków.

Ubejrzałem się. Obok stał tesc Łazisia. Biizna na policzku odcinała się białą pręgą na czerwonej twarzy. Zionął alkoholem. Poznał mnie.

- Córka właściciela "Elektritu" - poinformował - Faszykowali radła, pan wie. Najbogatsze ludzie w Wilnie. Alech mnie skręci jak w czemodanie nie niesie złota. Wpadnij pan kiedyś!..

- Wpadnę. - burknęłam

- Co to za typ? - spytał Stefan

- Nożownik z Łosiówki.

- Nożownik?.. Skąd go znasz?.. Ta biizna to od noża?

Nie dostał odpowiedzi. Uwagę naszą przykuła szamotanina jaka wywłazała się na skraju jezoni między litewskim żołnierzem, a zadzierzystą Dabiną usiłującą podać prowadzonym bochenek chleba. Żołdak spychał karabinem na chodnik, a ona wrzeszcząc kopala jego cholewy.

Tłum przybrał wobec Litwina wrogą postawę. Paru młodzieńców uzbraiło się w brukowce, inni grozili kulakami. Żołnierz ustąpił. Odtąd bez przerwy ktoś wybiegał na jezonię i co miał to wciskał w kieszenie żydów.

Na koncu orszaku kilka niewiast popychało aziecinne wozki. Szukałem wzrokiem żony inspektora Jospa. Nie żadnej chudej i nadmiarę wysokiej, nie dostrzeżłem.

- W swoim od biedy możesz paradować. - stwierdził Stefan przed bramą Rałowiczów - mojej trzeba będzie opędzić. Może wynadłuję dla siebie jakiś mantel, co myślisz?

- Napewno, czesc!

- Nie idziesz na kolację?

- Dziś nie zniosłbym pyska Jozefa. Wolę być głodny. - odparłem.

8. Namyk do sadzawki wspomien.

/Trzy po trzy.. jak mamasza wypominała Bogu, że komu nie trzeba dał koronkową kape, corunia, że nie popsuł dzwonka, a dziewczyna na ulicy, - nic nie wypominając prosiła o zapomnienie. potem jeszcze o rozstaniu, pożegnaniu, zderzeniu z kozą i kropka.. koniec!!./

Głodny nie byłem. mama rawłowiczowa na przeprosiny wystawiła wcale obfitą kolację. kupon cprawda znow powędrował do szafy na przechowanie, ale nikt do nikogo nie miał już żalu.

Cały wieczor mowiło się o wypadkach dnia. Gospodyni zebrała wiele ciekawych informacji. Dowiedzieliśmy się, że na Ponary wywieziono głównie zniedołężniałych starców, ludzi schorowanych, kaleki i pozbawione opieki dzieci. Rozstrzelano nad to kilkaset osób podejrzanych o przekonania komunistyczne. Do getta pozwolono zabrac tyle osobistych rzeczy, ile kto zdołał udźwignąć. Sorka z parteru podobno naciągnęła na siebie dziesięć par majtek i wyglądała jak nadmuchana. mieszkania żydowskie opieczętowane i naklejono ostrzezenie, że winni zerwania pieczęci zostaną ukarani śmiercią.

-Tyle wszystkiego zostawili. - wyrzekła nasza informatorka - Sorka miała na łózkach kapy, że palce lizac. Nowiusienkie, całe w koronkach żeby te miało olej w głowie to by rozprowadziło co lepsze między wczciwych sąsiadów. Teraz "piszy propało". Nawet - jak dać boże! - wroci to do czego? Do pustych ścian! wszystko powędruje do łowna czy innych zabichkiszek..

Westchnienie uniosło ciężką piers.

- Bog zawsze daje temu co nie potrzebuje!..

Z tym Bogiem nie było tak źle. nazajutrz Stefan oczyszczony z grzechów przystąpił do komunii i -jak twierdził - w nagrodę udało mu się wykołowac jakiegoś chłopka, który kupił ciasny szynel za godziwą cenę. starczyło na inne większe palto. w ten sposób został zrealizowany ostatni ^{punkt} naszego planu zaopatrzenia.

Uradziliśmy opuścić Wilno pojutrze t.j. w poniedziałek. Proponowałem wyjść w niedzielę, ale koleczy jak przystało na katolików postanowili dzień święty święcić, nakłaniali żeby razem wysłuchać mszy, a nawet

wrzucić jaki grosz do puszek Ojców Benedyktynów w intencji pomyślnej drogi. Odmówiłem ku oburzeniu Józefa i tajonemu zgorzeniu Stefana.

Podczas gdy oni klęczeli pokornie na bruku przed ostrą bramą, ja delektowałem się watawaną kołarą i sprężynowym materacem, słusznie przewidując, że nieprędko wyciągnę gnaty na jakimś wygodnym meblu. Nie przypuszczałem ~~xxviii~~ jednak, że również nigdy więcej pod dachem wileńskiej kamiennicy.

Rawłowicze nie tylko uraczyli śniadaniem, lecz ^{toż} i słyszeć nie chcieli, żebym na obiad szedł do stołówki.

- Licho wie kiedy się znow spotkamy. - dowodził pan witalis - ~~xxviii~~ Chociaż mówią: góra z górą nie, a człowiek z człowiekiem zawsze się zejdzie, ale nie w takich czasach. Noleje, panie dziejaszku, samoloty, samochody, parochody - ludzie tacy niby coraz bliżej, a jednak wciąż dalej. A nawet jeśli się spotkamy, to już nie ci sami. ~~xxviii~~ wojna różne z ludźmi wydziwiała historie. Wojna i w zwykłych zabija dusze. Coprawda pokój i dostatek też ześwinia tego i owego..

po wygłoszeniu jeszcze wielu podobnych sentencji wileński prowizor, pan witalis bonawentura rawłowicz powiódł rodzinę do kościoła. starsza córka wymowiła się bólem głowy.

skoro tylko w przedpokoju stuknęły drzwi parsknęła smiechem:

- Jesteśmy sami!.. Tak jak dawniej, pamiętasz?..

- Rosądzasz mnie o sklerozę?

Zachichotała.

- Będziemy sprzątać. Tak jak kiedyś, dobrze?

- Dobrze.

Zagarnęła ją ramieniem i posadziła na kanapie.

dosłownie w tej samej sekundzie zabrzączał dzwonek. poderwała się na nogi.

- Chryste! zmiłuj się. - krzyknęła zniecierpliwiona

ruszyła otworzyć.

- Jakiś chłopak do ciebie. - powiedziała wracając z korytarza.

- Do mnie?..

W sieni stał wyrostek. rucił mi kartkę i jak szalony zbiegł ze schodów.

Przeczytałem. Przasnąłem drzwiami i wyleciałem na ulicę szybciej niż posłaniec. Na rogu Łwowskiej czekała hoża. Natariem z furią.

- Nie dostałem od ciebie żadnego pierścionka! Pomyliłeś pewnie absztyfikantów!?

Spojrzała mi prosto w oczy.

- No to co, że nie dostałeś? - powiedziała spokojnie

- więc poco wypisujesz te brednie?.. „rzecz drogocenna, pamiątka po babce, po co?.. Po co odwołujesz się do mojej uczciwości?

- Inaczej byś nie zszedł. A zobaczyć cię musiałam. Zapowiedziałam, że cię znajdę. - mówiła z wznoszącym rozdrażnieniem - dopóki jesteś w Wilnie jesteś mój, rozumiesz! Będę cię tropić, przesładować, naprzykrzać się, wyprawiać takie awantury, że prędzej czy później wrócisz do mnie.

Zakręciłem się na pięcie.

- Czekaaj! - zawołała - Nie żądam żebyś wracał na Chocimską. Od czasu do czasu pragnę cię jednak ogliądać. Muszę cię ogliądać! Raz na tydzień.. rotom może się wszystko rozlezie po kosciach. Żeby jak najprędzej.. może żeby jak najprędzej!..

Uczy nakryła dłonią. Rumiane policzki wilgotniały. Pod bluzką nierówno falowała piers.

Ująłem ją pod ramię.

- Choczmy. - powiedziałem cicho.

Rosiliśmy w kierunku Pioromontu. Przysiedliśmy na porzuconej, kłodzie nad samym brzegiem rzeki. Długo nie wymieniliśmy ani słowa. Rode, mowałem kamienie i rzucałem machinalnie w wodę. Ona wodziła wzrokiem po przeciwnym brzegu, ale napewno nie wiodła ani biblioteki wroblewskich, ani drzew na bulwarze Zygmuntofskim. Raz po raz sięgałem po bankę z machorką. Związałem grubego jak palec skręta i wbijałem do cybucha.

- Tak dużej palisz! - powiedziała - Nie pal tyle!.. to ci szkodzi.
Tak mizernie wyglądasz. rewnie siodujesz?..

- Alez skąd!.. odparłem - Jadam jak zawsze w stołówce. Kolację i
śniadania z kumplami. Czasem dobrzy ludzie podkarmią.

- Pawłowicze?

- Pawłowicze też..

- Może to i poczciwi ludzie? Ale ty zarzekales się, że masz już
coś szlachetnych odruchów. - powiedziała z sarkazmem

- Tak. Dlatego ^{już} wychodzę z Wiina. Idziemy do Guberni..

Podniosła na mnie oczy. Zapiekła gorycz zniknęła z twarzy, natomiast
napływał smutek. Wyciągnęła dłoń.

- Włęcz tak wygląda koniec.. - szepnęła

Prókrywałem niezgrabne, różowe ręce pocałunkami. ~~rzękała~~.

Przesiedzieliśmy nad brzegiem rzeki kilka godzin. Włęcz, młcząc
niż mówiąc. Porozumiewaliśmy się monosylabami. I słowa, i młczenie, i
jej westchnienia i moje powierzonowne pieszczoty - wszystko to było nies-
nośne, uciążliwe, męczące, a przecież nie umieliśmy się zdobyć na zwyczaj-
ne, konwencjonalne pożegnanie.

Słońce opadło na dachy.

- To jednak idziesz.. ~~x zszepnęła~~

- Idę..

- Do swoich?

- Nie do swoich. Ale będę bliżej domu.

- rewnie, tak lepiej..

I znow nastąpiła drażniąca cisza. O jakąś poczerzniętą tratwę pluska-
ła woda.

- myślę, że już się nie zobaczymy. - odezwała się po chwili. drugiej

- Chyba nie.

- To dobrze. Z początku będzie głupio..

- Czas wszystko zagłazi.

- Napewno. Będzie trochę łez, potem trochę westchnień, potem jakieś

wspomnienie, a potem uśmiech politowania. Na szczęście moje rany goją dość szybko.

- Wyjdiesz z małżem..

- Niewątpliwie. Coż mądrzejszego mogłabym zrobić?.. Napiodzę dzieciaków, roztyję się, będę prac gacie pana małżonka. Przed kobietą stoi niewyczerpane źródło szczęścia. Chyba zafunduję sobie kochanka. Ale ani mąż, ani kochanek nie będzie miał wiecznie potarganych włosów, długiego nosa, wystających zębów i kark wpadniętego brzucha.

- Dlaczego?..

- Żeby nie przypominali ciębie. Tobie też radzę: wystrzeż się rudych i piegawatych. nasze gatunki się nie znoszą..

Uniosła się z klouy.

- Czas wracać. uszczędzimy sobie chyba czułego pożegnania. Zostan tu chwilę. Ja pojde sama. ~~Coż by tu ci było na pamiątkę?~~

rozszperała w torebce. Wyjęła niedużą butelkę. w szyjce tkwił do połowy wyciągnięty korek.

- Przyda wam się w drodze. - powiedziała

- Co to jest?

- Octowa esencja..

Wzruszyłem ramionami.

- sądzisz, że będziemy mieć czas na marynowanie grzybków? na co nam ocet, w dodatku esencja?..

Spojrzała mi przenikliwie w oczy. Usміęchnęła się dziwnie. potem schowała butelkę z powrotem do torebki.

- słusznie, przecież nie będziecie robić marynatów. a mnie się jeszcze może przydać. kto wie czy jeszcze raz nie przyjdzie ocnota. chlusnąc komuś w twarz. Trzymaj się!..

uciekła. ~~Wzruszyłem ramionami.~~

- róża, róża, czekaj, róża!.. - wołałem

wołałem, ale nie ruszałem się z miejsca. nogi jakby wrosły mi w zie-

nią. A ona bez przerwy biegła. W końcu zniknęła za węgiem jakiegoś budynku.

Do zbreku siedziałem nad brzegiem Wilgi. Kopiełem kamienie. Do wody wpadały z pluskiem. Na powierzchni tworzyły się kolia - zrazu nie duże, potem stawały się większe, jeszcze większe, rosły i znikały.

Uparłem się wyruszyć dopiero po obiedzie.

Właściwie nie wiadomo dlaczego nastawiałem na spędzenie w Wilnie jeszcze paru godzin. wałęsałem się bez celu ulicami miasta. Rozglądałem pedeszwy o betonowe płyty chodników. W srodmieściu oglądałem puste wystawy, na słupach odczytywałem stare ogłoszenia, zapuszczałem się w zaułki malownicze, spokojne i te szpetne, zaglądałem do pustych kościołów, w Bernardynce z mostu wpatrywałem się w wartki nurt wilenki.

W końcu jakbym nie był przed forsownym marszem wdrapałem się na Zamkową Górę. Obracając się wokół swojej osi zegnałem sosnowy lasek kolejowej kolonii, antokol, cementarne wzgórza Rossy, zarzeczce, stare miejskie mury przy Sakszcie, wyniosłość Fenulanki, wplecione w zielenie drzew domki Zwierzynca. Najdłużej zatrzymałem wzrok na najbrzydszej dzielnicy miasta, na Śnipiszkach. Przymyślałem się stromizmie Kalwarjskiej i Wilkomierskiej. I jedna i druga prowadziła przed parterowy dom z gankiem porośniętym dzikim krzewem winem. ~~zastanawiałem się~~ [czemu nie wrocili, gdy nawoływałem wczoraj na brzegu rzeki? ~~wzruszenie~~] [Gdyby wrocili nie zegnałbym teraz miasta.

O drugiej byłem na kwaterze Stefana. Zniecierpliwiony Józef srożył brwi. Przygotowany do drogi, z tornistrem na plecach siedział na łozku. Stefan bez przerwy coś odnosił do mieszkania gospodarzy. Onclat zostawić po sobie wspomnienie dobrego, solidnego lokatora. Jeszcze z ulicy zawrócił, aby oddać pozostawiony za piecem noz.

Maszerowaliśmy dziarskim krekim.

Nic już teraz nie przykuwało mojej uwagi, ani przyciekanie, ani ruch na jezani. Odtąd wszystko było obojętne, drugostronne, nieciekawe.

Nawet tradycyjna wileńska derożka na gumach, pomimo że w towarzystwie wyższego oficera Wehrmachtu wiozła Tamare, najpiękniejszą kobietę miasta. Nic mnie nie obchodziło czym żyło i jak żyło to jedno z najbarziej uroczych miast.

Ale tylko do rogatek.

Za rogatkami coś ognęło mnie w serce. Obróciłem głowę. Rozostawiałem za sobą najmiłsze miasto, kochającą dziewczynę i piękną, ubóstwianą kobietę. Wilna miałem już nie oglądać z bliska, Roza xtałaxsię jak przewidywała stała się budzącym uśmiech wspomieniem, a Tamara.. Tamary bodaj bym nie spotkał w życiu.

Odwrocony do tyłu wpadłem na kozę. Wiodący ją chłopak uskoczył na bok.

- Ślipiów nie masz! - zawołał - kup sobie okulary chomącie!.. Jak ci przyrastryguji kamieniem to zobaczysz ilimonie!..

Przystanąłem.

Chciało mi się wyciskać wisusa. Dla dopełnienia wrażeń onia potrzebna mi było właśnie tych splewnych wymyślań.

Józef zatrzymał się również.

- Co za naród! - powiedział marszcząc czoło - ~~xxzana~~ Oo małego resnie na opryszka. Trzeba mu dać w ucho!

- Głupś!.. - odparłem.

© ARCHIWUM KRAJOWE

Posłowie.

I ktoby to pomyślał!.. Doamarowałem do kropki, skończyłem. Duma rozsadza zapadłą pierś. Wierzyć się nie chce!.. Trzysta dwadzieścia stron!.. Linijka w linijkę piramidalne banialuki, jałowizna, wydzieliła zakatarzonego mózgu. Dalibóg!.. myślę o sobie z podziwem, chylę głowę, poklepuję po plecach, "... niech cię kule, chłopie!" - mruczę.

Chapeaux bas, messieurs!

No bo kogo stać na taką gigantyczną bzdurę. Samo machanie piórem, a potem wystukanie wszystkiego na maszynie budzi najwyższe uznanie. A podwędzenie z biura tej ilości papieru - to bagatela, to nie samożarcie, nie bohaterstwo? Inni drzewo, cement, części samochodowe, sukno, wędliny, masło, bez mała obiekty przmysłowe, a ja papier.. Inni dla wygodzenia swoim przyziemnym, sprośnym zachciankom, ja dla ducha!

Droga do chwały nie jest usłana różami, o nie! Bezustannie narażony, że ktoś zerknie przez ramię, że wykpi, że zakręci ślimaka na czole tworzyłem w ukryciu. Czy to raz domownicy zalecali reformackie pigułki bombardując pół, a czasem godzinę drzwi wychodka?

Ale wyszło, co wyjść miało!..

Czy będę dalej skrobał?

Narazie nie.

Dla zamydlenia oczu, żeby się zdawało temu komu trzeba, że myślę poważnie o życiu zabiorę się teraz do nauki. Będę się zakuwał jak dziaki ~~zrobię~~ byle szybciej odwalić cały kram i napowrót zanurzyć łeb w ceberek wspomnień.

A jest jeszcze co wychłęptać, ho.. ho!..

Nawet, jeżeli - co uczynić zamierzam - przeskoczę baranowicki ~~okres~~ okres będzie o czym pogłędzić. O Halinówku i Sworotwie było dłużej i więcej niż trzeba w niedocenionych przez współczesność powieściach. Jak parcianą łatę do kapoty wszyję je do pamiętnika i wszystko razem, w kupie odłożę napowrót do szafy. Niech i one służą temu, który je sądził, gdy nadejdzie czas niedowładu, podagry^{lub} sklerozy.

Jeszcze słów kilka o tym czego się dokonało. Nie wiadomo jak będą się pruły dalsze wspominki. Te, po których postawiłem kropkę starałem się nawinąć na kłębek tak jak się pruły, t.zn. bez upiększeń, bez wygładzania faktów i bez retuszu odbitych w pamięci postaci. Dialogi, którymi gęsto naszpikowałem tekst - rzecz oczywista - w mniej lub więcej udeblony sposób oddają sens prowadzonych rozmów, wypowiedzianych opinii i w Często mają zadanie bardziej skrótowo, lapidarnie odmalować zaistniałe wydarzenie.

I to już wszystko. Okres wileński, doprowadzony do września 1941 jest zamknięty.

Co będzie dalej zobaczymy. Wszystko zależy od wielkoodusznej tolerancji bliskich, sprzyjających warunków i wytrwania w oślim uporze trwania, energii, czasu i zdrowia.